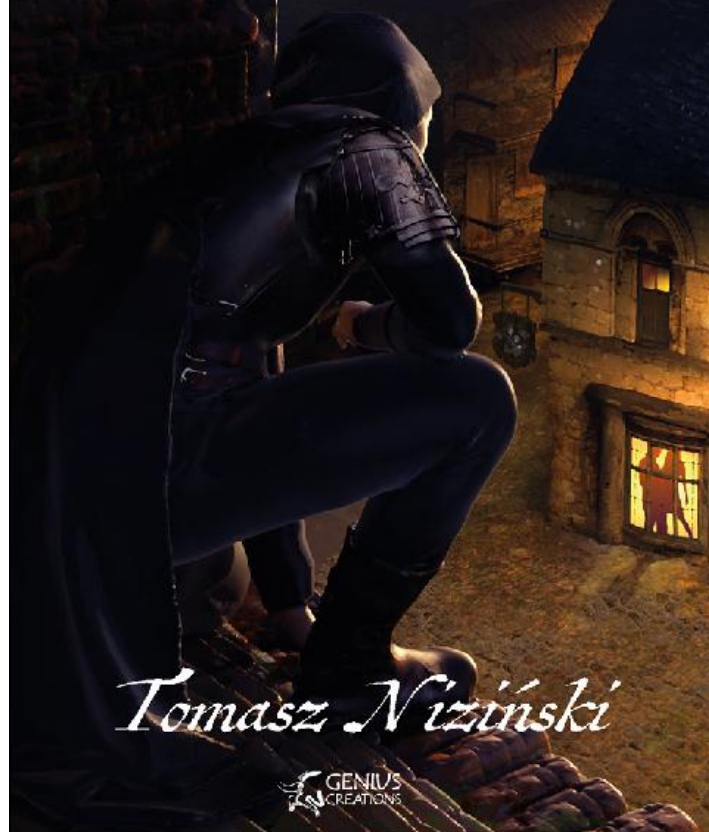


# *Taniec marionetek*

*Tomasz Niziński*

# *Taniec marionetek*



*Tomasz Niziński*

GENIUS  
CREATIONS

*Agacie,  
za konia z kopytami*

## *SPIS TREŚCI*

*Rozdział I 4*

*Rozdział II 52*

*Rozdział III 157*

*Rozdział IV 216*

*Rozdział V 283*

*Rozdział VI 325*

## ROZDZIAŁ I

Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Żadnego wytłumaczenia dla mojego postępowania, żadnej racjonalizacji. Znacie przecież te opowieści, słyszeliście je już tyle razy, w różnych wariantach... Skrytobójca, ukształtowany przez dorastanie na ulicy i drobne kradzieże dokonywane, by przetrwać. Pozbawiony skrupułów cyniczny polityk, który za młodu był świadkiem śmierci swego ojca z rąk najeźdźców. Trucicielka, wepchnięta w dzieciństwie na złą drogę przez pożar, w którym zginęli jej bliscy. Brzmi znajomo, prawda? Tragedie z przeszłości potrafią być bardzo użyteczne.

W mojej biografii nie ma niczego takiego. Żadnej traumy, która skierowała mnie na złą drogę i usprawiedliwiałaby choć do pewnego stopnia moje uczynki. Moja rodzina nie była ani bogata, ani biedna i z tego, co wiem, nadal ma się dobrze, a moja młodość nie została zakłócona żadnym drastycznym zdarzeniem. Właściwie uważam to za powód do dumy, że stoczyłem się całkowicie dobrowolnie. Nie zostałem wepchnięty na tę drogę, lecz wybrałem ją sam. Po prostu pewnego słonecznego dnia postanowiłem porzucić moje komfortowe, praworządne życie i wszystko spierdolić. Jest to w pewien sposób piękne, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Prawdziwie triumfalne zwycięstwo wolnej woli nad społecznym determinizmem.

Pewien bard powiedział mi kiedyś, że w każdej opowieści musi być jakiś czarny charakter i jeśli w mojej historii nikogo takiego nie ma, to znaczy, że tym czarnym charakterem jestem ja. Moje spojrzenie na świat jest nieco prostsze: na naszej ścieżce spotykamy tylko dwa rodzaje ludzi. Takich, których możemy zepchnąć z drogi, i takich, których musimy ominąć. I choć czasem lubię myśleć o sobie jak o wielkim złym wilku tej opowieści, to w gruncie rzeczy nie zasłużyłem na takie wyróżnienie. W kwestii zaś mojej

moralności... Czy można winić pionka za to, że przyszło mu grać po stronie czarnych?

Historie wielu z tych, którzy zarabiają bądź zarabiali na życie mieczem, zaczynają się od jakiegoś banału w rodzaju „opuścił dom rodzinny w poszukiwaniu przygody”. Nie znoszę słowa „przygoda”. Przepętnia je naiwność cechująca bajki dla dzieci oraz heroiczne eposy opowiadane przez bajarzy w blasku domowego ogniska. Zwodzą nas one mirażem dalekich podróży, wspaniałych widoków i ekscytujących doznań. Pomijają natomiast całkowicie rzyganie za burtę podczas sztormu, paskudne żarcie powodujące krwawą sraczkę, ropiejące rany i łapiący za gardło strach, który obcy jest tylko głupcom. Za każdą chwalebłą raną odniesioną w bitwie chowa się gangrena, za każdą pełną pasji nocą choroba weneryczna, a przed każdym ekscytującym doznaniem trzeba przetrwać dnie, jeśli nie tygodnie, nerwowego oczekiwania.

Większość poszukiwaczy przygód to ludzie, którzy nigdy żadnej przygody nie znaleźli, a jeśli któremuś z tych egzaltowanych kretynów zdarzy się ją znaleźć, to szybko się przekonują, że pisali się na coś zupełnie innego. Wtedy oczywiście jest już za późno. Wyrażenie „poszukiwacz przygód” powinno się odnosić właściwie tylko do żółtodziobów, ci bowiem, którzy mają już za sobą tę wątpliwą przyjemność, dostali nauczkę i nowych doświadczeń już nie poszukują, chyba że nie mają absolutnie żadnej innej alternatywy. Takich ludzi, zrezygnowanych i wypalonych, nazywamy weteranami.

Jeśli po tym wstępie obawiacie się, że moja historia będzie nudną opowieścią człowieka, który zawsze dokonywał mądrych wyborów i przeżył długie, spokojne życie w dostatku i bezpieczeństwie, to pozwólcie, że was uspokoję. Cała moja mądrość jest mądrością po szkodzie i pomimo mojej obecnej, starczo-belferskiej pozy możecie mi wierzyć, że gdy podejmowałem decyzje, które skierowały mnie na taką, a nie inną ścieżkę, byłem kompletnym kretynem, któremu absolutnie nie powinno się



powierzać jakiegokolwiek odpowiedzialności. Ponieważ zaś wszyscy lubią słuchać opowieści o ludziach głupszych od siebie, myślę, że moja historia przypadnie wam do gustu.

Powszechnie na świecie obowiązuje przekonanie, że wojownicy dzielą się na zwycięzców i przegranych. Jest to oczywiście kompletna bzdura. Prawda jest taka, że wojownicy dzielą się na żywych i martwych. Nieważne, jak dobry jesteś w swojej robocie i jak dużego masz farta, nie jest po prostu możliwe, żebyś w każdej bitwie znalazł się po stronie zwycięzców. Prędzej czy później armia, w której walczysz, dostanie baty i zostanie podzielona na tych, którzy zdążą spieprzyć z pola bitwy na własnych nogach, i na tych, którzy zostaną na tym polu na zawsze. Człowiek w tym zawodzie szybko uczy się, że nie chodzi o wygraną bitwę, lecz o uratowanie swojej dupy niezależnie od wyniku starcia. To, że jeszcze chodzę po tym świecie, zawdzięczam szczególnym talentom w tym zakresie. Ja i mnie podobni nie jesteśmy bohaterami ani poszukiwaczami przygód, jesteśmy profesjonalnymi przeżywaczami nieszczęść.

Nazywam się Isevdrir Norgaard i moje karkołomnie brzmiące imię zdradza pochodzenie z północy regionu, który wy w swej kontynentalnej arogancji nazywacie Drugim Brzegiem. Już jako wyrostek zacząłem jeździć z kupieckimi karawanami, ale jeden wystrzelony przeze mnie bełt, który trafił niewłaściwego człowieka, wystarczył, żebym znalazł się w chaszczach, uciekając przed prawem i grasując na gościńcach. Potem byłem kolejno żołnierzem, dezenterem i najemnikiem wieszającym dezenterów wzdłuż traktów. Nie sądzę, żeby ten wczesny, młodzieńczy okres mojej kariery był dla was szczególnie interesujący i właściwie można go bez większych strat dla niniejszej opowieści sprowadzić do kilku brzydkich blizn, sakiewki pełnej monet różnego pochodzenia i jednej bardzo nieprzyjemnej choroby wenerycznej. W każdym razie droga, jaką przeszedłem przez te pierwsze dziesięć lat, doprowadziła mnie do punktu, w którym służyłem jako porucznik w najemnym Siódmym Regimencie, stacjonującym w paskudnym

mieście zwanym Dhurceath. Miasto to cechowało się nieprzyjemną pogodą i jeszcze bardziej nieprzyjemnymi mieszkańcami. Geograficznie rzecz biorąc, znajdowaliśmy się w czarnej dupie.

„Dhurceath” brzmi bardziej jak ostatnie słowa człowieka dławiącego się kością kurczaka niż jak nazwa dosyć dużego miasta. A jednak ten dźwięk dobrze oddawał charakter mowy mieszkańców, składającej się właśnie z takich charknięć i chrząknięć. Dzięki wrodzonemu talentowi do języków dość szybko opanowałem tę gardłowo-gulgoczącą mowę, ale większość moich braci z Siódmego Regimentu uparcie odmawiała nauczania się nawet podstawowych słów, posługując się urzędowym językiem erejskim, co nie podobało się zbyt miejscowym. Nie żeby to miało dla nas jakieś znaczenie. Tubylcy nienawidziliby nas tak czy inaczej, więc właściwie nie mogliśmy już bardziej pogorszyć sytuacji, nieważne, jak otwarcie demonstrowaliśmy pogardę dla ich języka i kultury.

Dhurceath to największe miasto i stolica regionu Caellarh, granicznej prowincji królestwa Erei. Zanim trafiłem tutaj, spędziłem trochę czasu w wysoko rozwiniętych miastach handlowych na wybrzeżu, w których drogi są szerokie i brukowane, ruch wozów i zaprzęgów ściśle regulowany przez powszechnie wyznawane zasady przyzwoitości, a pomyje są wylewane tylko w przeznaczonych do tego miejscach, wyłącznie o ustalonych przez rady miejskie porach. W Dhurceath natomiast stosunek do pomyj jest znacznie bardziej liberalny, co znaczy, że wylewa się je gdziekolwiek i kiedykolwiek. Prawo pierwszeństwa interpretuje się wyłącznie w kategoriach szybkości i siły fizycznej. A co do brukowanych dróg... Tylko raz zdarzyło mi się w tym mieście zobaczyć kawałek bruku na drodze, a znalazł się on tam krótko po odbiciu się od głowy strażnika miejskiego, celnie rzucony przez jakiegoś obdartego wyrostka. Szczytem możliwości Dhurceath w zakresie infrastruktury drogowej są, jak sądzę, dwie deski przerzucone przez kałużę.

Klimat w regionie Caellarh określiłbym jako umiarkowanie gówniany. Słońce pojawia się rzadko, a przez większość czasu panuje zimna, wietrzna i



deszczowa pogoda, zachęcająca przede wszystkim do przesiadywania w knajpach i burdelach. Niestety takie formy odpoczynku rzadko były nam dane, gdyż wrogie nastawienie miejscowych zmuszało nas do ciągłego oglądania się za siebie z obawy przed ciosem nożem w plecy. Prawa gościnności z reguły nas nie obowiązywały, a splunięcie pod nogi lub belt wystrzelony zza węgła stanowiły standardową formę powitania. Niechęć tubylców, zresztą w pełni odwzajemniona, nie była jednak w najmniejszym stopniu nieuzasadniona.

Widzicie, my – to znaczy Siódmy Regiment – byliśmy na służbie królestwa Erei, które wieki temu podbiło dotąd suwerenne Caellarh i od tego czasu okupowało region, tłumiąc krwawo co kilkanaście lat kolejne powstania wywołane przez domagających się niepodległości tubylców. Zresztą, wcześniejsza historia stosunków Caellarh i Erei też nie miała zbyt wiele cech pokojowej koegzystencji, ich relacje bowiem przybierały właściwie tylko dwie, naprzemiennie następujące postaci: wojny i przygotowań do wojny... Różnice językowe, kulturowe i ustrojowe między krajami napędzały konflikt, a pożary na granicy nigdy nie gasły. Kasta wojowników, zwana czasami Kręgiem, która przed erejskim podbojem władała Caellarh, nieustannie rzucała wyzwanie królestwu. Biorąc pod uwagę dramatyczną różnicę w rozmiarze terytorium i liczebności populacji, przypominało to mysz rzucającą wyzwanie kotu. Z tym, że w tej metaforze kot ma do dyspozycji, oprócz pazurów i zębów, również bogate złoża surowców, zaawansowaną technikę obróbki metali i rozbudowane zaplecze logistyczne, pozwalające na prowadzenie długich kampanii na wrogim terenie.

Jeśli istniał ktoś, kogo mieszkańcy Caellarh nienawidzili bardziej niż żołnierzy z Erei, to były to jednostki najemne na żołdzie królestwa. Dlatego też gdy żołnierz Siódmego Regimentu wychodził na miasto, to tylko w pełnym rynsztunku, z kilkoma uzbrojonymi kolegami dla towarzystwa, i gdziekolwiek by się nie znajdował, zawsze siadał blisko drzwi, plecami do

ściany. Oficerowie pytani o nastroje w swoich oddziałach często używali wówczas określenia „niskie morale”. Zapytani o to samo żołnierze stosowali nieco inne wyrażenia, ale prawie wszystkie zawierały słowo „kurwica” w takiej lub innej formie. Tym niemniej pierwsze osiem miesięcy naszej służby w Dhurceath minęło stosunkowo spokojnie, choć niezbyt przyjemnie. Potem jednak, pewnego typowego dla Caellarh, brzydkiego i wietrznego dnia, zaczęły się kłopoty. A wszystko przez to, że Ifryt był takim skurwysynem.

\*\*\*

– To nie jest tak, że życzę Ifrytowi źle – wyjaśniał cierpliwie Liczydło. – Mówię tylko, że czasami, gdy nie mogę spać, wyobrażam sobie ponurą, odzianą w czerń postać, pozbawiającą bardzo powoli, ale starannie Ifryta kolejnych członków, utrzymując go zarazem w pełni przytomności umysłu.

– Rozumiem – odrzekłem, kiwając potakująco głową. – Nie chciałbym wyciągać pochopnych wniosków, ale mam powody przypuszczać, że nie lubisz go zbytnio.

– A tam, zaraz nie lubię – oburzył się kwatermistrz. – Twierdzą jedynie, że gdyby zszedł z tego świata, to codziennie chodziłbym na cmentarz tylko po to, żeby zatańczyć na jego grobie. Czy to od razu musi oznaczać, że go nie lubię?

– Masz rację. niesprawiedliwie cię oceniłem. Widziałem wielokrotnie, jak tańczysz na grobach ludzi zupełnie ci obojętnych, a nawet darzonych przez ciebie sympatią.

– Święta prawda. – Liczydło uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie. – Co nie zmienia faktu, że Ifryt to dupek.

Ponownie skinąłem głową, przyznając mu rację, i pograżyliśmy się w milczeniu, kontemplując rozciągający się przed nami widok. Siedzieliśmy na dachu opuszczonej rezydencji Maldolonich przy ulicy Rzeczej. Ponieważ odwiedzanie miejsc publicznych wiązało się z dużym ryzykiem zadźgania przez buntowników, płaski i rozległy dach tej wysokiej budowli stał się

ulubionym miejscem wypoczynku oficerów Siódmego Regimentu. Mogliśmy stąd ogarnąć wzrokiem całą panoramę miasta: skupiające się wokół masywnej bryły Cytadeli wysokie, brukowane gmachy należące do magnatów i najbogatszych kupców, dalej niższe i mniej imponujące fasady domów rzemieślników i pomniejszych handlarzy, aż po czerniejące na horyzoncie morze ciemnych, przygniecionych do ziemi własnym ciężarem drewnianych szop, w których mieszkała biedota. Budynek, na szczycie którego się znajdowaliśmy, był jednym z najwyższych w mieście, ustępując tylko miejskiej rezydencji rodu van Dorren i smukłej, strzelistej Cytadeli, dzięki czemu mogliśmy z góry spoglądać na tworzące miasto pierścienie coraz niższych obiektów, niczym ze szczytu piramidy.

Rezydencja Maldolonich oczywiście nie została opuszczona dobrowolnie przez poprzednich mieszkańców, wymagało to pewnej dozy perswazji z naszej strony. Widzicie, kiedy po raz pierwszy przybyliśmy do miasta, hrabia de Verde, dowódca garnizonu, ulokował nasz regiment w Starych Koszarach, rozpadającym się budynku koło Dużego Targu. Wytrzymał tam tylko miesiąc, bo któregoś razu, przy okazji regularnie wybuchających w Dhurceath zamieszek, buntownicy podpalili magazyn znajdujący się koło Starych Koszar i pożar bardzo szybko przeniósł się na nasz budynek. Oczywiście sytuacja została szybko opanowana, ale Stare Koszary były na tyle zniszczone, że de Verde po prostu spisał je na straty. Hrabia rozwiązał problem zakwaterowania Siódmego Regimentu w typowy dla siebie sposób – depcząc godność okupowanej ludności. Rozkazał nam pomaszerować na ulicę Rzeczną, zająć znajdujący się tam klasztor, a wszystkich mnichów wyrzucić na bruk. Działo się to świeżo po stłumieniu zamieszek, więc rzecz jasna nie było żadnego oporu, bo wszyscy mieszkańcy skłonni do protestów przeciwko władzy przebywali już albo w więzieniach, albo kilka stóp pod powierzchnią świeżo rozkopanej ziemi.

Szybko okazało się, że zamieszki i pożar Starych Koszar wyszły nam na dobre. Dach naszej dawnej kwatery miał więcej dziur niż dachówek,

piwnice były plantacjami grzybów, a wszechobecna wilgoć czyniła mieszkanie tam kompletnie nieznośnym. Klasztor natomiast oferował całkiem wygodne warunki, a mnisi zostawili po sobie pełną spiżarnię. Poza tym, ponieważ znajdował się w samym centrum gęsto zabudowanej okolicy, musieliśmy stworzyć wokół niego strefę bezpieczeństwa, co polegało na wysiedleniu wszystkich mieszkańców sąsiednich budynków i obsadzeniu ich naszymi strażnikami. Wkrótce przyjęło się traktować je nie tylko jako posterunki, ale też miejsca do rekreacji, a najokazalszy i najwyższy z nich, czyli rezydencja Maldolinich, stał się wyłączną domeną korpusu oficerskiego.

O tym właśnie rozmyślałem, gdy siedzieliśmy sobie na dachu z Liczydłem, korzystając z jednej rzadkich chwil, kiedy deszcz dawał chwilę wytchnienia przemoczonemu miastu. Z zamyślenia wyrwał mnie jakiś hałas i zdałem sobie sprawę, że słyszę zbliżające się kroki. Po chwili kłapa w podłodze uniosła się i naszym oczom ukazała się paskudna gęba Szalonego Yorlana. Powszechnie obowiązująca w regimencie teoria głosi, że urodził się on jako bardzo przystojny mężczyzna, ale zamiłowanie do materiałów wybuchowych szybko pozbawiło go urody. Jego twarz była pokryta bliznami i śladami po oparzeniach, a włosy mocno przerzedziły się z upływem czasu i kolorem przypominały wypłowiałą trawę.

Pokonał kilka ostatnich stopni i gdy wyszedł na dach, okazało się, że w rękach trzyma skrzynię pełną pomidorów. Powinienem w tym miejscu podkreślić, że przydomek „Szalony Yorlan” był w jego przypadku w pełni zasłużony; otrzymał go nie ze względu na kilka oderwanych od siebie incydentów, ale za całokształt twórczości i lata zachowań wykraczających zupełnie poza wszelkie normy społeczne. Dlatego też, gdy Szalony Yorlan zjawił się na dachu skonfiskowanej rezydencji kupieckiej ze skrzynią pełną pomidorów, od razu przyjęliśmy ten fakt jako całkowicie naturalny. Musiało, co prawda, minąć kilka lat, zanim nasze dowództwo ostatecznie porzuciło wszelką nadzieję, że możliwe jest narzucenie mu choćby

minimalnej dyscypliny, ale obecnie udało się wypracować kompromis, który dawał Yorlanowi wolną rękę do działania, o ile nie przynosił bezpośredniej szkody regimentowi. W ten sposób został właściwie zwolniony ze wszystkich zwyczajowych zasad i obowiązków, przez co musieliśmy przyjąć specjalnie dla niego stworzoną klasyfikację zachowań, składającą się z trzech kategorii. Pierwsza obejmowała szaleństwa niegroźne, druga – szkodliwe tylko dla Yorlana, a trzecia – szaleństwa ryzykowne dla niego i wszystkich w promieniu stu metrów.

Problem polegał na tym, że oprócz bycia pełnoetatowym wariatem, Yorlan był również genialnym alchemikiem, co czyniło go najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie. W kategorii trzeciej nie było ani grosza przesady. Nikt w regimentcie nie zapomniał oblężenia Tureanu, które pomimo miazdzącej przewagi po naszej stronie i wielokrotnych szturmów ciągnęło się niemiłosiernie przez siedem miesięcy, a zakończyło zupełnie przypadkowo, gdy Yorlan uznał, że materiały wybuchowe są świetnym sposobem na poradzenie sobie z plagą gołębi. Kiedy miasto upadło, markiz de la Motre, pod którym wówczas służyliśmy, przyznał naszemu alchemikowi medal za szczególne zasługi, a ten był święcie przekonany, że został wyróżniony za uwolnienie nas od tych nieznośnych ptaszysk, a nie za stworzenie kilkudziesięciometrowej wyrwy w murach miejskich, która pozwoliła na przeprowadzenie szturm.

Szalony Yorlan oczywiście nie wytłumaczył, dlaczego pojawił się na dachu budynku ze skrzynią pomidorów w rękach. Tłumaczenie czegokolwiek nie było w jego zwyczaju. Stał więc sobie po prostu, czekając, aż któryś z nas wreszcie się złamie i zapyta, po co mu te pomidory.

- Po co ci te pomidory, Yorlan? – zapytałem.
- Kupiłem je na targu – odpowiedział niewinnie.
- Nie o to pytałem. Po co ci te pomidory?
- Były całkiem tanie.
- Ale czemu je kupiłeś? – wtrącił się Liczydło, który też uległ ciekawości.

– A co innego miałem zrobić? Kupić gruszki? – obruszył się Szalony Yorlan. – Nie jestem przecież żadnym zboczeńcem.

– Co jest nie tak z gruszkami?

– Gruszki to perwersja natury. Wszyscy to wiedzą.

Poddaliśmy się. Czasami najlepiej po prostu wziąć go na przeczekanie. Cierpliwość nie jest jego mocną stroną. Nawiasem mówiąc, Yorlan nie ma wielu mocnych stron.

– No dobra, powiem wam. – Alchemik pękł niemal natychmiast. – Widzicie ten budynek naprzeciwko? To zaimprovizowany posterunek Straży Miejskiej.

– Co ty nie powiesz? – prychnął Liczydło. – A ja myślałem, że ta kamienica jest obwieszona chorągwiami Straży, bo jej mieszkańcy są wielkimi zwolennikami porządku publicznego. A tak w ogóle to...

– Nie przerywaj – przerwał mu Yorlan. – Posterunek ma komendanta, a komendant ma pokój na najwyższym piętrze. Biurko, przy którym pracuje, znajduje się przy oknie wychodzącym na budynek, w którym obecnie przebywamy. Zamierzam trafić w to okno.

Liczydło i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Podzieliś się pomidorami?

– Nie zostawisz nas chyba na lodzie, prawda?

Szalony Yorlan nie był typem człowieka, który odmawia bliźnim przyjemności rzucania pomidorami w przedstawicieli lokalnej władzy, i po krótkim czasie ściana posterunku zaczerwieniła się od miąższu spływającego po elewacji. Odległość była spora, a nasza celność pozostawiała wiele do życzenia, więc większość warzywnych pocisków rozbiła się o ścianę budynku, ale kilkakrotnie udało nam się trafić w okno. Niestety, wewnątrz było na tyle ciemno, że nie mogliśmy dostrzec efektów naszej kanonady, lecz wściekłe wrzaski i przekleństwa dochodzące ze środka przekonały nas o skuteczności obranej strategii.

Ostrzał przerwało pojawienie się Ouangi, niskiego, czarnoskórego porucznika kompanii C, który wyłonił się z otworu w dachu za naszymi plecami.

– Kilku strażników miejskich zgłosiło się do mnie ze skargą, że rzucacie pomidorami w ich posterunek – powiedział Ouanga, przyglądając się z zainteresowaniem efektom naszej ofensywy. – Więc przybiegłem czym prędzej, żeby się przyłączyć. Zostały wam jeszcze jakieś pomidory?

– Jasne, łap. – Liczydło podał mu szczególnie rośły okaz.

– A przy okazji... – dodał porucznik, posyłając pomidora w kierunku budynku Straży – Isevdrir, Nika chce cię zobaczyć.

– Cholera. Jak bardzo? „Zajrzyj do mnie, jak będziesz miał chwilę” czy „Lepiej dla twojej dupy, żebyś nie kazał mi czekać”?

– Ma to jakiś związek z Ifrytem, więc druga opcja. – Ouanga uśmiechnął się promiennie, gdy kolejny rzucony przez niego pomidor trafił prosto w otwarte okno.

Zakląłem ponownie i zacząłem się zbierać. Gdy schodziłem po schodach, usłyszałem jeszcze głos Liczydła:

– Uważam, że Ifryt sprawia bardzo przyjemne wrażenie, jeśli przymknąć oko na fakt, że jest kompletnym skurwielem.

\*\*\*

Tak, tak, wiem, że chcecie usłyszeć coś więcej na temat Ifryta, ale wszystko po kolei. Zaraz do niego dojdę, najpierw jednak muszę wam opowiedzieć o Głąbie. Naprawdę nazywał się Gianfranco Lazzala i był przerośniętym sierżantem Ósmego Pułku Kawalerii w erejskiej armii, a jego ogromna głowa skrywała potencjał intelektualny rozgotowanego kalafiora. Rzecz jasna, nie wiedział, że wszyscy wołają na niego Głęb. Nie wiem, czy już o tym wspominałem, ale Lazzala był bardzo wysoki i bardzo głupi. Takich ludzi lepiej obrażać szeptem i za ich plecami. Ewentualnie w pamiętnikach spisywanych długo po fakcie.



Jak to się stało, że łamacz końskich grzbietów trafił do kawalerii i jakim cudem udało mu się tam utrzymać, nie jestem w stanie wyjaśnić. Nigdy nie widziałem Głaba na koniu i ciężko mi wyobrazić sobie zwierzę odpowiednio duże, by unieść jego ciężar. Nie słyszałem również, żeby ktokolwiek w armii kiedykolwiek widział go jadącego wierzchem. Po zastanowieniu pomyślałem, że słyszałem tylko jedną historię, w której Lazzala miał cokolwiek do czynienia z końmi. Według tej opowieści, przekazanej mi przez dość wątpliwe źródło, jakim był pijany koniuszy z armijnej stajni, Głab był jedynym człowiekiem, któremu zdarzyło się kopać z koniem i wygrać. Jest to prawie na pewno kompletna bzdura, ale wierzcie mi, gdybyście kiedyś zobaczyli sierżanta na własne oczy, zrozumielibyście, że nie jest to całkowicie nieprawdopodobne. W każdym razie, niezależnie od tego, czy podróżował konno, czy pieszo, robił to cholernie szybko. Jeśli gdzieś w prowincji była morda do obicia, nieposłuszna wieś do spalenia czy buntownicze mienie do skonfiskowania, Lazzala był zawsze pierwszy na miejscu. Matki w Caellarh straszyły nim swoje dzieci, a erejscy oficerowie stawiali go za wzór swoim żołnierzom.

Opowiadam wam o nim dlatego, że gdy zszedłem z dachu i opuściłem rezydencję Maldolinich, zobaczyłem przed wejściem do budynku małe zbiegowisko, z którego można było na pierwszy rzut oka wyodrębnić trzy grupy. Pierwszą tworzyło kilku wściekłych strażników miejskich, którzy głośno domagali się zaprzestania naszego warzywnego bombardowania. Druga składała się z trójki wartowników z Siódmego Regimentu, biernie, ale zdecydowanie powstrzymujących rozgorączkowanych strażników przed zrobieniem czegoś głupiego. Trzecią i największą, choć jednoosobową grupę, stanowił sam Głab.

Gdy tylko ukazałem się w drzwiach rezydencji, strażnicy, trafnie identyfikując mnie jako źródło wszelkiego zła, skierowali na mnie swoją złość, wrzeszcząc coś niezrozumiale. Głab najwyraźniej też miał mi coś do powiedzenia.

– Norgaard! – ryknął, zagłuszając jęczenie strażników. – Cho tu, sprawę mam.

Czy wspomniałem, że Głęb był sierżantem, a ja porucznikiem? Oczywiście służyliśmy w innych jednostkach, ale mimo wszystko taki ton był niedopuszczalny. Lazzala nie był jednak tylko sierżantem. Był również Głębem, a ten stopień w nieformalnej hierarchii przewyższał większość oficerów.

– Widzę, że długo na mnie czekałeś – odpowiedziałem spokojnie. – Więc udzielę ci audiencji.

Głęb zrobił tę swoją na pół wściekłą, na pół zdziwioną minę, która zawsze pojawiała się na jego twarzy, gdy nie był do końca pewny, czy ktoś z niego drwi. Ignorując wrzeszczących strażników, podszedłem do niego bliżej.

– Jeśli znowu chodzi o manufakturę na Szerokiej... – zacząłem.

– O co? – zdziwił się Głęb i prawie mogłem dostrzec trybiki powoli obracające się pod jego czaszką. – Nie, nie chodzi. Macie kogoś, kto należy do mnie.

Jeden ze strażników najwyraźniej nie zamierzał uszanować prywatności naszej konwersacji i zbliżył się do nas, zamierzając chyba powiedzieć mi, co sądzi o naszym zachowaniu. Głęb, któremu mówienie nie przychodziło łatwo, nie lubił, gdy ktoś mu to jeszcze bardziej utrudniał i dekoncentrował go poruszaniem się w jego polu widzenia. Odwrócił się do strażnika i wydał z siebie przeciągłe, ostrzegawcze warknięcie. Czysto zwierzęcy, atawistyczny charakter tego zachowania podziałał na tamtego skuteczniej niż jakiegokolwiek słowa czy odwołania do rangi wojskowej. Największy samiec w stadzie właśnie pokazał drugiemu osobnikowi, gdzie jego miejsce. Strażnik odwrócił się i odszedł na posterunek, nie oglądając się ani razu. Jego towarzysze zawahali się na moment, rozglądając wokół, jakby szacowali swoje siły, a potem poszli w ślady kolegi.

– Widzę, że darzysz Straż taką samą sympatią jak ja – zwróciłem się do Głaba swobodnym tonem.

– Wszyscy strażnicy to cipy – odparł elokwentnie.

Powiniem w tym miejscu uświadomić was, że strażnik, który wcześniej uciekł w popłochu, był ode mnie jakieś pół głowy wyższy, co znaczy, że ja sam w porównaniu z Głabem wyglądałem na karła i nie czułem się ani trochę swobodnie w jego towarzystwie. Rzecz jasna, nie zamierzałem tego dać po sobie poznać, choć wątpię, żeby Lazzala nabrał na moją fałszywą pewność siebie.

– W czym mogę ci pomóc, przyjacielu? – spytałem, spoglądając wszędzie, tylko nie na Głaba. Żeby patrzeć mu w oczy, musiałbym stale zadzierać głowę do góry jak kretyn, a to pozbawiłoby mnie resztek godności.

– Rothar. Chcę jego głowy.

– Wiem o tym od miesiąca. A ty przez ten cały czas wiesz, że jest nam potrzebny.

– Niepotrzebny. Powiedział, co wie. Chcę go.

– Bynajmniej, wielu mieszkańców nadal ufa Rotharowi i powierza mu wiele cennych informacji. Twoja nienawiść do niego gra w tym sporą rolę. Bardzo się napracowałeś, informując wszystkich, którzy chcieli słuchać, że marzysz o tym, żeby go zabić, i teraz ludziom trudno uwierzyć, że Rothar mógłby być naszym informatorem. Właściwie to powiniem ci podziękować, twoje groźby pod jego adresem znacznie wydłużyły jego użyteczność.

– Dajcie mi go albo sam wezmę.

– Uważam to za mało prawdopodobne. Twój dowódca wie, że ty wiesz, że Rothar jest pod naszą ochroną. Obiecuję ci jednak, że jak tylko przestanie być nam przydatny, podamy ci go na tacy i będziesz mógł z nim zrobić, co zechcesz.

– Nie. Lubię. Czekać.

– Nietrudno mi w to uwierzyć. Ale nie dostaniesz Rothara, dopóki z nim nie skończymy.

Głęb zawarczał znowu, ale już jakoś bez przekonania. Potem wzruszył ramionami, łypnął jeszcze na mnie złowrogo i oddalił się bez pożegnania. Zwróciłem się w stronę wartowników, którzy przez cały ten czas stali niewzruszenie, pilnując wejścia do rezydencji. Miałem zamiar zadać im parę pytań, ale po rzuceniu okiem na ich twarze zmieniłem zdanie. Te chłopaki nie pałały do mnie w tej chwili zbyt dużą sympatią. Oficerowie zabawiali się na górze w rzucanie pomidorami, a oni musieli brać na siebie wściekłych strażników.

Poczułem się trochę zawstydzony swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem, ale nie miałem wątpliwości, że gdybym trzymał jakiegoś pomidora w ręku, rzuciłbym nim w posterunek. Ponieważ jednak wyczerpałem już przydzielony zapas warzywnych pocisków, nie pozostało mi nic innego, jak udać się na spotkanie z Niką. Szedłem lekkim krokiem, czując się świetnie w nowych butach, które parę dni temu wygrałem w karty od Hieny. Fakt, że bezczelnie oszukiwałem podczas gry, w jakiś sposób sprawiał, że mój nowy nabytek był jeszcze bardziej wygodny.

Po drodze zastanawiałem się nad naszą skomplikowaną relacją ze Strażą Miejską. Z pozoru mogłoby się wydawać, że Straż, Siódmy Regiment i armia erejska tworzą jeden front, ale oczywiście było to złudzenie. W rzeczywistości podział przebiegał na utartej linii miejscowi–obcy, czy dokładniej: okupowani–okupujący. Nasz pułk i armia erejska, jako jednostki złożone z ludzi pochodzących spoza regionu Caellarh, stanowiły ciało obce, siły okupacyjne. Straż Miejska natomiast, choć pozostawała pod kontrolą gubernatora i współpracowała z okupantem, składała się właściwie wyłącznie z miejscowych, a jej kadra oficerska tradycyjnie wywodziła się z bogatych rodzin mieszczańskich Dhuirceath, które stanowiły serce i portfel ruchu oporu. Wojska królewskie werbowwały rzecz jasna w rodzinnej Erei, a jeśli prowadzono jakiś zaciąg w Caellarh, to takich rekrutów wysyłano na

przeciwległy kraniec królestwa, żeby oddalić ich od pokusy przyłączenia się do rebelii.

W każdym razie zarówno w pałacu gubernatorskim, jak i w Cytadeli, w której mieścił się sztab generalny hrabiego de Verde, zdawano sobie doskonale sprawę, że Straż Miejska stanowiła liczną, dobrze zorganizowaną i uzbrojoną jednostkę, która w razie wybuchu powstania bez wahania zwróci się przeciwko erejskiej administracji. Dlaczego więc nie rozpędzono Straży na cztery wiatry? Z powodów politycznych oczywiście. Od dłuższego czasu pałac gubernatorski sprawował łagodne rządy i nawet oferował miejscowym ograniczoną autonomię. Kluczowym założeniem tej polityki było pozostawienie służb porządkowych w rękach tubylców. Miało to dwie oczywiste korzyści: miejscowi mniej się stawiali, jeśli aresztował ich krajan, a armia erejska nie musiała tracić czasu na łapanie drobnych złodziejasków i przepędzanie włóczęgów, co pozwalało im skupić się całkowicie na swoim prawdziwym powołaniu, czyli prześladowaniach politycznych. Wszyscy zyskują, prawda? A to, że w razie powstania Straż stanowiłaby spore niebezpieczeństwo dla królewskiej administracji? Nikt w pałacu gubernatora nie traktował poważnie możliwości wybuchu buntu, wierząc, że ustępstwa, na które się zgodzili, całkowicie zadowolą ludność. W Cytadeli natomiast patrzono na sprawę w nieco inny sposób. Hrabia uważał, że powszechna rebelia jest tylko kwestią czasu, i miał już opracowany scenariusz pacyfikacji Straży Miejskiej na wypadek wystąpienia jakichkolwiek sygnałów zagrożenia. De Verde zawsze zakładał najgorsze. Bardzo to u niego cenilem.

– Nika na ciebie czeka. – Wyrwał mnie z zadumy czyjś głos.

Uniosłem głowę. To był Winon, człowiek z mojej kompanii, któremu akurat wypadła warta przy bramie klasztornej. Zamyśliłem się tak głęboko, że kompletnie przestałem zwracać uwagę na otoczenie i nawet nie zauważyłem, jak dotarłem na miejsce. Niebezpieczne zachowanie. Teoretycznie przebywałem w niezagrożonej strefie, kontrolowanej przez

regiment, ale w ten sposób łatwo nabrać złych nawyków i ani się człowiek obejrzy, a dostaje nożem pod żebro, wracając do koszar z burdelu.

– Wiem – rzuciłem do Winona w odpowiedzi i przeszedłem przez bramę.

– Czekaj już dość długo! – Usłyszałem jeszcze za sobą. – Chyba nie jest z tego powodu zbyt zadowolona.

Nie zaszczyciłem go odpowiedzią. Szybkim krokiem pokonałem dziedziniec, na którym znudzeni żołnierze przygotowywali się do ćwiczeń, i wszedłem do budynku, kiwając głową na powitanie mijanym wartownikom. Nie miałem dalekiej drogi do przejścia. O ile nasz pułkownik urządził sobie gabinet w najtrudniej dostępnym miejscu w klasztorze – na samym szczycie południowej wieży, o tyle kapitan wolała być jak najbliżej codziennej krzątaczki i wybrała sobie na siedzibę komórkę przylegającą do głównej sali. W holu jak zwykle panował ruch, tworzony głównie przez zaopatrzeniowców Liczydła, uzupełniających zapasy naszej jednostki. Wymijając targających różne sprzęty żołnierzy, przeszedłem przez salę na ukos i wszedłem bez pukania do zajmowanego przez Nikę składzika.

Kapitan była przygotowana na moje przyjście, co oznacza, że miała już z wyprzedzeniem wyrysowany na twarzy grymas niezadowolenia. Siedziała odchylna na krześle, a nogi w wysokich butach do jazdy konnej położyła na biurku. Miała na sobie lekki pancerz, którego nigdy nie zdejmowała, a czarne włosy, które ostatni raz rozpuściła chyba jako dziesięciolatka, związała w koński ogon. Była drugą najważniejszą osobą w regimencie i prawą ręką pułkownika, a regularne opieprzanie mnie oraz innych oficerów należało do jej głównych zadań.

– Czy jest sens pytać cię o obrzucony pomidorami posterunek Straży? – zapytała, kiedy tylko przekroczyłem próg.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odpowiedziałem niewinnie. – Ale brzmi to jak początek świetnej historii, chętnie dowiem się więcej.

– Nie przeginaj, Is – warknęła Nika. – Mamy w tej chwili większe problemy, ale jeśli dalej będziesz taki cwany, to oberwiesz za te pomidory.

– Jakie pomidory?

– Wystarczy – ucięła twardo. – Masz robotę dziś w nocy. Mamy wreszcie miejsce pobytu alchemika Varaka.

– Kto go nam wystawił?

– Dobrze wiesz.

– Ifryt.

– Przestań się tak krzywić, Is. To dupek, ale użyteczny. W każdym razie dał nam lokalizację Varaka, dzięki czemu możemy się znaleźć bliżej Kręgu niż kiedykolwiek wcześniej.

– Gdzie?

– Opuszczony magazyn na ulicy Kołowej. Sztab de Verdego dostarczył nam plany budynku, piwnice magazynu łączą się z sąsiednim burdelem. Weźmiesz dziesięciu ludzi. Czterech zostaje na zewnątrz, przy wejściu do magazynu, reszta idzie z tobą przez piwnice. Nie muszę chyba mówić, że Varak ma dla nas wartość tylko żywy.

Otworzyłem usta, żeby skomentować plan Niki, ale natychmiast mi przerwała:

– Jeśli chcesz rzucić jakiś głupi komentarz na temat prowadzenia grupy uderzeniowej do burdelu, to lepiej się zastanów.

Zamknąłem usta i zrezygnowałem ze swojego komentarza.

– Coś jeszcze? – spytała.

– Jeśli mamy zgarnąć alchemika, to przydałby nam się ktoś, kto zna ich sztuczki i mógłby wykryć ewentualne pułapki, zanim w nie wdepniemy.

– Nie dostaniesz Yorlana.

– Zmniejszylibyśmy ryzyko strat...

– Nie ma szans – powtórzyła kapitan. – To ma być cicha i czysta akcja, a gdzie Yorlan, tam eksplozje. – Zwinęła rozłożony na biurku plan budynku



w rulon i podała mi go. – No już, idź zbierać swoich ludzi. Masz tylko kilka godzin na przygotowania.

Odprawy z Niką nigdy nie trwały długo. Oczekiwała od nas dużo samodzielności w myśleniu. Nie mogę powiedzieć, żeby ta metoda przynosiła jednoznacznie pozytywne rezultaty.

Wstałem i ruszyłem ku wyjściu.

– Jeszcze jedno, Is.

No tak, oczywiście.

– Żadnych błędów. Nie możemy sobie pozwolić na więcej strat własnych po masakrze w aptece Schlicka.

– Ta akcja była z góry spalona! Jak miałbym uniknąć strat, skoro cały budynek aż się roił od...

– Właśnie dlatego wysłałam cię tam osobiście, zamiast wybrać jakiegoś sierżanta, żeby grupą dowodził ktoś zdolny do myślenia.

– Skoro już mowa o Schlicku, to od kogo mieliśmy cynk, który nas tam wysłał? Od Ifryta. I teraz znowu pakujemy się...

– Ifryt i jego wątpliwa lojalność to mój problem. Skup się na tym, żeby wrócić tu z Varakiem i oddziałem w komplecie.

– Większość z nas sądzi, że Ifryt...

– I właśnie dlatego nie powierza się wam bardziej odpowiedzialnych zadań. No, na co jeszcze czekasz? Jeśli chcesz wyrazić jeszcze jakieś przemyślenia, to zacznij pisać pamiętnik.

\*\*\*

Po wyjściu z celi Niki zajrzałem do klasztornej kuchni, skąd zwędziłem kawał podejrzanie pachnącego sera, i wyszedłem na dziedziniec, gdzie wdrapałem się na daszek przybudówki. Stąd mogłem swobodnie obserwować manewry mojej kompanii, która wykonywała właśnie na placu jedno z bezsensownych ćwiczeń marszowych, które Nika wprowadziła, aby „żołnierze nie mieli czasu na głupoty”. Odbywały się one regularnie, ale osobiście prowadziłem je tylko raz, zanim wpadłem na pomysł, żeby zwalić

całą robotę na sierżantów. Oznaczało to niestety, że w tej chwili nic nie odrywało mej uwagi od powalającego zapachu mojego posiłku, który najwyraźniej trafił do kuchni za sprawą jakiegoś błyskotliwego kucharza, niezdolnego odróżnić sera pleśniowego (uważanego za lokalny przysmak) od spleśniałego. Zresztą ten pierwszy też uważam za paskudny – tylko w tej przeklętej krainie wiecznej wilgoci coś ze słowem „pleśń” w nazwie mogłoby zostać uznane za jadalne. Co nie przeszkadzało mi darzyć głębokim podziwem tego anonimowego geniusza, który pewnego dnia spojrzął na swój magazyn pełen zepsutego nabiału i pomyślał: „Na pewno jest jakiś sposób, żeby przekonać ludzi do kupienia tego paskudztwa”. Oparłem się więc wygodnie plecami o ścianę i wstrzymałem oddech, zjadając ser celowo w taki sposób, by ani razu na niego nie spojrzeć, i kontemplując trudne decyzje personalne, jakie stały przede mną.

Bądźcie łaskawi, drodzy czytelnicy, postawić się w mojej sytuacji. Usiądźcie ze mną na daszku tej rozpadającej się budy, przegryźcie kawałek sera, który o wiele za długo przeleżał w wilgotnej, mniszej piwnicy, zanim trafił do kuchni, i wyobraźcie sobie, że z paradującej przed wami bandy musicie wybrać dziesięciu ludzi, których zabierzecie ze sobą, by wykonać trudne i subtelne zadanie. Weźcie przy tym pod uwagę, że w tej hipotetycznej sytuacji dowodzicie kompanią E, która powinna liczyć stu żołnierzy, ale rzadko kiedy zdarza się wam mieć pod sobą jednostkę w pełnym składzie osobowym. W tej konkretnej chwili, siedząc na daszku i wstrzymując oddech, by uniknąć wymiotów spowodowanych zapachem sera, macie pod swoją komendą pięćdziesięciu ludzi, z czego trzydziestu jest godnych zaufania, dwudziestu w miarę kompetentnych, a trzech na tyle inteligentnych, by nie wymagać nieustannego nadzoru. Tych trzech to wasi sierżanci: Chi, Cefel i Zielony, którzy teraz biegają wzdłuż szeregu i doprowadzają do porządku co bardziej niesfornych żołnierzy. Zakładam, że jesteście osobami wysoce spostrzegawczymi, więc na pewno nie umknęło waszej uwadze, że przy każdym nowym manewrze Cefel i Zielony

spoglądają ukradkiem w stronę Chi i nie tyle wydają polecenia swoim pododdziałom, co powtarzają jej gesty i komendy. A kiedy widzicie, jak filigranowa sierżant celnym kopniakiem stawia do pionu dwumetrowego dryblasza, to już na pewno wiecie, bez kogo nie możecie się obejść.

Powinniście wiedzieć, że Chi urodziła się po drugiej stronie Gór Granicznych i była niską, skośnooką dziewczyną o zaskakująco mocnym głósie, która tak źle władała mieczem, że stanowiła większe zagrożenie dla siebie niż dla przeciwnika. Zarazem jednak cechowała się błyskotliwą inteligencją i z jakiegoś powodu cieszyła większym autorytetem wśród żołnierzy kompanii E niż ktokolwiek inny, włączając w to mnie. Innymi słowy, podobnie jak ja nadrabiała intelektem fizyczne niedostatki i jestem przekonany, że kiedy wreszcie moje wątpliwe decyzje doprowadzą mnie do grobu, Chi będzie świetnym dowódcą kompanii E.

Powstrzymajcie mdłości, drodzy czytelnicy, i przełknijcie kolejny kawałek sera, a potem zwróćcie uwagę na tego bladego chudzielca, który praktycznie zasypia na stojąco, pomimo całego zamieszania dziejącego się wokół. Nawet z tej odległości na pewno możecie zauważyć, że choć jego prawy rękaw jest podwinięty i odsłania regimentowy tatuaż, to lewa ręka jest zakryta czarną, idealnie dopasowaną rękawiczką. To Inacio Ferrente da Laves, czyli po prostu Ferre. Mogliście o nim słyszeć jako o legendarnym na całym Kontynencie szermierzu. Bynajmniej nie urodził się jako nieludzko szybki i niebezpieczny wojownik, lecz jako gnuśny i rozpieszczony arystokrata. Będąc nastolatkiem, podjął najlepszą decyzję w swoim życiu i sprzedał demonowi duszę w zamian za niebywałe umiejętności szermierskie. Jako zdeklarowany materialista Ferre uważał, że dusza to mit i wymysł naiwnej wyobraźni, więc z wielką chęcią przehandlował ją, by stać się niezrównanym szermierzem. W konsekwencji został naznaczony piętnem demona, przez co jego lewa ręka stała się trupio sina i wiecznie zimna. Ferre, zawsze praktyczny, zaczął od tamtej pory nieustannie nosić na niej skórzaną rękawiczkę i nadal był całkowicie usatysfakcjonowany dokonaną zamianą.

Inni członkowie regimentu, również niezbyt uduchowieni, całkowicie zgadzali się z jego rozumowaniem i powszechnie uważano podpisany przez niego cyrograf za najbardziej jednostronną transakcję w historii. Sam demon lubił okazjonalnie nawiedzać Ferrego, chichocząc złowieszczo z ciemności lub ni stąd, ni zowąd tubalnym głosem oświadczając: „Należysz do mnie!”, na co ten zwykł odpowiadać, pokazując mu figę lub jakiś inny, bardziej wulgarny gest. Na pewno się ze mną zgodzicie, kiedy powiem, że jakkolwiek nie czułem się uprawniony wydawać sądy na temat demonicznych powiązań mojego podwładnego, to na pewno nie zamierzałem pozwolić, by jego unikalne zdolności nie zostały odpowiednio wykorzystane.

Pamiętajcie również, uważni czytelnicy, że niedługo przyjdzie wam się wyprawić w środku nocy w miasto, którego mieszkańcy serdecznie was nienawidzą, a ostatnia taka akcja zakończyła się krwawą jatką w ciasnej przestrzeni, gdy zniecka napadła was nosząca zwierzęce maski banda fanatyków Kręgu. Biorąc pod uwagę te informacje, nie zdziwiłbym się, jeśli w tej chwili wasze oczy zogniskowały wzrok na dwóch największych postaciach w szeregu, Ugh i Gąbce. Ugh, wysoka na dwa metry i diabelnie silna czarnoskóra kobieta, stanowiła najbardziej niesamowitą kombinację czułej i litościwej osobowości oraz morderczego, zwierzęcego instynktu. Gąbka z kolei, jeszcze wyższy i szerszy od niej, wyposażony w takie atrybuty jak blond broda do pasa i wielki topór na plecach, bardziej przypominał pogańskiego boga ludów Północy niż zwykłego śmiertelnika. Gąbka naprawdę nazywał się Vashirkh Haejmoelth i jak nazwisko wskazuje, był oprócz mnie jedynym w regimencie przybyszem z krainy wiecznej zimy na północy Drugiego Brzegu. Z powodu mojego pochodzenia Gąbka przyznawał mi autorytet nawet wyższy niż Nice czy pułkownikowi. Wcześniej służył w kompanii C porucznika Ouangi, ale jako pierdolony rasista odmawiał wykonywania rozkazów czarnego dowódcy. Został więc przeniesiony do mojej kompanii E i w miarę możliwości powstrzymywał się

od okazywania pogardy wobec innych ras. Zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo zróżnicowana kulturowo była moja jednostka, obawiałem się, że prędzej czy później poleje się tu krew, ale jak dotąd udawało mi się utrzymać tę bandę w ryzach, choć właściwie to Chi należała się cała zasługa w tej kwestii. Kilka lat wcześniej, gdy awansowała na sierżanta i Gąbka dowiedział się, że ma jej podlegać, spędził parę dni, sarkając i skarżąc się wszystkim, że musi słuchać rozkazów przedstawicielki „słabej rasy”. Wkrótce potem kilku żołnierzy zobaczyło Gąbkę wychodzącego z kwatery sierżant ze łzami w oczach i od tego czasu był jej bezwzględnie posłuszny. W kompanii krąży wiele hipotez na temat tego, co się wtedy stało, niemal wszystkie zawierają jakieś odniesienie do sił nadprzyrodzonych.

Na sam koniec, z trudem przełykając ostatni kęs żółtozielonego posiłku, możecie się znaleźć przed następującym dylematem: „Czy cenniejsze są dla mnie wysokie umiejętności szermiercze czy raczej posiadanie choćby śladowych ilości zdrowego rozsądku?”. Jeśli uznaliście w tym przypadku zdrowy rozsądek za opcjonalny, to całkowicie się zgadzamy, bo po wybraniu jeszcze czterech solidnych i godnych zaufania ludzi dałem znać Chi, by sprowadziła również Hienę i Parcha, którzy pełnili właśnie karną wartość przy Gnojowisku, gdzie cały regiment załatwiał swoje potrzeby fizjologiczne. Ta dwójka pakowała się w kłopoty przy najprostszych zadaniach i nie potrafiła zachować zimnej krwi nawet podczas jedzenia drugiego śniadania, ale byli zarazem dwoma najlepszymi mieczami kompanii (pomijając Ferrego, który znajdował się w całkiem odrębnej kategorii). Jako ochroniarze mieli dość ambiwalentną wartość, bo stanowili dla swoich braci większe zagrożenie niż jakikolwiek wróg. Sięgali po broń pod każdym pretekstem i jak zaczęli siec, to nie potrafili przestać. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby przewidzieć, że przyczyną śmierci tych dwóch nie będzie starość, żołnierskie żarcie czy choroby zakaźne, lecz własna głupota. No dobra, może trochę przesadziłem. Statystycznie rzecz biorąc, można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że przynajmniej jeden z tych kretynów umrze z powodu

paskudnego zarcia, zanim da się zabić przez własną niekompetencję. Do tego czasu musiałem stale mieć ich na oku.

\*\*\*

– Ten cynk przyszedł od Ifryta, prawda? – spytała Chi. – Skąd możemy mieć pewność, że to nie pułapka?

Czyniłem akurat ostatnie przygotowania w mojej celi, gdy zajrzała do mnie sierżant. Była już w pełni gotowa do wymarszu, a w rękach trzymała lekką kuszę. Znała swoje mocne i słabe strony, więc nigdy nie podjęła poważnej próby opanowania walki wręcz, zamiast tego skupiając się na doskonaleniu umiejętności strzeleckich. Nosila oczywiście krótki miecz przy pasie, ale głównie na pokaz.

– Głupie pytanie – odpowiedziałem, dopasowując lekki pancerz, składający się z napierśnika i folg. – Oczywiście, że nie mamy pewności.

– Źle mnie zrozumiałeś – obruszyła się Chi. – Mamy wielu donosicieli, których słusznie darzymy ograniczonym zaufaniem. Ale o Ifrycie wiemy na pewno, że sprzedaje informacje jednocześnie obu stronom, a mimo to zawsze pchamy się tam, gdzie nas wyśle. W końcu musimy się sparzyć.

– Nika odpowiada za niego. Jak dotąd nas nie wystawił i zdaniem pani kapitan on doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli spróbuje to zrobić, to Siódmy Regiment powiesi go za jaja.

– Nie wierzę, że Ifryt jest zdolny do racjonalnej oceny swojej sytuacji. Gdyby faktycznie bał się skutków zadzierania z niebezpiecznymi ludźmi, to nie kolaborowałby jednocześnie ze wszystkimi stronami konfliktu. Wszyscy wiedzą, że to sprzedawczyk, i to tylko kwestia czasu, kiedy jedna ze stron wreszcie straci cierpliwość i go zlikwiduje. Ale Ifryt wydaje się nieświadomy, że jego zachowania mogą pociągnąć nieprzyjemne konsekwencje.

– Do czego zmierzasz? – spytałem z irytacją. – Chcesz mnie przekonać, że Dhurceath byłoby przyjemniejszym miastem, gdyby znaleziono tę gnidę w rynsztoku z podejrzanym gardłem? Jestem już po twojej stronie. Ale tu chodzi o Varaka. Nika pójdzie każdym tropem, który mógłby ją do niego

doprowadzić, nieważne, jakie jest źródło informacji. Poświęciłaby całą naszą kompanię, żeby dorwać kogoś, kto dałby jej dojście do Kręgu.

Chi zachnęła się, a potem niechętnie zmieniła temat.

– Rozumiem, że z góry rezygnujemy z anonimowości podczas tej akcji?

– Jakbyśmy się nie przebierali, biorąc Ugh i Gąbkę ze sobą, równie dobrze możemy śpiewać hymn regimentu, idąc ulicami. Nie ma szans, żeby ktokolwiek z miejscowych dał się nabrać, że jesteśmy swoi. Za to grupa najemnych żołnierzy wchodzących do burdelu nikogo nie zdziwi. A potem wyważamy drzwi, spuszcza my wpierdol i wywlekamy jeńca siłą z kryjówki.

– Subtelny plan. A podobno siła nigdy nie jest najlepszym rozwiązaniem.

– Ktokolwiek to powiedział, nie miał zbyt wiele siły.

– Ty to powiedziałaś, trzy dni temu.

– To by się zgadzało. Nie jestem specjalistą od rozwiązań siłowych – przyznałem, nieco skruszony. – Od tego mamy Ugh i Gąbkę.

Chi uśmiechnęła się ironicznie, bawiąc się naszymi oczami przedstawiającym coś w rodzaju oplątanego mackami oka.

– Co to jest? – spytałem, by zmienić temat.

– Symbol czegoś, w co już od dawna nie wierzę.

– Boga z twojej ojczyzny?

– Coś w tym rodzaju – zawahała się Chi. – Bóg to złe słowo. Po drugiej stronie Gór Granicznych nie wierzymy... oni nie wierzą w bogów w takim rozumieniu jak tutaj. Mają zupełnie inne pojęcie istoty boskiej niż wy. Nawet wyrażenie „istota boska” wprowadza w błąd. Wszystkie wasze religie uparcie nadają bogom ludzką postać. Niektórzy z nich od tej strony Gór wyznają bóstwa niewidzialne i niepoznawalne, a mimo to myślą o nich w ludzkich kategoriach, przypisują im intencje, plany i zachcianki. Ludzie po drugiej stronie Gór wierzą w coś mniej... jednostkowego.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz. W ogóle ci tego nie wyjaśniłam. Ten język nie ma odpowiednich pojęć. Nawet w moim ojczystym ciężko byłoby to wyrazić.



Zresztą... – zachnęła się i wsunęła naszyjnik pod koszulę. – Minęło za dużo czasu. Teraz ja sama już tego nie rozumiem.

Z tym akurat mogłem się utożsamiać. Każdy członek regimentu mógł.

Gerard, pułkownik regimentu, gardził wszelkimi symbolami, zarówno o charakterze religijnym, jak sentymentalnym, ale nigdy nie zakazywał ich noszenia żołnierzom. Nie musiał. Tylko nowi rekruci obnosili się ze świecidełkami zdradzającymi ich pochodzenie czy religię. Po kilku latach zrzucali to wszystko i zostawiali na swoim ciele tylko jeden symbol: tatuaż kłuszącego węża owiniętego wokół prawej ręki. Było to zresztą całkowicie zrozumiałe. Służba w pułku rzucała ludzi w coraz to nowe, nieznane rejony, gdzie byli traktowani jak obcy, intruzi, najeźdźcy, nawet jeśli pracodawca regimentu twierdził, że te ziemie prawnie mu się należały. Wobec nieustannego poczucia obcości i zagrożenia, w oderwaniu od rodzinnych stron, dawne wierzenia traciły swą moc. Bogowie dzieciństwa, dawniej tak potężni, wydawali się śmieszni w tych dziwnych krajach, w których nie tylko nikt się ich nie bał, ale nawet o nich nie słyszał. Kto więc mógł cię ochronić przed zdradzieckim ciosem w plecy, przed poderżnięciem gardła we śnie? Tylko kompani z oddziału. Komu innemu można było zaufać, w kim innym pokładać wiarę? W ten właśnie sposób obwieszony błyskotkami rekrut, z kolorową chustą zawiązaną pod szyją, przeistaczał się w odzianego całkowicie w regimentową czerń weterana, wchodzącego do karczmy z podwiniętym prawym rękawem, żeby wszyscy goście wiedzieli, kto za nim stoi i kto spali całą wieś, jeśli choćby włos spadnie mu z głowy.

Chi wyszła, a ja w ślad za nią, narzucając na napierśnik kurtkę z wyszytymi symbolami regimentu na ramionach. Nie zamierzałem dobrowolnie wystawiać się na cel, więc mój strój nie miał żadnych oznak mojego stopnia. Nie nosiłem też niczego, co przypominałoby mi o kraju, w którym się urodziłem. Każdy element mojego wyposażenia i ubioru trafił do mnie prosto z magazynu Liczydła.

\*\*\*

Ruszyliśmy krótko po zmierzchu. Nie musieliśmy się kryć przed wzrokiem przechodniów, o tej porze w Dhurceath można było spotkać więcej patroli wojskowych niż cywili i kolejny maszerujący oddział nie zwracał niczyjej uwagi. Gdy dotarliśmy na miejsce, musieliśmy się jednak wstrzymać, gdyż z burdelu akurat wytaczało się kilku pijanych erejskich żołnierzy. Teoretycznie byliśmy sojusznikami, ale „prawdziwi Erejczycy”, szczególnie po kilku piwach, lubili pokazywać najemnym żołnierzom, gdzie ich miejsce, a ostatnie, czego potrzebowaliśmy w tej chwili, to przypadkowa bójka. Szybko cofnąłem oddział w głąb uliczki, którą nadeszliśmy, a sam ustawiłem się na skrzyżowaniu, w cieniu znaku ulicznego, obserwując żołdaków powoli wylewających się z budynku na chodnik. Tablica nad moją głową informowała, że znajdujemy się na skrzyżowaniu ulic Kołowej i Wygwizdowej. Z nadania gubernatora wszystkie oznaczenia uliczne podawały nazwy w dwóch językach: urzędowym erejskim i miejscowym. My dla własnej wygody zawsze używaliśmy nazw erejskich, ale były one wtórne, przetłumaczone z mniejszą lub większą wiernością z lokalnego oryginału. O ile w centrum miasta, w okolicach uczęszczanych przez gubernatorskich urzędników, tłumaczenia były z reguły trafne i rozsądne, to na obrzeżach, w ubogich dzielnicach, nazewnictwo stawało się bardziej... abstrakcyjne. Trudno stwierdzić, czy wynikało to z przydzielenia mniej zdolnych tłumaczy do mniej znaczących ulic, czy z czystej złośliwości miejscowych. Klasyczny przykład stanowiła ulica Zmysłowego Węgorza, położona koło rybnego targu, na której od drobnych handlarzy można było na własną odpowiedzialność kupić rozmaitej świeżości ryby.

Królewscy żołnierze, ślaniając się i przeklinając, wreszcie oddalili się w głąb ulicy Kołowej i dałem znak swoim, by ruszali. Chi wraz z trójką żołnierzy zajęła pozycję przed wejściem do magazynu, a ja z pozostałą szóstką wszedłem do burdelu. Lokal był pierwsza klasa, już na wejściu odurzający oszałamiający widokami, zapachami i dźwiękami, zarówno tymi wydobywającymi się z instrumentów muzycznych, jak i tymi bardziej

fizjologicznej natury. Poczulem, że poziom koncentracji moich ludzi spada drastycznie.

Niemal natychmiast dopadła nas bajzelmama, przesadnie umalowana, starszawa i nieco pulchna kobiecina.

– Ach, witamy, witamy dzielnych wojowników – zagdakała przymilnie. – Bardzo nas cieszą takie wizyty grupowe. Czym mogę służyć?

– Przede wszystkim interesują nas wasze piwnice – powiedziałem.

– W porządku, ale za perwersje trzeba dopłacić.

Zdębiałem na moment. Parch za moimi plecami zaczął chichotać.

– Mam na myśli dosłowne piwnice, te pod budynkiem – wyjaśniłem, starając się zachować poważny i groźny wygląd. – Musimy przez nie przejść.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Bajzelmama pokręciła głową. – Te pomieszczenia są obecnie przez nas użytkowane w sposób dość... intensywny.

– Chyba się nie zrozumieliśmy – powiedziałem lodowatym głosem. – To nie jest prośba.

Bajzelmama skinęła na wykidajkę, który z kąta przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Guir, mój drogi, pokaż naszym gościom, jak trafić do wyjścia.

Osiłek postąpił krok do przodu, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, Ferre już był przy nim. Ledwie zarejestrowałem jego ruchy, gdy błysnął nóż i strumień krwi trysnął z szyi wykidajki. Po chwili żołnierz był już z powrotem na swoim miejscu, spokojnie wycierając nóż, a Guir wykrwawiał się na podłodze z poderżniętym gardłem.

– Przyjrzyj się nam dokładnie – zwróciłem się do przerażonej bajzelmamy. – Zastanów się dobrze, czy na pewno chcesz spróbować jeszcze raz. Bo niezależnie od tego, ilu masz jeszcze takich osiłków na podporządku, ta historia skończy się twoim trupem dyndającym na latarni. A teraz zaprowadź nas do piwnic, my zrobimy swoje i nigdy więcej nas nie zobaczysz, chyba że ktoś z nas zechce sobie podupczyć na przepustce.

Przez chwilę stała nieruchomo, sparaliżowana strachem, a potem z ociąganiem poprowadziła nas do piwnic. Szybko okazało się, dlaczego tak niechętnie wpuściła nas do tych pomieszczeń. Burdel najwyraźniej był bardzo wydajnie zarządzany i nie pozwalano żadnemu kawałkowi nieruchomości się zmarnować. Piwnice przeznaczono więc dla gości o bardziej niekonwencjonalnych upodobaniach. Kiedy tam zeszliśmy, znaleźliśmy się nagle pośród nagich mężczyzn i kobiet, biczowanych lub biczujących, prowadzonych na smyczach, związanych sznurami bądź przykutych kajdankami do ścian. Niektórzy z klientów reagowali wstydem bądź strachem na nasz widok, ale wielu uznało nas za część przedstawienia. Gdyby nie to, że mieliśmy pilniejsze sprawy na głowie, na pewno przyjrzelibyśmy się dokładnie wszystkim obecnym i zapisali nazwiska na poczet przyszłych szantaży. Może w przyszłości trafi się okazja, żeby ponownie odwiedzić to miejsce z notatnikiem i dobrą lampą.

Pomimo tłoku i kiepskiej widoczności dość szybko przedostaliśmy się przez piwnice burdelu. Kilka razy musiałem przywoływać do porządku Hienę i Parcha, którzy nie byli w stanie się powstrzymać przed macaniem mijanych prostytutek bądź naśmiewaniem się z obnażonych klientów. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego uznałem, że zabieranie ich ze sobą było dobrym pomysłem.

Bajzelmama doprowadziła nas do solidnych, dębowych drzwi, które stanowiły przejście do magazynu. Wyciągnęła zza pazuchy klucz i przekręciła go w zamku. Otworzyła wrota i sięgnęła po klucz, ale ja złapałem go pierwszy.

– Dziękuję, to już wszystko – powiedziałem chłodno. – Klucz będzie nam jeszcze potrzebny. Proszę się nie martwić, zamknę drzwi od zewnątrz.

Przez moment sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar się sprzeciwić, ale szybko się opamiętała. Przeszliśmy przez drzwi i zamknąłem je za sobą na klucz, gdy już wszyscy znaleźliśmy się po drugiej stronie.

Wchodząc do kryjówki podejrzanego o kunsztach z buntownikami alchemika, rzecz jasna spodziewaliśmy się kłopotów. Zakładaliśmy obecność licznych pułapek, które mogłyby wywołać eksplozję pod naszymi stopami albo przebić nas wysuwającymi ze ściany ostrzami. Wyobrażaliśmy sobie oblewający nas kwas albo otaczającą nas chmurę trującego gazu. Spodziewaliśmy się również uzbrojonych buntowników, gotowych bronić swojego cennego sprzymierzeńca. Możecie więc wyobrazić sobie nasze zaskoczenie, gdy zaraz po wejściu do magazynu zostaliśmy ciepło powitani przez nerwowego, gadatliwego staruszka, który nie posiadał się z radości na nasz widok.

– Witam, zapraszam szanownych państwa! – zawołał alchemik, widząc nasz oddział przeciskający się przez wąskie przejście, które zaprowadziło nas schodami z podziemi magazynu do głównej hali. – Nawet nie wiecie, jak się cieszę na wasz widok! Hip, hip, hurra! Niech żyją dzielni wojacy z Erei! To nasze chłopaki są!

– Co kurwa? – wyrwało się Parchowi.

Mieliśmy przed sobą niskiego, zgarbionego staruszka, ubranego w ognioodporny fartuch i osmaloną czapkę. Wszystkie włosy na jego głowie zostały wypalone, a twarz miał usmarowaną sadzą.

– Tak, tak, rozumiem wasze zdziwienie – zagdakał. – Czemu ten Varak cieszy się z przybycia Erejczyków? Czy nie powinien rzucać w nich bombami? Czy nie powinien uciekać? Nie, nie, nie, tak, tak, tak.

– Nie jestem pewien, czy nasza misja stała się właśnie trudniejsza czy łatwiejsza – mruknąłem.

– Przybyliście mnie zabrać? – spytał Varak i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Dobrze, dobrze, dobrze. Zabierzcie mnie stąd i to szybko. Narozrabiałem i buntownicy niezbyt mnie teraz lubią. Chętnie sprzymierzę się z wami, Erejczykami. Przyda mi się dobra ochrona. Nie macie chyba nic przeciwko wybuchom? E, widzę, że wy nie z tych strachliwych. Na pewno się dogadamy.

Najwyraźniej jedyną formą oporu ze strony alchemika miała być niekończąca się gadanina. Dałem znak Ferremu. Ten podszedł do niego i szybkim ciosem pozbawił go tchu, a następnie spokojnym ruchem wyciągnął z kieszeni przygotowany uprzednio przez Yorlana flakonik i nasączył chustkę zawartym w nim płynem. Sprawnym chwytem unieruchomił Varaka i przycisnął mu ją do twarzy. Staruszek oklapł w jego ramionach i padł nieprzytomny na ziemię.

– To... było znacznie mniej skomplikowane, niż się spodziewałem – stwierdził ze zdumieniem w głosie Hiena. – I pomyśleć, że mógłbym teraz leżeć w moim łóżku. Albo na podłodze w burdelu za ścianą.

– Nie martw się – powiedział beznamiętnie Ferre, chowając chustkę do kieszeni. – Na pewno jeszcze coś się spierdoli.

– Gąbka – odezwałem się i wskazałem na alchemika.

Gąbka z ociąganiem podszedł do nieprzytomnego jeńca, podniósł go bez wysiłku i przerzucił sobie przez ramię jak tobołek.

– Chcesz przeszukać budynek? – zapytał mnie Ferre.

– Nie, mamy to, co potrzebujemy.

– Wracamy przez burdel czy frontem?

– Burdel. Zakryjcie kapturem twarz Varaka, będzie wyglądało, jakbyśmy nieśli pijanego kolegę.

Zrobili, jak kazałem, i wróciliśmy z powrotem do podziemi. Ponownie przeszliśmy przez piwnice burdelu, przyciągając zaskakująco mało uwagi. A potem, wedle słów bezdusznego proroka, wszystko się spierdoliło.

Wspięliśmy się schodami prowadzącymi z piwnic zamtuza na parter i znaleźliśmy w głównej sali, przez którą przechodziliśmy już wcześniej. Tylko że tym razem była pusta. Nigdzie nie widać było ani bajzelmamy, ani prostytutek, ani klientów. Ostrzegawczy dzwonek zadzwonił w mojej głowie, ale mimo to ruszyliśmy w poprzek pomieszczenia. I wtedy pułapka się zatrzasnęła.

Nagle jak spod ziemi wyrosło wokół nas kilkanaście dziewczyn, każda trzymająca w rękach naciągniętą kuszę. Byliśmy na samym środku sali, otoczeni i kompletnie zaskoczeni. Innymi słowy, wykazałem się całkowitym taktycznym kretynizmem. Dlaczego komukolwiek przyszło do głowy, że to dobry pomysł powierzać mi dowodzenie jednostką?

– To prawdziwy zaszczyt gościć przedstawicieli słynnego Siódmego Regimentu w naszych progach – rozległo się z góry. – To doprawdy szkoda, że poznajemy się w tak przykrych okolicznościach.

Głos należał do kobiety, która stała na szczycie schodów. Kobiety tak zjawiskowo pięknej i tak zmysłowo ubranej, że mój nauczony doświadczeniem i przesiąknięty cynizmem instynkt od razu zawołał: „Pułapka!”. W samą porę.

– Kto z was pełni rolę dowódcy? – zapytała.

Zawahałem się przez moment. Przez całe lata Nika wbijała wszystkim oficerom do głowy: „Nigdy nie ujawniaj wrogowi swojej struktury dowodzenia”. Ale i tak miałem już metaforyczny nóż na gardle i dosłowną kuszę wycelowaną w plecy.

– Porucznik Isevdriir Norgaard – przedstawiłem się. – Pani, nie chciałbym urazić twojej gościnności ani wydać się nieuprzejmy wobec zgromadzonych dam, ale na ulicy Kołowej, tuż przed twoim jakże gościnnym budynkiem, przebywa w tej chwili grupa naszych towarzyszy broni, którzy widzieli, jak wchodzimy do tego przybytku. Jak sądzisz, jak zareagują, kiedy zdadzą sobie sprawę, że z niego nie wyszliśmy? Jak szybko posłaniec może dotrzeć z Kołowej do klasztoru przy Rzeczej i wrócić tutaj z oddziałem żądnych zemsty żołnierzy Siódmego Regimentu?

Kobieta na schodach posłała mi olśniewający uśmiech, który bardzo utrudnił mi postrzeganie jej jako wroga.

– Poruczniku, dlaczego zaraz zakładać najgorszy scenariusz? Gdyby jednak do niego doszło, czy naprawdę sądzisz, że nie byłabym w stanie sfabrykować przekonujących dowodów, które wskazywałyby ponad wszelką

wątpliwość, że wasza śmierć miała miejsce w domu mojego przemiłego sąsiada i znanego działacza nacjonalistycznego, kupca McCuirheana?

– Sądzę, pani, że nie rozumiesz zbyt dobrze mentalności żołnierzy służących w armii okupującej wrogo nastawioną prowincję. Jeśli grupa wojskowych zginie w jakimś budynku, to nie traci się czasu na sprawdzanie, gdzie to się stało, tylko pali się całą ulicę, a wszystkich mieszkańców wiesza na latarniach.

– Nie zawiodłam się na tobie, poruczniku. Dorównujesz swojej reputacji. Skrzywiłem się.

– Nie cieszy mnie to zbyt. Reputacja to niebezpieczna rzecz. Ludzie jej pozbawieni nie muszą odbywać takich rozmów z kuszami celującymi w ich plecy.

– Owszem, ludziom bez reputacji podrzyna się gardła bez wcześniejszej rozmowy. Źle się chyba zrozumieliśmy. Nie mam bynajmniej wrogich intencji wobec waszego regimentu, przeciwnie, bardzo mi zależy na nawiązaniu... współpracy. Jeśli jednak dacie mi powód, zabiję was wszystkich, a potem będę się martwić, jak uciec przed zemstą waszych kolegów. Ale wolałabym spróbować znaleźć bezkrwawe rozwiązanie. Zapraszam do gabinetu, poruczniku, na pewno uda nam się coś wymyślić.

Rozejrzałem się wokół i przez chwilę rozważyłem szalony scenariusz stawienia oporu. Ferre wpatrywał się we mnie intensywnie, czekając na sygnał. Nie miałem wątpliwości, że dziewczyna celująca w niego znajdowała się w większym niebezpieczeństwie niż on. To była właśnie jedna z tych chwil skrajnego zagrożenia, dla których poświęcił wszystko, i jego oczy płonęły żądzą mordy. Szanse reszty z moich ludzi były jednak znacznie mniejsze. Gdyby doszło do walki, straciłbym przynajmniej połowę oddziału. Nie miałem zamiaru ryzykować. Spojrzałem na schody. Kobieta obserwowała mnie z uśmiechem, zapewne wiedząc doskonale, o czym myślę. Po chwili skinęła na mnie ręką i odwróciła się. Podążyłem za nią.



Poprowadziła mnie do pomieszczenia, które bardziej kojarzyło się z biurem kupca niż z burdelem. Centralne miejsce zajmowało eleganckie, mahoniowe biurko zavalone papierami i przyrządami do pisania. Za nim stał wygodny fotel, a przed – dwa krzesła dla gości. Wzdłuż ścian znajdowały się szafy zastawione książkami. Okna były zasłonięte cienkimi, czerwonymi firanami, co sprawiało, że pokój wypełniała krwawa poświata. Zostałem posadzony na jednym z krzesel dla petentów, a moja gospodyni usiadła po drugiej stronie biurka. Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się jej bliżej. Miała idealną figurę, subtelny, ale efektowny makijaż i długie, czarne włosy. Jej skośne, typowe dla ludzi pochodzących z Górnego Granicznego oczy były zaskakująco błękitne i lodowato zimne. Orzeźwiająco zimne, jak kubek wody, który budzi cię ze snu.

– Przepraszam, nie przedstawiłam się jeszcze. Na imię mam Arai, jestem właścicielką tego miejsca.

– Miło mi poznać. Kim w takim razie była kobieta, która pokazała nam drogę przez piwnice?

– Och, to tylko Sorin. Nie zawracałabym sobie nią głowy. Zawiodła mnie i nie będzie tu już dłużej pracować. Ani nigdzie indziej.

Nie skomentowałem.

– Isevdrir ...Ciekawe imię. Czy wymawiam je poprawnie?

– Nienagannie, pani. – Skrzywiłem się. – Zupełnie jakbyś ćwiczyła wymowę przed naszym spotkaniem.

– Cieszę się, że moje starania przyniosły efekt. – Obdarzyła mnie uśmiechem. – To niezwykle imię. Musisz pochodzić z daleka. Jak to się stało, że trafiłeś aż tutaj?

– Ręce twoich dziewczynek zapewne już drętwieją od trzymania kuszy wycelowanych w moich żołnierzy. Jeszcze chwila, a same się rozbiją. Czy to na pewno dobry moment na opowiadanie o moim życiu?

– Cóż za niecierpliwość. Chciałabym tylko, żebyśmy się nieco bliżej poznali, zanim przejdziemy do konkretów. Wymienili podstawowe

informacje.

– Kłamstwa na temat własnej przeszłości? Jaka w tym wartość? Bo przecież żadne z nas nie powiedziałoby prawdy.

– Nie sądzisz jednak, że kłamiąc na swój temat, człowiek ujawnia nawet więcej, niż gdy mówi prawdę o sobie?

Nie odpowiedziałem nic na ten sofizmat. Arai roześmiała się i usadowiła wygodniej w fotelu.

– Zapytałabym, czemu zawdzięczam wasze odwiedziny, ale to nieprzytomne ciało na podłodze mojej głównej sali wystarczy mi za wyjaśnienie.

– Prowadzisz bardzo gustowny lokal, pani – powiedziałem, siląc się na niewzruszony ton głosu.

– Dziękuję. W mojej ojczyźnie mamy powiedzenie: „Prowadź taki burdel, w którym sama chciałybyś się pieprzyć”.

– Naprawdę?

– Nie.

– Szkoda, byłby to wspaniały kraj.

– Erea również byłaby wspaniałym krajem, gdyby na królewskim godle zamiast motto „Wierność aż po grób” widniało wezwanie do podwyższenia jakości usług w zamtuzach. Może wtedy dzielni rycerze, zamiast ciągle leczyć trypra, mogliby się zająć dotrzymywaniem tych wszystkich przysiąg, które tak chętnie składają.

– Przyznam, pani, że nie jest to dyskusja, którą spodziewałem się odbyć w tak amoralnym miejscu.

– Nie wiem, czego się spodziewałaś. Ale trudno o branżę, która wymaga od właścicielki interesu wyższych standardów etycznych. Pomyśl tylko, jak wielkim zaufaniem obdarzają nas klienci. W naszych sypialniach odpasają miecze, odkładają na bok sakiewki i zrzucają ubrania. Nigdzie indziej poza własnymi domami nie są tak bezbronni i wystawieni na cios jak tutaj. Tylko

nasza uczciwość chroni ich przed napadem, kradzieżą, tryprem i niedyskrecją.

– Przed kuszami wymierzonymi w plecy?

– Nasze standardy dotyczą tylko klientów. Ewentualnie partnerów w interesach. Czy chciałbyś zostać moim partnerem, Is?

– Nie wiedziałem, że mamy jakieś wspólne interesy.

– Wbrew pozorom jesteśmy na tym samym szczeblu drabiny, Is. Żołnierz, który pobiera żołd, zanim da się posiekać, sprzedaje swoje ciało tak samo, jak każda dziwka.

– To dość tendencyjne postawienie sp...

– Och, nie bierz tego do siebie. Mam głęboki szacunek dla tych, którzy umierają za pieniądze. Gardzę tymi, którzy giną za darmo. Za króla. Za hrabiego. Za barona. W imię stosunku lennego i struktury feudalnej.

– To zapachniało polityką. Za takie idee prowadzą na szafot bez dalszych pytań.

– I dlatego są godne uwagi. Jeśli ktoś boi się ich na tyle, by grozić śmiercią.

– Nie byle ktoś. Mój pracodawca, król.

Westchnęła jakby zawiedziona. Przez chwilę spoglądała w zamyśleniu w pustą przestrzeń ponad swoją głową, sprawiając wrażenie, że zapomniała o mojej obecności. A potem nagle skupiła się znowu całkowicie na mnie, zupełnie zmieniając ton.

– Wiem, kogo znaleźliście w magazynie, i wiem, do czego jest wam potrzebny – oświadczyła rzeczowo. – Wiem też, kto wam powiedział, że go tam znajdziecie. Jest znacznie, znacznie więcej rzeczy, o których wiem i które mogą wam pomóc dotrzeć do celu.

– Celu? A co takiego jest naszym celem? – spytałem beznamiętnie.

– Krąg.

Trafiła. Każdy, kto choć raz wspomniał tę nazwę, zasługiwał na zainteresowanie ze strony regimentu.

– Mogę być użyteczna dla Siódmego Regimentu – kontynuowała Arai. – Wielu ważnych ludzi zostawia tu swoje sekrety. Mogę powierzać je również wam. Ale i wy musicie także być dla mnie użyteczni.

– Czego chcesz?

– Wszystkiego. Ale zaczniemy od małych kroków.

– Nie mogę się doczekać.

– Mam pewien problem natury... prawnej.

– I chcesz się z tym zwrócić do mnie? – Uniosłem brwi.

– Siła i prawo to terminy zamienne – odparła Arai ze spokojem. – Myślę, że możesz rozwiązać mój kłopot skuteczniej niż jakikolwiek urzędnik.

– Słucham więc.

– Budynek, w którym obecnie przebywamy, niestety nie jest moją własnością. Wynajmuję go od pewnego kupca. Ostatnio nasze relacje nieco się pogorszyły i ów kupiec oświadczył, że zamierza zmusić mnie do opuszczenia tego miejsca. To stanowiłoby duży kłopot dla mojej działalności. Koszty przeprowadzki, ryzyko utraty klientów, sam rozumiesz.

– Potrzebujesz kogoś, kto wyjaśni kupcowi, że ewikcja twojej osoby nie jest dla niego korzystna – dokończyłem.

– Wiedziałam, że się zrozumiemy.

– To wszystko, czego oczekujesz?

– Wszystko, czego oczekuję w ramach zadośćuczynienia za dzisiaj poczynione przez was szkody. To, co nastąpi potem, będzie już odrębną transakcją.

– Jeśli faktycznie masz do zaoferowania wiedzę na temat Kręgu, na pewno będziemy zainteresowani. Pamiętaj jednak, że lubimy weryfikować otrzymane informacje. A ci, którzy wprowadzają nas w błąd, ponoszą konsekwencje.

– Zbędna groźba. Ale rozumiem twój tok myślenia, jeśli przywykłeś do zadawania się z ludźmi pokroju Ifryta, może ci się wydawać, że to jedyny sposób prowadzenia negocjacji.

- Jak się nazywa ten kupiec?
- Finnehan. Erlorn Finnehan.
- Daj mi trzy dni.

- Cieszę się, że udało nam się dojść do porozumienia. Przekonasz się, że nasza współpraca będzie bardzo korzystna dla obu stron... - zawahała się na moment. - Jako gest dobrej woli i dowód mojej przydatności dam ci jedną radę: złóż wizytę aptekarzowi Santoliniemu. W jego magazynie można znaleźć wiele interesujących towarów.

Skinąłem głową. Arai wstała i ruszyła ku drzwiom. Podniosłem się z krzesła i podążyłem za nią.

Gdy zesliśmy na dół, sytuacja prezentowała się tak, jak ją zostawiliśmy. Z jednym wyjątkiem: Hiena leżał bez ruchu na podłodze.

- Co to ma znaczyć? - zapytała surowo Arai.

- Żyje, jest tylko nieprzytomny - odezwała się jedna z dziewczyn. - Strasznie się rzucił i trzeba go było uspokoić.

Spojrzałem na Ferrego. Kiwnął głową, potwierdzając jej wersję.

- Niewielka strata. - Arai wzruszyła ramionami. - W każdym razie doszliśmy do porozumienia. Wracajcie do pracy, dziewczynki.

Opuściły kusze i rozeszły się bez słowa.

- Dziękuję za produktywne spotkanie, poruczniku Norgaard - powiedziała Arai, machając na pożegnanie ze szczytu schodów. - Nie zapomnij przekazać Finnehanowi mojego uszanowania. - Odwróciła się i odeszła.

Parch pochylił się nad nieprzytomnym towarzyszem i zaczął go cucić.

- Odwał się - jęknął Hiena, powoli dochodząc do siebie.

- Baba cię pobiła - zachichotał Parch.

- Pierdol się - warknął jak zwykle elokwentny Hiena. A potem zauważył mnie. - I co, Is, było ruchanko?

- Wolałem, jak byłeś nieprzytomny - rzucił Ferre i obrócił się w moją stronę. - Do czego musiałeś się zobowiązać? Będzie duży problem?

– Nie – odpowiedziałem swobodnie. – Nasza ulubiona robota. Dowiedziałem się też czegoś ciekawego na temat lokalnego przemysłu farmaceutycznego.

– Mianowicie?

– Odwiedzimy jutro sklep Vidala Santoliniego. Coś czuję, że znajdziemy u niego zapas nielegalnej wody święconej.

## ROZDZIAŁ II

Varak bredził. Nie dlatego, że uderzył się w głowę albo nawdychał jakichś oparów. Komunikowanie się w sposób całkowicie niezrozumiały stanowiło raczej wymóg jego profesji. Kto by poważnie potraktował jasno wyrażającego się alchemika? Jestem prawie pewien, że istnieje jakiś edykt królewski, który nakazuje, by wszyscy alchemicy byli kompletnymi wariatami.

W każdym razie przesłuchiwanie Varaka nie szło nam najlepiej. Nie dlatego, że nie chciał gadać, przeciwnie: gadał jak najęty, ale kompletnie bez sensu. Z jego ust płynął szeroki i nieprzerwany strumień bzdur i absurdalnych stwierdzeń w kilku różnych językach. Przyszło mi, rzecz jasna, na myśl, że jest to po prostu sprytna taktyka, którą stosuje, żeby zmylić przesłuchujących. By to zweryfikować, ściągnęliśmy Szalonego Yorlana, jedyne go człowieka na tyle biegłego w języku wariatów, by przetłumaczyć dla nas bełkot jeńca. Nasz alchemik, oderwany od jakiegoś eksperymentu, który wymagał klatki pełnej myszy, sporego kawałka sera i naczynia wypełnionego żrącym kwasem, co stwierdziliśmy na podstawie pobieżnych oględzin jego celi, zgodził się pomóc pod warunkiem, że dostanie pełną godzinę sam na sam z Varakiem. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zgodziliśmy się.

– To był fatalny pomysł, żeby wpuszczać tam Yorlana – powiedziała Chi.

– Dobrze, że mówisz o tym teraz, kiedy już jest za późno, żeby coś zmienić – prychnęła Nika.

– Lepiej po fakcie niż wcale.

– Twoja zdolność przewidywania przeszłości jest dla nas bardzo cenna.

Znajdowaliśmy się w piwnicach klasztoru przy Rzeczej. Ja, Chi i Nika staliśmy na korytarzu przed wejściem do celi, w której Yorlan maglował jeńca, i nasłuchiwalismy dochodzących stamtąd głosów. Po pewnym czasie dołączył do nas również Liczydło. Bynajmniej nie był tu do niczego potrzebny, a to, co Varak miał do powiedzenia, kompletnie go nie obchodziło, ale oświadczył, że nie ma zamiaru przegapić widoku Yorlana rozmawiającego z innym szalonym alchemikiem. Stał więc razem z nami, wsłuchując się w modulowany bełkot dochodzący z celi i uśmiechał się jak dziecko, które spodziewa się, że zaraz dostanie prezent.

Wreszcie głosy ucichły i drzwi otworzyły się, ukazując Yorlana z zakrwawionym nożem w dłoni.

– Bardzo przyjemny w obyciu człowiek, świetnie nam się rozmawiało – oświadczył z uśmiechem. – Niestety pod koniec naszej rozmowy trochę mnie zirytował, więc poderżnąłem mu gardło.

Chi pacnęła się dłonią w czoło, a Liczydło zachichotał.

– Przypomnijcie mi, proszę, czyj to był pomysł, żeby go tam wysłać? – spytała Nika ze złością.

– Naprawdę spodziewaliście się innego rezultatu? – odezwał się rozbawiony Liczydło. – Dlaczego w ogóle ten alchemik był taki ważny?

– Wszyscy w mieście wiedzieli, że zaopatruje buntowników i konspiratorów, ale jak dotąd pozostawał nieuchwytny – wyjaśniła Chi. – A co najważniejsze, mieliśmy powody przypuszczać, że może mieć powiązania z Kręgiem.

– To prawda – zgodził się spokojnie Yorlan. – Powiedział mi kilka ciekawych rzeczy na ten temat.

Nika zacisnęła pięści i kilka razy odetchnęła głęboko dla uspokojenia.

– Dobrze, Yorlan – powiedziała, ledwo panując nad sobą. – Czy byłbyś tak uprzejmy i powiedział nam, czego na ten bardzo istotny temat udało ci się dowiedzieć od jeńca, którego zabiłeś, pomimo posiadanych przez niego kluczowych informacji?

– Bardzo chętnie – odparł lekkim tonem. – Nie słuchałem go, co prawda, zbyt uważnie, ale chyba wspomniał, że kluczem do planów Kręgu jest jakiś starodawny manuskrypt noszący tytuł *O powstaniu monstra*. Jest to zdaniem Varaka najważniejszy tekst, jaki kiedykolwiek powstał.

– Czy wyjaśnił, dlaczego jest tak ważny?

– Nie.

– Dlaczego? Nie chciał powiedzieć? Nie wiedział?

– Nie zdążył. Poderżnąłem mu przecież gardło, zapomniałaś?

– Nie, Yorlan – wycedziła Nika. – Nie zapomniałam.

Na moment zapadła cisza, gdy kapitan próbowała ze wszystkich sił powstrzymać się przed rozszarpaniem alchemika na strzępy, a on stał spokojnie, przyglądając się z zainteresowaniem trzymanemu w ręce nożowi.

– Nudzę się – oświadczył Liczydło. – Możemy już pójść do Santoliniego?

– Nie przypominam sobie, żebym powierzała ci to zadanie. – Nika skrzywiła się.

– Właśnie mi się przypomniało – odezwał się. – Nika, mogę zabrać go ze sobą na przesłuchanie aptekarza?

– Wiesz, że uwielbiam, jak się mnie stawia przed faktem dokonanym. A zresztą i tak już nic tu po was. Idźcie w cholerę i postarajcie się niczego nie spieprzyć.

Uznałem, że to nie najlepszy moment, żeby powiedzieć jej, że zamierzałem wziąć jeszcze Hienę i Parcha.

– Ja też chcę iść! – oświadczył Yorlan.

– Jeśli myślisz, że po takim numerze pozwolę ci choćby wystawić nos poza mury klasztoru... – Nika aż się zaczerwieniła z wściekłości – Pójdiesz



teraz do swojego laboratorium, które zamknę na klucz i nie wypuszczę cię na zewnątrz, dopóki nie zaczniesz zachowywać się jak żołnierz.

Alchemik dalej stał sobie zupełnie spokojnie z miną dziecka, które nie zdaje sobie sprawy, że zrobiło coś nie tak. Korzystając z tego, że kapitan skupiła się całkowicie na osobie Yorlana, Liczydło, Chi i ja oddaliśmy się szybko. Nie mieliśmy zamiaru być w pobliżu, gdy ona przypomni sobie, że trzeba komuś przydzielić sprzątnięcie trupa Varaka.

– Stawiam magazyn pełen zdefraudowanego wojskowego ekwipunku, że jeśli Nika zamknie go w celi, to Yorlan wysadzi drzwi albo przeżre zamek kwasem – szepnął do mnie Liczydło. – Zakład?

– Też chcę na to postawić – obruszyłem się. – Żartujesz z tym magazynem, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział niewinnie. – Czy dałem ci kiedykolwiek powód, żeby wątpić w moją uczciwość?

– Mam nadzieję, że to przynajmniej ekwipunek Erejczyków, a nie nasz – westchnęła Chi.

– Jaki ekwipunek? – zdziwił się Liczydło.

– Kogo bierzesz do obstawy? – zapytała sierżant.

– Hienę i Parcha. Znajdź tych idiotów i przyprowadź do nas, będziemy czekać przy bramie.

Skinęła głową i oddaliła się, by poszukać naszych wioskowych głupków. Ja i Liczydło wyszliśmy na dziedziniec i skierowaliśmy się ku bramie prowadzącej na ulicę Rzeczną.

– Widziałem wczoraj Głaba – rzuciłem. – Przesyła pozdrowienia.

– Ciągłe chowa urazę za to zamieszanie w manufakturze?

– Nie sądzę, żeby jego pamięć sięgała tak daleko wstecz. Ale właściciel manufaktury prędzej czy później doliczy się brakujących zapasów.

– A wtedy fałszywy trop doprowadzi go prosto do sztabu Ósmego Kawaleryjskiego. Czego w takim razie chciał Głab?

– Nadal bardzo chce skrócić kark Rotharowi.

– To miło z jego strony. – Liczydło odpłynął na chwilę. – Jak sądzisz, jak wygląda dieta Głaba? Nie ma przecież mowy, żeby taki kolos żył tylko z wojskowych racji.

– Chyba że uzupełnionych koniną.

– I wiadrem wody święconej?

– Dieta prawdziwego kawalerzysty.

Z budynku klasztoru wyłoniła się Chi, a za nią szli Hiena i Parch z dość nietęgimi minami.

– Chcesz wiedzieć, co ci idioci robili, gdy ich znalazłam? – spytała, dotarwszy do nas.

– Nieszczęśliwie. – Skrzywiłem się.

– Mów, co wiesz – wciął się Liczydło.

– Rzucali w siebie szczurzymi bobkami.

– On zaczął – usprawiedliwił się Parch. – Nie miałem wyboru i musiałem odpowiednio zareagować.

– Trudno go za to winić – oświadczył Liczydło śmiertelnie poważnym tonem. – Zgodnie z kodeksem rycerskim rzut szczurzym bobkiem nie może pozostać bez odpowiedzi, w przeciwnym razie obrzucony traci honor.

– Doprawdy? – prychnęła Chi. – Tylko raz w życiu widziałam cię w pobliżu kodeksu rycerskiego i używałeś go wtedy jako podnóżka.

– Bardzo użyteczne tomiszczce – przytaknął Liczydło.

– Wystarczy – uciąłem. – Zbieramy się. Chi, przypilnujesz kwestii latryn, gdy mnie nie będzie? Sytuacja wymyka się już spod kontroli.

Hiena zachichotał. Sierżant spiorunowała go wzrokiem.

– Jasne, Is. Dbaj o tych dwóch. Byłaby to niepowetowana strata, gdyby któremuś z nich zdarzyło się dostać nożem pod zebro.

\*\*\*

Apteka Santoliniego mieściła się w starej kamienicy przy ulicy Wesołej, kilka przecznic od Rzecznej. Mieliśmy więc przed sobą krótki, ale nieprzyjemny spacer. Pogoda tego dnia była typowa dla regionu. Opady nie

były na tyle intensywne, żeby skłonić mieszkańców do pozostania w domach, ale wystarczające, by utrzymać błotną, bagnistą konsystencję podłoża na wszystkich ulicach, szybko więc ubrudziliśmy się aż po kolana.

W sumie jednak i tak radziliśmy sobie z błotem stosunkowo nieźle w porównaniu z Erejczykami, którzy nawet okupując tę zasraną krainę wiecznej wilgoci, nadal upierali się przy ciężkich pancerzach. Czy to bitwa na suchej, rozległej równinie czy patrolowanie rozmokłych ulic – Erejczyk i tak wrzuci na siebie tyle metalu, ile może unieść. A potem dziwi się, że tubylcy naśmiewają się z niego, gdy zapada się po kolana w błoto i nie może z niego wyjść o własnych siłach. W Siódmym Regimentie jesteśmy bardziej elastyczni. Podczas służby w mieście ograniczamy się do napierśników i utwardzonej skóry, nic więcej. Wychodzimy z założenia, że jeśli dojdzie do konfrontacji, to albo będziemy mieli przewagę i trzeba będzie gonić wroga, albo to wróg będzie miał przewagę i trzeba będzie spierdalać. W obu przypadkach najważniejsza jest szybkość. Konfrontacja bez wyraźnej przewagi to nie nasz styl. Nikt, co prawda, nie przeprowadził dokładnych obliczeń, ale mogę się założyć, że jesteśmy w Erei jednostką o najwyższym procencie żołnierzy po trzydziestce. A takiego wieku nie dożywa się dzięki odwadze w boju, tylko dzięki pragmatyzmowi.

Tłok na ulicach nie stanowił dla nas większego utrudnienia. Siódmy Regiment ciężko zapracował na swoją złą sławę i teraz ta ciężka praca przynosiła korzyści w postaci mieszkańców schodzących nam z drogi, gdy tylko pojawialiśmy się w polu widzenia. Wszyscy mieliśmy wyszyte na kurtkach i wytatuowane na prawych dłoniach godło regimentu. Osobiście uważałem je (czarny wąż z rozwartą paszczą) za nieco kiczowate, a robienie sobie identycznych tatuaży bardziej pasowało do gangu nastolatków niż siejącej groźę jednostki. Jednak pułkownik uparł się, że tak ma to wyglądać, i okazało się, że ma rację, bo nasz kiczowaty wąż na sztandarze mocno działał na wyobraźnię prostaczków. Tatuaz przedstawiający węża z ogonem owiniętym wokół prawego przedramienia i rozwartą paszczą na grzbiecie

dłoni również robił odpowiednie wrażenie. Oczywiście wykluczał on też jakiegokolwiek działanie pod przykrywką, ale ze względu na naszą odmienną kulturę i tak byliśmy pod tym względem mało skuteczni.

Przy naborze nowych członków regimentu stosowaliśmy zasadę: „Nie jadaj w wychodku”. A dokładniej: „Nie rekrutuj tam, gdzie stacjonujesz”. Jeśli wcielisz do swojej jednostki miejscowych, to nie zdziw się, jeśli potem będą odczuwali skrupuły przy tłumieniu zamieszek. Poza tym tacy żołnierze są bardziej skłonni do dezercji. Idealny rekrut to ktoś, kto nie posiada domu w ogóle albo jest od niego tak daleko, że samo to pojęcie jest czystą abstrakcją (patrz: moja relacja z rodzinnym miasteczkiem). Dla takiego człowieka wszystko wokół wydaje się obce, więc identyfikować się może tylko ze swoją jednostką i towarzyszami broni. Inni zaś stanowią zagrożenie. Nic tak nie buduje relacji międzyludzkich jak syndrom oblężonej twierdzy.

Z powyższych przyczyn nie było w Siódmym Regimentie nikogo, kto urodził się w regionie Caellarh, a większość z nas pochodziła z miejsc tak odległych, że nikt stąd nawet o nich nie słyszał. Byliśmy mieszanką wszystkich ras i kultur obecnych na Kontynencie, co sprawiało, że dość mocno wyróżnialiśmy się na tle homogenicznej rasowo prowincji, a nawet całego królestwa. Jakby mało było wrogości kierowanej pod naszym adresem przez tubylców, Erejczycy stacjonujący w Dhurceath również nie darzyli nas sympatią, tylko traktowali jak zło konieczne. My odpowiadaliśmy obu stronom pięknym za nadobne, co tylko pogarszało sytuację, a szczególnie nasze relacje z mieszkańcami. Im większą wrogość wykazywali wobec nas, tym większym zapałem pałaliśmy podczas tłumienia zamieszek. Hrabia de Verde, dowódca sił erejskich w regionie, doskonale zdawał sobie sprawę z naszego położenia i skwapliwie to wykorzystywał, podbudowując mit Siódmego Regimentu jako oprawców Dhurceath.

Nasza czwórka dotarła na ulicę Wesolą i znaleźliśmy aptekę Santoliniego. Było to eleganckie i zadbane miejsce, przeznaczone ewidentnie dla

zamożniejszej warstwy miejskiej populacji. Szyld nad drzwiami głosił: „Apteka Santolinich – poprawiamy jakość waszego życia od 7 pokoleń”. Stanowiło to oczywiście wierutne łgarstwo – właściciel założył swoją aptekę dopiero cztery lata temu, a jego ojciec był rzeźnikiem.

Weszliśmy do środka. Pomieszczenie było przestronne, idealnie czyste i wypełnione intensywnym zapachem ziół i medykamentów. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki zastawione różnymi specyfikami, zarówno tymi naturalnego pochodzenia, jak chociażby korzeń lewojki, który podobno przyspiesza zrastanie się kości, jak i tymi czysto alchemicznej proveniencji, czego przykładem był najlepiej sprzedający się towar, czyli magiczny płyn na wydłużenie przyrodzenia. Swoją drogą, płyn ten był pułapką na naiwniaków, kilka miesięcy wcześniej Hiena wypił duszkiem całą butelkę i nie zanotował jakiegokolwiek poprawy.

Podeszliśmy do lady, za którą stał czarująco uśmiechnięty Santolini, wysoki i przystojny brunet, który kompletnie nie pasował do mojego wyobrażenia aptekarza. Mimo że właśnie do jego sklepu weszło czterech najemników z mieczami przy pasach, mężczyzna nadal miał szeroki, przyjazny uśmiech przyklejony do twarzy. Oprócz nas nie było żadnych klientów.

– Witam serdecznie, zapraszam, w czym mogę zapomóc? Czyżby jakieś niezagojone rany powodowały doskwieranie wielości boleści? Złamanie kości źle się zrasta? A może... – zniżył głos – dokuczają jakieś intymne problemy? Rzeki osłabł nurt?

Santolini, jak wielu mieszkańców Caellarh, nauczył się erejskiego stosunkowo późno, wyłącznie dlatego że był to język urzędowy. Mówił więc z mocnym akcentem, tak że ledwo dało się go zrozumieć, i w dodatku miał tendencję to dosłownego tłumaczenia idiomów z rodzimego języka.

– Szukamy raczej czegoś na... ogólne wzmocnienie – odpowiedziałem z naciskiem.

Santolini pokiwał głową ze zrozumieniem i zrobił minę, jakby doskonale wiedział, o co mi chodzi. Ja sam nie bardzo wiedziałem, co robię, bo szczerze mówiąc, nie miałem wcześniej ułożonego planu. Wiedziałem tylko, że zamierzam spróbować nakłonić aptekarza do sprzedania mi nielegalnej wody święconej, a jeśli to się nie uda, to spuścimy mu łomot i zmusimy go do wyznania, gdzie trzyma swój zapas kontrabandy.

– Dla panów w sam raz mam rzecz – mówił tymczasem Santolini. – Rzadkie zioła zmieszawszy niemało i specjalnie dobrawszy komponentów alchemicznych. Co najlepsze w alchemii i naturalnych metodach leczenia łączone. Odporność będzie na wszelką chorobę. Słabość nie tyka jak długie witki wierzby!

– Nie do końca to miałem na myśli...

– Oczywiście, oczywiście. Mamy również, jak mówią uczeni, cuda medycyny alternatywnej!

– Bardzo chętnie – odparł Liczydło. – Nic nie leczy lepiej niż placebo.

– Doskonale, mam coś w sam raz dla was...

– To był sarkazm – westchnął kwatermistrz.

– Ach, tak, jakżeby inaczej. W takim razie może...

– Potrzebujemy wody święconej – wypalił Hiena prosto z mostu.

– Ależ państwo! Woda święcona jest zakazaną substancją!

– Na pewno możemy...

– Lochem sprzedaż karana! Ciemnicą! Nawet jeśli wolności doczekałbym, sklep w tym czasie w upadek! Byłbym biedny jak myszołów!

– Jak mysz świątynna – poprawiłem automatycznie.

– Dlaczego świątynna? – zdziwił się Santolini.

– Takie powiedzenie. Biedny jak mysz świątynna.

– Jakżeż myszy świątynne bardziej biedniejsze od myszy innych?

Zastanowiłem się przez moment.

– Może powiedzenie to pochodzi z dawnych czasów, gdy majątek instytucji religijnych był mniejszy i kojarzono je z ubóstwem. Albo to

zakamuflowana drwina ze skapstwa kapłanów?

– Ludowa mowa to głębokie jezioro – przyznał w zadumie aptekarz.

– Przestań pierdolić i przynieś święconkę – nie wytrzymał Hiena. –

Wiemy, że nią handlujesz.

– Ależ obrażenie! Ja jestem, jak mówicie Erejczycy, kupiec przeżarty uczciwością. Wyłącznie legalne towary na składzie.

– Słyszeliśmy co innego.

– Kąsające języki konkurencji!

– Posłuchaj, Santolini – powiedziałem spokojnie. – Robisz w tym interesie już dość długo, więc wiesz, że nie uwierzemy ci na słowo. Jeśli będzie trzeba, damy ci po głowie i wywrócimy ten sklep do góry nogami, zajrzemy do każdego pudła i wyrwiemy każdą deskę z podłogi. Nawet jeśli nic nie znajdziemy, narobimy tu takiego zamieszania, że wszyscy klienci będą cię omijać szerokim łukiem.

– Niesprawiedliwe oskarżenia...

– I nie myśl, że ktoś cię przeprosi albo oficjalnie oczyści z zarzutów. Daj nam to, czego potrzebujemy, to zostawimy cię w spokoju. Ba, zapłacimy nawet za towar.

– Patrzę na państwo i widzę węże na ramionach, królewska służba. Patrzę i myślę: po co służbie króla woda, co król nakazał, żeby wyschła? Erejczycy łamią prawo Erejczyków.

– Nie jesteśmy Erejczykami, bierzemy tylko ich pieniądze. Co miesiąc organizowane są walki na pięści między oddziałami. Postawiliśmy sporo pieniędzy na naszego zawodnika. Nie może przegrać, rozumiesz?

– Ważność czystej rywalizacji jest wielka.

– Pieprzymy ważność rywalizacji – warknął Parch. – Ważne jest zwycięstwo.

– Skoro taka ważność zwycięstwa, to i cena musi być wysoka, prawda? Duże ryzyko dla sklepu sprzedawać służbie króla. Musi być kompensacja. Potrójna.

– Standardowa stawka, nie zapłacimy nic ekstra. Za kompensację możesz uznać to, że nie przyszedliśmy tu z pochodniami.

– Szukam wody, ale nie znajduję. Jeśli potrójna stawka, to i szukanie potrójne, może lepsze znalezienie.

– Podwójna.

– Podwójne poszukanie może także wystarczające. Przepróście mnie, panowie, na moment, udam się na zatył.

– Idź z nim – poleciłem Parchowi.

Santolini wyglądał, jakby miał zamiar zaprotestować, ale w końcu odwrócił się i przeszedł na tył sklepu, odchylając zasłonę, która oddzielała zaplecze i część przeznaczoną dla klientów. Po chwili wrócił, niosąc otwarty kuferek zawierający kilkanaście fiolek wypełnionych przezroczystym płynem.

– Najczystsza woda święcona w Dhuirceath – oświadczył dumnie, stawiając kuferek przed nami na ladzie. – Najwyższość możliwej jakości.

– Miło nam to słyszeć – powiedział Liczydło. – Tym niemniej pozwolimy sobie przeprowadzić mały test.

Wyciągnął z kieszeni niewielką fiolkę, przygotowaną wcześniej przez Yorlana. Jej zawartość wchodziła w reakcję z wodą święconą i zabarwiała ją na czerwono. Liczydło wlał specyfik do jednego z naczyń w kufierku Santoliniego. Płyn zaczął zmieniać kolor, ale osiągnął tylko barwę bladego różu.

– Rozrzedzona breja – orzekł Liczydło. – Najwyżej dwadzieścia procent.

– Trybunał karze tak samo za dwadzieścia procent jak za czystą święconą – odparłem.

Hiena i Parch unieruchomili Santoliniego żelaznymi uchwytami, zanim ten zorientował się, co się dzieje.

– A teraz porozmawiamy sobie o tym, co naprawdę nas interesuje – oświadczyłem.



Aptekarz nawet nie próbował się wyrywać. Wiedział, że nie ma szans przełamać uścisku Hieny i Parcha. Tylko jego gałki oczne poruszały się, śledząc mój ruch, gdy spokojnym, powolnym krokiem podszedłem do drzwi, obróciłem zawieszkę ze słowem: „Zamknięte” i zasunąłem zasuwkę na drzwiach. Potem przeszedłem za ladę i usiadłem sobie wygodnie na krześle Santoliniego. Liczydło z kolei przeszedł na zaplecze i zaczął buszować w zapasach apteki.

– Tylko dystrybucja? – zapytałem aptekarza. – Czy wytwarzanie też?

– Ja... Jjjja nic nie wwwiem – wybełkotał. – Ja ttttylko sprzedaję... Nie wiem, skąd się ma woda w składzie... Ja nnnnnie robię zapasów, inny człowiek, nie własny. Ja tylko sppppprzedaję, co mam...

– Jesteś właścicielem apteki i jedynym pracownikiem. Nie ma absolutnie nikogo innego, na kogo mógłbyś przerzucić odpowiedzialność. Jedyne pytanie brzmi, czy wytwarzasz produkt samodzielnie, czy tylko sprzedajesz to, co dostajesz od zewnętrznego dostawcy. Więc?

– Ja... wytwarzawszy – odpowiedział Santolini z wahaniem. – Nie wiedziałem, że woda jest prawa, naprawdę. Fontanna pomysłu dała mi przepis przez przypadek, ekspppperyment.

Boi się swojego dostawcy bardziej niż nas, pomyślałem. Ciekawe.

– Gdzie? – spytałem tylko.

– Cccco gdzie?

– Gdzie wytwarzasz?

To kompletnie zbiło go z tropu. Westchnąłem ciężko.

– Santolini, daj sobie spokój z tą grą – powiedziałem cierpliwie, jakbym tłumaczył niezbyt bystremu dziecku skomplikowany problem matematyczny. – Przecież wiemy doskonale, że jesteś o wiele za głupi, żeby przygotować wodę święconą. Jesteś kiepskim aptekarzem, a co dopiero alchemikiem. Możemy się w to bawić, oczywiście. Możesz nam podać jakąś zmyśloną lokalizację, gdzie niby masz laboratorium, my to sprawdzimy i przekonamy się, że kłamiesz. I wrócimy do punktu wyjścia, tyle że

będziemy mieć dla ciebie znacznie mniej cierpliwości. Zaoszczędź więc sobie trudu i przyznaj, że ktoś inny przyrzęczał roztwór.

– Inny wytwarzał. Ja tylko sprzedawałem.

– Dobrze. Pierwszy krok mamy za sobą. Musisz mnie teraz uważnie wysłuchać, Santolini. Twoje życie właśnie się skończyło. Jest kilka różnych wariantów, w jakich sprawy mogą się dalej rozegrać, ale nic nie będzie już takie samo. Pozostaje ci tylko wybór mniejszego zła. Jesteś teraz w naszych rękach i możemy cię wykończyć na wiele ciekawych sposobów. Możemy cię oddać trybunałowi, który odbierze ci wszystko, co posiadałeś, i wtrąci do lochu na kilka lat. Jeśli to przeżyjesz i wyjdiesz na wolność, zginiesz z głodu po kilku miesiącach na ulicy. Możemy również zabrać cię do jakiejś przestronnej celi w podziemiach klasztoru na Rzeczej i torturować do skutku. Słyszałeś opowieści o Siódmym Regimencie i ludziach, którzy zostali przez nas zabrani na przesłuchanie? Zapewne zauważyłeś, że bohaterowie tych opowieści wchodzą do klasztoru, ale już z niego nie wychodzą. Wreszcie, możemy po prostu stąd wyjść, zostawić cię w spokoju i puścić plotkę, że z nami współpracujesz. Jak sądzisz, ile czasu minie, zanim zostaniesz odwiedzony przez tego dostawcę, którego tak bardzo chcesz chronić? Jest tylko jedna droga z tego punktu, która nie prowadzi do bolesnej śmierci. Pierwszy krok na tej drodze to wyjawienie nam, kto produkuje wodę święconą, którą sprzedajesz.

– Nnnnie wiem – jęknął Santolini. – Nigdy spotkanie ręka w rękę z produktem, zawsze pośrednictwo. Przychodzi pośrednik, daje, co ma. Nie wiem, skąd ma, jak produkt rośnie.

– Kim jest ten pośrednik?

– Mahoc Vivalo. Ma wiele podejrzliwości. Całe lata tylko tanioczę sprzedawał, a potem nagle zaczął bogactwa roznosić. Wydawać dużo pieniędzy. Wtedy do mnie z wodą przyszedł i współpracę dał.

– Gdzie go możemy znaleźć?

– Nie wiem, nie chadzamy razem. Ale nowa dostawa co drugi dzień, późnym wieczorem. Przychodzi na zatył sklepu.

– Czy dzisiaj wypada jeden z tych dni?

– Tak.

– Świetnie. Zatem poczekamy sobie na niego.

W tym momencie Liczydło wystawił głowę zza zasłony oddzielającej zaplecze i dał mi znak, żebym do niego dołączył.

– Wyciszcie go – zwróciłem się do Hieny i Parcha.

Hiena zamachnął się i ogłuszył Santoliniego ciosem w tył głowy. Wstałem z krzesła i przeszedłem na zaplecze. Było to dość rozległe pomieszczenie, zagracone mnóstwem produktów aptekarskich. Niektóre leżały jeszcze zapakowane w skrzyniach, jakby dopiero co zostały dostarczone, inne z kolei były już wyłożone i gotowe do wystawienia na półkach. Pomieszczenie było kiepsko oświetlone. Znajdowało się tu, co prawda, jedno małe, brudne okno, ale nie wystarczało ono, by zapewnić jakąkolwiek widoczność, więc Liczydło zapalił kaganek, który postawił na jednej z wyższych skrzyń.

– W większości to gówno – powiedział kwatermistrz. – W najlepszym wypadku może dać efekt placebo, w najgorszym – lekkie zatrucie pokarmowe. Ale jest tu też trochę użytecznych rzeczy. Ze dwie skrzynie porządnych dekoktów leczniczych, które mogłyby się przydać regimentowi. No i trochę drogich, babskich mikstur, które mógłbym opchnąć za niezłą cenę na czarnym rynku. To co, szaberek? Czy gramy czysto?

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Czego byś potrzebował?

– Od was niczego. Zadbajcie tylko, żeby mi nikt nie przeszkadzał, zaraz zorganizuję sobie jakiś wóz. Mamy do załadowania tylko ze cztery skrzynie, więc dużo czasu to nie zajmie.

– Dobra, działaj.

– Jasne. Znajdę jakiś środek transportu i podprowadzę go pod sklep.

Liczydło wyszedł na ulicę tylnymi drzwiami sklepu. Ja wróciłem na moment do Hieny i Parcha, wprowadziłem ich w temat i kazałem pilnować Santoliniego. Potem usiadłem sobie na skrzyni na zapleczu i czekałem na powrót Liczydła, z zainteresowaniem przeglądając zgromadzone wokół mnie specyfiki. Alchemia obdarowała nas wieloma cudownymi wynalazkami. Od napojów gwarantujących długotrwały wzwód, przez różnorodne specyfiki upiększające cerę czy wzmacniające włosy, po medykamenty pozwalające zwalczać najgroźniejsze choroby. Oprócz tych jednoznacznie pozytywnych darów alchemii znalazły się też bardziej kontrowersyjne produkty. Najbardziej problematycznym z nich jest rzecz jasna woda święcona – to mikstura, która powoduje nienaturalnie szybki przyrost masy mięśniowej u zażywającego. Wystarczy kilka tygodni stosowania, by chuderlaka zamienić w groteskową górę mięśni. Oczywiście nie ma nic za darmo, woda święcona ma również negatywne efekty uboczne, z których najgroźniejszym jest jej koszmarne wpływy na wątrobę. Większość ludzi intensywnie stosujących wodę święconą umiera po kilku miesiącach, a ich trupy mają żółtawy kolor skóry. To oczywiście nie wystarcza, żeby odstraszyć wszystkich zainteresowanych. W Erei jest dość mało popularna, stosowana raczej tylko przez zapaśników albo żołnierzy (bądźmy szczerzy, naprawdę sądziliście, że mięśnie Głaba mają naturalne pochodzenie?). Natomiast w Caellarh woda święcona jest zakazana, co oznacza, że wszyscy chcą ją mieć. Zakaz nie został bynajmniej wprowadzony po to, by chronić mieszkańców przed negatywnymi efektami ubocznymi, tylko żeby chronić Erejczyków przed tubylcami. Edykt królewski sprzed kilkunastu lat zakazał używania wody święconej na terenie prowincji Caellarh, gdyż w królestwie obawiano się, że jeśli substancja ta się rozpowszechni, to w wypadku wybuchu buntu wojska erejskie będą musiały walczyć z hordami przerośniętych mięśniaków. Oczywiście jak wszystkie zakazy, również i ten dał efekt przeciwny do zamierzonego i tylko zachęcił Caellarhczyków do próbowania wody święconej.

Sama nazwa substancji przyjęła się w okresie, który nastąpił krótko po ogłoszeniu edyktu. Wówczas to pewien błyskotliwy kapłan wpadł na pomysł, by wykorzystywać sympatyzujące z buntownikami świątynie jako sieć dystrybucji. Wystarczyło więc, by konspirator chcący się wzmocnić przed walką z agresorem zgłosił się do zaprzyjaźnionego kapłana – lokalnego patrioty – i poprosił go o „specjalne błogosławieństwo”. Erejskim siłom okupacyjnym zajęło kilka lat, by zorientować się, że zakazana substancja jest rozpowszechniana przez duchownych, i dopiero wtedy proceder został ukrócony. Rzecz jasna nie minęło dużo czasu, gdy powstały inne sposoby rozprowadzania towaru, ale nazwa „woda święcona” przyjęła się już na stałe.

Moje zamyślenie przerwało łomotanie do frontowych drzwi sklepu. Pewnie jakiś klient nie zauważył zawieszki „Zamknięte”, pomyślałem i nie ruszyłem się ze swojej skrzyni. Łomotanie powtórzyło się jednak jeszcze kilka razy.

– Zamknięte, proszę przyjść później! – Usłyszałem wołanie Hieny z sąsiedniego pomieszczenia.

Ktokolwiek znajdował się po drugiej stronie drzwi, był cholernie uparty, bo zapukał ponownie. A potem jakiś głos, chyba kobiecy, zaczął coś wykrzykiwać.

– Zamknięte! – Ten okrzyk zrozumiałem już bez problemu, to Hiena wydarł się po raz kolejny.

W odpowiedzi zza drugiej strony drzwi dobiegło więcej wrzasków i wściekłe łomotanie.

– Zamknięte, wypierdalać! – Hiena ponownie wykazał się dyplomacją.

Tym razem odpowiedziała mu zupełna cisza, a potem głośnie tąpnięcie, jakby ktoś przewrócił szafę albo wyważył drzwi, albo... Kurwa, wyważył drzwi?! Poderwałem się i pobiegłem do sąsiedniego pomieszczenia.

To, co zobaczyłem, zapadło mi na dobre w pamięć. Drzwi sklepu zostały wyrwane z zawiasów i leżały teraz bezużytecznie na podłodze sklepu, a

przez powstałą wyrwę przeszedł chudy, ale atletyczny dryblas w zielono-czarnej liberii sugerującej służbę dla któregoś z magnackich rodów. Przy pasie nosił miecz i dwa długie noże. Za nim przez wyłamane drzwi przepchnęła się wysuszona, starsza dama w wytwornej sukni i ogromnym kapeluszu z piórem. Po drugiej stronie sklepu, za ladą, stali Hiena i Parch, wytrzeszczając oczy na przybyszów. U ich stóp leżał nieprzytomny i na szczęście niewidoczny dla klientów Santolini.

– To doprawdy żenujący poziom obsługi – zagdakała kobieta. – Najpierw każe mi się czekać trzy dni na przygotowanie zamówionej przeze mnie mikstury, a potem, kiedy wreszcie mogę się zgłosić po odbiór, sklep okazuje się zamknięty.

– Pani, obawiam się, że ci osobnicy nie są aptekarzami. – Dryblas nachylił się do jej ucha. – Uważam, że byłoby rozsądnym posunięciem oddalić się z tego miejsca.

– Nie są aptekarzami?! – Staruszka o mało nie dostała apopleksji. – Wy tam, wytłumaczcie się natychmiast!

– Co kurwa? – wyrwało się Parchowi.

– Niesłychane! – zapała oburzona kobieta. – Co za parszywe chuligaństwo! Wilhelmie, usuń te plugastwa.

– Proszę o wybaczenie, ale wydaje mi się, że to mogą być erejscy żołdacy – zaoponował Wilhelm. – To nierozsądne, by...

– Wilhelmie! Natychmiast!

– Tak, pani.

Wilhelm płynnym ruchem wy dobył dwa długie noże i ruszył w naszym kierunku. Parch nadal stał jak skamieniały, wytrzeszczając oczy, ale Hiena otrząsnął się ze zdumienia i wyszedł zza lady z mieczem w dłoni. Ja nawet nie drgnąłem od momentu, gdy wszedłem do pomieszczenia. Hiena ma wiele wad, ale walka wręcz nie jest jedną z nich. Byłem przekonany, że łatwo poradzi sobie z jakimś lizusem w liberii.

Zaraz jednak zmieniłem zdanie. Wilhelm szybko udowodnił, że jest sprawnym, ale i sprytnym szermierzem, który potrafił wykorzystać przesadnie agresywny styl Hieny, by zdobyć przewagę. Pierwszego ataku żołnierza po prostu uniknął, ale drugi posłużył już mu za okazję do kontrataku. Nie próbował oczywiście parować ciosów miecza swoimi nożami, wystarczyło mu, że trzymanym w lewej ręce ostrzem zmienił nieznacznie kierunek cięcia Hieny, a prawą ręką wyprowadził uderzenie, trafiając przeciwnika w przedramię, prosto w miejsce, w którym kończyła się ukryta pod mundurem kolczuga. Trysnęła pierwsza krew i Hiena wyraźnie się wściekł. Zaczął walczyć jeszcze bardziej agresywnie, podejmując niepotrzebne ryzyko i wystawiając się na kontrataki. Dzięki regimentowej kurtce, którą nosił Hiena, nie było dla Wilhelma oczywiste, że jego przeciwnik ma na sobie kolczugę, więc dwie kontry, które zakończyły się pchnięciami w tors Hieny, zostały zmarnowane. Tym niemniej było oczywiste, że na dłuższą metę Hiena nie ma szans na zwycięstwo.

– Pomóż mu, idioto! – warknąłem na Parcha.

Ten otrząsnął się z ogłupienia, sięgnął po miecz i ruszył, by wesprzeć kompana. Wilhelm zaczął się cofać. Był cholernie dobry, ale nie na tyle, by poradzić sobie z nimi dwoma jednocześnie. Akurat w tym momencie, jak na złość, ocknął się Santolini. Ruszyłem w jego kierunku, by ponownie go ogłuszyć, ale aptekarz szybko zorientował się w sytuacji i rzucił w kierunku zaplecza. Parch, wykazując rzadką u siebie przytomność umysłu, podciął go i przewrócił na ziemię. Udało mu się jednak ponownie podnieść i puścić biegiem, zanim ja albo Parch zdołaliśmy go unieruchomić. Wpadliśmy na zaplecze za Santolinim, który zdążył już złapać palący się kaganek.

– Stójcie! – wrzasnął. – Albo wybuch wszystko!

Zawahaliśmy się.

– Sama łatwopalność w skrzyni! – zawołał. – Jeśli lampka spadnie, wszystko zniknie w dym. A teraz postawcie się w tył wolnym tempem albo

śmiertelność dla wszystkich!

Zacząłem się głowić, na ile jest prawdopodobne, że mówi prawdę. Parch natomiast nie miał w zwyczaju się zastanawiać.

– Blefujesz – orzekł i skoczył na aptekarza, wbijając mu nóż w pierś.

Ten osunął się na ziemię, a trzymany przez niego kaganek spadł prosto na otwartą skrzynię, nad którą aptekarz go unosił. Mężczyzna nie kłamał, choć wyolbrzymił nieco swoją groźbę. Płomień buchnął niemal natychmiast, obejmując całą skrzynię, Santoliniego i rękaw kurtki Parcha, a potem błyskawicznie zaczął przeskakiwać na inne skrzynie.

– Spierdalamy! – wrzasnąłem i rzuciłem się do ucieczki, a Parch pognął za mną.

Wpadliśmy z powrotem do frontowej części sklepu, gdzie Hiena, broczący już z trzech ran, i Wilhelm przerwali pojedynek, widząc nas wbiegających do pomieszczenia oraz płomień buchające za naszymi plecami. Służący upuścił na ziemię swoje noże, chwycił skonfundowaną staruszkę w ramiona i wypadł na ulicę. Parch, Hiena i ja podążyliśmy jego śladem.

Gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości, obróciliśmy się, aby zobaczyć nasze dzieło zniszczenia. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, opanował już cały sklep i robiło się coraz goręcej. Ze wszystkich stron ściągali strażnicy miejscy i zwykli mieszkańcy z wiadrami. Kilka osób wskazywało nas palcami jako sprawców zamieszania. Wilhelm, ciągle trzymający w ramionach swoją skołowaną panią, i ja wymieniliśmy długie spojrzenie.

– Nigdy się nie spotkaliśmy – powiedziałem.

Sługa skinął głową i oddalił się. W tym momencie pojawił się Liczydło, jadąc na zaprzężonym w dwa muły wozie.

– Nawet na chwilę nie można was, kurwa, z oczu spuścić! – wściekał się, patrząc na stojące w płomieniach zapasy Santoliniego. – Dosłownie na



moment się oddaliłem, żeby pożyczyć ten zasrany wóz, a wy zdołaliście sfajczyć cały budynek. I czemu, do kurwy nędzy, Hiena jest cały we krwi?!

– Długa historia – odpowiedziałem. – W każdym razie możesz już chyba zwrócić ten wóz jego właścicielowi.

– Nie ma mowy. To jedyny zysk, jaki nam zostanie z całej tej afery, zamierzam go sobie zatrzymać.

\*\*\*

Jeśli się zastanawiacie, jakie konsekwencje ponieśliśmy za wywołanie pożaru w środku miasta i spowodowanie śmierci przynajmniej jednego mieszkańca, to odpowiem krótko: żadnych. Santolini nie był specjalnie lubiany i szanowany, więc nikt się o niego nie upominał. Poza tym wilgotny klimat Caellarh nie sprzyjał rozprzestrzenianiu się pożarów, stąd ogień nie spowodował większych szkód poza apteką. Oczywiście, po mieście krążyła opowieść, że te dranie z Siódmego Regimentu spaliły cały dobytek pewnego kupca, po którym potem wszelki ślad zaginął, ale takie historie na nasz temat pojawiały się dość regularnie i jedna prawdziwa utonęła w morzu fałszywych. Nawet Nika nie suszyła mi zbyt głowę o całe to zamieszanie. Zabiliśmy sprzedawcę, ale wyciągnęliśmy od niego nazwisko dostawcy, więc z punktu widzenia kapitan było to idealnie przeprowadzone śledztwo.

W tym samym czasie pod pałacem gubernatora trwały kolejne zamieszki spowodowane przez regulacje miar i wag, więc pożar apteki zszedł na dalszy plan. To zresztą jest chyba dobry moment, żebym opowiedział wam co nieco na temat problemu, jaki Caellarh miało z systemem metrycznym.

Linie podziału między mieszkańcami tej prowincji a okupantami z Erei przecinały wszystkie aspekty życia. Jedną z bardziej palących kwestii, które zaogniały spór, był system miar i wag. Erejczycy posługiwali się nowoczesnym systemem metrycznym, podczas gdy miejscowi mierzyli wszystko według łokci, stóp oraz innych części ciała i byli z tego bardzo dumni. Do tego stopnia, że zachowanie tradycyjnego sposobu pomiarów stało się kwestią narodowej tożsamości. Lokalni sprzedawcy tkanin

posługiwali się na targu wyłącznie miarą łokcia, a gdy ktoś poprosił ich o metr jakiegoś materiału, udawali, że nie wiedzą, o co chodzi, dopóki nie wyraził swojej potrzeby w łokciach. Urzędnicy królewscy nie pozostawiali dłużni i wymagali, by we wszystkich dokumentach i rozliczeniach posługiwać się systemem metrycznym. Napięcie na tym tle rosło z dnia na dzień, a tubylcy znajdowali coraz to nowe ujścia dla swojej frustracji. W wielu miejscach można było zobaczyć na murach wypisane hasła w rodzaju: „Jebać system metryczny” i „Metrowe to są nasze chuje”.

Podczas jednej, szczególnie kreatywnej demonstracji przed pałacem gubernatora, wszyscy uczestnicy przynieśli ze sobą drewniane kije o dokładnie wymierzonej długości jednego metra i głośnymi okrzykami zasugerowali gubernatorowi, że właściwe miejsce dla tych drewnianych metrów jest w jego szanownej dupie. Ten szybko stracił cierpliwość do demonstrantów hałasujących pod jego balkonem i nakazał swojej straży pałacowej rozpędzić zgromadzenie. Ludzie urzędnika otoczyli więc demonstrujących, odebrali im metrowe kije i spuścili im nimi tęgie lanie. Liczydło, bardzo dumny ze swojego dowcipu, określił to wydarzenie mianem „metrycznego wpierdolu” i ze wszystkich sił próbował je wypromować, by weszło do powszechnego użytku. Niestety termin nie przyjął się zupełnie i nie sądzę, by „metryczny wpierdol” stanowił tytuł rozdziału jakiejś książki historycznej wydanej za kilkadziesiąt lat. Liczydło jest jednak innego zdania.

\*\*\*

Gdy już wróciłem do klasztoru z akcji w aptece, odstawiłem Hienę do lazaretu i wyznałem Nice swoje grzechy, postanowiliśmy z Liczydłem odetchnąć nieco w rezydencji Maldolinich. Po drodze zaliczyliśmy małą sprzeczkę ze strażnikiem miejskim, który nazwał go „pomiotem diabła” (nie pamiętam, czy już o tym wspominałem, ale Liczydło jest rudy, piegowaty i cholernie złośliwy, więc strażnik miał sporo racji). Kwatermistrz w odpowiedzi popisał się ciętą ripostą z gatunku: „A twoja matka się puszcza”,

co ku naszemu zaskoczeniu nie uspokoiło strażnika ani trochę. Na szczęście udało mi się zażegnać konflikt, gdy kazałem mu spierdalać pod groźbą pobicia. Ten argument przekonał go całkowicie i oddalił się w pośpiechu.

Deszcz padał dość intensywnie, więc przesiadywanie na dachu budynku nie wchodziło w grę. Tym bardziej że zadomowił się tam Szalony Yorlan, który eksperymentował z czymś, co nazywał „piorunołapem”. Wyszliśmy z założenia, że lepiej trzymać się od tego cholerstwa z daleka. Zamiast tego poszliśmy na drugie piętro rezydencji, do fioletowego pokoju. Było to moje ulubione pomieszczenie w domu Maldolinich: mały, ale przytulny pokój pełen gromadzonych od lat książek, z dwoma absurdalnie wygodnymi fotelami. Rzuciliśmy monetą i Liczydło przegrał, więc przypadło mu w udziale gorsze siedzisko – tapicerka kilka tygodni wcześniej została pocięta nożem przez Yorlana, któremu ubzdurało się, że poprzedni właściciele mogli zaszyć w obiciu jakieś kosztowności. Był to oczywiście kolejny przejaw szaleństwa alchemika. Nie tyle dlatego, że pociął fotel, by zdobyć bogactwa, ile dlatego, że zrobił to, mimo że w ogóle mu na bogactwach nie zależało.

Ledwie wraz z Liczydłem usadowiliśmy się w fotelach i wyciągnęliśmy nogi, a już znalazł nas Zielony, który najwyraźniej bardzo chciał mi złożyć raport ze swoich dokonań. Sierżant zaliczał się do nielicznej grupy rodowitych Erejczyków służących w regimencie. Wysoki, sprawny i silny, cechował się niestety również fatalnym wzrokiem, przez co nie mógł wiele zrobić bez zakładania binokli. Stanowiło to rzecz jasna spore utrudnienie na polu bitwy, ale Zielony był na tyle inteligentny i dobrze zorganizowany, że nawet gdy nic nie widział, potrafił skutecznie kierować ludźmi. Podjął w swoim życiu tylko dwie złe decyzje: po pierwsze porzucił karierę akademicką na Uniwersytecie w Vorain, by dołączyć do regimentu, a po drugie zrezygnował z jedzenia mięsa na rzecz owoców, warzyw i innego zielonego badziewia. Krótko mówiąc, Zielony był wegetarianinem lub – by użyć słów Hieny: „jebanym wegetacjonistą”.

– Ja w sprawie Finnehana – odezwał się Zielony, wchodząc do fioletowego pokoju. Rzucił szybkie spojrzenie na Liczydłę, jakby nie był pewien, czy może mówić przy nim.

– Proszę, kontynuuj – powiedział kwatermistrz wielkodusznie.

Zielony przeniósł jeszcze bardziej skonfundowane spojrzenie na mnie, a ja dałem mu znak, by mówił dalej.

– Erlorn Finnehan, syn Nirkina Finnehana – zaczął recytować. – Kupiec specjalizujący się w obrocie rzadkimi przyprawami, antykami, dziełami sztuki i innymi dobrami luksusowymi. Najbardziej dochodową z jego działalności jest sprowadzanie mebli, rzeźb i ceramiki z Górnymi Granicznymi z zamiarem sprzedaży w Erei. Zatrudnia od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu ludzi, którzy regularnie prowadzą karawany handlowe za Góry i z powrotem. Sam Finnehan nigdy w życiu nie opuścił Dhurceath, prowadzi swoją działalność z biurka. W samym mieście posiada dwa sklepy i cztery magazyny. Oprócz tego ma również sporo innych nieruchomości, w tym rodzinną rezydencję, w której mieszka, oraz budynek przy ulicy Kołowej.

– Zależałoby mi na audyencji u czcigodnego kupca Finnehana. Jak można zaaranżować takie wydarzenie?

– Zgarnąłem jednego z jego służących i przesłuchałem. Nie trzeba go nawet było specjalnie naciskać, opowieści o podziemiach klasztoru przy Rzeczej, które słyszał w ostatnich miesiącach, rozwiązały mu język. Powiedział mi, że Finnehan zatrudnia w swojej rezydencji dziewięciu strażników, którzy rotują się w trzyosobowych zmianach, każdy odpowiada za jedno piętro. Oprócz tego kupiec ma dwunastu służących, ale tylko czwórka z nich spędza noc w rezydencji. Śpią w piwnicy i mają zakaz wychodzenia na parter od zmierzchu do świtu pod karą batów. Finnehan nie ma żony ani dzieci, ma za to wiele kochanek, ale żadna z nich nie będzie spała w rezydencji dziś w nocy.

– Świetna robota, Zielony.

– To nie wszystko. – Zielony zrzucił maskę służbisty i jego twarz ujawniła, że jest diabelnie zadowolony z siebie. – Pomyślałem, że dobrze byłoby wzmocnić trochę twoją pozycję w negocjacjach z Finnehanem, więc wysłałem Derecha i Winona z pochodniami do jednego z jego magazynów. Dziś wieczorem dostanie wiadomość, że stracił budynek wraz z zapasem towarów. Kiedy go odwiedzisz, będziesz mógł mu powiedzieć, komu powinien za to dziękować.

– Wykazałeś się inicjatywą – pochwaliłem go. – To mi się podoba.

– Tak, jeśli dalej będziesz tak ochoczo palił magazyny miejscowych kupców, to daleko zajdziesz w naszej jednostce – zachichotał Liczydło. – Pułkownik słynie z tego, że ma słabość do podpalaczy.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziałem do Zielonego. – Dobrze się spisałeś, teraz moja kolej. Znajdź Ferrego i powiedz mu, że ma się do mnie zgłosić przed zmierzchem. W nocy pójdziemy odwiedzić Finnehana i damy mu parę rad na temat ochrony mienia.

\*\*\*

Bardowie nie będą raczej śpiewać pieśni o naszym wtargnięciu do rezydencji Finnehana. Trzech kiepsko opłacanych, przysypiających na nocnej warcie strażników nie stanowiło żadnego wyzwania dla Ferrego, który unieszkodliwił ich bez większego wysiłku i ułożył obok siebie w piwnicy jak worki ziemniaków.

Dzięki wywiadowi przeprowadzonemu przez Zielonego wiedzieliśmy dokładnie, gdzie mieści się komnata sypialna Finnehana. Kupiec rzecz jasna nie ufał za grosz swojej służbie, więc drzwi były zamknięte na klucz. Z zamkiem poradziłem sobie w stary, sprawdzony sposób: podjąłem dwie niezgrabne próby samodzielnego otwarcia, które zakończyły się w obu przypadkach upuszczeniem wytrycha z brzękiem na podłogę, a następnie wymamrotałem coś o wadliwym zamku i partackiej robocie, aż wreszcie poddałem się i kazałem Ferremu tym zająć. Były baron (na około osiemdziesiąt siedem procent oceniam prawdopodobieństwo, że został

wydziedziczony) otworzył drzwi bez żadnego wysiłku i znaleźliśmy się w komnacie Finnehana, gdzie zobaczyliśmy nasz cel śpiący głęboko na ogromnym łożu pod aksamitną narzutą.

Zamknęliśmy drzwi i wychodzące na ulicę okna, które następnie zasłoniliśmy kotarami. To odcięło dopływ księżycowego światła, które dotąd oświetlało komnatę, więc zapaliłem kaganek. Następnie zadbałem o zrobienie odpowiedniego wrażenia: przysunąłem sobie krzesło i ustawiłem je tak, żeby dobrze widzieć Finnehana, ale żeby i on dobrze widział mnie, i ułożyłem się w pozie demonstrującej (przynajmniej w moim mniemaniu) absolutną pewność siebie i kontrolę nad sytuacją. Podwinąłem również prawy rękaw, żeby kupiec na pewno zauważył tatuaż z godłem regimentu na moim przedramieniu. Kiedy byłem już gotowy, dałem znak i Ferre trzasnął śpiącego otwartą dłońią w twarz.

Finnehan obudził się gwałtownie i wrzasnął z zaskoczenia. Zobaczył nas i zerwał się do ucieczki, ale jego nogi zaplątały się w kołdrę i z hukiem upadł na podłogę. Ferre spokojnie okrążył łóżko, podszedł do niego i ponownie go uderzył, tym razem pięścią. Kupiec zaczął wrzeszczeć, więc mój ochroniarz unieruchomił go mocnym chwytem i wepchnął mu kawałek tkaniny do ust, a potem zmusił do wstania, wykręcając mu rękę, tak że o mało nie wyrwał jej ze stawu. Mężczyzna zrezygnował ostatecznie z jakiegokolwiek oporu i poddał się władzy Ferrego. Przez cały ten czas ja nawet nie drgnąłem, pozostając w wystudiowanej niedbalej pozie na krześle.

– Nie zajmę panu dużo czasu, panie Finnehan – zacząłem. – To będzie krótka rozmowa, tym niemniej wolałbym ją przeprowadzić w cywilizowany sposób. Za chwilę mój towarzysz wyjmie tę szmatę z pana ust. Proszę, żeby pan nie krzyczał. Nie dlatego, że boimy się, że sprowadzi to pomoc. Bądźmy szczerzy, nikt nie przybiegnie na ratunek. Zakneblowaliśmy pana tylko i wyłącznie z troski o własne uszy. Za chwilę ten knebel wyjmemy i odtąd wszystkie wrzaski będą karane ciosem w splot słoneczny. Czy jak dotąd wszystko jest dla pana jasne?

Finnehan pokiwał zdecydowanie głową. Dałem Ferremu znak i wyciągnął zwiniętą tkaninę spomiędzy zębów kupca, który zaczął szybko oddychać przez usta, ale nic nie powiedział.

– Doskonale – kontynuowałem. – Możemy przejść dalej. Najpierw powiem, czego chcemy, a potem wyjaśnię, dlaczego nie ma pan innego wyboru, jak tylko nam to dać. Na koniec będzie trochę czasu na pańskie pytania, zastrzeżenia i błagania o zlitowanie, które całkowicie zignorujemy. A więc, czego chcemy? Zachowania bieżącego stanu rzeczy. Konkretnie chcemy, żeby burdel z ulicy Kołowej został tam, gdzie się znajduje. Budynek, w którym się mieści, ma pozostać wynajmowany przez obecne lokatorki po obecnej cenie tak długo, jak tego zechcą. Dlaczego niemądrze byłoby sprzeciwić się naszym życzeniom? Po pierwsze, jeśli weszliśmy tutaj raz, to wejdziemy ponownie, jeśli będziemy chcieli. Po drugie, proszę spojrzeć na moją prawą rękę. Czy ten tatuaż wzbudza jakieś skojarzenia? Dobrze. Po trzecie, dzisiaj wieczorem, przed położeniem się spać, otrzymał pan złe wieści, prawda? Ten pożar magazynu? Straszna sprawa. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby jakimś przedziwnym trafem inne należące do pana magazyny również stanęły w ogniu.

Przerwałem i dałem Finnehanowi chwilę na przetrwanie tych informacji. Nie szło mu to chyba najlepiej, ale trudno go winić. Komu by się dobrze myślało, gdyby został brutalnie obudzony w środku nocy?

– Z mojej strony to tyle – powiedziałem. – Czy ma pan jakieś pytania?

– Dlaczego to robicie? – jęknął Finnehan.

– Przepraszam, chyba nie wyraziłem się dość jasno. Czy ma pan jakieś niegłupie pytania?

Zastanowił się przez chwilę. Mądre posunięcie z jego strony.

– Czyli wszystko, czego ode mnie oczekujecie, to pozwolenie burdelowi na korzystanie z budynku na Kołowej?

– Dokładnie tak, cieszę się, że tak dobrze się zrozumieliśmy. – Rozpromieniłem się. – Mamy jednak dość kapryśną naturę... Może się

zdarzyć, że za jakiś czas będziemy chcieli czegoś zupełnie innego. Albo wręcz czegoś przeciwnego do tego, czego chcemy teraz. Zapewniam jednak, że gdyby do tego doszło, w odpowiednim czasie jasno zakomunikujemy swoje potrzeby i poprzemy je odpowiednimi argumentami.

– Tak, tak... Oczywiście. Czego tylko potrzeba.

– Świetnie. Naprawdę udało nam się dojść do porozumienia szybciej, niż się spodziewałem. Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musieli tu wracać, żeby przypomnieć o naszej umowie...

Finnehan gwałtownie pokręcił głową. Rzuciłem Ferremu wymowne spojrzenie i po chwili kupiec leżał już na podłodze ogłuszony ciosem w głowę. To była produktywna rozmowa, ale czas nas gonił, więc zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Zanim jednak opuściliśmy rezydencję, zajrzałem jeszcze do jadalni i przejrzałem kolekcję zgromadzonych tam trunków. Po krótkim namyśle zdecydowałem się na karafkę koniaku. Na ścianie naczynia można było dostrzec wyraźne „F”, oznaczające ród Finnehanów. Nie miałem wątpliwości, że Arai doceni taki podarunek.

\*\*\*

Postanowiłem odczekać dwa dni, zanim udam się na spotkanie z Arai, żeby upewnić się, że Finnehan faktycznie został skutecznie zastraszony i nie szykuje żadnej niespodzianki. Poza tym pogoda niespecjalnie zachęcała do wychodzenia na zewnątrz. Pory roku w Caellarh dzielą się na deszczowe i bardzo deszczowe, a mieliśmy akurat środek lata, które było najgorsze ze wszystkich. Przez całe dwa dni nie robiłem więc absolutnie nic poza czytaniem książek ze zbioru Mandolinich w fioletowym pokoju i okazjonalnym wypytywaniem sierżantów, czy nikt z mojej kompanii nie dał się zabić. Wreszcie trzeciego dnia zmobilizowałem się do działania, wziąłem ze sobą Winona i Parcha jako obstawę i wyszedłem na zabłocone ulice z karafką w torbie.

Udało nam się bez przeszkód dotrzeć na Kołową, mimo że Parch najwyraźniej złożył jakieś śluby, które obligowały go do prowokowania



każdego mijanego przechodnia. Początkowo zamierzałem zostawić moich ochroniarzy na zewnątrz, ale odkąd Hiena znalazł się w lazarecie, Parch był w tak paskudnym nastroju, że nie obyłyby się bez rozlewu krwi, gdyby został bez nadzoru na ulicy, gdzie mógłby prowokować przechodniów. Weszliśmy więc we trzech do burdelu, gdzie burkliwie przywitał nas zaspany wykidajło, najwyraźniej następca Guira.

– Pani czeka na górze – mruknął, wskazując na schody, i wrócił do swojego posterunku przy drzwiach.

Posadziłem Winona i Parcha na jednej z kolorowo obitych, wygodnych kanap w głównej sali, a potem udałem się na górę do pokoju, w którym urzędowała Arai. Rozpromieniła się w zniewalającym uśmiechu, gdy postawiłem na jej biurku karafkę zabraną z domu kupca.

– Och, dziękuję, Is. To doprawdy wspaniały prezent. Tak się dziwnie składa, że wczoraj odwiedził mnie jeden z ludzi Finnehana i poinformował, że jego mocodawca zmienił zdanie w sprawie naszej ewikcji. Nie wiesz przypadkiem, co przekonało szanownego kupca?

– Nie mam pojęcia. Nie wątpię jednak, że ktokolwiek z nim rozmawiał, przedstawił mu bardzo przekonujące argumenty.

– Skoro o mowa o zagadkowych zdarzeniach... Podobno parę dni temu spłonęła apteka Vidala Santoliniego. Plotka głosi, że Siódmy Regiment miał z tym coś wspólnego.

– Ja słyszałem inną interesującą plotkę. Podobno ten biedak, zanim spotkał go jakże tragiczny koniec w pożarze własnej apteki, ujawnił nazwisko swojego dostawcy. Czy obito ci się może o uszy nazwisko Mahoc Vivalo?

Arai otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła dwa kieliszki.

– Nacieszmy się wczorajszym sukcesem, zanim zaczniemy robić plany na jutro – powiedziała, nalewając koniak Finnehana do kieliszków. – Czy wiesz, Is, co jest największym problemem, z jakim borykam się w mojej branży?

– Rzeźączka? – odparłem bez namysłu.

Zrobiła oburzoną minę.

– Ależ skąd. Alchemia rozwiązała ten problem dawno temu. Tylko burdele najniższej jakości, które nie chcą zainwestować w odpowiednią opiekę, ciągle stanowią siedlisko chorób wenerycznych.

– Cóż to więc za problem, który cię prześladowuje?

– Konkurencja. – Arai podała mi kieliszek. – Is, miałeś okazję zwiedzić mój przybytek i wiesz, że prowadzę lokal najwyższej klasy. Elegancki wystrój, pełna dyskrecja i profesjonalizm, a także ochrona alchemiczna na najwyższym poziomie. Szeroki zakres oferowanych usług, o czym miałeś okazję się przekonać, gdy przechodziliście przez piwnice. Oczywiście, wysoki poziom oznacza wysokie koszty, przez co tracę wielu klientów na rzecz znacznie gorszej i znacznie tańszej konkurencji.

– Chyba już wiem, do czego zmierza ta rozmowa.

– Byłabym bardzo zawiedziona, gdyby było inaczej.

Zamilkliśmy na chwilę, delektując się koniakiem, który był naprawdę wyborny. Będę chyba musiał odwiedzić Finnehana ponownie, tym razem tylko po to, żeby opróżnić jego barek.

– To który burdel mam spalić? – spytałem.

– *Pod Pączkiem Róży.*

– Może mi być trochę ciężko przekonać chłopaków do tej akcji... – powiedziałem z wahaniem. – Wielu ludzi z mojej kompanii to stali klienci *Pączka*.

Arai spiorunowała mnie wzrokiem, utwierdzając w przekonaniu, że dobrze zrobiłem, nie przyznając się, że sam wielokrotnie odwiedzałem *Pączka*.

– Zrobisz im tylko przysługę, paląc to siedlisko chorób – powiedziała ze złością. – To miejska centrala rzeźączki.

Wiedziałem o tym aż za dobrze. Po wizytach w *Pączku* musiałem już dwukrotnie podjąć straszliwe ryzyko, jakim jest proszenie Yorlana o pomoc

w rozwiązaniu problemu natury medycznej. Nasz alchemik ma paskudny zwyczaj informowania o efektach ubocznych dopiero po tym, jak wypijesz spreparowaną przez niego miksturę.

– Nie chodzi tylko o konkurencję – oznajmiła nagle Arai.

– Nie?

– Klienci Pączka nie są bogaci. Dziwki, które tam pracują – tym bardziej. Za to właściciele... Ten interes nie należy do jakiegoś zawszonego alfonsa, lecz ma grono akcjonariuszy, którzy spędzają swój czas na podwieczorkach u gubernatora i grach karcianych w rezydencji van Dorren. Oni podejmują decyzje, kalkulując marżę operacyjną i zwrot z inwestycji. Dlatego wykwalifikowany alchemik nigdy nie postawił tam nogi. Dlatego ich wyzyskiwane pracownice rozkładają nogi na brudnych, zapchlonych siennikach. Te przeklęte pijawki pasą się na...

– Mam podłożyć tam ogień, gdy właściciele będą w budynku?

– Nie bądź śmieszny. Oni nigdy tam nie bywają. Kiedy ci ludzie chcą sobie pociupciać, nie przychodzą do meliny takiej jak Pączek.

– „Prowadź taki burdel, w którym sama chciałabyś się pieprzyć”.

– Łamię świętą zasadę.

Zawahałem się na moment.

– Nie sądzę, żeby było możliwe spalenie budynku bez żadnych strat w... personelu.

– Trudno.

– Myślałem, że chodzi o zaprzestanie wyzysku. Nie o spalenie wyzyskiwanych...

Twarz Arai nie wyrażała niczego.

– Zmiana na lepsze dokonuje się przez zniszczenie skorumpowanych, przegniłych instytucji. Przez sabotaż interesów. Przez pozbawienie tych u władzy poczucia bezpieczeństwa. Ta walka rozgrywa się na poziomie struktur, nie ludzi. Świat można zmienić tylko w skali makro. Skupianie się na indywidualnych losach oznacza upadek idei.

– Rozmawiamy o zmienianiu świata czy paleniu burdeli? Bo połączenie między jednym a drugim nie jest dla mnie oczywiste.

– Kiedy król każe mordować i palić, to ostrzysz miecz i krzeszesz ogień na zawołanie. A teraz będziesz badać moje motywy? Kwestionować idee? Ty, który nie masz innej ambicji, jak tylko być użytecznym narzędziem?

Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, wyglądała, jakby miała stracić nad sobą panowanie. A ja nie miałem nic do powiedzenia. Niepotrzebnie wdałem się w tę dyskusję. Przyszedłem tu tylko po to, żeby dobić targu.

– Narzędzie robi, co do niego należy. Ale w zamian chcę Mahoca Vivała...

– Dostaniesz go na srebrnej tacy.

– ...i kogoś jeszcze.

– Słucham.

– Nie znam jego nazwiska. Na imię ma Wilhelm. Wysoki chudzielec, w służbie jakiegoś starego rodu magnackiego. Nosi zielono-czarną liberię.

– Zlikwiduj Pączka, to powiem ci, co wiem na jego temat. A kiedy się następnym razem spotkamy, będę wiedziała o nim wszystko.

Dopiłem swój koniak i już miałem wstać, gdy Arai zapytała:

– Skąd się wzięła nazwa Siódmy Regiment? Czy to znaczy, że było wcześniej sześć najemnych regimentów, które dały się wytłuc do nogi?

– Drwiesz, a tymczasem kryje się za tym bardzo inspirująca historia.

– Doprawdy?

– O tak. Gdy ją usłyszysz, pożałujesz swego kpiącego tonu. – Poprawiłem się na krześle i nabrałem tchu, po czym zacząłem opowiadać: – Nasze korzenie sięgają mrocznych czasów, które ogarnęły królestwo dwie dekady temu i wstrząsnęły w posadach tą wspaniałą ziemią. Wówczas to panowanie światłego i sprawiedliwego króla zostało zagrożone przez podstępny spisek uknuty przez podłego, wampirycznego barona de Lettre. W najczarniejszej godzinie królestwa monarcha został odcięty od swoich sojuszników i zmuszony do walki z przeważającymi siłami barona. Gdy wroga armia

rozwijała swe imponujące flanki, doradcy króla nawoływali go, by ratował życie, wskazując na jego żalosne siły, które liczyły tylko sześć regimentów. Wtem jednak odezwał się nowy głos: „Nie sześć, a siedem!”. I oto na horyzoncie pojawiły się...

Arai, która dotąd słuchała z przymrużonymi oczami, przerwała mi:

– Wampiryczny baron, Is?

– Tak. Wredna, podstępna kreatura.

– Wampiryczny baron? – powtórzyła Arai, chichocząc pod nosem.

– Nawet sobie nie wyobrażasz rozmiarów jego podłości.

– Wampiryczny? Pierwszy raz słyszę taki przymiotnik w odniesieniu do osoby.

– Bo i baron de Lettre był jedyny w swoim rodzaju.

– Z powodu niezwykle wysokiego stopnia wampiryczności? – Tym razem Arai już otwarcie wybuchła śmiechem.

– Niech ci będzie, zmyśliłem całą tę historię na poczekaniu – przyznałem niechętnie.

– Wampiryczny baron?

– Spanikowałem!

Arai potrzebowała chwili, by się uspokoić. Wreszcie odezwała się leniwym głosem:

– Dotarła ostatnio do moich uszu informacja, która mogłaby cię zainteresować. Wymieniłabym ją za opowieść o pochodzeniu nazwy Siódmego Regimentu. Dla odmiany za tę prawdziwą wersję. Nie za wygładzoną legendę zapisaną w waszych kronikach. I zdecydowanie nie za kolejną absurdalną improwizację w twoim wykonaniu.

– Czego dotyczy ta informacja?

– Chodzą słuchy, że na rynku pojawił się nowy producent wody święconej. Te słuchy, które do mnie dotarły, były bardzo obfite w szczegóły. Do tego stopnia, że znam dokładny adres owego producenta.

– I zamieniłabyś coś tak cennego na historię o nazwie najemnej bandy?

- Cóż mogę powiedzieć? Siódmy Regiment pobudza moją ciekawość.
- To nie jest ciekawa historia. Właściwie to jest nawet trochę żenująca...
- Na to właśnie liczę.
- W zamian dowiem się, gdzie bije źródło wody święconej?
- Równa wymiana.

– Proszę bardzo – odchrząknąłem, czując się nad wyraz głupio. – Historia Siódmego Regimentu zaczęła się krótko po Wojnie Kontynentalnej, gdy po podpisaniu pokoju w Vesthaalen ogromne rzesze wojska zostały nagle zwolnione ze służby i nie miały co ze sobą zrobić. Zabrały się więc do tego, co znały najlepiej – plądrowania wsi i małych, kiepsko bronionych miasteczek. Sytuacja na terenach przygranicznych stała się na tyle krytyczna, że regularna armia otrzymała rozkaz traktowania każdej większej uzbrojonej grupy niebędącej w aktywnej służbie jako wrogiego najeźdźcę. Innymi słowy, jeśli kompania wojska napotykała gromadę obdartych, zdemobilizowanych weteranów wracających z wojaczki, to wyrzynała ich w pień, ot, tak dla pewności i spokoju umysłu.

– Jak w tę sielankę wpisuje się Siódmy Regiment?

– Nasz obecny dowódca, Gerard, był oficerem królewskiej armii podczas wojny i po Vesthaalen zebrał wokół siebie grupę co bardziej kompetentnych i zdyscyplinowanych ludzi, by sformować kompanię najemników i poprowadzić ich na nowe pola bitew. Kiedy jednak maszerowali przez zniszczone pogranicze, napatoczyli się na spory oddział regularnego wojska. Ich dowódca był na tyle litościwy, że otoczywszy weteranów, zadał Gerardowi kilka pytań, zamiast od razu zacząć rąbać, jak nakazywała przyjęta praktyka. Nasz pułkownik bezbłędnie wcielił się w rolę raportującego oficera i zdał tamtemu meldunek, według którego jego jednostka, należąca oczywiście do królewskiej armii, starła się z hordą maruderów plądrujących okolicę i teraz, wyczerpana zacieklą walką, wracała z tarczą do obozu. Wielu ludzi Gerarda ciągle nosiło stare mundury armii królewskiej jeszcze z czasów Wojny Kontynentalnej, a on sam robił bardzo

przekonujące wrażenie, więc dowódca królewskich miał trudności z podjęciem decyzji. Zapytał jeszcze Gerarda, do którego regimentu należy jego jednostka. Ten zaimprovizował bez wahania: „Jesteśmy z Siódmego Regimentu, panie kapitanie!”

– I to jest cała historia?

– Ostrzegałem, że jest kiepska. Mam jeszcze ciąg dalszy: kapitan był nadal podejrzliwie nastawiony, ale postanowił odprowadzić oddział Gerarda do kwatery głównej, gdzie zamierzał na kogoś innego przerzucić problem zweryfikowania prawdziwości ich twierdzeń. Jak się okazało, Gerard miał szczęście i prawdziwy Siódmy Regiment wymaszerował z obozu tydzień wcześniej, po czym słuch po nim zaginął. Wszyscy więc bez zastrzeżeń przyjęli wyjaśnienia naszego dowódcy, który nie tylko kłamał jak natchniony, ale jeszcze zdołał błyskawicznie nauczyć jednej i tej samej wersji wydarzeń cały swój oddział.

– Czyli wasz mit założycielski sprowadza się do bezczelnego kłamstwa?

– Przyznaj, że przypadkowa zbieranina obdartych wiarusów, kłamiąca jednym głosem w samym sercu wrogo nastawionej armii, robi na tobie pewne wrażenie.

– Przyznam, że wymaga to pewnych umiejętności.

– Bardzo pomogło nam to, że pułkownik Vittchensen, prawdziwy dowódca Siódmego Regimentu, był strasznym skurwysynem i niewielu oficerów żałowało jego straty. Ba, większość nawet podejrzewała, że Gerard sam go zabił, by przejąć dowództwo, i bynajmniej nie mieli mu tego za złe. Przeciwnie: oddział dostał nowe mundury, całkiem przyzwoite żarcie i zakwaterowanie, a nasz dowódca upijał się co wieczór na koszt zachwyconych wrogów Vittchensena. Trwało to dopóty, dopóki nie usłyszał przypadkiem plotki, według której zaginiony pułkownik nadal żyje i zmierza z powrotem do obozu z mocno przetrzebionym, ale nadal istniejącym regimentem. Tej samej nocy Gerard wyprowadził oddział z obozu pod osłoną nocy i przez kilka miesięcy uciekali na Południe, nie

ogłądając się za siebie. Wszędzie jednak przedstawiali się jako Siódmy Regiment, zmierzający ze specjalną misją na drugi koniec królestwa.

– Doprawdy heroiczna epopeja.

Wzruszyłem ramionami.

– To co z tym ukrytym laboratorium, produkującym wodę święconą?

Arai westchnęła ciężko.

– Nie odpuszczisz tego? No cóż, zasłużyłeś na nagrodę.

– Więc?

– Na wzgórzu położonym trzy mile na północ od Bramy Królewskiej znajduje się stara, opuszczona wieża strażnicza. Znasz to miejsce?

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Tak, chyba wiem, o czym mówisz.

– Przez długi czas stała pusta, pomijając obecność włóczęgów i drobnych złodziejasków, ale ostatnio wprowadziła się tam poważniejsza ekipa, a ruch wokół wieży stał się nagle znacznie bardziej zorganizowany. Jak na opuszczoną ruinę zatrzymuje się tam wiele wozów wyładowanych po brzegi i równie wiele wozów wyjeżdża stamtąd regularnie z ładunkami przewożonymi do magazynów w mieście. Co ciekawe, cała ta intensywna aktywność odbywa się wyłącznie w nocy i pod silną ochroną uzbrojonych osiłków. Szczególnie interesująca dla ciebie będzie kadra kierownicza tego przedsięwzięcia. Na jej czele stoi pewien paskudny, wampiryczny baron...

– Obyś spłonęła w piekle.

Arai wyszczerzyła w uśmiechu idealnie białe zęby.

– Historyjka za historyjkę. Równa wymiana, tak jak obiecywałam.

– Nie ma żadnej fabryki wody święconej, prawda?

– Nie ma.

– A jeśli pojedę do tej wieży, znajdę tam tylko mysie bobki i pijanych czeladników?

– Nie sądzę, żeby myszy zapuszczały się w tak nieprzyjemną okolicę. Mają pewne standardy.



Gdy zszedłem po schodach, zobaczyłem Winona i Parcha siedzących doskonale prosto, dokładnie w tym samym miejscu, w którym ich zostawiłem. To od razu wzbudziło moje podejrzenia, nie wierzyłem ani trochę, że ci dwaj byli w stanie wysiedzieć bez ruchu przez tyle czasu. Jedyne pytanie brzmiało: jak bardzo narozrabiali? Dałem im znak, by podeszli, i wtedy zauważyłem, że Parch utyka lekko, a lewa strona twarzy Winona jest zaczerwieniona, jakby ktoś go uderzył otwartą dłonią. Nagle zdałem też sobie sprawę, że dywan na podłodze głównej sali został wymieniony od czasu mojego ostatniego pobytu tutaj, a kotara zasłaniająca przejście do sąsiedniego pomieszczenia w kilku miejscach była rozcięta nożem. Ruszyłem ku wyjściu, gryząc się w język. Zdecydowanie nie chciałem wiedzieć, co tu się działo, gdy byłem na górze.

\*\*\*

Gdy wróciliśmy do klasztoru przy Rzeczej, tuż przy wejściu wpadłem na Ouangę. Nie wyglądał najlepiej, miał spuchniętą twarz, a jego prawe ramię było owinięte przesiąkniętym krwią bandażem.

– Wyglądasz paskudnie, Ouanga – dałem dowód spostrzegawczości. – Co ci się stało?

– Ifryt się, kurwa, stał – odparł wściekle. – Skurwiel dał nam namiary na kryjówkę buntowników, ale zapomniał powiedzieć, że dał taki sam cynk Straży Miejskiej. Wpadliśmy w środku nocy do wskazanego budynku i wpakowaliśmy się prosto na strażników, którzy przeszukiwali pomieszczenie. W ciemności nie widać barw, więc zaczęliśmy się napierdalać, i straciłem dwóch ludzi, zanim zorientowaliśmy się, z kim walczyliśmy. A wiesz, co jest, kurwa, najgorsze?

– Słucham z niecierpliwością.

– Pierdolonych buntowników już tam nie było. Ktoś ich musiał uprzedzić. Albo ten kutas Ifryt, o którym przecież wiemy, że donosi obu stronom, albo ci jebani strażnicy, którzy sami są buntownikami w przebraniach. Pewnie pierwsi dotarli do kryjówki, pozwolili uciec

rebeliantom, a potem kręcili się po okolicy, żeby sprawiać wrażenie, że prowadzą jakieś śledztwo. Is, słyszałeś kiedyś o takiej kretyńskiej akcji? Jesteśmy jak pierdolone dzieci we mgle, wszyscy wokół tylko kombinują, jak nas wydymać, a my biegamy po ciemnym pokoju i uderzamy ryjem w meble.

– To faktycznie idealna metafora służby w Caellarh.

– Weź tę metaforę i wsadź ją sobie w dupę, Is.

Zostawiłem Ouangę sam na sam z jego paskudnym humorem i ruszyłem dalej w kierunku swojej celi. Po drodze usłyszałem na jednego z moich sierżantów, Cefela, który opieprzał właśnie grupę żołnierzy.

– Nuogo, latryna jest zasrana od ziemi aż po niebo. Zapierdalaj do sprzątnania!

– Dlaczego ja? – obruszył się szeregowy. – To dlatego, że jestem czarny, prawda?

– Gówno prawda. Nie jestem rasistą, traktuję wszystkich ludzi równorzędnie źle. Derech, w imię równouprawnienia rasowego pójdiesz sprzątać sracz razem z nim.

Derech zaczął obrzucać Nuogo wyzwiskami, słusznie obwiniając go za swój nowy, paskudny przydział. Tamten błyskał na lewo i prawo swoimi białymi zębami, zadowolony jak cholera.

– Czy to nie piękny widok? – rozmarzył się Cefel. – Biali i czarni wspólnie pracujący na rzecz czystego sracza.

Uśmiechnąłem się lekko, zadowolony, że pomimo ośmiu miesięcy w tej dziurze moja kompania nie straciła nic ze swojego ducha, i poszedłem do siebie. Cella wyglądała niemal tak samo jak wtedy, gdy zajmował ją poprzedni lokator – podstarzały mnich z klasztoru. Łóżko, mała szafka i kaganek. No i oczywiście stos woluminów ustawiony koło ściany. Właściwie jedyne, co się zmieniło, to tematyka książek. Jak się domyślacie, w mojej biblioteczkę problematyka religijna przewijała się dość rzadko.

Akurat w tym momencie stanowiło to wadę, bo właśnie na religii miałem się skupić. W ostatnich dniach działo się dość dużo i nie miałem zupełnie czasu na zbadanie sprawy wspomnianego przez Varaka tekstu *O powstaniu monstra*. Teoretycznie Nika zajmowała się osobiście wszystkimi kwestiami choćby luźno związanymi z Kręgiem, ale tu chodziło o znalezienie starożytnego manuskryptu, co wymagało przeszukiwania bibliotek i wypytywania uczonych. Źródła informacji, do których kapitan była przyzwyczajona, jej wywiadowcza siatka szpiegów i donosicieli, w tym przypadku były bezużyteczne.

Nie mając pomysłu, gdzie zacząć poszukiwania, postanowiłem poradzić się Yorlana, choć liczyłem się z dużym prawdopodobieństwem, że przyjdzie mi tego pożałować. Kiedy dotarłem pod drzwi jego pracowni, zastałem tam jakiegoś młodzika z kompanii A, trzymającego się za krocze i wołającego błagalnym tonem:

– Dłużej nie wytrzymam tego pieczenia! Koledzy mówili, że po twoich medykamentach im przeszło! Proszę!

– Nie mam czasu na głupoty – odkrzyknął alchemik przez zamknięte drzwi.

Wyminąłem młodzika, nacisnąłem klamkę i zajrzałem do środka. Yorlan stał na środku swojej pracowni, trzymając za ogon wściekle wijącą się wiewiórkę i wrzeszcząc:

– Nie, nie menisk wypukły!

Zamknąłem drzwi i odwróciłem się.

– Chyba będzie lepiej, jeśli wrócisz później.

– Ma kiepski dzień?

– Nie, to dość standardowe zachowanie. Ale lepiej mu teraz nie przeszkadzać.

Chłopak zagryzł wargi i przez moment wyglądał, jakby miał się rozpłakać, ale po dłuższej chwili odwrócił się i umknął w głąb korytarza.

– Poszedł sobie? – dobiegło mnie pytanie.

– Tak – odpowiedziałem, wchodząc do pracowni. W środku Yorlan stał w tej samej pozycji, trzymając w ręku już tylko sam ogon wiewiórki. – O co chodziło z tym meniskiem?

– Nie mam pojęcia. Zmyśliłem to na poczekaniu, żeby wyglądało, że jestem zajęty.

– A gdzie się podziała reszta wiewiórki?

– Mam na ten temat dwadzieścia dwie hipotezy. Zacznę je zaraz weryfikować, chyba że masz dla mnie coś ciekawszego do roboty.

– Miałem zamiar poszukać informacji na temat Kręgu. A konkretnie zlokalizować manuskrypt *O powstaniu monstra*.

– Hm... To mi przypomina, że miałem odwiedzić jednego znajomego w mieście. Może będzie w stanie coś doradzić w tym zakresie. To całkiem bystry, demoniczny antykwariusz.

– Chcesz powiedzieć: diabelsko inteligentny?

– Och nie, to by była przesada. Jest raczej przeciętnej inteligencji jak na demona.

– Demona?

– Tak. Demona, który przybrał ludzkie ciało, żeby prowadzić antykwariat.

– Mam w związku z tym bardzo dużo pytań.

– O?

– Demon może przybrać ludzkie ciało?

– Oczywiście, jakżeby inaczej miał prowadzić antykwariat? W swej oryginalnej postaci odstraszyłby wszystkich klientów. Nie mówiąc już o szkodach, jakie ognie piekielne wyrządziłyby książkom.

– A skąd ty wiesz o...

– Inne pytania możesz mi zadać po drodze. A najlepiej zadać je samemu zainteresowanemu, to straszny gaduła. Tylko ostrzegam, jak zacnie paplać o sobie, ciężko go zatrzymać. Wszystkie pytania stawiasz na własną odpowiedzialność. No, chodźmy już.

– Czy Nika nie zakazywała czasem...

Yorlan opuścił już jednak celę i zbiegał schodami prowadzącymi na klasztorny dziedziniec. Podążyłem za nim, ale nie dał się zatrzymać i wkrótce potem staliśmy już pod drzwiami zapyziałego sklepiku w jednej z biedniejszych dzielnic miasta. Zostawiwszy naszą obstawę (Hiena, Parch i Ugh) na zewnątrz, weszliśmy do środka, gdzie powitał nas sympatyczny staruszek, którego głowa ledwo wystawała nad ladę, za którą stał. W pomieszczeniu, oprócz wspomnianej lady i staruszka oraz dwóch zabrudzonych okien, nie znajdowało się nic więcej poza ogromnymi stosami grubych, niebywale starych tomiszczy.

– Witam miłośników wiedzy! Oho, czyż to nie znamienity alchemik Yorlan zaszczyił moje progi? Cieszę się niezmiernie. Jakże miło mi poznać również jego znamienitego towarzysza, męża nauki i wielkiej światłości, nie wątpię. – Wyciągnął do mnie rękę na powitanie. – Doktor Tsuaf Belzebub, do usług. Przyjaciele mówią na mnie Bub, a wy, drodzy przybysze, jako miłośnicy książek jesteście dla mnie przyjaciółmi.

– Is Norgaard. – Uścisnąłem mu dłoń. – Miło cię poznać... Bub.

– Czy mogę zaproponować jakąś przekąskę? Ja osobiście nie jadam, rozumiecie sami, ze względów ezoterycznych, ale zawsze trzymam sute zapasy, by godnie ugościć poszukiwaczy wiedzy.

– Dziękujemy, nie trzeba.

– Ach tak, rozumiem. Inny głód was przecież tutaj sprowadza, głód wiedzy!

– Można tak powiedzieć – mruknąłem i wypaliłem niepotrzebnie: – Szczerze mówiąc, inaczej sobie wyobrażałem demona.

– Ha, nie owijasz, przyjacielu Is, w bawełnę! – Staruszek klepnął się z rozmachem w udo i wykrzywił twarz w nienaturalnym uśmiechu. – Zaspokoję więc twoją ciekawość i odpowiem na niewypowiedziane pytanie: Dlaczego opanowałem ciało akurat tego uschłego, słabowitego człowieka?

Dlaczego, mogąc stać się każdym z ludzi, nie postanowiłem wyglądać jak olśniewająco piękna kobieta albo postawny, mocarny mężczyzna?

– Nie to miałem na myśli...

– Ze wstydem przyznaję, że próżność nie jest mi całkowicie obca i moim pierwszym instynktem było rzeczywiście wcielenie się w osobę, która wywierałaby odpowiednio wspaniałe pierwsze wrażenie. Jak się jednak okazało, by odnieść właściwy rezultat, należy dobrze poznać swoich odbiorców. Widzicie, przyjaciele, klienci antykwariatu podejrzliwie odnoszą się do atletycznego młodzieńca bądź zniewalającej kobiety za ladą. Poszukując wiedzy wśród ksiąg, spodziewają się znaleźć drobnego, niegroźnego, ale imponującego wiedzą staruszka i czują się wytrąceni z równowagi, gdy to oczekiwanie nie zostanie zaspokojone. Odkąd zmieniłem wygląd i przejąłem kontrolę nad tym oto ciałem, moja sprzedaż znacząco wzrosła.

– Moje pytanie odnosiło się raczej do...

– Poza tym poprzedni właściciel tego ciała prowadził wysoce dochodową i równie nieetyczną działalność, której szczegółów nie zdradzę przez wzgląd na przyzwoitość. Powiem tylko, że zmieniając jego przybytek w skarbnicę wiedzy, niewątpliwie znacznie przysłużyłem się lokalnej społeczności, do bycia członkiem której aspiruję.

– No dobrze, ale co z rogami i kopytami?

– O, przyjacielu! To, że posiadam demoniczną proveniencję, miałyby od razu oznaczać, że mam te atrybuty?

– Zakładałem...

– Takie założenia znajdują się w słowniku pod hasłem: „rasizm”! O tak, nie przestyszałeś się, przyjacielu, to klasyczny przejaw dyskryminacji. Właśnie takie wypowiedzi ujawniają skazę w świadomości społecznej, czającą się tuż pod powierzchnią uprzejmości.

– Nudzę się – oświadczył Yorlan i podszedł do okna. – O co chodzi z tymi badylami?

– Ach tak, tak, spostrzegawcze oko człowieka nauki! – podekscytował się demon, całkiem zapominając o mnie. – To mój skromny projekt badawczy.

– Zwykły groch rosnący w ogródku?

– Nie zwykły, lecz zwyczajny! Groch skrywający tajemnicę! Widzisz, przyjacielu, rosną tam dwa rodzaje grochu, o zielonych i żółtych nasionach. Moją fascynację pobudziło, to w jaki sposób krzyżowanie się żółtych i zielonych linii daje rezultaty w postaci...

– Wybacz, Bub, ale pleciesz – obruszył się Yorlan. – Nazywajmy rzeczy po imieniu. Sadzenie krzaków to ogrodnictwo, nie nauka.

– Bynajmniej. To szeroko zakrojony projekt, prowadzony na wielu płaszczyznach. Pomyśl tylko o implikacjach! Równocześnie prowadzę podobne badania na innych gatunkach. Przykładowo, ostatnio udało mi się doprowadzić do stosunku pomiędzy ciemnowłosą młynarką i jasnowłosym piekarzem. Brzuch młynarki jest już coraz bardziej zaokrąglony, gdy dziecko się urodzi, według mojej analizy linii dziedziczenia będzie miało...

– Ręce brudne od mąki? – zasugerował alchemik.

– To poważna sprawa! – obruszył się demon i tupnął nogą ze złością. – Zrozumienie praw dziedziczenia miałoby przełomowy wpływ na nasze pojmowanie dalszego rozwoju rasy ludzkiej. Możliwe stałoby się przewidywanie cech nowego pokolenia, a nawet wpływanie na nie. Moglibyśmy wyeliminować negatywne cechy i stworzyć rasę nadludzi...

– Znałem kiedyś jednego demona – wtrąciłem, żeby pokazać, że wcale nie jestem rasistą.

– O? – zainteresował się Bub.

– Nazywał się chyba Mesiftoles. Czy jakoś tak. To znaczy, nie znałem go tak całkiem osobiście... Ale mój przyjaciel zawarł z nim pakt.

– Oddał mu duszę w zamian za jakąś nadludzką moc?

– Dokładnie.

– Świetny układ.

– Też tak uważasz?

– Oczywiście. Nie ma czegoś takiego jak dusza. Tamten demon dał się zrobić w konia.

– Zaraz, co? Jesteś demonem, jak możesz nie wierzyć w duszę? – spytałem i zaraz się poprawiłem. – Przepraszam, to pewnie rasistowskie założenie, że wszystkie demony próbują zdobyć ludzkie dusze, prawda?

– Wybaczam – oświadczył Bub wspaniałomyślnie. – Muszę przyznać, że jest w tym stereotypie sporo prawdy. Oczywiście, dusza to wymysł, całkowicie zdyskredytowany przez społeczność naukową. Polecam wam, moi drodzy, chociażby znamienity traktat profesora Bindenburga *Nic poza materią, czyli rzecz o tożsamości* albo rewelacyjną, otwierającą oczy rozprawę Viviany de Lovr *Dusza obnażona. Mity, legendy i zabobony*. Niestety to, co jest niewątpliwym faktem dla ludzkich uniwersytetów i akademii, nie przeniknęło nawet do bardziej oświeconych sfer społecznych w świecie demonów, które nadal posługują się dawno ośmieszonymi przez naukę koncepcjami. Musicie zrozumieć, że świat demonów jest bardzo konserwatywny i wsteczny, naszemu gatunkowi brakuje tak typowej dla ludzi autorefleksji i samozwątpienia. Empiria jest im całkowicie obca. Demonowi nigdy by nie przyszło do głowy zakwestionować sens swojego istnienia. Ten brak ciekawości siebie i świata jest jednym z powodów, dla których postanowiłem opuścić tamten świat.

– A inne powody? – zapytałem niedyskretnie.

– Cóż, miałem już dość tego wyścigu szczurów – odparł demon, zwieszając głowę. – Ciągłej presji na zdobywanie dusz, by zrealizować plan kwartalny. Nieustannie podnoszonej liczby wymaganych cyrografów na dany miesiąc i niekończącej się wspinaczki w górę diabelskiej drabiny tylko po to, by znaleźć się w wyższym kręgu piekła i dostać bardziej imponujący tytuł. Zresztą i tak nigdy nie awansowałbym wyżej niż asystent wicearchdemonia. Więc postanowiłem opuścić tamten świat i znaleźć własną drogę. Odnaleźć własny sens...



– Masz, czego chciałeś – prychnął na mnie Yorlan. – Trzeba go było nie zachęcać. Teraz się rozklei i opowie nam całą historię swojego życia.

– To po prostu nie było dla mnie. Ta wieczna pogoń, życie w biegu, bez chwili na to, by się zatrzymać i pomyśleć...

– A będzie to długa historia, w końcu skurwiel jest nieśmiertelny.

– Ani chwili refleksji nad tym, za czym właściwie gonimy. A gdybyśmy tylko przez chwilę pomyśleli, zdalibyśmy sobie sprawę, że to, czego tak bardzo pragniemy, wcale nie istnieje.

– Możemy równie dobrze zjeść trochę tego grochu, to trochę potrwa.

– Zrozumielibyśmy, że gonimy za abstrakcyjnym społecznym konstruktem, bez żadnej realnej wartości. Za pustymi cyferkami ustawionymi w pozbawione znaczenia kolumny.

– Jeśli zjemy wyłącznie żółte nasiona grochu, jak to wpłynie na jego eksperyment?

Demon przerwał swoją tyradę, widząc, że w ogóle go nie słuchamy.

– Ach, ale na pewno moich znamienitych gości interesują przede wszystkim księgi! Powiedzcie tylko, czego wam trzeba!

– Bub, słyszałeś może o rozprawie zatytułowanej *O powstaniu monstra*?

– Oczywiście, któryż uczony w tej krainie nie słyszał o tym dziele. – Bub zmarkotniał nieco. – Niestety, nigdy nie zdarzyło mi się ujrzeć go na własne oczy. Nie wiadomo nawet, czy powstały kiedykolwiek jego kopie, czy też istnieje tylko oryginał.

– Wydawałoby się, że mając do dyspozycji demoniczne moce, powinien być bardziej kompetentnym antykwariuszem – mruknąłem do Yorlana.

– Mam za to wiele innych przydatnych tekstów o podobnej tematyce! – zawołał demon, pragnąc udowodnić swoją użyteczność, i zaczął szperać w swoich zbiorach. – Tak, wiele ciekawych materiałów na temat Kręgu, pogańskich tradycji w Caellarh i legendy o pradawnej magii, która niegdyś żyła w puszczach tego kraju, ożywiając dzikie instynkty jego mieszkańców.

– Nie przesadzaj z tymi materiałami – rzucił Yorlan na widok kolejnych ogromnych tomów wykładanych pod moje nogi przez antykwariusza. – Nadgorliwość jest gorsza od krawiectwa.

– Krawiectwo to bardzo pożyteczna branża – obruszyłem się, przeglądając jedną z ksiąg.

– Ha! Dobrze sobie! Wystarczy spojrzeć w oczy dowolnego krawca, by dostrzec diabelskie chochliki czające się w głębi! Ich dusze są przeżarte złem!

– Nie ma czegoś takiego jak dusza – zaprotestował Bub, zwalając kolejny tom na podłogę obok mnie. – A diabelskie chochliki zazwyczaj lokują się w węzłach chłonnych.

– Ciekawe, skąd to wiesz. Ziarna grochu ci to powiedziały?

– Starczy – uciałem. – Hiena, Parch, włączcie tu.

Drzwi otwały się z rozmachem i do środka wpadła moja obstawa. Wskazałem im siedem ksiąg, które mnie zainteresowały.

– Bierzcie je i wracamy do klasztoru.

– Nie jesteśmy tragarzami!

– Żeby zapewniać ochronę naszemu porucznikowi musimy mieć wolne ręce i swobodę manewru.

– Nie marudźcie, tylko bierzcie się do roboty. – A zwróciwszy się do demona, zapytałem: – Ile się należy?

– Ach, nie trzeba, dla miłośników wiedzy wszystko w moim sklepie jest za darmo.

– Bub, jesteś naprawdę beznadziejny w robieniu interesów – oświadczył Yorlan.

– Czy mogę w takim razie zainteresować was złożeniem skromnego datku na cel dobroczynny? – Bub podstawił nam pod nos mały słoik z drobnymi monetami. – Wszystko przeznaczam na zakup podręczników dla ubogich demonów z najniższych kręgów piekła. Czy wiecie, że poziom analfabetyzmu w piekle przekracza dwadzieścia procent? To prawdziwa

plaga. Wiele biednych demonów nie stać nawet na skrybów, a pod cyrografami podpisują się odciskiem kopyta.

– Przykro mi, Bub – rzucił alchemik. – Ale wiesz, jak to mówią: Dobrymi chęciami...

– ...z pustego nie nalejesz. Tak, wiem.

Drogę powrotną przebyliśmy bezpiecznie i pomijając jeden tom upuszczony przez Hienę prosto w błoto, bez żadnych strat własnych. Upewniwszy się, że Nika nie zauważyła nieobecności Yorlana, zaszyłem się w swojej celi i zabrałem do czytania. Nawet jeśli nie miałem w rękach poszukiwanego manuskryptu, liczyłem, że studiując przeszłość Caellarh, dowiem się nieco więcej na temat tego, czego mógł on dotyczyć.

Jednego byłem pewien – wspomiane przez Varaka z taką rewerencją dzieło musiało pochodzić z pogańskiej epoki dziejów tej prowincji. Historycznie rzecz biorąc, region przechodził przez trzy fazy religijne. Obecna, dualistyczna wiara, ma zaledwie kilkadziesiąt lat i powstała jako herezja na łonie monoteistycznej religii erejskiej, voranizmu. Przez setki lat Erea i Caellarh miały wspólną religię, której doktryna brzmi mniej więcej tak samo, jak każdej innej wiary monoteistycznej – istnieje jeden absolutny byt, który wszystko stworzył (Budowniczy) i który chroni swoje dzieło przed zakusami Niszczyciela, czysto destruktywnej siły. Wyznawanie tej samej wiary, co siły okupacyjne, stanowiło spory problem dla miejscowego ruchu oporu, gdyż ich strategia zakładała podkreślanie i wzmacnianie różnic między okupantami i okupowanymi. Fakt, że nazwa religii, voranizm, wywodziła się od stolicy Erei, Vorain, nie umacniało bynajmniej wiary buntowników. Pewien przemyślny duchowny, Inor Dur, wymyślił więc na poczekaniu nową odmianę voranizmu i dzięki propagandzie zwolenników niepodległości herezja błyskawicznie opanowała prowincję. Wiara duranistyczna głosiła, że Budowniczy i Niszczyciel to dwie strony tej samej monety, dwa aspekty tego samego bytu. Oczywiście, nikogo w Caellarh nie obchodziła teologia. Nie wybrali duranizmu dlatego, że lepiej oddawał ich

zdaniem istotę świata lub odpowiadał na metafizyczne pytania, które od zawsze ich dręczyły. Wybrali duranizm, bo odróżniał ich od Erejczyków i czynił nienawidzenie ich tym łatwiejszym. Od tej pory tarcia na linii Erea-Caellarh miały więc również charakter religijny, a każdy tubylec zatrzymany przez patrol okupanta za publiczne oddawanie moczu krzyczał w niebogłosość, że jest prześladowany za swoje poglądy religijne.

To wszystko to historia nowożytna. Historia starożytna zaś poświadcza o mrocznych czasach bezlitosnego, okrutnego pogaństwa, które panowało w Caellarh przez tysiąclecia, zanim nastąpił tu równie okrutny, choć lepiej zorganizowany w swoim okrucieństwie monoteizm. Czasy pogańskie to według podań nie tylko era wielu bogów, składania ofiar z ludzi i tańczenia nago wokół ognisk, lecz także okres potężnej magii, którą bogowie chętnie obdarowywali swoich wyznawców. Obecnie magia w Erei zdominowana jest przez nekromantów, którzy stanowią zamkniętą, elitarną kastę i wszyscy pozostają na służbie królestwa. Caellarh od lat jest rejonem praktycznie niemagicznym, co jest jedną z wielu przyczyn, dla których nie są w stanie rzucić jarzma Erei. Można więc sobie wyobrazić, że ktoś z obozu buntowników usłyszał opowieści o potężnej magii, jaką władali jego przodkowie w czasach pogańskich, i zapragnął ją ożywić.

Pokładanie wiary w podaniach o dawnej świetności stanowi raczej oznakę desperacji niż solidny plan bitwy. Tym niemniej Varak zdawał się być przekonany, że *O powstaniu monstra* stanowi klucz do odkrycia sekretów utraconej mocy i najprawdopodobniej Krąg dzielił jego przekonania. Ponieważ zaś o Kręgu wiedzieliśmy tylko tyle, że istnieje i knuje przeciwko erejskiej władzy, to każdy trop był dobry. Osobiście uważałem pomysł wykorzystania potęgi martwej religii jako narzędzia w walce z najeźdźcą za całkowicie nierealistyczny. Mogłem sobie wyobrazić tylko dwa scenariusze, jakimi ta historia mogłaby się zakończyć. Scenariusz pierwszy: moc pogańskich bogów okazuje się taką samą bujdą jak moc monoteistycznego boga i erejskie wojska rozdeptują resztki oporu swoimi ciężkimi buciorami.

Scenariusz drugi: zdesperowani buntownicy budzą i wypuszczają na świat jakąś pradawną potęgę, której nie potrafią kontrolować, co zmienia ich życie w koszmar do tego stopnia, że wspominają okupację jako złoty wiek.

\*\*\*

Następne dni były dla mnie bardzo produktywne, choć osobiście nie ruszałem się poza okolice klasztoru i rezydencji Maldolinich. Każdy radził sobie na swój sposób z towarzyszącą nam nieustannie mieszkanką nudy i niepokoju, jaka cechowała służbę w Caellarh. Gerard całe dni spędzał zamknięty w wieży, roztrząsając w głowie hipotetyczne scenariusze otwartego buntu w całym regionie. Nika obsesyjnie budowała swoją siatkę informatorów, wypatrując wszędzie spisków i zagrożeń. Ja sam również potrzebowałem jakiegoś zajęcia, chroniącego od codziennej rutyny nadzorowania wart, patroli i przepustek. Miałem od tego sierżantów, którzy zostali nimi dlatego, że można im było powierzyć pewne zadania i nie musieć sprawdzać, czy ich czasem nie spierdolą. Zgodnie z tym tokiem rozumowania nakazałem Zielonemu zdobycie informacji na temat starożytnego tekstu. Po raz pierwszy w historii swojej służby w regimencie sierżant miał okazję udowodnić przydatność akademickiego wykształcenia. Z kolei Chi przypadło w udziale bardziej chwalebne zadanie spalenia do gołej ziemi burdelu *Pod Pączkiem Róży*. Wcześniej uzgodniłem sprawę z Niką, której nie trzeba było specjalnie przekonywać. Przytoczyłem oczywiście argument, że spalenie burdelu pozwoli nam uzyskać cenne informacje od Arai, ale odniosłem wrażenie, że zgodziłaby się na to nawet, gdybyśmy nie mieli dostać nic w zamian. Z punktu widzenia kapitan oznaczało to po prostu jedno miejsce mniej, w którym nasi ludzie mogliby bezproduktywnie tracić czas. Pewnej nocy Chi wzięła więc kilku zaufanych ludzi, upewniła się, że nikt z naszych aktualnie nie korzysta z usług Pączka, i podłożyła ogień, korzystając z łatwopalnej mikstury przygotowanej przez Yorlana. Przez całą noc mżyło, ale i tak nad ranem z budynku zostały tylko zgliszcza.

Tymczasem patrole przynosiły każdego dnia coraz więcej doniesień o postępującej eskalacji przemocy, za którą Erejczycy obwiniali prowokatorów ze Straży Miejskiej. O ile przypadkowe starcie ze Strażą, które zaliczył Ouanga, można by jeszcze zakwalifikować jako wypadek przy pracy, o tyle następne wydarzenia stanowiły już demonstrację jawnej wrogości. Dzień po nieudanej misji zaczęła krążyć historia o bójce pewnego erejskiego żołnierza z grupą strażników, która zakończyła się śmiercią dwóch z nich. Wspomniany żołdak był sierżantem kawalerii i nazywał się Gianfranco Lazzala, choć w pewnych kręgach mówiono na niego Głęb.

Wkrótce potem zaczęliśmy słyszeć coraz to nowe historie o starciach między Strażą Miejską a Erejczykami. Konflikty straży i naszego regimentu były praktycznie tradycją, ale jak dotąd ci pierwsi woleli nie prowokować królewskich. W miarę jednak jak narastało niezadowolenie ludności, sympatie porządkowych coraz bardziej uwidaczniały się po stronie Caellarh, a nie Erei. Pytanie, które zadawali sobie wszyscy żołnierze, zarówno w erejskiej armii, jak w Siódmym Regimentcie, brzmiało: jak długo Gruby Alf będzie to tolerować?

Hrabia Alfred de Verde był dowódcą garnizonu Dhurceath i najwyższym rangą przywódcą wojskowym w prowincji. Pomimo arystokratycznego pochodzenia miał duszę żołnierza i umysł błyskotliwego stratega. Nawet nasz pułkownik podziwiał jego talenty, a miał on w zwyczaju darzyć wszystkich swoich zwierzchników szczerą pogardą. Dla erejskiej armii hrabia był żywą legendą, począwszy od czasów Wojny Kontynentalnej, gdy zasłynął po raz pierwszy, po serię zwycięskich kampanii, które przeprowadził podczas tłumienia powstań w okresie ponownego jednoczenia królestwa po wojnie.

Po Dhurceath krążyło wiele plotek o statusie de Verdego na dworze królewskim. Jego dokonania predestynowały go raczej do roli Naczelnego Marszałka niż dowódcy garnizonu w drugorzędnej prowincji. Niemal wszystkie hipotezy (pomijając te całkowicie bzdurne, według których hrabia

miął być wilkołakiem lub pozbawionym samokontroli erotomanem) skupiały się na względach politycznych. Był ulubieńcem starego króla, ale po jego śmierci i nastaniu regencji najwyraźniej hrabia został uznany za zagrożenie i z tego powodu ulokowano go w odpowiednio odległym i niebezpiecznym dla zdrowia Caellarh.

Pierwszy raz miałem styczność z de Verdem kilka lat temu podczas chłopskiego powstania w Lodenthal. Chłopi opanowali wówczas całą prowincję i zmusili nasz regiment wraz z niedobitkami wojsk królewskich do skrycia się za murami gubernatorskiego zamku. Po kilku tygodniach desperackiej obrony jedliśmy już podeszwy własnych butów, gdy de Verde przybył z odsieczą i rozgromił rebeliancką armię z taką łatwością, jakby byli gromadą pięciolatek.

Powszechne przekonanie wśród Erejczyków głosiło, że gdyby garnizonem Dhurceath dowodził ktokolwiek inny niż de Verde, miasto już dawno stałoby w ogniu, a królewscy urzędnicy dyndaliby na latarniach. Ich zdaniem to potęga reputacji hrabiego i jego błyskotliwe dowodzenie utrzymywały jak dotąd spokój w prowincji.

Legenda wielkiego wodza miała tylko jedną skazę. Człowiek z tak bogatym życiorysem powinien mieć równie imponujący przydomek w rodzaju: „Albert Wielki” albo „Albert Zdobywca”. Niestety, oprócz geniuszu wojskowego hrabia cechował się również tym, że lubił sobie podjąć, przez co przeszedł do historii jako Gruby Alf.

Kiedy więc w tym niespokojnym okresie Straż Miejska testowała cierpliwość Erejczyków, wszystkie oczy zwrócone były na Cytadelę, w której mieścił się sztab Grubego Alfa. Teoretycznie najwyższą władzę w prowincji sprawował cywilny gubernator, ale nikt nie miał wątpliwości, że ten nie mógłby przeforsować żadnej swojej decyzji, z którą nie zgadzał się de Verde, a z kolei Gruby Alf robił, co chciał, nie pytając gubernatora o zgodę. Władza musiała jakoś odpowiedzieć na niesubordynację Straży i ta odpowiedź miała nadejść z Cytadeli, a nie z pałacu gubernatora.

\*\*\*

Wkrótce konflikt ze Strażą Miejską dotknął bezpośrednio moją kompanię. Siedziałem akurat w fioletowym pokoju i czytałem jakiś traktat o dawnej religii regionu Caellarh, który został przez Zielonego dosłownie wykopany ze zbiorów biblioteki znajdujących się w zawałonej piwnicy, gdy zjawił się Othal ze złymi wieściami. Ze swoimi dwoma metrami wzrostu i niemal dwustoma kilogramami wagi praktycznie przesłonił całe światło wpadające przez okno, gdy ustawił się naprzeciw mnie, by złożyć meldunek. Znacie na pewno ten typ człowieka – miał dość siły, żeby samodzielnie zawrócić bieg rzeki, a jeśli stanął w drzwiach, to łatwiej było zrobić dziurę w ścianie, niż zmusić go do przesunięcia się na bok. Swoją drogą, jeśli mam być szczery, to istniały powody, by przypuszczać, że osiągnął swoje rozmiary nie bez pewnej pomocy ze strony wody święconej.

Othal odchrząknął i monotonnym głosem zaczął relacjonować wydarzenia minionej nocy. Patrol Straży Miejskiej spróbował zatrzymać kilku naszych, którzy w swej błyskotliwości wałęsali się po północy ulicami miasta, oczywiście kompletnie pijani. Strażnicy na początku nie zauważyli odznak regimentu, więc potraktowali moich ludzi tak, jak każdą inną grupę pijaków hałasującą na ulicy w środku nocy. Interwencja Straży spotkała się z następującą odpowiedzią ze strony Derecha:

– Co, wieśniaki, nie widzicie, że z garnizonu jesteśmy? Spieprzajcie stąd świńskim truchtem, chłopaczki, i zajmijcie się czymś pożytecznym. Nie ma czasem jakichś obszczymurów, których powinniście przepędzić? Przydałoby się też wyłapać te bezpańskie psy szwendające się po ulicach.

Biorąc pod uwagę zwykle prezentowaną przez Derecha elokwencję, jakoś wątpię, by w stanie kompletnego upojenia mógł tak wymyślnie zwyzywać strażników, ale reszta uczestników zdarzenia przysięgała, że tak właśnie było. Osobiście obstawiam, że jego cięta riposta sprowadzała się raczej do wybełkotania: „Piędolcie się, mabkojebcy!”. Kimże jednak jestem, żeby kwestionować relację naocznych świadków?



Tak czy inaczej, Derech wylądował w areszcie na posterunku Straży, a funkcjonariusze odmawiali wypuszczenia go, dopóki oficjalnie nie przeprosi za swoje słowa. Rzecz jasna nie miał zamiaru tego robić, podobnie jak nikomu w regimencie nie przyszłoby do głowy pokajać się w jego imieniu. Nasza jednostka nie mogła pozwolić na nadszarpnięcie wizerunku, więc nie było innej opcji, jak tylko udać się na posterunek i spróbować przemówić oficerowi dowodzącemu do rozumu. Jeśli zaś to nie pomoże, trzeba będzie się uciec do mniej subtelnych środków.

W tym celu musiałem się zgłosić do Szalonego Yorlana. Znalazłem go w celi koło jego laboratorium, gdzie leżał na sienniku dotknięty ciężkim przypadkiem chorobliwego lenistwa. Streściłem mu w kilku słowach, co zaszło.

– Stacjonowanie w tym mieście to jak siedzenie na beczce prochu z zapałką w dupie – skomentował refleksyjnie.

– Co to jest proch? – spytałem podejrzliwie.

– A, nic takiego. – Machnął niedbale ręką. – Takie małe coś, z czym eksperymentuję. Nie chcesz wiedzieć.

– Czy to jakiś materiał wybuchowy? – zaniepokoiłem się.

– Co za pytanie! – oburzył się. – Jestem poważnym alchemikiem. Eksperymentuję tylko i wyłącznie z materiałami wybuchowymi.

– Żałuję, że pytałem. W każdym razie potrzebuję jednego z twoich mocniejszych „aromatów”.

Yorlan skinął głową, wyszedł z celi i po chwili wrócił ze skórzanym pasem, do którego przytroczonych było osiem małych fiolek.

– Te cztery różowe to antidotum – wyjaśnił. – Potrzebuje trochę czasu, żeby zacząć działać, więc trzeba zażyć z wyprzedzeniem.

– Z jak dużym wyprzedzeniem?

– Dobre pytanie. Jeśli przeżyjesz, pamiętaj, proszę, żeby to zanotować.

– Czyli najlepiej wypić miksturę z dużym wyprzedzeniem, tak dla pewności?

– Lepiej nie. Możliwe, że antidotum działa dość krótko. Dobrze, że zwróciłeś na to uwagę. Bądź łaskaw zapisać również długość działania, jeśli trucizna cię wcześniej nie zabije.

– Nie powiem, żeby napawało mnie to poczuciem bezpieczeństwa.

– Poszedłbym z tobą, ale mi się nie chce.

Wzruszyłem ramionami i obróciłem się w stronę wyjścia. Yorlan ziewnął i wrócił na siennik.

\*\*\*

Wyposażony w fiolki Yorlana oraz Ugh i Gąbkę jako bardziej konwencjonalne metody wywierania nacisku, byłem gotowy do wyjścia. Hiena już w pełni wyzdrowiał po starciu z Wilhelmem, więc przyszło mi do głowy, by zabrać jego i Parcha, ale wpuszczenie tych dwóch do budynku kontrolowanego przez Straż gwarantowało rozlew krwi. Ja zaś miałem ciągle nikłą nadzieję na polubowne rozwiązanie konfliktu. Derech był przetrzymywany w posterunku Straży przy ulicy Targowej (choć napisy na znakach ulicznych, wykonane koślavo i najwyraźniej przez urzędnika wiejskiego z Erejski, brzmiały: „Targowica”), a kapitan dowodzący tym posterunkiem, Rineagh, dostąpił rzadkiego honoru bycia równie nienawidzonym przez Erejczyków i Caellarczyków. Zasłużył sobie na to uporczywym nawoływaniem do wprowadzenia w Caellarh prohibicji – najwyraźniej alkohol stanowił jedyny przedmiot zgody między obiema stronami.

Szybkim marszem dotarliśmy do posterunku. Biorąc pod uwagę mój relatywnie niski wzrost, między Gąbką a Ugh musiałem wyglądać jak karzeł, ale czułem się pewniej z tak mocną ochroną. Strażnicy przed budynkiem usunęli nam się z drogi bez słowa protestu i weszliśmy do środka. Kiedy znaleźliśmy się w głównym hallu, pośród funkcjonariuszy podejrzliwie przyglądających się odznakom na naszych kurtkach mundurowych, uświadomiłem sobie, jak wielkim optymizmem wykazałem się w planowaniu tej akcji. Plan A zakładał wypracowanie porozumienia z

dowódcą posterunku. Plan B opierał się na skorzystaniu z alchemii. Innymi słowy, liczyłem albo na ugodowość strażników, albo na solidność Yorlana. Trudno sobie wyobrazić bardziej niestabilne fundamenty. Po krótkim wahaniu dałem znak swoim ochroniarzom i opróżniliśmy fiołki z antidotum, co ściągnęło na nas trochę zbyt dużo uwagi, ale nikt nie zażądał wyjaśnień, więc czym prędzej poszukaliśmy biura kapitana. Znaleźliśmy je na końcu długiego korytarza, za drzwiami pilnowanymi przed dwóch wartowników. Obaj ledwo mnie zauważyli, gdy stanąłem przed nimi, wpatrując się w potężnie zbudowaną, ciemnoskórą Ugh spojrzeniami, w których strach mieszał się z fascynacją.

– Porucznik Norgaard, Siódmy Regiment, do kapitana Rineagha.

– Czy umówiwszy przychodzenie przy przyjściu? – spytał jeden z wartowników łamanym erejskim.

– Że co?

– Czy masz umówione spotkanie? – poprawił jego kolega.

– Nie, ale mam dwóch przybocznych większych od was – odpowiedziałem.

– Muszę zapytać kapitana, czy chce was widzieć.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Usłyszeliśmy krótką rozmowę, a potem wartownik wrócił i zaprosił nas do biura kapitana. Było to elegancko urządzone pomieszczenie, gdzie w centrum stało duże biurko wykonane ze szlachetnego drewna, z krzesłami o oparciach zdobionych starannie wykonanymi ornamentami. Regały zastawione były bezużytecznymi bibelotami. Na podłodze leżał wzorzysty dywan, a na ścianach wisiały obrazy przedstawiające sceny batalistyczne. Sam kapitan był otyłym trzydziestolatkiem, z przerzedzonymi włosami i kroplami potu błyszczącymi na czole. Oprócz niego w pomieszczeniu znajdował się jeszcze jego adiutant, chuderławy chłopaczek w niedopasowanym mundurze.

– Dziękuję, że pan kapitan zgodził się nas przyjąć – powiedziałem jowialnie. – Porucznik Norgaard, Siódmy Regiment.

Podszedłem do biurka i usiadłem na jednym z krzeseł. Gąbka i Ugh stanęli za mną, obrzucając kapitana groźnymi spojrzeniami.

– Czego chcecie? – spytał obcesowo Rineagh.

– Nie mogę nie zauważyć, że nie przedstawił się pan ani nie zaoferował nam nic do picia – stwierdziłem. – Na szczęście znane mi już jest nazwisko pana kapitana, a obsłużyć też możemy się sami.

Na te słowa Gąbka podszedł bliżej biurka i sięgnął po filiżankę, z której kapitan pił herbatę. Adiutant drgnął, jakby zamierzał interweniować, ale strach utrzymał go w miejscu. Gąbka jednym haustem dopił herbatę, a potem kichnął, upuszczając przy tym filiżankę, która rozbiła się w drobny mak.

– Proszę mu wybaczyć, nie zrobił tego celowo – wyjaśniłem. – Po prostu ma alergię na skurwysynów.

Liczba kropli potu na czole Rineagha zwielokrotniła się. Niezbyt w porę przypomniałem sobie, że miałem zacząć od apelu do zdrowego rozsądku, ale patrząc na perlistą, tępą twarz kapitana, doszedłem do wniosku, że obecna strategia zapewne była tą właściwą.

– Do rzeczy – kontynuowałem. – Przypuszczam, że wie pan, kapitanie, dlaczego tu jesteśmy. Jeśli nie, to byłby to doprawdy zdumiewający przejaw głupoty. Macie naszego człowieka. Chcemy go z powrotem.

– Najpierw musi przeprosić – warknął Rineagh.

Roześmiałem się.

– To może stanowić pewien problem. Tak się bowiem składa, że my, Siódmy Regiment, nie mamy w zwyczaju przeproszać. Dlatego lepiej nam po prostu oddać Derecha i uniknąć większych kłopotów.

– Najpierw musi przeprosić.

– Czy naprawdę warto ryzykować tak wiele dla symbolicznego gestu?

– Nic nie ryzykuję.

– Czy koniecznie musimy zbić kolejną filiżankę, żeby podkreślić wagę sytuacji? Szkoda dobrej porcelany na teatralne gesty.

– Możecie się popisywać, ale wiem, że nie odważycie się nic zrobić. – powiedział chrapliwie Rineagh. – Jesteście na moim terenie, otoczeni moimi ludźmi.

– No cóż, próbowałem. Ugh, Gąbka.

Zadziałali jednocześnie. Ugh jednym ciosem powaliła adiutanta, który nawet nie zauważył, co go trafiło. Gąbka okrążył biurko i ruszył na kapitana.

– Hej! – krzyknął Rineagh. – Co to ma znaczyć?!

Gąbka poderwał go z krzesła i unieruchomił, otaczając ramieniem jego szyję.

– Kapitanie? – dobiegł głos wartownika zza drzwi. – Wszystko w porządku?

– Prawidłowa odpowiedź na to pytanie brzmi: tak – podpowiedziałem scenicznym szeptem.

– Tak! – zawołał w odpowiedzi kapitan.

– Szybko się uczysz – pochwaliłem go.

– Co z nim zrobić? – spytał Gąbka.

– Tylko do nieprzytomności – odpowiedziałem. – Nie chcemy wywołać zbyt dużego incydentu.

Wyjąłem zza pazuchy jedną z fiolek Yorlana i ruszyłem w kierunku wyjścia. Za plecami usłyszałem głośnie łupnięcie, gdy ciało nieprzytomnego Rineagha padło na podłogę. Otworzyłem drzwi i cisnąłem ampułkę z „aromatem” na korytarz. Rozbiła się w drobny mak, a opary natychmiast wypełniły pomieszczenie. Obaj wartownicy przez dobrą chwilę wytrzeszczali na mnie oczy, próbując zrozumieć, co się dzieje, a potem padli nieprzytomni na ziemię. Obróciłem się i obrzuciłem wzrokiem Ugh i Gąbkę.

– Jesteśmy ciągle przytomni. To chyba dobry znak.

Ruszyliśmy korytarzem, raz po raz mijając nieprzytomnych strażników leżących na podłodze. Antidotum działało bez zarzutu, żaden z naszej trójki

nie odczuwał efektów substancji Yorlana. Gdy dotarliśmy do miejsca, w którym korytarz się kończył i wychodził na przedsionek posterunku, gdzie kręciło się kilku strażników, rzuciłem kolejną fiolkę. Nie zdążyli nawet dobrać broni, zanim zwałili się nieprzytomni na ziemię, a my skierowaliśmy się na schody, które powiodły nas w dół, do aresztu. W połowie drogi rzuciłem w dół dwie ostatnie ampułki.

Gdy weszliśmy do lochu, w nasze nozdrza uderzyła fala stęchłego, dławiącego smrodu, którego źródło nietrudno było zidentyfikować. W małej, kiepsko oświetlonej celi, na powierzchni mającej może kilka metrów kwadratowych, stłoczono kilkunastu więźniów. Nie mieli sienników ani nawet wiader, do których mogliby się wypróżnić, i góra ekskrementów piętrzyła się w kącie celi. Trzech klawiszów na warcie i kilkunastu osadzonych leżało na ziemi bez ruchu. Przeszukaliśmy ciała wartowników i znaleźliśmy pęk kluczy. Potrzebowaliśmy kilku prób, żeby ustalić, który klucz otwiera celę, ale wreszcie udało nam się trafić i wejść do środka, powstrzymując odruchy wymiotne. Derech leżał w kącie, przygnieciony ciałem czarnoskórego brodacza, odzianego w podartą, ale bardzo wartościową tkaninę zza Gór Granicznych. Kupiec? Dyplomata? Kierownik karawany? Przez chwilę zastanawiałem się, co mogło zagnać tak egzotycznego podróżnika do stosunkowo homogenicznego kulturowo regionu, jakim jest Caellarh. I co sprawiło, że wylądował w tak parszywym lochu razem ze zwykłymi rzezimieszkami. Wzruszyłem ramionami i dałem znak moim żołnierzom, by zdjęli go z Derecha.

– Ty to zrób – powiedział Gąbka do Ugh, krzyżując ramiona. – Nie chcę sobie brudzić rąk.

Cios pięści, który go dosięgnął, każdego innego człowieka pozbawiłby przytomności, ale Gąbka tylko się otrząsnął i gdy Ugh wyprowadziła drugi atak, był już gotowy, by go zablokować i odpowiedzieć kontratakami. Dwójka kolosów zaczęła się wymieniać wściekłymi uderzeniami, podczas gdy ja przyglądałem się bezradnie, wiedząc, że gdybym próbował

interweniować, miałbym równe szanse powodzenia, co dziecko wtrącające się w bójkę dwóch dorosłych. Zacząłem gorączkowo obmyślać pełną pasji przemowę, nawołującą do zaprzestania przemocy i porozumienia między rasami, ale zamiast tego wrzasnąłem tylko:

– Przeście się napierdalać, antidotum lada moment się skończy!

Żadne z nich nie zwróciło na mnie uwagi. Ryknąłem na nich jeszcze kilka razy, ale bez jakiegokolwiek efektu. Ostatecznie to Ugh przerwała walkę. Nagłą kontrą wytrąciła Gąbkę z rytmu i wykorzystała jego zawahanie, by oddalić się na kilka kroków.

– Dość – warknęła. – Od dawna należał ci się wpierdol, ale to nie czas ani miejsce. Przyszliśmy tutaj pomóc naszemu bratu i to jest teraz najważniejsze.

Gąbka charknął, głośno splunął mieszaniną krwi i śliny pod jej nogi.

– Nie dam się ponownie sprowokować. – Wzruszyła ramionami. – Gównu mnie obchodzi, co sobie na co dzień myślisz w tym małym, barbarzyńskim mózdzku. Ale teraz odstawisz na bok całe to pierdolenie o wyższości białej rasy i będziesz robić, co ci każę, bo tego wymaga dobro regimentu. No już, podnoś tego faceta.

– Ty go podnieś. Ja wezmę Derecha.

– Nie. Ty podniesiesz tego czarnego, ale nie po to, żeby go zaraz przerzucić na bok jak worek kartofli. Weźmiesz go na plecy i zabierzesz z tego sracza, żebyśmy mogli go odstawić w bezpieczne miejsce, z dala od tego gówna. Nie wiem, za co go tu wpakowali, ale należy mu się druga szansa, choćby po to żeby zadośćuczynić za istnienie takich fiutów jak ty.

Gąbka spuścił wzrok i schylił się, by podnieść bezwładne ciało ciemnoskórego brodacza. Ugh przerzuciła sobie przez ramię nieprzytomnego Derecha.

– Dobra, wynośmy się stąd – zakomenderowałem bez przekonania, czując się żaloszny i niepotrzebny.

Ruszyliśmy z powrotem na górę i przeszliśmy przez opustoszały hall, omijając leżące wszędzie ciała nieprzytomnych strażników. Wartownicy na zewnątrz nie mieli jeszcze pojęcia, co się stało w środku, więc nie próbowali nas zatrzymywać, choć dwa nieruchome ciała wynoszone przez nas z budynku przyciągnęły kilka podejrzliwych spojrzeń. Nikt jednak nie zaprotestował. W końcu wychodziliśmy z posterunku, w którym roiło się od strażników, więc byłoby niewyobrażalne, żebyśmy mieli zabrać tych dwóch bez zgody dowódcy.

– Będzie z tego straszna chryja, prawda? – odezwał się Gąbka, gdy oddaliliśmy się już od posterunku.

– Jak diabli – odpowiedziałem.

Tajemniczy podróżnik, którego wyprowadziliśmy z lochu, obudził się następnego dnia w karczmie na drugim końcu miasta, nie wiedząc, jak się tam znalazł ani kto opłacił jego pobyt. Mam nadzieję, że nie tracił czasu na zadawanie pytań, tylko od razu wyniósł się z Caellarh w cholerę.

\*\*\*

Jak się później okazało, chryi nie było w ogóle. Gdy strażnicy wreszcie się ocknęli, nie pamiętali zbyt wiele i nie byli w stanie stwierdzić, co właściwie się stało. Większość z nich nawet nas nie widziała. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę, że zdarzyło się coś dziwnego, a gros z nich podejrzewał magię albo alchemię, ale tylko kapitan Rineagh i jego adiutant mogli wiedzieć z całą pewnością, że to była nasza sprawka. Ponieważ zaś nie spotkały nas żadne konsekwencje, najwyraźniej dowódca posterunku był tak zawstydzony zajściem, że wolał całą sprawę zatuszować.

Zielony nadal nie miał dla mnie nic nowego w kwestii *O powstaniu monstra*, choć wykonywał solidną robotę, docierając do wszystkich dostępnych w mieście zbiorów literatury, prywatnych i publicznych. Nie pozostało mi wobec tego nic innego, jak tylko udać się do Arai i podążyć tropem wody święconej. Gdy wszedłem do budynku przy Kołowej, okazało się, że jej nie zastałem, ale wykidajło został poinstruowany, by wprowadzić



mnie do jej gabinetu, gdzie miałem poczekać. Zostawiłem więc swoich przybocznych na dole, a sam udałem się na górę i zająłem miejsce na krześle koło biurka.

Nie musiałem czekać długo i wkrótce właścicielka weszła do pokoju, napełniając pomieszczenie swoją elektryzującą obecnością i zapachem perfum. Woń była prawdziwie odurzająca i w kombinacji z wizualnymi bodźcami, jakich dostarczała kocia gracia Arai, zwałałaby mnie zapewne z nóg, gdybym nie siedział już na krześle. Nie potrafiłem określić, co to był za aromat, gdyż mój znieczulony przez lata wdychania smrodu nos rozróżniał tylko cztery kategorie zapachów: czegoś przyjemnego, dobrego żarcia, zepsutego żarcia i gówna. Woń emitowana przez Arai zaliczała się niewątpliwie do pierwszej kategorii i gotów byłem się założyć, że żadna bogata mieszanka nie mogłaby sobie pozwolić na takie perfumy. Pewnie sprowadzono je za absurdalną cenę z Vorain jako Zmysłowy Wiosenny Jaśmin lub pod inną przesadnie długą nazwą, a marża rosła o kilka procent za każdą zgłoskę. Nie mam oczywiście pojęcia, jak pachnie jaśmin ani czym właściwie jest, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że rozdeptałem ich sporo podczas przemarszów regimentu przez podbijane ziemie. Chyba że jaśmin to jakieś drzewo. Cholera wie.

– Zamyśliłeś się czy straciłeś przytomność? – Kobieta przywróciła mnie do świata delikatnym dotknięciem ramienia i spojrzeniem pełnym fałszywej, choć ujmującej troski.

– Zastanawiałem się, czy jaśmin jest kwiatem, czy drzewem.

– To nie jaśmin.

– Co?

– Moje perfumy to nie jaśmin. Ani żadna inna roślina. To sama esencja tajemnicy.

– Czy z takim właśnie sloganem sprzedał ci je kupiec?

– Ufff, a już myślałam, że będziesz dzisiaj całkiem ospały. Dobrze wiedzieć, że zostało jeszcze w tobie trochę wigoru.

Rozległo się pukanie i chwilę później w drzwiach stanęła jedna z dziwek.

– Pani... Przepraszam, że przerywam, ale powinnaś to zobaczyć.

Arai uniosła brew.

– Teraz? – zapytała z naciskiem. Mimo że jej twarz tylko nieznacznie zmieniła wyraz, ta subtelna oznaka niezadowolenia wystarczyła, by dziewczyna skurczyła się jak dziecko skarcone przez matkę. Obserwowałem tę scenę z dużą uwagą. Widziałem wielu alfonsów gotowych poderznąć gardło za krzywe spojrzenie. Widziałem też wiele dziwek, które bez strachu policzkowały swoich sutenerów. W środowisku, w którym przemoc na nikim nie robiła wrażenia, Arai potrafiła zmusić swój personel do absolutnego posłuszeństwa.

– Wieści od Marianne – niemal szeptem.

Właścicielka zamtuza skinęła sztywno głową i wstała, kierując się ku wyjściu. Powodowany bezmyślnym nawykiem, również wstałem, mając zamiar iść za nią. Nawet na mnie nie patrząc, oszczędnym ruchem ręki wskazała mi krzesło. Usiadłem.

Drzwi zamknęły się za nimi i usłyszałem szepty dochodzące z korytarza. Nie byłem jednak w stanie rozróżnić słów, więc zamiast podsłuchiwać, rozejrzałem się po pomieszczeniu. Na pierwszy rzut oka nic ciekawego. Rzędy grubych woluminów na półce, wyglądających na księgi rachunkowe. Uchylone drzwi do szafy ukazywały ubrania wykonane z najdroższych tkanin i niewątpliwie za krótkie, by zakryć ciało w stopniu powszechnie uznawanym za przyzwoity. Przybory do pisania rozłożone na biurku, tak wysokiej jakości, że mogłyby wzbudzić zazdrość kancelarii gubernatora. Przyciągająca wzrok i pobudzająca wyobraźnię pończocha, niedbale rzucona na szafę.

Było w tym pokoju coś, co wzbudzało mój niepokój. Nie tylko dlatego, że wyglądał jak skrzyżowanie gabinetu rachmistrza i garderoby wielkiej damy, a znajdował się na terenie ekskluzywnego burdelu. Ten pokój był jak... kostium, zaaranżowany tak, by ukrywać i odwracać uwagę od czegoś, co nie

było przeznaczone dla wzroku gości. Coś w jego aranżacji działało na tę irracjonalną część mojego umysłu, która od czasu do czasu bije na alarm i myli się w mniej więcej połowie przypadków. Niektórzy nazywają to intuicją.

Szepty na korytarzu nasiliły się, a potem zaczęły cichnąć, oddalając się w głąb korytarza przy wtórze stukotu obcasów. Najwyraźniej miałem nieco więcej czasu. Wstałem i zacząłem dokładniej badać otoczenie. Księgom na półce nie poświęciłem żadnej uwagi. Stanowiły tylko atrapę i zawierały zapewne proste kalkulacje i trywialne dane dotyczące zamówionych perfum, pensji kucharza czy kosztu wymiany zbutwiałych desek w piwnicy. Pewnie i tak nawet najbardziej nudne dane były zmyślane. Podeszedłem więc do biurka i spróbowałem otworzyć którąś z szuflad, ale wszystkie były zamknięte. Zresztą na miejscu Arai tam też nie trzymałbym nic ważnego. Zamykałbym puste szuflady tylko po to, żeby włamywacze marnowali czas na łamanie zamków.

Zajrzałem do szafy z ubraniami i wsunąłem rękę między dwie czarne sukienki, doskonale zdając sobie sprawę, jak niekorzystnie wyglądałaby ta scena, gdyby w tej chwili ktoś otworzył drzwi. Zacząłem szukać ręką tylnej ścianki szafy, zastanawiając się, jak bym wytłumaczył moje zachowanie. Zapewne z kamienną twarzą wyciągnąłbym jedną z sukienek i zapytał: „Ile za to чудо? Muszę ją mieć, cena nie gra roli”.

Jeśli już musicie wiedzieć, to nie, nie wymyśliłem tego sam. Jest to wymówka, którą kilka lat temu posłużył się znany mi skądinąd diuk Vancourt, gdy podczas balu u znajomej hrabiny wymknął się do jej garderoby i został przyłapany w bardzo podobnej sytuacji. Z pewną istotną różnicą – gdy do pokoju weszła hrabina wraz z przyjaciółkami, a on wygłosił ową błyskotliwą kwestię – był całkowicie nagi. Krótco potem został wtrącony do azylum dla umysłowo chorych, ale zdołał stamtąd uciec, przekonując jedną z pielęgniarek, że jest drugim wcieleniem jej zmarłego ojca. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, akurat zdołał się wkręcić na dwór

królewski pod fałszywym nazwiskiem i doprowadził do kolosalnego skandalu, gdy za jego radą pewna ekscentryczna szlachcianka pojawiła się na audjencji z żywym królikiem przywiązanym do kapelusza... Właściwie to nie wiem, dlaczego marnujecie na mnie czas, powinniście teraz czytać biografię diuka Vancourta.

Jakkolwiek kapelusze przystrojone przerażonymi królikami są jednym z moich ulubionych tematów, powinienem chyba wrócić do chwili, w której z niewyraźną miną przeszukiwałem damską garderobę. Moje gmeranie, może i niezbyt chwalebne, okazało się jednak bardzo owocne. Jak na tak głęboką szafę podejrzenie szybko natrafiłem na tylną ściankę. Z zewnątrz mebel wydawał się mieć ponad metr szerokości, tymczasem moja ręka była w nim zanurzona nawet nie na całą długość ramienia i już napotkałem opór drewna. Aha! Stary numer z fałszywym dnem. Pomajstrowałem chwilę przy mocowaniu ścianki, wdychając przy tym (niezamierzenie, ale i nie bez przyjemności) intensywny zapach ubrań. Wreszcie ścianka ustąpiła i mogłem zobaczyć, co skrywała.

Książki. Rzędy książek. Właściwie to czego się spodziewałem? Kościotrupa w szafie? Diagramu ilustrującego sekretny plan zabicia gubernatora? Wyciągnąłem dwie pierwsze księgi i już po okładkach mogłem stwierdzić, że moje wysiłki nie poszły na marne. *Traktat o równości* de Laille'a. *Pochwała ludu wsi Montiagha*. Wyciągnąłem kolejne dwa woluminy. *Państwo przyszłości* Zieglera. *Prawo i bezprawie. Cała prawda o sądach wypaczonych przez arystokrację*, autor nieznany. Uśmiechnąłem się szeroko. Miała tu chyba całą pierwszą dziesiątkę z Listy Ksiąg Szkodliwych i Zakazanych. De Laille i Ziegler, dwaj klasycy myśli antymonarchistycznej, zginęli w więzieniach oskarżeni o zdradę stanu. A *Prawo i bezprawie* miało tak potężny wpływ na sfrustrowane drobnomieszczaństwo stolicy, że właściwie samoczynnie spowodowało wybuch rebelii LeHavre'a. To właśnie z tego okresu znałem te wszystkie tytuły. Gdy padła barykada w Górnym Mieście Vorain i opór buntowników został przełamany, plądrowaliśmy

domy wszystkich kupców podejrzewanych o konszachty z LeHavre'em, czyli... wszystkich kupców. Z rozkazu króla spaliłem dziesiątki tych tomów, ale sporo z nich przeczytałem, gdy nikt nie patrzył.

Na korytarzu rozległ się stukot obcasów. Wzdrygnąłem się i o mało nie upuściłem książek, które trzymałem w rękach. Czym prędzej wpakowałem je z powrotem na półkę. Obcasy dotarły do drzwi i zatrzymały się przy nich. Gorączkowo próbowałem na nowo zamocować ściankę tam, gdzie była, godząc się zarazem z myślą, że będę musiał zastosować w praktyce wymówkę diuka Vancourt. Drzwi jednak nadal pozostawały zamknięte, a na korytarzu rozlegały się szepty.

Ucichły akurat w momencie, gdy udało mi się przywrócić ściankę do jej pierwotnej pozycji i długim skokiem odsunąć od szafy z ubraniami. Gdy Arai otworzyła drzwi i weszła do środka, zwróciłem się ku niej z tak fałszywie niewinnym uśmiechem, że równie dobrze mógłbym wykrzyknąć: „Grzebałem w twoich rzeczach!”.

– Widzę, że się nie nudziłeś.

– Bynajmniej. Choć nie mogę powiedzieć, żebym produktywnie spędził czas. Świetny pomysł z tymi fałszywymi księgami rachunkowymi. Przejrzałem je wszystkie po kolei, sądząc, że znajdę coś ciekawego.

Arai nie odpowiedziała, przyglądając mi się przez moment spod oka. Potem przeszła przez pokój i usiadła z powrotem na swoim krześle za biurkiem.

– Słyszałam już dobre wieści w sprawie Pączka. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wynagrodzić twoją ciężką pracę. Od kogo zaczynamy, Wilhelm czy Vivalo?

– Wilhelm jest bardziej interesujący.

– Tylko z pozoru. Wilhelm Stahs, w służbie rodziny van Dorren. Strasznie nudny i kompetentny typ. Jest bezgranicznie lojalny wobec rodu, któremu służy. Robi to, co mu każą, diabelnie dobrze. Nie wydaje się, żeby miał jakiegokolwiek własne cele czy aspiracje. Jest po prostu bardzo

skutecznym narzędziem w rękach swoich panów. Natomiast sami van Dorrenowie, o, na ich temat mam znacznie więcej do powiedzenia.

– Niech zgadnę... Żeby dowiedzieć się czegoś na ich temat, będę musiał spalić kolejny zamtuz?

– Niepotrzebna złośliwość. – Arai uśmiechnęła się. – Zresztą, van Dorrenowie są tak ciekawym tematem, że opowiem ci o nich zupełnie za darmo, z czystego zamięłowania do plotkarstwa.

– Chciałbym w tym miejscu zaznaczyć, że absolutnie nie wierzę, że robisz to bezinteresownie, i jestem przekonany, że masz w tym jakiś ukryty interes.

– Nikt mnie tak dobrze nie rozumie jak ty. Wracając jednak do tematu: rodzina van Dorren to najbogatszy ród w Caellarh, stara, obrzydliwie bogata i wpływowa szlachta. Dawno temu postanowili, że zwiążą swój interes z Koroną i wyszło im to na dobre. Ich lojalistyczna postawa powoduje oczywiście niechęć ze strony zwolenników niepodległości, ale rodzina jest na tyle potężna, że wyzwiska malowane na murach i złośliwe plotki powtarzane w karczmach raczej nie zranią ich uczuć. Poza tym wielu buntowniczo nastawionych kupców musi utrzymywać z nimi kontakty pomimo swoich antypatii, gdyż niemożliwe jest prowadzenie większej działalności w Caellarh bez wchodzenia w relacje handlowe z van Dorrenami.

– Czy to jest ten moment, w którym tajemniczo sugerujesz, że klan ma jakąś mroczną tajemnicę, ale potem uparcie będziesz odmawiać podania szczegółów, żeby zbudować napięcie?

– Przesadzasz z dramatyzmem, Is. Nie wiem nic o żadnych mrocznych sekretach, co nie znaczy oczywiście, że ich nie ma. Ani że nie da się ich sfabrykować, gdyby zaszła taka potrzeba... Zmierzam do czego innego. Smarkaczom, którzy piszą na murach: „Jebać van Dorren zdrajców ojczyzny!”, może się wydawać, że klan to monolit i wszyscy członkowie jednomyślnie realizują wspólną politykę.

– A, czyli to będzie taka historia.

– Tak duża i stara rodzina ma swoje czarne owce, koterie i wewnętrzne walki o władzę. Imiona, które na pewno musisz znać, to: Amine van Dorren – nominalna głowa rodu, odkąd jego ojciec odszedł z tego świata, Raquel van Dorren – babka Amine’a, która ciągle potrafi postawić na swoim, jeśli jej na tym zależy, oraz Veen van Dorren – młodsza siostra Amine’a. Veen jest energiczna, ambitna i znacznie bardziej inteligentna od swojego brata, ale zasady dziedziczenia jemu dały władzę. Władzę, której on nie chce i która go przerasta, podczas gdy jego siostra jest skazana na drugoplanową rolę. Muszę mówić dalej czy już wyczuwasz dla siebie okazję?

Uniosłem brwi. Próbowwała mi coś sprzedać, ale nie miałem pojęcia, co ma do ugrania na moim zaangażowaniu w wewnętrzne konflikty klanu.

– Wspomniałaś o czarnych owcach.

– Loze van Dorren. Czysty chaos. Ciągłe coś zaczyna, ale nigdy nie kończy. Nie ma interesu, którego by nie zdołał spartolić. Dosłownie. Ten człowiek zdołał doprowadzić do bankructwa kopalnię złota.

– Zaraz, zaraz. Jak można zbankrutować, mając kopalnię złota?

– Loze mógłby ci napisać instrukcję. Wystarczy fatalnym traktowaniem doprowadzić siłę roboczą do poziomu wrzenia, następnie podczas negocjacji z ich przedstawicielami całkowicie się ugiąć i zgodzić na kolosalne podwyżki, które obniżą zyskowność interesu. Potem trzeba jeszcze zaplanować straszliwie niewydajny sposób dystrybucji i składowania wydobytego kruszcu, który zapewni dalszy spadek marży. Już po takich działaniach interes ledwo wychodzi na plus, ale przecież fachowiec pokroju Lozego na tym nie poprzestanie. Dlatego następnym krokiem powinno być wynajęcie oddziału podejrzanych zbirów do ochrony cennego ładunku tylko po to, żeby całkowicie stracić nad nimi kontrolę, pozwalając im na szeroko zakrojone kradzieże. I tak oto kopalnia złota staje się równie dobrze zorganizowana i dochodowa jak...

– Ogarnięty pożarem burdel?

- Chciałam powiedzieć: posterunek Straży Miejskiej.
- To niezbyt uprzejme wobec ludzi, którzy ryzykują życie, by zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo.
- Is, całkowicie szczerze: miałeś, jak sądzę, okazję zwiedzić równie wiele płonących burdeli, co posterunków Straży. Które z tych miejsc lepiej obrazuje upadającą kopalnię kruszcu?
- Przyznaję, że bezpieczeństwo pożarowe i rozplanowanie dróg ewakuacyjnych w zamtuzach nie ma sobie równych. A większość strażników miejskich nie potrafiłoby nawet zdmuchnąć zapalki.
- To dlatego, że Straż Miejska jest skorumpowaną instytucją wyrastającą z przestarzałych, hierarchicznych struktur postfeudalnego społeczeństwa arystokratycznego.
- Czy to pierwsze zdanie twojego manifestu politycznego?
- Rozmawialiśmy o kompetencjach zarządcy Lozego van Dorrena. – Arai uniknęła pytania bez mrugnięcia okiem.
- Przykro mi, ale wcześniejsza dygresja za bardzo podziałała na moją wyobraźnię. Teraz nie jestem w stanie myśleć o niczym innym oprócz problemów logistycznych towarzyszących ewakuacji płonącego domu uciech.
- Tym bardziej czuję się zobowiązana sprowadzić nas do głównego wątku rozmowy. Jeśli, tak jak Loze, doprowadzisz swój złotonośny interes do skrajnej ruiny, to masz dwie opcje: albo go zamknąć i pogodzić się ze stratami, albo narzucić rewolucyjne zmiany, które wprowadzą sprawy z powrotem na właściwy tor. Loze jest jednak myślicielem niekonwencjonalnym i znalazł trzecią drogę: nie należy zmieniać nic w sposobie zarządzania kopalnią, ale koniecznie trzeba zaciągnąć ogromne długi i wpompować nowe środki w broczący gotówką interes. Ta genialna metoda pozwala nie tylko na stratę własnych, ale również cudzych pieniędzy i niesie również dodatkowy benefit w postaci wściekłych wierzycieli nasyłających windykatorów na ciebie i twoją rodzinę.



– A co w takiej sytuacji robi wpływowa i bogata rodzina?

– Rodzina, w osobie twardej jak skała babki, traci wreszcie cierpliwość i usuwa niekompetentnego administratora ze stanowiska. Następnie wynajmuje nowych najemników, którzy zaprowadzają porządek w kopalni i zastraszą tych wierzycieli, których nie stać na prywatną armię. Pozostałych wierzycieli rodzina spłaca, a potem ustanawia nowego administratora, który przejmuje kontrolę nad kopalnią i przywróci ją do rentowności. Poprzedni zarządca natomiast zostaje odcięty od rodowych pieniędzy i ima się różnych podejrzanych zajęć, ciągnąc za sobą coraz dłuższy ogon podejrzanych rzezimieszków, intrygantów i szalbierzy, mających nadzieję na dobranie się do klanowego majątku, gdy marnotrawny syn wróci do łask.

– Bardzo dużo wiesz o stosunkach rodzinnych panujących w domu van Dorrenów.

– Zatrudniają wielu pracowników. Niektórzy z nich lubią sobie pociupciać. A potem pogadać.

– Przypuszczam, że nie ma sensu pytać, dlaczego próbujesz mnie zainteresować tą rodzinką?

– Pytałeś o Wilhelma. To są ludzie, którzy pociągają za jego sznurki.

– Mahoc Vivalo.

– Nuda. – Sięgnęła po arkusz papieru, skreśliła na nim kilka znaków i podała mi kartkę. – Tu go znajdziesz. To bezwartościowy pionek, ale doprowadzi cię do kogoś godnego uwagi.

– Kogoś konkretnego?

– Nie mam pojęcia. Wiem, że łatwo zrobić taką pomyłkę, ale wbrew pozorom nie jestem wszechwiedząca. Nie rozleniwiaj się, przeprowadź własne śledztwo.

\*\*\*

– Zaczekaj, wiem, co chcesz powiedzieć. – Liczydło gestem nakazał mi ciszę. – Wiem, że kiedy prosiłeś mnie o pomoc w rozwiązaniu twojego problemu, to spodziewałeś się czegoś innego niż tyrady na temat jakości

miejscowego wina. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że kompletnie mnie nie obchodzą twoje kłopoty.

Jedliśmy właśnie posiłek w eleganckiej jadalni rezydencji Maldolinich. Muszę przyznać, że to miejsce prezentowało się z dnia na dzień coraz gorzej, odkąd się tu wprowadziliśmy. Jeśli sądziliście, że w ciągu ostatnich miesięcy zdarzyło się nam chociaż raz tu posprzątać, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zapłakać nad waszą naiwnością. Nasza siedziba była zabłocona, zakurzona i generalnie w opłakanym stanie. Nikt z nas rzecz jasna nie miał zamiaru choćby kiwnąć palcem, by to zmienić. Nika rygorystycznie pilnowała porządku w klasztorze, ale rezydencji nie traktowała już jako obiektu wojskowego, więc miałem teraz okazję obserwować ją, jak bez skrępowań rzuca obgryzione kości na podłogę.

– Ten kraj nigdy nie zazna pokoju pod królewskim panowaniem – zmienił temat Liczydło, chwytając kolejny kawałek kurczaka. – Jego mieszkańcy mają wrodzoną niechęć do monarchii.

– Wrodzoną? – spytałem z przekąsem. – Czy wyuczoną przez lata rebelianckiej propagandy?

– Ja też mam wrodzoną niechęć do monarchii – wtrącił Ouanga.

Musiałem się obrócić, żeby na niego spojrzeć. Wrócił z patrolu wcześniej niż my i oczywiście nie mógł poczekać z jedzeniem, więc teraz wegetował już w pozycji pólężącej i trawił posiłek.

– Powiedz to jeszcze głośniej, żeby Ereczycy usłyszeli.

– I tak nas nienawidzą. – Ciemnoskóry porucznik wzruszył ramionami.

– Ale tolerują nas, bo nie mają pretekstu, by podejrzewać nas o nielojalność – warknęła Nika. – Gadaj tak dalej, a zrobią z nas kompanię karną i wyślą do kamieniołomów w Beciennes.

– Ich szpiedzy są do niczego, nigdy by się nie dowiedzieli.

– Po co im szpiedzy, skoro sam pchasz się na szafot?

– Jeśli nie monarchia, to co? – zainteresowałem się. – Jaką alternatywę proponujesz? Oligarchię kupiecką jak w Genaos, gdzie kilka obrzydliwie

bogaty, pogrążonych w spiskach i kazirodztwie rodzin trzyma za gardło całą populację?

– A może teokracja? – wtrącił drwiąco Liczydło. – Może powinniśmy brać wzór z Toehattaulpa, gdzie władzę sprawuje najwyższy kapłan, noszący płaszcz z ludzkiej skóry i wrzucający ludzi do wygasłego wulkanu, bo wierzy, że ofiary z ludzi rozbudzą boski ogień?

– Pomysł z wulkanem nie jest taki głupi – mruknęła Nika. – Założę się, że w Tohatalpa, czy jakkolwiek się zwie to zadupie, mają znacznie mniej problemów z dyscypliną wśród żołnierzy.

– Drwicie – obruszył się Ouanga. – Ale ja wierzę, że władza powinna być w rękach ludu.

– Fatalny pomysł.

– A to dlaczego?

– Lud jest głupi.

– Królowie też – zauważył Liczydło.

– Ale przynajmniej otrzymują porządną edukację i mają doradców, którzy znają się na rzeczy. Jeśli oddasz władzę ludziom, to czy przydzielisz każdemu pasterzowi eksperta od polityki monetarnej, żeby mógł podejmować właściwe decyzje podczas głosowania nad dewaluacją waluty?

– Doradcy i eksperci nie są odpowiedzią na każdy problem – wtrąciłem. – Gdyby tak było, wystarczyłoby stworzyć radę specjalistów, którzy rozstrzygaliby każde zagadnienie na podstawie swojej wiedzy. Tylko że eksperci też kłócą się między sobą i ulegają tendencyjnemu myśleniu, gdy w grę wchodzi obrona teorii bądź rywalizacja między dwiema dziedzinami nauki.

– Każdy powinien mieć prawo decydować o swoim losie – oświadczył zdecydowanie Ouanga. – Wszyscy powinni być równi i mieć równe prawo do głosu, równy udział w rządzeniu wspólnym dobrem, jakim jest kraj.

– Zejdź z mównicy, mądralo, nie przemawiasz na rynku – prychnął Liczydło. – Porozmawiajmy o konkretach. W twoim idealnym państwie,

rządzonym przez wszystkich obywateli, w jaki sposób miałyby być podejmowane kluczowe decyzje?

– Przez powszechne głosowanie oczywiście.

– Ach tak? Kiedy wybuchnie wojna i wróg zaatakuje granicę, jak szybko uda się zebrać wszystkich mieszkańców, przedstawić argumenty za i przeciw powszechnej mobilizacji, a potem odbyć głosowanie i policzyć głosy? Myślisz, że taka przewaga czasowa wystarczy, żeby wroga armia dotarła do stolicy i zaczęła powszechną rzeź, akurat gdy zapadnie decyzja?

Ouanga stracił nieco ze swojej pewności, ale nadal bronił sprawy.

– Nie przesadzajmy, głosowanie nie potrwa aż tak długo. To tylko kwestia zebrania wszystkich mieszkańców na placu i...

– O, tylko kwestia zebrania wszystkich mieszkańców na placu? – przedrzeźniał go Liczydło. – Nawet jeśli państwo składałoby się tylko z jednego małego miasta, byłoby to wyzwanie. A co dopiero w większym kraju.

– Cóż, nie muszą to być dosłownie wszyscy mieszkańcy... – zawahał się Ouanga. – Wystarczy większość...

– Ach, tylko większość? A więc już na samym wstępie zniekształcamy twoją wspaniałą, uniwersalną ideę. Już nie wszyscy mają prawo głosu, ale tylko ci, którzy akurat zdążą na zebranie. Ale dobrze, kontynuujmy to rozumowanie. Jak wyglądałoby głosowanie tej większości? Nie można przecież zakładać, że wszyscy od razu będą znać sprawę. Trzeba przedstawić sytuację, wyłuszczyć argumenty, przeprowadzić dyskusję. To wszystko strata cennego czasu.

– W krytycznej sytuacji na pewno trzeba byłoby skrócić i uprościć proces decyzyjny.

– Doskonały pomysł! W ten sposób najważniejsze decyzje będą podejmowane pochopnie, bez namysłu i na podstawie czysto powierzchownej wiedzy na temat problemu. Ach, ciężko sobie wyobrazić sytuację, w której taki styl rządów przyniesie negatywne skutki!

Liczydło bawił się o wiele za dobrze, więc z czystej złośliwości postanowiłem wyciągnąć Ouangę ze ślepego zaułka, w który dał się wpędzić.

– Ten przykład prowadzi dyskusję w złym kierunku. Inwazja wroga to wydarzenie przewidywalne, czasem wręcz powtarzalne – można zawnazsu przeprowadzić dyskusję i głosowanie, by przygotować plan działania na wypadek takiej sytuacji. Argument powolnej reakcji nie ma miejsca w tej dyskusji.

Kwaternistrz zachnął się przesadnie.

– Mógłbym teraz wymyślić dziesięć przykładów trudnych do przewidzenia, unikalnych sytuacji, na które nie można przygotować planu zawnazsu i trzeba podjąć natychmiastową decyzję. Ale dobrze, zrezygnuję z tego argumentu. Mam nad wami taką przewagę, że mogę walczyć z jedną ręką zawnazsaną za moimi plecami, żeby wyrównać szanse.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

– Chcecie innego argumentu? Proszę bardzo. Jak rozumiem, głosowanie byłoby rozstrzygane zgodnie z zasadą większości.

Ouanga potwierdził skinieniem głowy i natychmiast zmarkotniał, gdy Liczydło zaśmiał się tryumfalnie.

– Innymi słowy, twoja władza ludu opiera się w rzeczywistości na dużych grupach ludzi, narzucających swoją wolę mniejszym grupom ludzi. Bo zawsze będzie mniejszość, która zostanie nagięta do woli większości.

– Nie da się zadowolić wszystkich...

– Ja tu nie mówię o zadowoleniu. Ja mówię o opresji. Widziałeś kiedyś tłum maszerujący ulicą z pochodniami? To nie są ludzie, którzy powiedzą: „Rozumiemy, że macie inne zdanie na ten temat, i szanujemy je. Wprowadzimy nasze rozwiązanie, ale jeśli chcecie prywatnie stosować swoje, to oczywiście macie do tego prawo i nie rościmy sobie pretensji do narzucania wam naszej opinii”. Ha!

– Po każdym głosowaniu mniejszość dostanie wybór: konformizm albo wpierdol – podchwyciła Nika.

– Zakładacie najgorszy możliwy scenariusz... – zaproponował Ouanga słabym głosem.

– Bo on zawsze się sprawdza! – parsknęła kapitan. – Widziałeś przecież dziesiątki razy, gdy w różnych regionach królestwa prześladowano mniejszości religijne. Czy działa się tak dlatego, że król albo prawo nakazywały tępienie innowierców? Nie, tolerancja religijna jest prawnym standardem w niemal całej Erei. Ludzie nabijają heretyków na pale, bo jest w ich naturze nienawidzić myślących inaczej. Tolerancja i poszanowanie cudzego zdania to wyjątek, nie reguła.

Porucznik zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, jakby zbierając się w sobie.

– Najlepszy argument, jaki mogę przytoczyć, to że władza jest do dupy. Władza szkodzi, korumpuje i służy lepiej tym, którzy ją sprawują, niż tym, którzy pod nią podlegają. Oddanie władzy ludowi nie rozwiąże wszystkich problemów i nie zneutralizuje niszczącego wpływu władzy, ale przynajmniej go rozproszy. Trudniej będzie szkodzić i korumpować, gdy więcej niż jeden człowiek będzie sprawował kontrolę.

Liczydło mruknął coś pod nosem, a Nika z obojętną miną opróżniła kufel piwa.

– Ja trzymam z Ouangą – oświadczyłem niespodziewanie.

Nika i Liczydło, a nawet sam Ouanga spojrzeli na mnie z zaskoczeniem. Wzruszyłem ramionami.

– Mamy do dyspozycji dane zebrane na przestrzeni setek lat, które jednoznacznie dowodzą, że monarchia uszczęśliwia jedynie (a i to nie zawsze) królów i ich przydupasów. W teorii oddanie władzy niedoinformowanym, podatnym na manipulację masom wydaje się fatalnym pomysłem, ale nie mamy tak znowu wiele do stracenia. Równie dobrze

można by spróbować i zobaczyć, co się dostanie. W najgorszym razie rozpieprzymy system, który i tak prawie nikomu nie służy.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. A potem Nika zdjęła z blatu stołu swoje ciężkie, oficerskie buty i z łomotem opuściła je na podłogę.

– Cieszę się bardzo, że tak sobie mądrze i głęboko porozmawialiśmy – oświadczyła z szerokim uśmiechem. – Nie ma to jak zdrowa, krzepiąca pożywka dla umysłu i inspiracja dla ducha. A teraz, moi drodzy myśliciele, bierzcie dupy w troki i zapieprzajcie patrolować ulice w imię króla, waszego chlebobdawcy.

W tym właśnie momencie Othał wszedł do jadalni, po każdym kroku zostawiając imponujące ślady błota na podłodze.

– Mamy Vivala – powiedział. – Cefel właśnie pokazuje mu jego nową kwaterę w klasztorze.

– Świetnie.

Dokończyłem obgryzanie skrzydełka kurczaka, a potem wytarłem ręce w obrus i podążyłem za Othalem. Zaprowadził mnie do jednej z izb w podziemiach klasztoru, które wykorzystywaliśmy do przesłuchań. Było to nastrojowe, ponure miejsce, urządzone tak, by wywierać odpowiednie wrażenie na odwiedzających je gościach. Błade światło kaganka padało na rozłożone na stole rozmaite narzędzia tortur, które zostały wyeksponowane, aby więzień przykuty do ściany naprzeciwko musiał na nie patrzeć. Gdy wszedłem do celi z Othalem, Mahoc Vivalo był już w kajdanach. Wyglądał zupełnie niepozornie: chudy i niski, łysiejący facet w podartym ubraniu. Na przodzie jego spodni można było dostrzec plamę moczu. Koło stołu z narzędziami stali Cefel i Winon, uśmiechając się wilczo.

– Aż się wrywał, żeby nam wszystko opowiedzieć – zrelacjonował rozbawiony sierżant. – Musieliśmy go powstrzymywać, żeby poczekał na ciebie. Bardzo gadatliwy facet.

– To cenna cecha u przesłuchiwanego. Czyli wstęp mogę sobie darować.  
– Podeszedłem do Vivala. – Dostarczałeś wodę święconą Santoliniemu?

- Tttak...
- Komu jeszcze?
- Aptekarze Rukin i Valay. Świątynia duranistów przy Wesołej. Kilku indywidualnych klientów.
- Co to za klienci?
- Różne osoby... Nikt wważny. Paru strażników miejskich i synowie kupieccy, którzy chcieli zaimponować swoim dziewczynom.
- Skąd brałeś klientów?
- Indywidualnych znajdowałem sam. Pozostałych... odziedziczyłem.
- Co to znaczy?
- Ja byłem tylko pośrednikiem. Wcześniej był inny pośrednik i ja przejąłem jego kontakty.
- Co się stało z tamtym? Bo nie wierzę, że postanowił rzucić handel wodą święconą, by otworzyć sklep z antykami.
- Zabili go... Powiedzieli mi o tym, żeby mnie nastraszyć. Powiedzieli, że bym nie powtórzył błędów mojego poprzednika. Przekazali mi jego kontakty i odtąd to ja rozwoziłem wodę święconą.
- I w ten sposób dochodzimy do najważniejszego pytania: dla kogo pracujesz?
- Nie wiem dokładnie...
- Sierzancie, czy mamy pod ręką jakieś lekarstwo na zaniki pamięci? Cefel zrobił krok w stronę stołu z rozłożonymi narzędziami.
- Zaraz, zaraz, czekajcie! – zapiszczał Vivalo. – Nie wiem wszystkiego, ale na pewno mam coś przydatnego dla was!
- Przekonajmy się.
- To duża grupa, dobrze zorganizowana. Nigdy nie było żadnych imion, żadnych nazwisk. Wytwarzają święconkę od dawna i jak to określili, „zużyli” już wielu pośredników takich jak ja. Mają wypracowany system, nigdy nie spotykaliśmy się dwa razy w tym samym miejscu. Zazwyczaj ich posłaniec znajdował mnie i mówił, gdzie mamy się spotkać, najczęściej to



były jakieś opuszczone magazyny bądź nieuczęszczane wiejskie drogi pod miastem.

– Nadal nie dałeś nam niczego użytecznego. Potrzebujemy jakiegoś strzępu informacji, który nas do nich doprowadzi.

– Tak, tak, rozumiem... – wybełkotał. – Ale oni naprawdę się bardzo przy mnie pilnowali... Nie ufali mi za grosz.

– Ciekawe dlaczego...

– Naprawdę nie wiem, co mógłbym jeszcze powiedzieć.

– Któryś z nich musiał kiedyś popełnić jakiś błąd w twojej obecności. Nazwać kolegę po imieniu, odwołać się do jakiejś lokalizacji, mieć przy sobie jakiś przedmiot albo nosić ubranie, które coś zdradzało. Jak byli ubrani ci ludzie?

– Żadnych znaków szczególnych. Czarne ubrania, z kapturami zasłaniającymi twarze.

– Spotykałeś się z jednym człowiekiem naraz czy kilkoma?

– Jeden albo dwóch, różnie.

– Może było coś charakterystycznego w ich głosach? Czy za każdym razem głosy były inne, czy się powtarzały?

– Wydaje mi się, że dwa głosy na pewno regularnie się powtarzały.

– Ale nie widziałeś twarzy?

– Za mało, żeby ich potem rozpoznać, gdybyśmy minęli się na ulicy.

– Nadal nie mamy nic użytecznego. Cefel, pomóż mu myśleć.

– Nie, czekajcie! Przypomniało mi się coś!

– Kto by pomyślał. Słuchamy.

– Nie wiem, gdzie dokładnie mają swoje laboratorium, ale wiem, że jest w jakimś opuszczonym młynie. Dwa razy zdarzyło im się odwołać do „szybkiej produkcji w młynie”, gdy mówili, że następna dostawa będzie już wkrótce.

– To już coś, ale nadal trochę mało. Winon, Othał, dotrzymajcie mu towarzystwa, może sobie jeszcze coś przypomni. Cefel, chodź ze mną,

spróbujemy zawęzić obszar poszukiwań.

\*\*\*

Udaliśmy się z sierżantem do mojej celi, żeby tam naradzić się co do kierunku dalszych poszukiwań. Gdy dotarliśmy na miejsce, Zielony już tam na mnie czekał, gotów złożyć raport ze swoich dokonań. Zanim zdążyłem zamknąć drzwi, do środka wślizgnął się jeszcze Liczydło, który miał w zwyczaju nie stawiać się wezwany, ale wciskać się na te spotkania, na które nikt go nie zapraszał. Zastanawiałem się przez moment, czy nie wyrzucić go ot tak, dla zasady, ale w końcu machnąłem ręką. Kwatermistrz oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi, przysłuchując się rozmowie z ironicznym, nieobecny wyrazem twarzy.

– Wszystko po kolei – powiedziałem, siadając na łóżku. – Cefel, królewska administracja jest zbiurokratyzowana jak jasna cholera. Żdźbło zboża nie może wyrosnąć z ziemi bez kilku stempli i podpisów. Zróbmy z tego użytek. Trzeba by przejrzeć rejestry podatkowe i poszukać okolicznych młynów, które przestały płacić podatki w ostatnich latach. W ten sposób powinniśmy zawęzić listę potencjalnych lokalizacji. Jeśli będziemy mieli szczęście, w jednej z nich działa laboratorium wytwarzające wodę święconą. Weź kilku ludzi, którzy dobrze sobie radzą z czytaniem, i kopcie w archiwach ratusza, aż będziecie mieli kompletny wykaz potencjalnych celów. Potem sprawdźcie je wszystkie, jeden po drugim.

Sierżant skinął głową i wyszedł z celi. Zwróciłem się w stronę Zielonego, który przysiadł na stosie książek.

– Co dla mnie masz?

– Przekopałem wszystkie biblioteki w mieście i...

– Nie przesadzajmy, to zadupie ma tylko dwie biblioteki.

– No dobra, przekopałem obie biblioteki w mieście, udało mi się też dostać do prywatnych zbiorów kilku kolekcjonerów starożytnej literatury. Rozmawiałem z wieloma uczonymi, alchemikami i pasjonatami historii. Wszystko na nic, nie znalazłem ani jednej kopii *O powstaniu monstra*.

Wielu ludzi jednak słyszało o tym dziele, kilku nawet widziało je na oczy i miało okazję przejrzeć. Wszyscy mówią o nim z rewerencją i pewnym lękiem.

– Innymi słowy, przychodzisz z pustymi rękami i workiem pełnym wymówek.

– Nie do końca. Mam dla ciebie dwie rzeczy. Pierwsza to niepotwierdzona, ale prawdopodobna informacja. Kilka różnych źródeł powiedziało mi, że jeśli jest jedno miejsce, w którym można znaleźć *O powstaniu monstra*, to jest to rezydencja rodu van Dorren.

– Niewiele, ale zawsze coś. Co jeszcze?

– Nie udało mi się, co prawda, zdobyć książki, której szukasz, ale zdobyłem książkę o tej książce.

– Co ty nie powiesz? To niemal to samo, tylko że wcale nie. Jestem prawie zadowolony z twoich prawie osiągnięć.

– Dzięki, czuję, że moje wysiłki zostały prawie docenione. – Zielony sięgnął do znoszonej torby podróżnej, którą nosił ze sobą, i wręczył mi stare, zniszczone tomiszczce.

– Zakładam, że nie dawałbyś mi tego, gdyby nie było warte przeczytania – rzekłem, unosząc brwi.

– Doskonała lektura do poduszki.

Już miał wyjść i zostawić mnie samego, gdy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Dałem mu znać, żeby się zbliżył, i wcisnąłem mu do ręki kilka monet.

– Weź to, idź do burdelu na Kołowej i kup sobie noc z dowolną dziwką.

Sierżant spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Czy to jakiś test?

– Żaden test. Weź pieniądze, prześpij się z mewką w burdelu, a potem zrelaksuj się i ponarzekaaj na swoją robotę, służbę w imię króla i...

– To na pewno test. Dziękuję, panie poruczniku, ale wolę kopać rowy z kolegami, bo taki jest mój obowiązek.

- Nie pierdol, tylko bierz pieniądze. To poważna robota wywiadowcza.
- Będę robił za przynętę, tak? Dostanę nożem pod zebro, jak tylko się rozbiore, i wtedy będziecie mieli pretekst, żeby zrobić nalot na burdel?
- Dobra, zapomnij o sprawie. Weź nocną wartę zgodnie z planem, a ja znajdę kogoś chętnego, żeby sobie w tym czasie podupczył.
- Zaraz, zaraz... Robota co prawda niebezpieczna, ale ja jestem skłonny do poświęceń dla dobra regimentu.
- Chylę czoła przed twoją odwagą. Czy jesteś w stanie wysłuchać polecenia do końca, bez przerywania mi głupimi pytaniami?
- Zielony mądrze nie odpowiedział, tylko kiwnął głową.
- Nareszcie. Rozkaz jest bardzo prosty, ale po tej rozmowie nie zdziwię się, jeśli jakimś cudem uda ci się spieprzyć sprawę. Więc tak: jak już zrobisz swoje i przewrócisz się na plecy, żeby złapać oddech, ponarzekaj trochę na sytuację w mieście. Ale tak od serca, na pewno masz coś, co chciałbyś z siebie wyrzucić. Może opowiedz jakąś historyjkę o krwawej sraczcze wywołanej przez kiepskie żarcie albo o miejscowych plujących ci pod nogi, gdy patrolujesz ulicę. Tak, żeby było autentycznie. Potem zrzuć winę za wszystkie problemy na arystokrację i dwór królewski, wysyłający nas na wojnę w krajach, których nigdy nie zamierzają odwiedzić. I na koniec powiedz „Właściwie to Berenger miał rację” i poczekaj na reakcję.
- A jeśli nie będzie żadnej? Może powinienem wziąć więcej pieniędzy, żeby no... spróbować kilka razy? Dla pewności?
- Doceniam twoją ofiarność. Jeśli nie będzie reakcji, to wyślę kogoś innego.
- Czy to źle, że nazwisko Berenger nic mi nie mówi?
- Poważnie, Zielony? Jesteś jedynym człowiekiem w mojej kompanii, który kiedykolwiek przekroczył próg uniwersytetu, i nigdy nie słyszałeś o Berengerze?
- Na swoją obronę mogę powiedzieć, że w pobliżu uniwersytetu znajdowała się bardzo przyjemna karczma. To kim jest ten Berenger?

– Teraz jest szkieletem, zakopany gdzieś w okolicach Vorain. Za życia podpadł władzy. Na tyle mocno, że został poćwiartowany. Ale jego imię ciągle jest rozpoznawane w pewnych kręgach.

– W burdelach?

– Jeśli już, to tylko w tym jednym. Ale o tym właśnie masz się przekonać. No, bierz się do roboty.

Zielony chrząknął.

– Nie mogę przecież pójść sam... To niebezpieczne. A koledzy mogą nie mieć środków...

– Trzy dni temu była wypłata.

– Ale może nie chcą wydawać własnych pieniędzy na... pracę wywiadowczą?

W odpowiedzi tylko uniosłem brwi. Sierżant uznał słabość swojego argumentu i oddalił się szybkim krokiem.

– To o co chodzi z tym Berengerem?

– Costas Berenger, markiz Taar? Twórca Łoży Taryjskiej?

– Ach, ten. Wolność, równość, arystokracja na szubienice?

– W *Człowieku kontra instytucje* wykładał to trochę bardziej subtelnie, ale generalnie tak.

– I spodziewasz się znaleźć tarystów w burdelu na Kołowej?

– Trafiłem tam przypadkiem na bogatą bibliotekę. Zawierającą tytuły, które często znajduje się w pobliżu świętej księgi zwolenników Berengera. Samego *Człowieka kontra instytucje* tam nie znalazłem, ale to zrozumiałe. Za tamte księgi można trafić do lochu. Za posiadanie *Człowieka*... z reguły obcinają przynajmniej jedną kończynę.

– Dlatego wysłałeś sierżanta do zamtuza, żeby rzucał aluzjami literackimi? To dopiero błyskotliwa metoda szpiegowska. A może powinniśmy też zrobić wywiad w innych przybytkach tego typu? Tak dla pewności? Żeby mieć lepszy obraz rozprzestrzenienia się taryzmu w środowisku?

– Czy na pewno nie masz nic lepszego do roboty niż złośliwe komentowanie cudzych, swoją drogą całkiem przebiegłych, akcji wywiadowczych? Nie powinieneś teraz siedzieć w jakiejś podejrzanej spelunie, przekonując naiwnego kupca, że królewskie piętno na zadzie konia wcale nie oznacza, że jest własnością Ósmego Kawaleryjskiego i że pokazanie się na ulicy na koniu z takim piętmem wcale nie stanowi prostej drogi na szubienicę?

– Dzisiaj jest wtorek.

– Że co?

– Dzisiaj jest wtorek. Cotygodniowy przegląd pułku kawalerii zawsze odbywa się w niedzielne południa. Jeśli chce się zwędzić szkapę z królewskiej stajni, to tylko w niedzielę wieczorem. A w poniedziałek rano koń powinien być już w rękach nabywcy, najlepiej na jakiejś farmie daleko pod miastem.

– I mówisz mi to, bo...?

– Dzisiaj jest wtorek. Jeśli we wtorek wieczorem ciągle trzymasz wojskowego konia, to chujowy z ciebie złodziej.

– Dobrze, dziękuję za ten przyspieszony kurs kradzieży kawaleryjskiego inwentarza. Teraz rozumiem, dlaczego nie masz nic do roboty. Czy możesz iść się nudzić gdzie indziej?

– Czemu nie, może pójdę deklamować poematy w burdelu? W końcu tak się teraz wykonuje pracę wywiadowczą.

Wygiąłem palce w skomplikowanym, wulgarnym geście, którym lokalna smarkateria zazwyczaj wita nasze patrole, zanim rzuci się do ucieczki, chichocząc i gwizdząc. Liczydło odpowiedział równie kunsztownym wulgaryzmem, którego nauczyliśmy się lata temu od chłopów z Lodethal, i wyszedł z mojej celi, zostawiając mnie sam na sam z książką.

Przyjrzałem się wyblakłej okładce, na której ledwo można było dostrzec rysunek przedstawiający czaszkę kozła otoczoną jakimiś nieznanymi mi symbolami. Tytułu nie dało się odczytać, musiałem otworzyć starodruk i

zajrzeć na drugą stronę, by go poznać. Brzmiał: *Zapomniane bestie. Studium animalistycznych kultów Caellarh w czasach pre-voraniistycznych*.

Tym niemniej książka wciągnęła mnie natychmiast. Została, co prawda, napisana w języku staroerejskim, który nie był łatwo zrozumiały dla współczesnego czytelnika, a styl pisania był typowo akademicki – sztywny i bezosobowy, sama tematyka okazała się jednak tak interesująca, że bariery językowe nie miały dla mnie znaczenia.

Autor dzieła, dawno zmarły badacz kultury i religii z Uniwersytetu w Vorain, specjalizował się w folklorze i obyczajach starożytnych kultów pogańskich, a jego ulubionym przedmiotem badań był region Caellarh, gdzie religia odgrywała szczególnie ważną rolę w funkcjonowaniu społeczności. Pogańskie plemiona na tych terenach czciły zwierzęta, a dokładniej ich wyidealizowane reprezentacje. Przykładowo, jeden z ich najważniejszych bogów – Vahrh, opiekun wojowników i duch wojny – był przedstawiany jako ogromny wilk. Inni bogowie również mieli wizerunki wzorowane na zwierzętach, które odzwierciedlały ich atrybuty, zawsze jednak były to karykaturalnie ogromne i wynaturzone stworzenia. Kapłani tej religii, nazywani *rahksh*, co w ich języku znaczyło „wcielenie ducha bestii”, nosili na głowach wilcze albo niedźwiedzie łby i zwierzęce skóry.

Co ważniejsze, pradawni mieszkańcy Caellarh wzorowali na zwierzętach nie tylko podobizny swoich bogów, ale również sami dążyli do ich naśladowania. Wedle autora tekstu wszyscy wyznawcy dążyli do osiągnięcia najwyższego zaszczytu, czyli przemiany w zwierzę. Nie każdy jednak mógł doznać tej metamorfozy, ta pseudodeifikacja była dana tylko wybrancom. Wierzono, że specjalny rytuał może doprowadzić do wyniesienia człowieka i uczynienia go jednością z bestią. Wymagał on, by wybraniec udał się samotnie w dzicz i gołymi rękoma pochwycił stworzenie, którym chciał się stać. Następnie musiał je doprowadzić żywcem do świętego miejsca kultu, gdzie składał ofiarę, przegryzając tętnicę upolowanego zwierzęcia. Gdy już się wykrwawiło, zwycięski wojownik klękał nad martwym cielskiem z

pochyłą głową, a *rahksh* podrzynał mu gardło tak, by krew łowcy i zabitej zwierzyny zmieszała się ze sobą. Jeśli wybraniec okazywał się godny i rytuał przeprowadzono prawidłowo, dwa martwe ciała miały odrodzić się na nowo jako jedno. Wierzący wyobrażali sobie taką istotę jako porośniętego futrem człowieka z głową bestii i darzyli ją czcią jako półboga.

Przemiana i osiągnięcie jedności z bestią nie obejmowały jednak tylko ciała, ale również ducha. Fakt, że nowa istota powstała w wyniku połączenia, miała ludzki korpus i zwierzęcą głowę, a nie odwrotnie, sugerował wręcz, że to bestia grała dominującą rolę w tym związku. Wedle podań animalistyczni półbogowie byli praktycznie niezdolni do komunikacji z ludźmi, kierowali się głównie instynktem i zachowywali w sposób gwałtowny i nieprzewidywalny. Rzadko kiedy pozostawali w społeczności, w której żyli przed metamorfozą. Z tego względu rytuały przemiany przeprowadzano rzadko i niechętnie. Zazwyczaj decydowano się na ten krok w sytuacji krytycznej, podczas zarazy albo wojny z innym plemieniem. Folklor Caellarh oferował wiele opowieści o pół zwierzętach, pół ludziach samodzielnie masakrujących wrogie plemiona, a potem zwracających się przeciw dawnym współbraciom.

Autor *Zapomnianych bestii* powstrzymywał się od osądu prawdziwości tych opowieści. Badacze lokalnego folkloru z Akademii Królewskiej natrafiali na te same historie przez lata w różnych, odrębnych społecznościach w Caellarh. Przekaz ustny był bardzo konsekwentny i zbieżny w treści, nawet gdy porównywano opowieści zebrane w różnych okresach i lokalizacjach. Wydawało się niewątpliwie, że opisane rytuały rzeczywiście się odbywały, a wiedza na ich temat, choć szczątkowa, była dziedziczona z pokolenia na pokolenie. Nie znaleziono jednak nigdy choćby jednego szkieletu, który pasowałby do opisu pół człowieka, pół bestii, i weryfikacja tej części folkloru nie była możliwa. Tym niemniej liczba pokrywających się przekazów ustnych nie mogła zostać zignorowana i uczony nie zdołał się powstrzymać przed przytoczeniem obowiązkowego w



takich przypadkach banału: „W każdej legendzie tkwi ziarno prawdy”. Dla mnie osobiście istnienie tych bestii było drugorzędne. To, że ludzie byli skłonni uwierzyć w te legendy, samo w sobie czyniło je groźnymi.

Gdy zbliżałem się już do końca tekstu, trafiłem na to, co interesowało mnie najbardziej – odwołanie do *O powstaniu monstra*. Autor *Zapomnianych bestii* przyznał, że opisany przez niego przebieg rytuału przemiany jest powierzchowny i niekompletny. Wiedza o wszystkich elementach, jakie są konieczne do jego prawidłowego przeprowadzenia, najprawdopodobniej przepadła wraz z pogańską tradycją ustną. Oczywiście w okresie wczesnego voranizmu, a nawet w czasach współczesnych autorowi nie brakowało ludzi dążących do przywrócenia dawnych wierzeń i próbujących imitować rytuały, ale ich wiedza była ograniczona. Podobno jedynym istniejącym kompletnym źródłem informacji o rytuale przemiany było *O powstaniu monstra*. Niestety, uczony akademik z Uniwersytetu w Vorain i badacz pogańskich kultur również nie miał okazji zapoznać się z tym tekstem w całości, dane mu było jedynie przejrzeć fragmenty jedyne go dostępnego w Erei egzemplarza. Był jednak przekonany, że w Caellarh muszą istnieć przekazywane z pokolenia na pokolenie kopie dzieła, a może nawet tradycja dawnej wiary nadal jest podtrzymywana, w tajemnicy przed obcymi. Jedno było jego zdaniem pewne – jeśli ktoś chciał przekonać się na własnej skórze, czy legendy o przemianach ludzi w bestie są prawdziwe, potrzebował tekstu *O powstaniu monstra*.

Przeczytałem *Zapomniane bestie* od deski do deski niemal bez chwili przerwy i padłem wyczerpany na łóżko. Moje oczy łzawiły i szczypały od długiego czytania przy bladym świetle kaganka i bardzo potrzebowałem długiego, regeneracyjnego snu. Leżąca na podłodze książka nie dawała mi jednak spokoju, przyzywając mnie i domagając się uwagi. Powtórzyłem w myśli wszystkie racjonalne obserwacje: nie odnaleziono nigdy żadnych szczątków pasujących do opisu przemienionych bestii, nikt żywy nigdy nie widział ich na oczy. Mimo to moja wyobraźnia zaczęła pracować, jak tylko

opuściłem powieki. Bezsensowność nigdy nie była dla mnie problemem, ale tej nocy nie spałem najlepiej. Prawdę mówiąc, nie spałem w ogóle.

### ROZDZIAŁ III

– Spieprzaj w podskokach – warknąłem, nie podnosząc głowy znad listy płac, którą przygotowywałem dla Liczydła.

Adiutant gubernatora, który uparł się, żeby zawracać mi głowę swoim marudzeniem, zamknął się wreszcie. Postawiłem przy nazwisku Parcha krzyżyk oznaczający brak wypłaty z przyczyn dyscyplinarnych (wierście mi, nie chcecie wiedzieć, co zrobił) i podniosłem wzrok, by przyjrzeć się adiutantowi. Ku mojemu zdziwieniu ujrzałem wysokiego jak dąb, postawnego chłopca zamiast stereotypowego kurdupłowatego młodziaka. Tak bardzo przywykłem do tego, że wszyscy adiutanci są szybko biegającymi, chudymi wyrostkami niskiego wzrostu, aż nabrałem przekonania, że istnieje jakieś prawo zakazujące mianowania wysokich ludzi adiutantami. Co nie zmieniało faktu, że nie miałem zamiaru traktować stojącego w drzwiach mojej celi człowieka poważnie.

– Powtórzę jeszcze raz. – Adiutant zebrał do kupy resztki swojej godności i znowu zaczął swoją przemowę. – Zwracam się w imieniu Jego Ekscelencji Gubernatora prowincji Caellarh z oficjalnym rozkazem nakazującym Siódmemu Regimentowi udzielenie pomocy szanownemu kupcowi Menechaimowi podczas przeprowadzki do jego nowej rezydencji. Jak panu porucznikowi na pewno wiadomo, rzeczony kupiec musi się przeprowadzić z powodu karygodnego zachowania Siódmego Regimentu, które doprowadziło do ruiny jego obecne miejsce zamieszkania. Dlatego też życzeniem gubernatora jest, by w ramach zadośćuczynienia to właśnie wasz oddział użył siły roboczej koniecznej do przetransportowania cennego dobytku kupca Menechaima do jego nowego lokum.

– Rozumiem – odrzekłem uprzejmie. – Przekaż, proszę, wyrazy szacunku gubernatorowi i powiedz mu, że może pocałować Siódmy Regiment w naszą kolektywną dupę.

Przerośnięty adiutant zrobił minę, jakby miał się zaraz rozplakać, i nagle poczułem się głupio. Gdyby gubernator osobiście wydał mi takie polecenie, to skłoniłbym się dwornie i pognął czym prędzej targać porcelanę szanownego kupca. Znęcanie się nad biednym chłopcem na posyłki nie było bynajmniej powodem do dumy.

– Dobra, niech ci będzie – westchnąłem. – Pójdziemy z tym tematem do wyższej instancji, ale z góry uprzedzam, że istnieje duża szansa, że ona również każe ci spierdalać w podskokach.

\*\*\*

– Spierdalaj w podskokach – powiedziała Nika, gdy adiutant gubernatora przedstawił jej swoją sprawę.

– Zaraz, zaraz, a może powinniśmy to rozważyć? – odezwał się Liczydło, który nie wiadomo z jakiej racji wprosił się do pokoju kapitan. – Daj nam chwilę na naradzenie się.

Ja i Liczydło odwróciliśmy się plecami do Niki oraz adiutanta i odeszliśmy na kilka kroków, żeby móc swobodnie rozmawiać.

– Podczas przeprowadzek zdarzają się wypadki – szepnął do mnie kwatermistrz, tak żeby nie mogli nas usłyszeć. – Cenna porcelana się tłucze, kosztowności gdzieś się zapodziejają, antyczne meble przepadają bez śladu. Nie można uniknąć pewnych strat.

– Tak, to całkowicie naturalne. Nie można winić żołnierzy zmuszonych do robienia za tragarzy, jeśli przypadkiem zapomną czegoś zabrać.

– Cieszę się, że się rozumiemy.

Odwróciliśmy się z powrotem w stronę biurka Niki.

– Możesz poinformować swojego pana, że wykonałeś zadanie – zwróciłem się do adiutanta. – Pomożemy przy przeprowadzce.

Tamten sprawiał wrażenie, jakby nie był pewien, czy mówimy poważnie. Podziękował nam z wahaniem i wyszedł z pomieszczenia, rzucając nam podejrzliwe spojrzenia.

– Mam jedno pytanie – odezwała się kapitan, gdy adiutant zamknął za sobą drzwi. – Co do kurwy nędzy...

– Po prostu chcemy zrobić coś dobrego dla świata – odpowiedział Liczydło niewinnie. – Odkupić nasze winy.

– Tak, chcemy tylko podać pomocną dłoń bogaczowi w potrzebie – dodałem. – Możemy?

– Nie.

To mnie zaskoczyło.

– Jak to: nie? – zdziwiłem się. – Choć raz poszlibyśmy na rękę gubernatorowi, który nie pała przecież do nas sympatią. Dobrowolnie zgłaszamy się do roboty, której nikt inny nie chce wykonać.

– Dlatego właśnie się nie zgadzam. Przecież to oczywiste, że macie w tym jakiś interes i nie ma on nic wspólnego z przenoszeniem mebli.

– Powiedzmy, że tak jest. Czy naprawdę obchodzi cię los Menechaima i jego dobytku?

– Ani trochę. Jeśli chcecie do niego pójść i wszystko rozpieprzyć, to się nie krępujcie.

– Co? – Znowu udało jej się zbić mnie z tropu. – Myślałem, że się nie zgadzasz...

– Ależ jak mogłabym wam odmówić? Proszę bardzo, róbcie, co chcecie. Tylko dobrze napełnijcie kieszenie, bo nie dostaniecie żołądu za ten miesiąc.

– Ale jak to?

– Nie możesz tego...

– Zamknijcie mordy. Dyscyplina w regimencie rozłązi się jak dziadowskie portki, a wy, zamiast robić, co do was należy, tylko pogarszacie sytuację. Gdyby służba kwatermistrzowska pilnowała naszych zapasów, zamiast kręcić się po nocach koło cudzych magazynów, może nie musielibyśmy

ogłądać pleśni na każdym posiłku. A twoja kompania, Norgaard, potrafi spieszyć najprostszy manewr podczas musztry. Okazuje się, że zrzucanie całej roboty na głowy sierżantów nie wystarcza do rozwiązania wszystkich problemów. I jeszcze jedno: jeśli przyprowadzacie do mnie kogokolwiek, choćby byle zasmarkanego adiutanta, to ja decyduję, kiedy go odprawić, nie wy. Nie mogę uwierzyć, że muszę coś takiego mówić dwóm doświadczonym oficerom. No, teraz możecie stąd wypierdalać.

– To całkiem niewspółmierna...

– Powiedziałam: wypierdalać. Idźcie kraść porcelanę z kupieckich kuchni, najwyraźniej nic innego nie potraficie zrobić porządnie.

– Tak jest, pani kapitan.

Z opuszczonymi głowami zaczęliśmy się powoli cofać w stronę wyjścia...

– Liczydło – odezwała się Nika, gdy już byliśmy przy drzwiach – ostatnio rzeczy mają tendencję do przepadania bez śladu, gdy znajdą się w pobliżu ciebie. To niepokojąca cecha u kwatermistrza. Lepiej, żeby te tajemnicze zaginięcia nie dotyczyły własności regimentu.

Gdy znaleźliśmy się w hallu, nie zdążyliśmy jeszcze nawet przetrawić resztek naszego wstydu, a już dopadł mnie podekscytowany Zielony.

– Byłem w burdelu!

– Gratuluję. Twój pierwszy raz?

– Wspomniałem Berengera tak, jak chciałeś. Malissa wyraźnie drgnęła, gdy usłyszała to nazwisko. Zapytała...

– Kim jest Malissa? – zapytałem, ale zaraz potem zrozumiałem. – Nieważne. Mów.

– Zapytała, czy czytałem Berengera – dokończył sierżant, a ja przekląłem się w myślach, że nie wysłałem kogoś, kto miałby chociaż blade pojęcie o ideologii tarystów. – Powiedziałem, że oczywiście, i wygłosiłem nadętą tyradę, jak to wyprzedzał swoją epokę, ale jeszcze nadejdzie jego czas i że to wielka szkoda, że taki umysł przepadł z ręki królewskiego kata.

– Nieźle.

– Jeśli czegoś się nauczyłem na uniwersytecie, to właśnie sprawiania wrażenia, że wiem, o czym mówię, gdy w rzeczywistości nie mam pojęcia o przedmiocie dyskusji.

– Cieszę się, że lata edukacji nie poszły na marne.

– Potem już się całkiem otworzyła i zaczęła opowiadać o swoich poglądach politycznych. Zakładała, że dobrze znam twórczość tego Berengera, więc nie bardzo za nią nadążałem, ale rozumiałem na tyle, by wiedzieć, że za głoszenie takich rzeczy można zawisnąć na stryczku. W pewnym momencie powiedziała, że „sprawiedliwość społeczna jest niemożliwa bez eksterminacji stanu szlacheckiego”. Nie musiałem znać kontekstu, żeby poczuć, że to pachnie kryminałem.

– Świetnie. Spodziewałem się tego, ale dobrze mieć potwierdzenie. Teraz wiemy na pewno.

– Czego się spodziewałeś? I co właściwie wiemy?

– Że Arai nie czyta tarystów do poduszki z zamiłowania do abstrakcyjnych rozważań z zakresu teorii politycznej, tylko indoktrynuje swoje dziewczynki, żeby dalej rozprzestrzeniać radykalne idee.

– Czyli będą potrzebne dalsze akcje wywiadowcze? – Oczywiście Zielonego rozbłąsły nadzieją.

– Wątpię – zgasilem go z zimną satysfakcją. – Wiem już, co chciałem, teraz muszę się tylko zastanowić, jak to wykorzystać.

\*\*\*

Stary dom kupca Menechaima faktycznie był w kiepskim stanie i zawdzięczał tę fatalną kondycję Siódmemu Regimentowi, a konkretnie Szalonemu Yorlanowi, który miesiąc wcześniej najął się jako szczurołap. Nie zrobił tego oczywiście z dobroci serca, lecz dlatego, że wyczuł okazję, by zastosować obiecane przez kupca zasoby do własnych celów, a konkretnie do eksperymentów nad nową wersją mikstury usypiającej. Alchemik zażądał więc pokaźnej zaliczki, którą natychmiast przeznaczył na zakup ingrediencji, i podał przygotowany z nich napój szczurom zamieszkującym

dom Menechaima, dodając go do misek z wodą rozstawionych w całym budynku. Rezultat tego eksperymentu został przez Yorlana określony jako „sukces odwrotnie proporcjonalny”, co w praktyce oznaczało skutek dokładnie przeciwny do zamierzonego. Innymi słowy, szczury, zamiast usnąć, stały się skrajnie pobudzone i nadaktywne, biegając po domu z nieprawdopodobną szybkością, atakując wszystko, co żywe, i gryząc meble z taką wściekłością, że wyłamywały sobie siekacze. Zadowolony z siebie alchemik zanotował skrzątnie swoje obserwacje na temat reakcji obiektów badań na podaną substancję i najchętniej spędziłby w siedzibie Menechaima kolejne tygodnie. Był jednak człowiekiem słownym i solidnym, więc czuł się zobowiązany dotrzymać obietnicy. Rozwiązał problem szczurów typowym dla siebie sposobem, na skutek czego błyskawicznie zniknęły wszystkie szczury... oraz spora część budynku. Zadowolony z siebie Yorlan zgłosił się po resztę wypłaty i zademonstrował szczere oburzenie, gdy kupiec nie tylko nic nie zapłacił, ale jeszcze zażądał odszkodowania.

Menechaim posiadał jeszcze kilka obiektów mieszkalnych w mieście, do których mógł się przeprowadzić, ale jako szanujący się skąpiec nie zamierzał pozwolić, żeby dobra, które przetrwały eksplozję, zostały zmarnowane. Prawdopodobnie to właśnie chciwość sprawiła, że zamiast zapłacić godnym zaufania fachowcom, spróbował wykorzystać kontakty w pałacu, by użyć nas jako taniej siły roboczej. Zawsze uczynni, spełniłszy więc życzenie Menechaima i wczesnym świtem zajechaliśmy pod zrujnowany dom z dziesięcioma pustymi wozami i dwudziestoma kilkoma ludźmi. Żołnierze weszli do budynku i po kolei wynosili stamtąd co cenniejsze sprzęty, które następnie Liczydło starannie szacował pod kątem wartości. Mniej cenne towary były ładowane na otwarte wozy, a te kosztowniejsze trafiały na jeden z dwóch krytych. Wielmożny kupiec nie zniżył się do osobistego nadzorowania naszej pracy, ale oczywiście przysłał dwóch skrybów, by skrupulatnie notowali wszystkie dobra opuszczające budynek. Niestety tak się niefortunnie zdarzyło, że już na samym początku prac jakiś wyrostek

podkradł się do jednego z gryzpiórków i umknął z odciętą od paska sakiewką. Obaj klerkowie rzucili się za nim w pogoń, ale gdy ścigając złodzieja, wpadli w ponury zaułek, zostali nagle otoczeni przez grupę uzbrojonych w pałki młodzików i pobici do nieprzytomności. Moi dzielni żołnierze byli w tym czasie niestety zajęci zbożnym dziełem organizowania przeprowadzki, więc nie mogli zainterweniować. Banda wyrostków umknęła więc z sakiewkami obu skrybów (i drobną zapomogą wypłaconą wcześniej przez naszego kwatermistrza), a my mogliśmy rozporządzić dobytkiem Menechaima bez niepotrzebnej biurokracji.

Staliśmy właśnie z Liczydłem koło jednego z załadowanych wozów, debatując na temat rynkowej wartości zastawy stołowej z czystego srebra, gdy zobaczyliśmy, że zbliża się do nas czterech ludzi w pancerzach erejskiej kawalerii. Jeden z nich, wyższy o głowę od pozostałych, to niewątpliwie był Głęb. Drugi wyróżniał się dystynkcjami kapitana i wyraźnie przewodził tej grupie.

– O, to właśnie ten, którego szukamy! Ten rudy skurwiel!

– Chyba mówią o tobie – zwróciłem się do Liczydła.

– Jak na to wpadłeś? – spytał, przeczesując palcami swoje rude włosy.

– Powiedzieli: „skurwiel”. Kogo innego mogli mieć na myśli?

Liczydło zadarł nos, udając urażonego. Erejczycy tymczasem zbliżyli się do nas. Dowodzący nimi oficer, twardy facet z budzącą respekt blizną na policzku, zaczął mówić:

– Kapitan Nocieres, Ósmy Pułk Kawalerii – przedstawił się. – Z kim mam przyjemność?

– Porucznik Norgaard, kompania E, Siódmy Regiment.

– Rudy skurwiel, kwatermistrz Siódmego Regimentu. – Liczydło ukłonił się z galanterią.

– Widzę, że trafiłem pod właściwy adres. Mam parę pytań. Przypuszczam, że domyśla się pan, o co chodzi?



– Oczywiście – potwierdził z powagą kwatermistrz. – Zapewniam jednak, że nie jestem człowiekiem, którego widział pan wczoraj w nocy wymykającego się z sypialni pańskiej matki.

Nocieres skrzywił się z niesmakiem, a jeden z jego przybocznych splunął na ziemię pod stopy Liczydła. Głęb zrobił skonfundowaną minę, przenosząc spojrzenie ze swojego kapitana na kwatermistrza i z powrotem, próbując zrozumieć, co właściwie zostało powiedziane.

– Widzę, że nie obędzie się bez wyjaśnień – pospieszyłem Głębowi z pomocą. – Żart mojego kolegi opiera się na sugestii, że szanowna matka pana kapitana miewa okazjonalnie nocnych gości w celach kopulacyjnych. Innymi słowy, Liczydło nazwał właśnie twojego przełożonego skurwysynem.

Erejczyk warknął wściekle i zrobił jedną ze swoich groźnych min, ale Nocieres powstrzymał go gestem dłoni.

– Cieszę się, że zastałem panów w dobrych humorach – powiedział z uśmiechem. – Nie spodziewałem się oczywiście, że będzie to łatwa rozmowa. Zapewniam jednak, że jestem bardzo cierpliwy i zawsze w końcu dostaję to, czego chcę. Zacznijmy więc może jeszcze raz. Poruczniku, co panu wiadomo na temat zaginionego transportu ekwipunku dla mojego pułku?

– Dwie rzeczy – odpowiedział kwatermistrz. – Wiem, że taki transport miał miejsce, i wiem, że zaginął. Obawiam się, że nie będę zbyt pomocny, bo oba fakty poznałem przed chwilą, gdy mnie pan o nich poinformował...

– Czy muszę mówić, że nie wierzę w ani jedno wasze słowo, czy wystarczy podejrzliwy wyraz mojej twarzy?

– To chyba pytanie retoryczne – powiedziałem do Liczydła scenicznym szeptem.

– Czy naprawdę konieczne jest, byśmy grali w tę grę? – spytał Nocieres. – Wszyscy wiemy, kto odpowiada za to, że nasz transport nie dotarł do celu. Domyślcie się chyba, że nie zamierzamy tej sprawy po prostu odpuścić i

jeśli nasze zapasy nie odnajdą się w stanie nienaruszonym albo nie otrzymamy zadośćuczynienia w innej formie, to będziemy musieli wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

– Z waszego tonu wnioskuję, że nie macie żadnych wątpliwości co do tego, kto jest winowajcą – zauważyłem. – Wygłaszanie takich definitywnych stwierdzeń bez pokrycia byłoby bardzo nierozsądne. Macie jakieś dowody, prawda?

– Mamy naocznych świadków, którzy zeznali, że rudzielec z wężem wytatuowanym na prawym ramieniu był zamieszany w kradzież transportu.

– Taaak, oczywiście. To faktycznie niepodważalne twierdzenie, biorąc pod uwagę, że nigdy w historii nie zdarzyło się, żeby naoczny świadek popełnił błąd albo został przekupiony.

– Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyśmy kontynuowali tę rozmowę w innym miejscu. Na przykład w koszarach naszego pułku. Takie środowisko powinno wystarczyć, by rozwiązać panom języki – zwrócił się w stronę Głęba Nocieres. – Gianfranco zaprowadzi panów we właściwe miejsce. A jeśli będzie taka potrzeba, to nawet was tam zaniecie.

Olbrzym postąpił kilka kroków naprzód i wyciągnął rękę w stronę Liczydła, który zbladł i cofnął się kilka kroków. Wtedy jednak Erejczyk, wpatrując się w coś za naszymi plecami zawahał się. Odwróciłem się i zobaczyłem, że z budynku wyszła Chi, wraz z kilkoma innymi żołnierzami. Nocieres szybko ocenił stosunek sił.

– Cóż, miło nam się rozmawiało – rzucił, wzruszając ramionami. – Jak powiedziałem, dokończymy tę rozmowę w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Dał znak swoim ludziom i zaczęli się oddalać.

– Nie spieszyliście się zbyt – zwrócił się do Chi Liczydło.

– Obserwowałam was przez okno. – Sierżant wyszczerzyła zęby. – Wyglądałeś, jakbyś się doskonale bawił, nie chciałam ci przerywać.

Ja tymczasem obserwowałem malejące sylwetki Erejczyków wracających do swoich koszar.

– Coś mi się wydaje, że to tylko tymczasowe rozwiązanie problemu.

– Tak, myślę, że możemy spokojnie założyć, że ten temat powróci w najmniej dogodnym momencie.

– Czy powinniśmy zacząć prowadzić jakąś listę ludzi chowających do nas urazę? Tworzymy sobie nowych wrogów w tak szybkim tempie, że można się pogubić.

– Albo – rzuciła Chi, patrząc spode łba na Liczydła – niektórzy z nas mogliby przestać kraść wszystko, co wpadnie im w ręce.

– Hmm... Lista wydaje się prostszym rozwiązaniem.

Dokończyliśmy załadunek bez dalszych komplikacji, jeśli nie liczyć Hieny i Parcha rzucających w siebie filizankami. Niemal wszystko, co znajdowało się w budynku i miało jakąkolwiek wartość, trafiło na wozy, które uformowały długą kolumnę i ruszyły powoli w kierunku nowej rezydencji Menechaima. Nieszczęśliwym trafem z dziesięciu wozów tylko osiem dotarło do celu. Pozostałe dwa przedziwnym zrzędzeniem losu zaginęły gdzieś po drodze i nigdy ich nie odnaleziono. Nic, tylko współczuć kupcowi jego niepowetowanej straty. Znalazło się, co prawda, kilku naocznych świadków, którzy twierdzili, że widzieli dwa wozy wjeżdżające pod osłoną nocy przez bramę klasztoru przy Rzeczej, ale kto by wierzył w plotki rozpowszechniane przez oszczerców?

\*\*\*

Drzwi mojej celi otworzyły się na oścież i stanął w nich Ferre, zastając mnie klęczącego nad wiadrem, do którego właśnie zwracałem resztki obiadu.

– Nadal się nie poprawiło? – spytał.

– Trzeci dzień nie mogę utrzymać nic w żołądku. A Liczydło przysięgał, że w tym tygodniu kuchnia dostała wyłącznie świeże zapasy.

– Pod bramą klasztorną stoi jakaś kobieta i koniecznie chce z tobą rozmawiać. Powiedziała, że ma ważną wiadomość, którą może przekazać tylko tobie.

– Jakżeby inaczej.

– Wygłosiła również kilka bardzo niepochlebnych opinii na temat mojej matki nieboszczki. Były zaskakująco trafne.

Splunąłem kilka razy do wiadra, bezskutecznie próbując pozbyć się paskudnego posmaku z ust, po czym narzuciłem kurtkę od munduru i przypasałem miecz. Zeszliśmy na dół i przecięliśmy dziedziniec w stronę bramy. Tam, pod podejrzliwymi spojrzeniami wartowników, stała drobna postać z twarzą zasłoniętą kapturem. Stałem kilkanaście kroków od wartowników, żeby nie mogli usłyszeć naszej rozmowy, i przywołałem ją gestem.

– Przysyła mnie Arai – oświadczyła bez powitania.

– Domyślam się, że masz jakiś sposób na udowodnienie, że to prawda?

– Kazała przekazać ci pozdrowienia od wampirycznego barona. Z kontekstu wnioskuję, że to jakaś głupota, której nie mógłby wymyślić nikt inny oprócz ciebie.

– Rozumiem, że zjawiałaś się tutaj wyłącznie po to, żeby wygłosić kilka złośliwości pod moim adresem.

– Mam ci przekazać, że Veen van Dorren zażyczyła sobie spotkania z tobą. Nie mam pojęcia, do czego mógłbyś być jej potrzebny. Zgaduję, że potrzebuje wbić kilka gwoździ, a nie ma pod ręką odpowiednio ciężkiego młotka.

– Dokąd i kiedy mam się udać?

– Ha! To zabawne. Spotkanie odbędzie się zaraz, w miejscu, do którego cię zaprowadzę, bo sam w życiu byś do niego nie trafił i nikt by cię do niego nie wpuścił. No, zawołaj któregoś z tych przygłupów, bez których boisz się wystawić nos poza mury klasztoru, i idziemy.

Doskonale. Cóż za niebywale korzystny zbieg okoliczności. Jednego dnia dowiaduję się, że jedyne miejsce, w którym mogę znaleźć poszukiwane przeze mnie zaginione, starożytne dzieło, to siedziba rodu van Dorren – a następnego ktoś z tej rodziny chce się ze mną spotkać. W dodatku jeszcze wcześniej pewna skłonna do manipulacji kobieta usilnie próbowała zainteresować mnie osobą, z którą teraz umówiła mnie na spotkanie. Zupełnie jakby ktoś z góry zaplanował, że będę pracował dla Veen, bo w jakiś sposób służy to ich interesom.

Dlaczego mam wrażenie, że jestem popychany w ustalonym przez kogoś kierunku? I co ważniejsze, dlaczego całkowicie się na to zgadzam, mimo że zdaję sobie sprawę z tego, co się święci?

Skinąłem na Ferrego, by do nas dołączył, i tajemnicza kobieta poprowadziła nas w miasto, nad którym zapadł zmrok. Oczywiście, że mogła to być pułapka, ale gdyby ktoś, a szczególnie Arai, chciał mnie zabić, to były na to znacznie prostsze sposoby. Ostatnio miałem tendencję do dobrowolnego pchania się w paszczę lwa, nie trzeba było mnie dodatkowo wabić. Zresztą spotkanie z Veen van Dorren było dla mnie warte każdego ryzyka. Ostatecznie nie byłem nikim więcej jak tylko najemnym siepaczem. Człowiek taki jak ja może poprawić swój los tylko w jeden sposób: znaleźć się w odpowiednim miejscu o właściwym czasie, by podczepić swój wagonik do odpowiednio potężnego pracodawcy. Na przykład obrzydliwie bogatej arystokratki, która akurat potrzebuje kogoś do brudnej roboty.

– Czy możesz powiedzieć nam coś więcej o miejscu, do którego zmierzamy? – spytałem.

– Biorąc pod uwagę, że za chwilę zobaczycie je na własne oczy, byłaby to strata mojego czasu.

– Dobrze. Powiedz mi w takim razie chociaż, jakim fałszywym imieniem mogę cię nazywać.

– Ostatnio przyzwyczaiałam się do Marianne.

– To chyba niebezpieczne dla szpiega przyzwyczajając się do swojego aliasu?

– Oho, teraz dostanę lekcję szpiegostwa od faceta, który jedyne porządne źródło informacji pozyskał, wpadając w pułapkę w burdelu.

– Zaczynam się zastanawiać, czy to czasem ja nie zostałem wtedy pozyskany.

– Cóż to? Czyżby jakiś proces myślowy rozgrywał się na moich oczach? Niemożliwe.

– Czy zrobiłem coś, czym zasłużyłem sobie na te wszystkie uprzejmości?

– Pomijając wpięprzanie się z butami we wszystkie moje działania w ciągu ostatnich kilku miesięcy? Ależ skąd. Ktoś powinien wam wreszcie wytłumaczyć, że wywiad polega na pozyskiwaniu stałych źródeł informacji, a nie wyzynaniu ich jak gąbki i podcinaniu gardeł. Za każdym razem, gdy uda mi się zinfiltrować jakieś środowisko, wy taranujecie drzwi kryjówki albo bierzecie na tortury jakiegoś podrzędnego biedaka, przez co cała organizacja rozplywa się jak dym, a ja zostaję z niczym. Gdybyście przynajmniej sami posiadali choć podstawowe kompetencje... Ale nie, jedyne, co umiecie, to łapać płotki i torturować je w nadziei, że wydadzą wam kogoś ważniejszego.

– Strasznie dużo gadasz jak na szpiega – rzucił Ferre.

– Nie marudź, jesteśmy prawie na miejscu.

Skręciliśmy w wąską uliczkę, prowadzącą między rzędami małych, kamiennych domów. Nie znałem tej okolicy. Na pewno znajdowaliśmy się gdzieś w północno-wschodniej części miasta, zajmowanej głównie przez drobnych rzemieślników. Dlaczego akurat tutaj mielibyśmy się spotkać z przedstawicielką najbogatszej rodziny regionu, nie miałem pojęcia. Nasza przewodniczka nagle odbiła w prawo i przeprowadziła nas wąską ścieżką między dwoma niepozornymi domami. Znaleźliśmy się na zagraconym podwórku, najwyraźniej użytkowanym na co dzień przez mieszkańców

okolicznych budynków. Słońce zaszło już całkowicie i wokół nie widać było żywej duszy. Marianne zatrzymała się i wskazała dłonią na skos placu.

– Idźcie dalej prosto i traficie na miejsce. Będzie tam na was czekać jeden przygłup na żołdzie Veen. Na pewno was rozpozna i poprowadzi dalej.

Po tych słowach obróciła się i zniknęła nam z oczu. Ruszyliśmy we wskazanym kierunku i po chwili w polu widzenia pojawiło się dwóch uzbrojonych wartowników, wyraźnie przysypiających na straży wejścia do czegoś, co przypominało rozpadającą się stodołę. Gdy przeszliśmy jeszcze kilkanaście kroków, z mroku wyłonił się Wilhelm, stojący kawałek dalej za strażnikami, wyprostowany jak drut w nienagannie ułożonej liberii rodu van Dorren.

– Ten pan jest naszym gościem – zwrócił się do strażników, wskazując na mnie, choć ci nawet nie drgnęli, gdy się zbliżaliśmy. Skinął głową Ferremu.  
– Obawiam się, że zaproszenie dotyczy tylko jednej osoby.

Ferre wzruszył ramionami i odszedł kawałek dalej, by oprzeć się o ścianę budynku. Wilhelm dał mi znać, bym poszedł za nim.

– Pani już czeka.

Otworzył drzwi i przekroczyłem próg, po czym natychmiast gwałtownie się zatrzymałem. Pomieszczenie było pełne zbrojnych. Pohamowałem instynkt rzucenia się do ucieczki, wiedząc, że Wilhelm był tuż za mną i mógł bez trudu mnie zatrzymać. Po krótkiej chwili, podczas gdy stałem całkiem sparaliżowany, a moje oczy przyzwyczajały się do zmiany oświetlenia, moja reakcja okazała się przesadna. Owszem, w budynku, który niewątpliwie był dużą, zbutwiałą stodołą, znajdowało się kilkudziesięciu uzbrojonych siepaczy. Nie czekali oni jednak w pogotowiu, by się na mnie rzucić, lecz siedzieli rozproszeni w różnych punktach, zbici w mniejsze lub większe grupki i grali w karty lub rozmawiali półgłosem, najwyraźniej śmiertelnie znudzeni. Żaden z nich nie poświęcił mojemu wejściu choćby krzty uwagi.

– Wszyscy goście upierają się, żeby sprowadzać swoich ochroniarzy – Wilhelm nachylił się ku mnie – mimo że rodzina van Dorren zapewnia najwyższy standard bezpieczeństwa.

– Sądząc po strażnikach przy wejściu, trudno się dziwić gościom – skomentowałem, choć nie miałem bladego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– Wartownicy są tu wyłącznie dla formalności. Rodzina ma inne, bardziej subtelne metody gwarantowania bezpieczeństwa swych gości.

Skręciliśmy w prawo, gdzie pod ścianą znajdował się ogromny dębowy stół, na którym zebrała się okazała kolekcja wszelkiego rodzaju broni.

– Prosiłbym o pozostawienie tu miecza – powiedział mój przewodnik. – Broń nie jest tolerowana tam poniżej, przynajmniej na czas rozgrywek. Żelazo i stal to profanacja tradycji.

Bez słowa odpasałem miecz i położyłem na stole, a po chwili wahania dodałem też dwa noże.

– Tędy proszę. – Wilhelm schylił się i odsłonił klapę w podłodze, zapraszającym gestem wskazując prowadzące w dół schody.

Przeszliśmy co najmniej kilkadziesiąt wyciosanych w kamieniu stopni, których solidna budowa zupełnie nie pasowała do znajdującej się nad nami ruiny. Oświetlenie było słabe, ale kiedy wyciągnąłem dłoń, by dotknąć ściany, poczułem gładki, starannie wypolerowany kamień.

– Ostrożnie – ostrzegł Wilhelm. – Widowisko już się zaczęło i zgaszono światła. Upadek w tym miejscu byłby bardzo nieprzyjemny.

Nie zadawałem żadnych pytań ani nie prosiłem o wyjaśnienia, mając nadzieję, że sprawiam wrażenie, jakbym panował nad sytuacją. Schody się skończyły i wyszliśmy na korytarz wyłożony kamienną posadzką. Po prawej i lewej stronie dostrzegłem owalne otwory w ścianach, podczas gdy korytarz prowadził dalej naprzód, załamując się po kilkunastu krokach w kolejną serię schodów. Bezmyślnie szedłem dalej przed siebie, aż Wilhelm złapał mnie za ramię i osadził w miejscu.



– Zły pomysł. – Skierował mnie na prawo. – Loża pani jest tam.

Weszliśmy w jeden z owalnych otworów i przeszliśmy jeszcze kilkanaście kroków ciasnym korytarzem, aż znaleźliśmy się w czymś, co rzeczywiście przypominało teatralną lożę. W ciemnościach udało mi się dostrzec wyłożoną poduszkami kanapę i szczupłą kobietę w ciemnej oponce, opierającą ciężkie, jezdzieckie buty na drewnianej balustradzie. Byłem niemal pewien, że między fałdami materiału dostrzegłem błysk metalu. Profanacja, tak?

– Dziękuję, Wilhelmie.

Sługa rodu van Dorren skłonił się.

– Będę w zasięgu głosu, pani.

– Bądź trochę dalej.

Wilhelm skłonił się ponownie i zniknął w korytarzu. Stałem daleko od balustrady i nie mogłem dostrzec niczego, co działo się poniżej, ale pohamowałem pokusę wychylenia się przez barierkę. Stałem w miejscu i patrzyłem wyczekująco na kobietę przede mną. Żadne z nas się nie przywitało ani nie przedstawiło. Wydawało się to zbędne.

– Śmiało, rozejrzyj się – przemówiła Veen van Dorren. – Widzę przecież, że zżera cię ciekawość.

Podszedłem do balustrady i spojrzałem w dół. Kilkadziesiąt metrów pode mną znajdował się plac skąpany w świetle pochodni. W jego centrum ułożono mały krąg z owalnych kamieni, w którym krążyły dwie postaci, co jakiś czas zwierające się w szybkim starciu i wymieniające ciosy gołych pięści. Gdy skupiłem na nich wzrok, zdałem sobie sprawę, że obaj wojownicy nie mają na sobie nic poza zwierzęcymi skórami zarzuconymi na plecy, z wyszczerzonymi paszczami przytroczonymi do głów walczących. Ze względu na ciemności panujące wszędzie poza kręgiem w dole nie byłem w stanie określić, jak duże było pomieszczenie, w którym się znajdowaliśmy. Sądząc po odległości loży Veen od placu, cała ta konstrukcja mogła mieć podobne rozmiary co areny walk na Drugim Brzegu, zdolne pomieścić

wielotysięczne tłumy. Tu jednak nie dało się dostrzec żadnych tłumów. Owszem, słyszałem dochodzące z ciemności pohukiwania i zachęcające krzyki, szczególnie z okolic położonych bliżej ringu, ale były to pojedyncze, oderwane zawołania, nie ryk rozwydrzonej tłuszczy. Raczej małe grupki w lożach podobnych do tej, w której się znajdowałem. Elitarna zabawa.

– Na co właściwie patrzymy? – spytałem.

– *Va'leagha Va'dhagha*. Jesteś w stanie to przetłumaczyć?

– Śmierć wewnątrz... nie, wewnętrzna walka? Wilka i niedźwiedzia? Bez sensu.

– Zbyt dosłownie, ale trudno cię winić. Właściwe oddanie znaczenia w języku erejskim nie jest możliwe. Najbliższe odpowiednie wyrażenie to chyba „walka dusz”. Zauważ, że w oryginalnej wersji słowa oznaczające wilka i niedźwiedzia nie tylko nie są oddzielone spójnikiem, ale wręcz przycięte, jakby zlewały się w jedno z określeniem oznaczającym walkę. Walczące postaci podczas zwania w ringu stają się jednością, tracąc zewnętrzne różnice i cechy gatunkowe. Spajają się w jedno połączone ciało bestii, wewnątrz którego szaleje bitwa dusz. Zwycięzca obejmuje panowanie nad połączonym cielskiem i przejmuje siłę przeciwnika. Jeśli zapytałbyś tych fanatyków w pierwszym rzędzie, którzy pokrzykują głośno i wyją jak zwierzęta, powiedzieliby ci, że w *Va'leagha Va'dhagha* siła mięśni nie ma znaczenia, liczy się wyłącznie siła ducha.

– Słyszałem wcześniej o tych walkach, ale zawsze byłem przekonany, że to rozrywka dla mas, organizowana w podejrzanych spelunach ku uciechu prymitywnej, krwiożerczej tłuszczy.

– To jest podejrzana speluna, a my jesteśmy prymitywną, krwiożerczą tłuszczą.

– W całym pomieszczeniu panuje półmrok, a większość ludzi skrywa głowy pod kapturami, ale i tak mógłbym przysiąc, że w loży obok rozpoznaję kilku tuzów z dzielnicy kupieckiej, a na kilku szyjach widziałem połyskujące, złote medaliony, które na co dzień można zobaczyć tylko w

pałacu gubernatora. Nie wspomnę już o tym, że nie ma tu prymitywnych ławek, na których zazwyczaj sadza się plebs, tylko wygodne kanapy i zapewniające prywatność loże, pilnowane przez uzbrojonych po zęby ponurych facetów. – Wskazałem ruchem głowy na przejście, w którym zniknął Wilhelm.

– Co nie zmienia faktu, że gdy uderzą w gong, wszyscy zniżymy się do naszych najgorszych instynktów. Jeśli sądziłeś, że *Va'leagha Va'dhagha* przyciąga tylko biedotę albo że bogaci mieszczenie mają wyłącznie subtelne, estetyczne zamiłowania, to zaczynam się zastanawiać, czy rozmawiam z właściwym człowiekiem. Przyznam jednak, że jako obcokrajowiec masz prawo nie rozumieć pewnych aspektów tego, co widzisz przed sobą. Chłodna, pozbawiona emocji kultura Erei robi, co może, by głęboko pogrzebać swoje barbarzyńskie początki. W Caellarh przeciwnie – im mocniej królewska administracja naciska na zerwanie z prymitywnymi tradycjami, tym bardziej populacja zaczyna je postrzegać jako wyraz sprzeciwu. To właśnie wokół takich zakazanych praktyk budują swoją tożsamość narodową. Ci wszyscy bogacze, którzy na co dzień obracają ogromnymi sumami z kamiennym wyrazem twarzy, tracą teraz kontrolę nad sobą nie dlatego, że kochają zapach krwi, ale dlatego, że w ich mniemaniu to właśnie te walki są esencją naszego narodu. Wierzą, że w tej brutalnej, rytualnej tradycji zachowany został duch tego ludu i że te praktyki pozwalają nam go ponownie obudzić. Uważają, że to właśnie ta ukryta, zwierzęca siła, gdy zostanie w pełni rozpalona u wszystkich mieszkańców, pozwoli na obalenie erejskiego rządu.

– A ty? – rzuciłem, zwracając uwagę na bezosobowy ton, którym mówiła o mieszkańcach Caellarh.

– Ja? – prychnęła Veen. – Ja uważam, że dopóki nie mamy samodzielnej gospodarki, a nasza technologia i nauka są zacofane o kilkadziesiąt lat w stosunku do Erei, to żadna walka dusz nie rozwiąże naszych problemów.

Dlatego organizuję te jatki i każę wszystkim tym brzuchaczom płacić za wejście.

– Mogłabyś to robić z za kulis. A tymczasem siedzisz w łoży z doskonałym widokiem na ring i oglądasz walki. Czyli jednak jest w tym coś, co cię pociąga.

– Po pierwsze: to nie ring. Koło, w którym odbywa się walka, to *Va'gh*. Święta przestrzeń. Po wybiciu gongu lepiej stracić skórę, niż wystąpić poza *Va'gh*. To oznacza nie tylko przegraną, ale również najwyższe upodlenie. Tchórz, który przekroczył granicę podczas starcia, staje się czymś niższym od zwierzęcia. Zostaje związany i powoli opuszczony do klatki pełnej głodnych szczurów. Znacznie gorszy los niż utrata skóry. Po drugie: nie, nic mnie w tym nie pociąga. Ale moja rodzina już teraz jest oskarżana o zdradę, ze względu na nasze kontakty handlowe z Erea. Uczestnicząc w tej jatce, mogę odzyskać przynajmniej odrobinę utraconej reputacji u innych patrycjuszy. Nic mnie to nie kosztuje, pomijając ekspozycję na nieograniczony kretynizm moich ziomków.

– Zaraz, zaraz... „Stracić skórę”?

– Czy naprawdę w ogóle nie znasz zasad?

– Dwóch wojowników wchodzi na ring i walczy. Co tu jest do poznania?

– Ponownie, *Va'gh*, nie żaden „ring”. Owszem, dwóch wojowników walczy, ale musi być przecież jakiś warunek zwycięstwa, prawda? Spójrz na dół. Tych dwóch, stojących naprzeciw siebie, czekających na uderzenie gongu sygnalizujące rozpoczęcie kolejnej rundy. Jeden ubrany w skórę niedźwiedzia, drugi wilka. Zwycięzcą jest ten, który zdoła zedrzeć skórę z przeciwnika.

– To brzmi raczej jak rywalizacja oparta na zwinności i szybkości refleksów niż sile.

– O nie. Zwierzęce skóry są przyszyte do skalpów i pleców wojowników setkami topornych, mocnych ściągów. Oderwanie tego od ciała wymaga... mocnego chwytu.

– O kurwa.

– Według legend w dawnych czasach, gdy nasz lud był znacznie bliżej natury, wojownicy mieli prawdziwe zwierzęce skóry, byli pół zwierzętami, pół ludźmi. Mówi się, że w obecnych czasach straciliśmy nasze połączenie z puszcza, wrosliśmy w komfort ceglanych domów i ciepłych ubrań, co pozbawiło nas dawnej potęgi. Rozgrywki, które oglądasz, to żalosna namiastka utraconej mocy, którą niektórzy maniacy pragną przebudzić przez podtrzymywanie przeszłych tradycji.

Veen zdjęła nogi z balustrady i zmieniła pozycję, po raz pierwszy siadając twarzą do mnie. Dopiero teraz mogłem zobaczyć jej oblicze, które okazało się mieć niespodziewanie łagodne, niemal dziewczęce rysy. Wiedziałem, że ma mniej niż trzydzieści lat i nie dostrzegłem ani jednej zmarszczki, ale nie było w niej ani krzty młodzieńczego blasku. Jej cera była blada i niezdrowa, a oczy przekrwione i podkreślone ciemnymi workami. Wyraźnie miała problem ze zogniskowaniem wzroku, jej spojrzenie skakało z miejsca na miejsce i mrugała o wiele za często, jakby dręczyło ją poczucie suchości. Widywałem już takie twarze. Tak wygląda ktoś, kto ma w zwyczaju spędzać długie godziny, czytając i pisząc przy świetle kaganka.

– Dużo pracy musiało wejść w przygotowanie tej lekcji pogładowej – odezwałem się. – Skoro więc zadałaś sobie tyle trudu, żeby mnie czegoś nauczyć, możesz mi już teraz powiedzieć, jaki morał mam wyciągnąć z tej historii.

– Nikt sobie nie zadał żadnego trudu – prychnęła. – A w każdym razie nie dla ciebie. Miałam chwilę wolnego czasu, zagwizdałam i przybiegłeś. To, że przy okazji było ci dane obejrzeć trochę lokalnego folkloru, to już twoje szczęście. Skoro jednak chcesz jakiejś lekcji, to ją dostaniesz. Domyślałam się, że skoro sam nie wyciągnąłeś wniosków z tego, co widzisz, trzeba ci je podać na talerzu. Proszę bardzo: niech dzisiejszy wieczór nauczy ciebie, porucznika Siódmego Regimentu, że gównu wiesz o miejscu, w którym stacjonujesz, i o ludziach, których mijasz, patrolując ulicę. Jesteś

tutaj już prawie rok i sądzisz, że jak dałeś po mordzie kilku miejscowym, to wiesz już wszystko, co można wiedzieć. Bynajmniej. Ten lud miał całe wieki na doskonalenie sztuki ukrywania swoich sekretów i pielęgnowanie zakazanych tradycji. Od dziecka uczą się, że pewnych rzeczy nie wolno mówić obcym. Ty jesteś tak obcy, jak tylko się da. Możesz rozbijać łby i brać ludzi na tortury, ale są miejsca, do których nigdy nie dotrzesz bez pomocy kogoś z wewnątrz. Miejsca takie jak to.

Nagle arenę wypełniło szaleńcze, zwierzęce wycie dobiegające z kręgu poniżej.

– Biedny skurwysyn – jęknąłem, wołając nie patrzeć w dół.

– Bynajmniej. Ten, którego słyszysz, to zwycięzca. Przegrany stracił swoją skórę. Nie ma prawa do wycia. To w końcu zwierzęcy dźwięk, tylko ci, którzy mają futro, są jego godni.

– W karczmach szemrzą, że zdradziłaś swój lud. Na targach mówią, że liczy się dla ciebie tylko erejskie złoto. Ostatnie, czego się spodziewałem, przychodząc tutaj, to wykład na temat pradawnych tradycji.

– Pierdolę tradycję – roześmiała się nienaturalnie. – Gdybym tylko mogła, wysłałabym wszystkich tych pieprzonych zoofilów w głęboką puszcę, żeby tam ubierali się w skóry, leczyli korą brzożową i podcierali tyłki liśćmi łopianu, skoro takie im wstrętne dobrodziejstwa cywilizacji. Ale moje interesy leżą na pograniczu Ceallarh i Erei. Nie mogę przetrwać, opierając się tylko na jednej ze stron. Muszę rozumieć jednych i drugich, wiedzieć, co jest dla nich ważne i jak ich zadowolić. Obie strony nieustannie dokonują kalkulacji, czy istnienie rodu van Dorren przynosi im więcej strat czy korzyści. Muszę nieustannie pilnować tego, żeby bilans wypadł na moją korzyść. Tymczasem sytuacja w regionie staje się coraz bardziej napięta. Życie na pograniczu zaczyna być problematyczne, a rachunki przestają się zgadzać. Metody, które stosowałam dotąd, metody subtelne i systematyczne, są zbyt czasochłonne. Potrzebuję szybkich rozwiązań. Definitywnych.

– Tę część rozumiem. Nie rozumiem natomiast tego: masz prywatną armię, która jest niemal tak wielka jak cały Siódmy Regiment. Masz Wilhelma, który jedną ręką położyłby większość moich ludzi. Po co ci jestem ja?

– Jeśli nie jesteś w stanie odpowiedzieć na to pytanie, to nie zasługujesz na tę robotę.

Zastanowiłem się przez chwilę, wracając w myślach do rozmowy z Arai.

– Ludzie w zielono-czarnych liberiach pracują dla rodziny – powiedziałem wreszcie. – Potrzebujesz kogoś, kto będzie pracować dla ciebie.

– Należą się gratulacje. Arai, nie tobie. Bo ty powtarzasz tylko to, co od niej usłyszałeś, czyż nie?

Nie zaprzeczyłem.

– Jaki problem mam rozwiązać?

– Jeden z naszych partnerów biznesowych bardzo nieregularnie wywiązuje się ze swoich zobowiązań wobec nas. Jego dług osiągnął już dość pokaźne rozmiary. Najbardziej frustrujące w tej całej sytuacji jest to, że wspomniany człowiek posiada wystarczające środki, by spłacić wszystkie należności. Mojemu bratu niestety brakuje zdecydowania, by wyciągnąć jakieś konsekwencje wobec dłużnika.

– Nie spodziewałem się, że ród van Dorren ma problemy z windykacją.

– Nawet proste sprawy mogą się skomplikować, gdy w grę wchodzi relacje rodzinne.

– Ten... partner biznesowy ma jakiegoś haka na twojego brata?

– Powiedzmy, że Amine'owi z trudem przychodzi wywieranie presji na ludzi, których darzy przyjaźnią. W pewnych kręgach ten fakt jest powszechnie znany i wykorzystywany. Mój biedny brat jeszcze się nie zorientował, że lista dłużników rodziny i krąg jego przyjaciół dziwnym trafem skupiają te same nazwiska.

– A dopóki Amine jest nominalną głową rodziny, nie masz żadnych oficjalnych kanałów nacisku.

Nie mogłem nie zauważyć, że kąciaki ust Veen drgnęły na słowo „nominalną”. Punkt dla mnie.

– Czyli ja mam być kanałem nieoficjalnym? Przypomnieć mu o jego zobowiązaniach i odzyskać pieniądze?

– Och nie, to nie na pieniądzach mi zależy. W życiu są o wiele ważniejsze rzeczy. Na przykład nieruchomości. Tak się bowiem szczęśliwie składa, że nasz dłużnik posiada liczne grunty, a ja mam sporo pomysłów na zagospodarowanie tych terenów. Właściwie to nawet preferowałabym otrzymać zapłatę w formie ziemi. Niestety najwyraźniej wspomniany partner handlowy nie zdaje sobie sprawy, że istnieją alternatywne metody płatności. Należałoby mu złożyć wizytę i przedstawić mocne argumenty, które przekonałyby go, dlaczego powinien zdecydować się na taką formę uiszczenia długu.

– Nie zapytałem jeszcze o najważniejsze: kim jest ten dłużnik?

– Wątpię, żebyś wcześniej o nim słyszał, to bardzo skryty człowiek. Nazywa się Doro Menechaim.

\*\*\*

Pierwszym, co zobaczyłem po przekroczeniu bramy prowadzącej na dziedziniec klasztorny, była formująca się grupa kilkunastu ludzi z mojej kompanii, najwyraźniej przygotowujących się do wymarszu. Nieopodal stali Nika i Cefel, rozmawiający półgłosem. Kapitan spostrzegła mnie i przywołała gestem.

– Powtórz mu wszystko – zwróciła się do Cefela.

– Zrobiłem tak, jak kazałeś i przeszukałem archiwum w ratuszu – wyjaśnił szybko sierżant. – Pozwoliło nam to zawęzić listę do sześciu miejsc, w których stały obecnie opuszczone młyny. Wysłałem do każdego z nich zwiadowcę. Pięć z sześciu lokalizacji to nic więcej, tylko gigantyczne pojemniki na kurz, nikogo tam nie było od lat.



– A teraz mi powiesz, że budynek numer sześć wcale nie jest opuszczony?  
– Numer sześć wcale nie jest opuszczony. Mój człowiek był tam dzisiaj wieczorem i widział palące się w środku światło, słyszał dochodzące stamtąd głosy. Dobrze przyjrzał się pakunkom, które wnoszono do środka. Wewnątrz coś się produkuje i na pewno nie jest to mąka.

– Rozumiem, że stąd to całe zamieszanie. Szykujecie się do wymarszu?

– Tak – wycedziła Nika. – I właśnie zastanawiałam się, kto pokieruje akcją. Bo dowódca kompanii zniknął bez słowa w środku nocy.

– Dostałem cynk. Musiałem go natychmiast sprawdzić, nie było czasu do stracenia.

– Doprawdy? I czegoż to się dowiedziałeś?

– Za wcześnie na konkrety. Złapałem dopiero początek nitki, teraz muszę ją prześledzić do kłębka.

– Taaaa... Prześledzisz kiedy indziej. W tej chwili masz robotę do wykonania.

– Właściwie to potrzebowałbym regeneracyjnego snu... Cefel jest doświadczonym sierżantem, poradzi sobie z paroma wychudzonymi asystentami alchemików.

– Oczywiście, w końcu twój komfort i wypoczynek jest naszym najwyższym priorytetem. Bierz dupę w troki i ruszaj.

– Rozkaz, pani kapitan.

Nika obróciła się na pięcie i wróciła do budynku, a ja zwróciłem się do Cefela:

– Jeśli to rzeczywiście ukryte laboratorium, dobrze byłoby mieć ze sobą Yorlana, żeby je zabezpieczył.

– Pomyślałem już o tym, ale on za cholerę nie chce jechać. Powiedział, że produkcja wody święconej jest dla dyletantów, szkoda na to jego czasu.

Wzruszyłem ramionami. Ostatnie, na co miałem w tej chwili ochotę, to użeranie się z kapryсами alchemika. Dałem znak Cefelowi, żeby pobiegł postawić oddział na nogi, i niedługo potem wszyscy siedzieliśmy już w

siodłach, kłusując w kierunku Bramy Wschodniej, która miała nas wyprowadzić poza granice miasta. Była to dla nas niecodzienna wyprawa. Dhuirceath było gniazdem węży, więc mieliśmy wystarczająco dużo roboty na jego terenie i rzadko trafiała się okazja, by opuścić jego mury. Ja sam bardzo słabo znałem okolicę, a ze względu na fakt, że przyszło nam podróżować nocą, to zupełnie straciłem orientację i nie miałem bladego pojęcia, gdzie się znajdujemy. Zdałem się całkowicie na Cefela, który bezbłędnie doprowadził nas do celu.

Żeby nie zaalarmować naszych ofiar, zatrzymałem kawalkadę o kilkaset metrów od młyna i nakazałem ukrycie koni z dala od drogi. Zostawiliśmy dwóch ludzi na straży zwierząt i kilkunastoosobowym oddziałem poszliśmy otoczyć budynek. Młyn był wyraźnie zaniedbany, a zostawiono pełno śladów ludzkiej aktywności i nawet w środku nocy mogłem dostrzec wydeptaną ścieżkę prowadzącą do drzwi. W samym budynku paliło się wątle światło, ale nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki.

Otoczyliśmy cel szerokim pierścieniem, który zacieśniał się, gdy zbliżaliśmy się powoli, przeczesując okolicę. Zgodnie z oczekiwaniami, nie natknęliśmy się na nikogo na zewnątrz. Młyn miał tylko jedno wejście, co bardzo ułatwiało naszą obławę, ale i tak zostawiłem ludzi w formacji pierścienia, na wypadek gdyby spanikowani alchemicy próbowali uciekać, skacząc z dwóch maleńkich okienek w ścianie budynku.

Cefel, ja i kilku innych żołnierzy podeszliśmy tuż pod wejście do budynku. Othalowi przypadł zaszczyt wyważenia drzwi. Nie stawiały żadnego oporu. Nawet nie tyle wyleciały z zawiasów, co po prostu rozpadły się na kawałki. Othal, Cefel i dwójka innych wpadła do środka z dobytą bronią.

– Nikogo tu nie ma! – dobiegło mnie po chwili wołanie Cefela. – Spóźniliśmy się.

Usłyszałem jeszcze trochę odgłosów kroków i krzątania się, a potem Cefel wyszedł na zewnątrz, chowając miecz z powrotem do pochwy.

– Jesteśmy w dobrym miejscu – powiedział. – To jest to. W środku jest pełno aparatury alchemicznej, to naprawdę porządnie wyposażone laboratorium. Kilku wprawnych specjalistów musiało tu pracować, żeby obsłużyć tyle sprzętu. To była duża operacja.

– Zmyli się przed naszym przybyciem?

– Tak, dosłownie na chwilę, zanim tu dotarliśmy. Widać, że zwijali się w pośpiechu. Ale i tak zdołali zabrać wszystkie zapasy, zostawili tylko aparaturę, bo nie byli w stanie jej zdemontować.

– Czekają nas kilka mało przyjemnych rozmów.

– Szukanie słabego ogniwa?

– Jakoś musieli się dowiedzieć, że tu będziemy.

– Tak – zgodził się ponuro sierżant. – A na razie pozostaje nam tylko przetrząsnąć to miejsce. Może znajdziemy jakieś wskazówki.

Ruszył z powrotem w kierunku wejścia do młyna, ale złapałem go za ramię.

– To alchemicy. Jeśli wiedzieli, że będziemy przeszukiwać budynek...

Cefel zrozumiał w lot.

– Powinniśmy się cofnąć.

– Musimy przeszukać budynek, ale lepiej, żeby nie robiło tego więcej osób, niż to konieczne.

Sierżant skinął głową.

– Othał, Wu, Songo! – wrzasnął. – Wyłaźcie stamtąd natychmiast!

Oddaliliśmy się o kilkanaście kroków od budowli. Żołnierze w środku, sądząc po głośnym tupaniu, również kierowali się szybko w stronę wyjścia. Odwróciłem się, żeby powiedzieć coś do Cefela...

...ale moje słowa zagłuszył potężny huk, który wstrząsnął młynem. Budynek zachwiał się w posadach i zajął ogniem, lecz nie zawalił się. Jakimś cudem nadal utrzymywał się w pozycji pionowej, choć jego dni wydawały się już policzone. Buchający ogień rozświetlił noc i zobaczyłem wokół siebie żołnierzy podnoszących się z ziemi albo przykładających ręce do uszu i

niemo poruszających ustami. Spojrzałem ponownie w stronę młyna. Nie było się co łudzić, Othał i reszta nie mieli szans.

Zwróciłem wzrok na Cefela, którego twarz była umorusana brudem i pocięta odłamkami z eksplozji. Zdałem sobie sprawę, że usta sierżanta się poruszają, ale nie słyszę ani słowa z tego, co do mnie mówi.

– Co?! – wrzasnąłem do niego, zastanawiając się, czy kiedykolwiek odzyskam słuch. – Nic, kurwa, nie słyszę!

Cefel znowu poruszał wargami, ale nic do mnie nie dotarło.

– Co?! – wrzasnąłem ponownie.

Sierżant nachylił się tak blisko, jak tylko zdołał.

– Powiedziałem – wrzasnął mi prosto do ucha – że nienawidzę tych pierdolonych alchemików!

\*\*\*

– Innymi słowy, gówno wiecie – podsumowała Nika, wysłuchawszy naszej relacji na temat poszlak, jakimi mogliśmy się kierować, by dorwać tajemniczych alchemików z młyna. – Mieliście dokładnie jeden trop i pozwoliliście, żeby wyleciał w powietrze. A teraz nie macie ani wróbla w garści, ani gołębia na dachu, tylko ptasie gówno na czubku głowy.

– Ktoś musiał nas wsypać – powiedział Cefel zdecydowanie. – Zostali uprzedzeni o naszym nadejściu, inaczej nie zwinęliby się tak szybko. Tyle wiemy na pewno.

– Tak jak powiedziałam, gówno wiecie. – Kapitan poruszyła się nagle na krześle i walnęła dłonią w stół. – Oczywiście, do kurwy nędzy, że ktoś was wystawił. Pięciolatek by się tego domyślił, brawo dla was! Pytanie brzmi: kto? Błagam, powiedzcie mi, że macie jakieś pomysły, bo inaczej mogę stracić kontrolę i powiesić was za jaja na najwyższej wieży klasztoru.

Cefel i ja spojrzeliśmy na siebie bezradnie. Siedzieliśmy we dwóch w biurze Niki, tłumacząc się gęsto z naszej wpadki w młynie. I nie mieliśmy kompletnie nic do powiedzenia.

– Możemy w zasadzie wykluczyć zdradę w szeregach regimentu – zacząłem. – Nie wierzę, żeby to wchodziło w grę, nie przy takiej operacji.

– Kto w takim razie spoza regimentu wiedział, co planujecie?

– Ratusz? – zwróciłem się do sierżanta. – Ktoś, kto pomagał ci dotrzeć do odpowiednich materiałów?

Cefel pokręcił głową.

– Nie mieli pojęcia, czego właściwie szukamy ani po co nam to było. Jestem całkowicie pewien, bardzo pilnowałem chłopaków, żeby trzymali mordy na kłódkę.

– Kto jeszcze? Jakiś stajenny może?

– Nawet jeśli nikt z regimentu nie zdradził, to mógł się przy jakiejś okazji wygadać, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi – stwierdziła kapitan. – Trzeba będzie przepytac ludzi, gdzie byli w ostatnim czasie, co robili, z kim rozmawiali.

– Nie będzie trzeba. – Cefel nagle złapał się za głowę. – To ja spierdoliłem. Cholera, to wszystko przeze mnie...

Spojrzeliliśmy na niego ze zdumieniem.

– Kiedy zawęziłem już pulę potencjalnych lokalizacji do kilku miejsc, chciałem jeszcze dodatkowo zweryfikować moją listę. Poszedłem więc do informatora, żeby zapytać go, czy słyszał o jakimś okolicznym młynie, który zajmuje się nielegalną działalnością.

Jęknąłem, spodziewając się, co usłyszę za chwilę.

– Nie mów, że poszedłeś do...

– Ifryta – dokończył Cefel ponuro. – Ten kutas oczywiście nie miał dla mnie żadnych informacji, ale musiał wywnioskować z moich pytań, co się święci, i sprzedać tę informację odpowiednim ludziom.

– Cholera jasna!

– Musimy się dostać do Ifryta – powiedział wściekle sierżant. – Dymał nas już od dawna, ale teraz zginęło przez niego trzech naszych. Czas go wykończyć.

– Nie – powiedziała chłodno Nika. – To ty doprowadziłeś do śmierci trzech naszych ludzi. Ifryt jest narzędziem, które trzeba wykorzystywać ostrożnie i umiejętnie. Pozyskiwać od niego informacje, ale nie dawać mu żadnych. Źle posłużyłeś się informatorem i inni za to zapłacili.

Cefel zbladł i zacisnął pięści, ale nic nie powiedział.

– Ifryt jest w tej chwili naszą najlepszą szansą na pociągnięcie tego śledztwa – zauważyłem pragmatycznie. – Jak sama powiedziałaś, poza tym gównem mamy. Musimy go przycisnąć i dowiedzieć się, komu sprzedał informacje. Inaczej zostaniemy z niczym.

– Zgadza się – przytaknęła Nika. – Pójdiesz z nim pogadać i wyciągniesz z niego, co się da. Ale nie wolno ci go uszkodzić. Jak dotąd zyski z współpracy przewyższały koszty, więc jest dla nas przydatny. Chcę go utrzymać przy życiu tak długo, jak nam się to opłaca.

– Rozumiem.

– Aha, jeszcze jedno, Is. Nie bierz ze sobą Cefela. Ma zakaz zbliżania się do Ifryta.

\*\*\*

Ogólnie rzecz biorąc, Ifryt był zawodowym skurwielem. A konkretnie: dwulicowym donosicielem, niecierpliwym lichwiarzem i fatalnym dentystą, co czyniło go zasadniczo najgorszym człowiekiem na Kontynencie. Trudno stwierdzić, który aspekt jego działalności przyniósł światu największe szkody, ale podejrzewam, że niektórzy szczerbaci mieszkańcy Dhuirceath mieliby swoje zdanie na ten temat. Wedle dostępnych informacji został najpierw lichwiarzem, potem donosicielem, a na końcu dentystą. Jako człowiek półświatka potrzebował przykrywki, która pozwoliłaby mu prowadzić interesy w świetle dnia. Zamiast jednak prowadzić jakąś łatwą i niewymagającą specjalistycznej wiedzy działalność, na przykład pralnię albo tanią knajpę, postanowił udawać, że ma jakiegokolwiek pojęcie o leczeniu zębów. To, że branża ta wymaga wiedzy i umiejętności, w ogóle nie zraziło Ifryta i stworzył on tym samym najgorszą praktykę dentystyczną w historii

ludzkości. Oszczędzę wam opisów jego stomatologicznych wyczynów, wystarczy wam wiedzieć, że każdy problem rozwiązywał przez wyrywanie zębów.

Systematyczne pogarszanie stanu uzębienia populacji Dhurceath nie było jedyną szkodą, jaką Ifryt wyrządzał społeczeństwu. Czerpał on również ogromne zyski z lichwy. Proceder ten, choć powszechnie darzony pogardą, nie łamał żadnego prawa. No chyba że ktoś, tak jak Ifryt, stosował bardzo dosadne metody ściągania należności. Jeśli spotkałeś w mieście kogoś bez kilku zębów i palców, to było wysoce prawdopodobne, że osoba ta wcześniej leczyła się lub pożyczła pieniądze od naszego ulubionego dentysty. Po mieście krążyły opowieści o wyczynach jego zbirów i straszliwych mękach, jakim poddawali dłużników. Oczywiście, większość klienteli Ifryta stanowiła biedota, ludzie, którzy nie mogli znikąd liczyć na pomoc, gdy dwóch osiłków wyważało drzwi do ich domu.

Wreszcie trzeci aspekt działalności tego człowieka o wielu talentach stanowiło donosicielstwo. Był on zresztą donosicielem jedynym w swoim rodzaju. Siódmy Regiment korzystał rzecz jasna z usług siatki informatorów, prowokatorów i konfidentów, ale żaden z nich nie mógł być porównany do Ifryta. Większość naszych współpracowników to szpicle o wysokim standardzie etycznym, ludzie szczerze wierzący w etos swojego rzemiosła. Ich informacje były zawsze pewne i rzetelne. Donosili oni tylko jednej stronie i zawsze dochowywali tajemnicy. Byli to uczciwi, ciężko pracujący konfidenti. Ifryt z kolei nie miał żadnego szacunku dla swojej profesji. Kapował każdej stronie konfliktu, nierzadko jednocześnie i w tej samej sprawie. Potrafił szepnąć Erejczykom słówko o planowanej akcji buntowników, a potem uprzedzić rebeliantów, że okupanci znają ich plany i mają przygotowany kontratak, oczywiście zbierając przy tym sowitą opłatę od obu stron. Niewątpliwie był w działalności Ifryta pewien geniusz, każdy bowiem wiedział, że jest on absolutnie niegodny zaufania, ale zarazem wszyscy potrzebowali jego usług. W sieci intryg i sprzecznych interesów,

które przecinały miasto, zdołał się ulokować w samym środku i czerpał z tego korzyści. Wygrywał przeciwko sobie różne strony konfliktu, pozostając zarazem niezbędnym dla wszystkich. Dzięki temu nikt nie mógł sobie pozwolić na zlikwidowanie go.

Jakkolwiek wielka była pokusa, ja również nie mogłem sprzeciwić się poleceniu Niki i zawlec tego gnojka do podziemi klasztoru przy Rzecznej na długotrwałe i bolesne przesłuchanie. Zamiast tego musiałem udać się do jego zakładu dentystycznego przy ulicy, która według fatalnie przetłumaczonego drogowskazu nosiła nazwę Obrzezanej Bitwy, i prosić o audiencję. Gabinet Ifryta był paskudnym, zaniedbanym budynkiem w dzielnicy, która powszechnie cieszyła się złą opinią. Straż Miejska zapuszczała się w tę okolicę tylko za dnia, a i wtedy patrole przechodziły szybkim krokiem przez środek ulicy, udając, że nie widzą tego, co dzieje się w mrocznych zakamarkach tego spisanego na straty miejsca.

Ferre i ja weszliśmy do zapuszczonego lokum Ifryta, gdzie w ciemnym korytarzu o zabłoconej podłodze powitał nas odźwierny, łysy osiłek z twarzą zarośniętą nierówną szczecina.

– Godziny przyjęć się skończyły – warknął. – Przyjdźcie później.

Mogliśmy oczywiście rozwiązać tę sytuację polubownie, ale jakoś nie byliśmy w nastroju. Rozmazany kształt znany jako Ferre mignął mi przed oczami, zamachnął się nożem i poderznął gardło wykidajle, który padł na kolana, sikając krwią z tętnicy. Rozkazy Niki były wyraźne: nie możemy zabić Ifryta. Nie wspominała jednak nic o jego ludziach.

Przeszliśmy przez ni to korytarz, ni to poczekalnię, gdzie niewątpliwie wielu potencjalnych pacjentów miało ostatnią okazję zawrócić i uchronić się przed popełnieniem fatalnego błędu. Kopniakiem wyważyliśmy drzwi na końcu korytarza, które wyleciały z zawiasów. Najpierw uderzył nas odór, jeszcze zanim weszliśmy do pomieszczenia – dławiąca mieszanka alkoholu, krwi i zepsutego jedzenia niemal zwała nas z nóg. W środku zobaczyliśmy fotel, do którego przywiązany był jakiś biedak, a dentysta i jego asystent



szykowali się do wyrwania kolejnego zęba ogromnymi szczypcami. Wcześniej widziałem Ifryta tylko kilka razy, ale nie było trudno go poznać. Niski, łysy człowieczek z ustami wiecznie skrzywionymi w złośliwym grymasie miał na sobie brunatny rzeźniczy fartuch, na którym rozbryzgi świeżej krwi nakładały się na stare, zakrzepłe plamy. Jego asystent, brodaty grubas, który pod równie poplamionym fartuchem był nagi od pasa w górę, podawał właśnie swojemu szefowi szczypce.

Zanim zdążyli zareagować, Ferre już dopadł Ifryta i zbił go z nóg, przewracając na podłogę. Ja natomiast zająłem się półnagim grubasem, jednym ciosem uzbrojonej w kastet pięści pozbawiając go przytomności. Gdy padł, pochyliłem się nad nim i poprawiłem jeszcze dwa razy, wybijając mu większość zębów.

– Pacjent czy dłużnik? – spytałem unieruchomionego przez Ferrego Ifryta. – Czasem ciężko stwierdzić różnicę.

– Dłużnik – syknął, krzywiąc się bólu. – Obzerał się delikatesami, zamiast spłacać należności, więc zmniejszyłem mu uzębienie.

Podszedłem do krwawiącego z ust, półprzytomnego faceta i uwolniłem go. Chwiejąc się i niepewnie trzymając na nogach, stanął na podłodze i zrobił kilka chybotliwych kroków ku wyjściu. Podtrzymałem rannego i pomogłem mu dojść na korytarz, a potem bezceremonialnie pchnąłem w kierunku wyjścia, zanim zdążył coś powiedzieć. Nie było mi go specjalnie żal. Wszyscy znali reputację Ifryta. Jeśli jesteś na tyle głupi, by od niego pożyczać, to nie zasługujesz, by zachować swoje zęby.

Podszedłem z powrotem do dentysty, który leżał nieruchomo na podłodze, dobrze wiedząc, że szarpanie się z Ferre'em tylko pogorszy sytuację. Stałem tuż obok tak, że mój but znalazł się tuż przy twarzy Ifryta.

– Domyślam się, że przychodzicie w sprawie młyna? – sapnął lichwiarz.

– Dobrze się domyślasz.

– Paskudna sprawa. Kto by pomyślał, że laboratoria alchemiczne mogą wybuchać?

– Chcesz zachować swoje zęby czy nie?

– Ha, dobre. Poharataliście moich ludzi, poczuliście się mocni, brawo dla was. Ale dobrze wiem, że nie ośmielicie się mnie tknąć. Jestem dla was zbyt użyteczny.

– Jesteś użyteczny, jeśli dostarczasz informacji. Jeśli przestaniesz to robić, nie będziemy mieli żadnego powodu, by utrzymywać cię przy życiu. Chcesz pozostać żywy? Powiedz nam, komu sprzedałeś cynk o młynie.

– Co będę z tego miał?

– Kilka dodatkowych lat godnej pożałowania egzystencji.

– To trochę mało.

– Straciliśmy tam trzech ludzi. Każdy scenariusz, który nie kończy się twoją śmiercią na torturach, powinieneś uważać za sukces.

– Niech będzie. Mam dla was nazwisko. Nocieres.

– Niemożliwe. – Dałem się zaskoczyć.

Z głębi korytarza dobiegł trzask zamykanych z impetem drzwi. Instynktownie obróciłem się, dobywając jednocześnie broni. W wejściu pojawił się żołnierz z mieczem w ręku. Miał na sobie ciężki pancerz, zupełnie nienadający się do walki w zamkniętej przestrzeni, i musiał się ustawić bokiem, by przecisnąć przez framugę wyważonych drzwi do gabinetu, wystawiając się tym samym na atak. Liczył zapewne, że efekt zaskoczenia kupi mu trochę czasu, ale ja miałem za sobą wystarczająco wiele nieprzyjemnych doświadczeń, aby reagować szybko i nerwowo na wszystkie trzaski i tupnięcia za moimi plecami. Gdy tylko więc tamten zaczął się przepychać przez drzwi, wyprowadziłem cięcie w wewnętrzną część uda, dokładnie tam, gdzie kończyły się folgi pancerza.

Krew trysnęła z przeciętej tętnicy i żołnierz padł na kolana, blokując przejście następnym, którzy najwyraźniej tłoczyli się za nim na korytarzu.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że pokonany przeze mnie przeciwnik nosi odznaki Ósmego Kawaleryjskiego. Kurwa. To jednostka Nocieresa.

Nie dostałem więcej czasu na przemyślenia, bo nagle kawał drewnianej ściany działowej tuż obok drzwi rozpadł się w drzazgi, gdy przebił się przez nią karykaturalnie ogromny i opancerzony żołnierz, którego dystynkcje zdradzały sierżanta. Jeszcze zanim jego nieco skonfundowane, tępe spojrzenie spotkało się z moim, wiedziałem, że mam przed sobą Głaba. Otrząsnął się ze szczap połamanego drewna i ruszył w moim kierunku. Nie miał w rękach broni, ale jej nie potrzebował, a jego intencje były wystarczająco jasne. Zamachnąłem się mieczem, ale olbrzym odbił mój cios swoją pancerną rękawicą, zupełnie jakbym zaatakował go wykałaczką. Włożyłem w cios trochę za dużo siły i nie byłem w stanie się uchylić, gdy Erejczyk kopnął mnie z rozmachem w klatkę piersiową, łamiąc kilka żeber. Stawiając opór niczym szmaciana lalka, przeleciałem przez pomieszczenie, zatrzymując się na przeciwległej ścianie. Nie mogłem się podnieść i ledwo wciągałem powietrze do płuc, a przenikliwy ból rozsadał mi tors. Nawet nie przyszło mi do głowy rozejrzeć się za mieczem, który w trakcie lotu wypuściłem z ręki.

Jak przez mgłę obserwowałem kolejnych kilku żołnierzy wyłaniających się przez wyrwę w ścianie stworzoną przez Głaba. Jeden z nich podszedł do mnie, pochylił się z dobrotliwym uśmiechem i poklepał po policzku ręką w opancerzonej rękawicy. Zajęło mi chwilę, nim zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą kapitana Nocieresa.

– Ani kroku bliżej albo poderżnę mu gardło. – Usłyszałem głos Ferrego, który cofnął się pod ścianę z nożem przy szyi Ifryta.

– Muszę przyznać, że nie do końca rozumiem – odezwał się dowódca Erejczyków, a w jego głosie pobrzmiwało autentyczne zdumienie. – Dlaczego miałbym podjąć jakiegokolwiek starania, by przedłużyć życie tej kanalii?

Dopiero teraz wzrok wyostrzył mi się na tyle, bym mógł zobaczyć, że dwóch z ludzi Nocieresa ma kusze wycelowane w Ferrego i Ifryta. Miałem bezgraniczną wiarę w umiejętności mojego ochroniarza i wiedziałem, że poradziłby sobie nawet z Głębem, ale kusze komplikowały sprawę.

– Gdyby nie był wam potrzebny, już dawno byście go wykończyli – argumentował tymczasem Ferre.

– Owszem, przydał nam się parę razy – rzucił Nocieres obojętnie. – Ale oddając nam waszą dwójkę, wykonał już swoje zadanie, możemy się teraz z nim pożegnać bez większej nostalgii.

Zdałem sobie sprawę, że wydziedziczony baron patrzy nie na kapitana z Ósmego Kawaleryjskiego, ale na mnie, czekając na decyzję, jak to rozegrać. Nie znajdowałem się w tej konkretnej chwili u szczytu swoich kompetencji intelektualnych, ale wiedziałem, że gdybym był na miejscu Nocieresa, to martwy Ferre byłby dla mnie znacznie cenniejszy niż żywy Ifryt. Erejczycy musieli wiedzieć, jak niebezpieczny potrafił być. Pozwolą mu opuścić ten budynek, tylko jeśli będzie martwy albo związany.

– Złóż broń – powiedziałem.

Baron natychmiast opuścił nóż i odpasał miecz. Jeden z Erejczyków podszedł do niego i drżącymi z nerwów dłońmi związał mu ręce w nadgarstkach. Natomiast Nocieres zbliżył się do donosiciela i grzmotnął go pancerną rękawicą w twarz.

– Jesteś kanalią, ale pozwalamy ci żyć, bo jesteś naszą kanalią – zagrzmiał, dokładając zwijającemu się na podłodze Ifrytowi kilka kopniaków w brzuch. – Wytniesz nam taki numer jak im, to pokażemy ci, co prawdziwy artysta potrafi zrobić z narzędziami dentystycznymi.

Skrzywiłem się, trochę z bólu, a trochę z rozbawienia. Byłem pewien, że Ifryt słyszał tę samą groźbę kilka razy w tygodniu, od każdej frakcji, której donosił. Nocieres zostawił jęczącego lichwiarza na podłodze i wyszedł z gabinetu, dając znać swoim ludziom, by podążyli za nim.

Kiedy Erejczycy wyprowadzili nas na opustoszałą ulicę, udało mi się ich wreszcie policzyć i okazało się, że było ich tylko siedmiu, w tym Głęb i kapitan. Narzucili na nas czarne płaszcze, żeby uniknąć politycznych konsekwencji, jakie niósłby widok wojsk erejskich aresztujących swoich sojuszników. Ferre szedł ze związanymi rękami i kuszą wymierzoną w plecy, mnie natomiast nawet nie związali, wychodząc, całkiem słusznie, z założenia, że jestem zbyt poobijany, by wykonywać jakieś gwałtowne ruchy. Ledwo byłem w stanie iść w miarę zwawym tempem, a co dopiero uciekać albo walczyć. Oczywiście pozbawiono nas wszelkiej broni, jaką zdołano znaleźć, ale udało mi się zachować jeden składany nóż, przemyślnie ukryty we wszytej w tkaninę kieszeni. Ja sam z małym nożem nie stanowiłem rzecz jasna dużego zagrożenia, ale gdyby udało mi się rozciąć więzy Ferrego...

Moje podejrzenie, że Nocieres działa na własną rękę, a nie z polecenia dowództwa pułku, potwierdziło się, gdy zdałem sobie sprawę, że nie prowadzi nas w kierunku swoich koszar znajdujących się w centrum miasta, lecz zmierzamy coraz dalej w głąb Chodaków, najbiedniejszej dzielnicy Dhurceath. W miarę jak zapuszczaliśmy się coraz bardziej w tę okolicę, domy stawały się coraz niższe i bardziej zaniedbane, a przechodnie pojawiali się rzadziej. Nie żeby to ostatnie miało jakiegokolwiek znaczenie, każdy mieszkaniec Chodaków reagował tylko w jeden sposób na widok oddziału Erejczyków eskortujących więźniów – wbić wzrok w ziemię i ominąć ich szerokim łukiem.

Przemierzaliśmy właśnie najgorszą część miasta, gdzie nie było już żadnych kamiennych budynków i drewno, najtańszy budulec, dominowało całkowicie, gdy zaczęliśmy słyszeć dochodzący z oddali szum. Brzmiało to, jakbyśmy znaleźli się w pobliżu rozwścieczonego roju pszczół. Gdy jednak zaczęliśmy się zbliżać do miejsca, z którego napływał hałas, stało się jasne, że jest to gwar rozzłoszczonych ludzkich głosów. Erejczycy zaczęli spoglądać po sobie niespokojnie, ale nadal posuwaliśmy się naprzód.

Wtedy właśnie zobaczyliśmy źródło dźwięku. Zza rogu ulicy, kilkadziesiąt kroków przed nami, zaczęła się wylewać wściekła, nieprzeliczona tłuszcza. Setki ludzi w obdartych, brudnych ubraniach, uzbrojonych w kije, tasaki, noże i wszelką inną prowizoryczną broń maszerowało w naszym kierunku, kipiąc od nagromadzonego gniewu.

Nie był to niecodzienny widok w Dhuirceath. Zamieszki i starcia między niezadowoloną ludnością a siłami królewskimi zdarzały się regularnie i nikogo nie dziwiły. Nacjonalistyczne nastroje panowały właściwie we wszystkich warstwach społecznych regionu Caellarh, ale biedota najbardziej otwarcie dawała wyraz swojemu niezadowoleniu z rządów okupanta. Wzburzony gmin zbierał się w Chodakach dość często, by przemaszerować do bogatej części miasta i tam rozrabiać, protestować i ścierać się ze Strażą Miejską lub Erejczykami. Nocieres pechowo ustawił nas dokładnie na drodze takiego przemarszu, który docelowo miał się zakończyć rozróbą pod ratuszem albo pałacem gubernatora.

Wściekła tłuszcza zareagowała bardzo entuzjastycznie na widok małej grupki żołnierzy, którzy byli na tyle uprzejmi, by z własnej woli wejść prosto w jej objęcia. Triumfalne wrzaski i wyzwiska pod adresem okupanta zaczęły rozbrzmiewać w tłumie. Jeden z Erejczyków trzymających kusze spanikował i posłał bełt w kierunku tłumu. Jakaś kobieta z tasakiem w dłoni padła na ziemię, a gmin eksplodował niekontrolowaną wściekłością i ruszył biegiem prosto na nas. Nocieres, który nie był złym taktykiem, zachował zimną krew i natychmiast zabrał nas z szerokiej głównej ulicy, gdzie mogliśmy zostać łatwo otoczeni, do jednej z bocznych, wąskich przecznic, gdzie między dwoma budynkami mieliśmy chronione flanki. Uliczka była na tyle ciasna, że sam Głęb wystarczył, aby zablokować przejście.

Widząc ogromnego, opancerzonego od stóp do głów i barczystego jak szafa Erejczyka z toporem w dłoni, buntownicy na chwilę stracili rezon. Zaraz jednak znalazło się paru ludzi, upojonych alkoholem i niepohamowanym gniewem, którzy rzucili się do ataku, pociągając resztę

tłumu za sobą. Głęb zamachnął się toporem i jednym uderzeniem powalił kilku napastników. Natychmiast ruszyła na niego kolejna fala tylko po to, żeby zginąć od kolejnego zamachu potężnego Erejczyka. Pozbawieni jakichkolwiek zbroi, wychudzeni i nacierający tłumnie biedacy padali pod ciosami Głęba jak zboże podczas sianokosów. Za plecami sierżanta stali żołnierze, rażąc sztychami tych, którym jakimś cudem udało się uniknąć topora. Nocieres wraz z dwoma kusznikami zabezpieczał tyły i pilnował mnie oraz Ferrego.

Pomimo przerażającej skuteczności Głęba i krwawego żniwa, które zbierał jego topór, raz po raz udawało się komuś prześlizgnąć między jego uderzeniami. Kije, tasaki i młotki nie mogły rzecz jasna przebić jego zbroi, ale coraz częściej jakimś uzbrojonemu w nóż napastnikowi udawało się dopaść Głęba i wrazić ostrze w jedną ze szczelin w jego pancerzu, zanim wspierający go żołnierze zdążyli zareagować. Kolos ryczał wściekle jak ranne zwierzę odpędzające mniejsze drapieżniki, ale broczył z coraz to nowych ran i przerwy między jego uderzeniami stawały się coraz dłuższe. Wreszcie osiągnął granicę swojej wytrzymałości i fala atakujących zalała go, przewracając na ziemię i dźgając nożami we wszystkie dostępne dla ostrzy miejsca. Głęb zaryczał po raz ostatni, zanim głęboki sztych w oko uciszył go na zawsze. Pozostali Erejczycy stawili zaciekły opór, ale nie byli w stanie powstrzymać naporu tłumu i padali jeden za drugim. Nocieres dokonał szybkiej oceny sytuacji i nie zwracając uwagi na nas ani na swoich ludzi, rzucił się pędem do ucieczki. Dwaj z jego żołnierzy, którzy mieli nas pilnować, zbaranieli kompletnie, patrząc ze zdumieniem w ślad za swoim uciekającym dowódcą.

Reszta przysłała nam już bardzo łatwo. Obaj pilnujący nas kusznicy w przeciwieństwie do pozostałych członków oddziału nie mieli na sobie pełnych pancerzy, tylko lekkie kolczugi. Sięgnąłem po swój ukryty nóż i wbiłem go w szyję jednego z kuszników. Ferre, pomimo związanych rąk, złapał drugiego za twarz i wyłupił mu oczy palcami. Rozciąłem więzy

mojego kompana i zaczęliśmy uciekać. Dwóch Erejczyków wciąż pozostawało przy życiu, ale byli zbyt pochłonięci odpieraniem tłuszczy, by zauważyć to, co działo się za ich plecami.

Nie mogłem poruszać się zbyt szybko, więc ograniczyłem się do lekkiego truchtu i ciągłego stękania z powodu bólu przeszywającego raz po raz moją klatkę piersiową. Dobiegliśmy do końca ulicy i zobaczyliśmy przed sobą kompletnie opustoszałą okolicę. Wszyscy mieszkańcy dzielnicy zebrali się w tłumie, który pozbawiony jakiegokolwiek kierownictwa, nie wpadł oczywiście na to, by spróbować nas otoczyć. Mieliśmy więc czystą drogę do domu, a dzięki płaszczom, które wspaniałomyślnie dali nam Erejczycy, mogliśmy ukryć odznaki naszego regimentu.

Nocieresa nigdzie nie było widać, zresztą nie mieliśmy zamiaru go ścigać. W moim stanie nie mógłbym dotrzymać mu tempa, a rozdzielenie się z Ferre'em nie wchodziło w grę. Poza tym kapitan z Ósmego Kawaleryjskiego był samotnym Erejczykiem z oficerskimi odznakami, zagubionym w zbuntowanej dzielnicy. Jego szanse na przeżycie nie były zbyt duże.

\*\*\*

– Pomijając fakt, że został zaszlachtowany jak opancerzony wieprz podczas walki z hordą wychudzonych i kiepsko uzbrojonych biedaków, to śmierć Głaba była niemalże heroiczna – dokończyłem swoją opowieść. – Kto wie, może nawet kiedyś napiszą o nim pieśń, w której odpowiednio ubarwią całą sytuację.

Licydło i Yorlan zachichotali. Przyszli odwiedzić mnie w mojej celi, gdzie powoli dochodziłem do siebie, całymi dniami leżąc w łóżku. Obaj z wielką przyjemnością wysłuchali relacji o końcu Głaba.

– To faktycznie paskudny sposób na odejście z tego świata – stwierdził Licydło. – Zadźgany tępymi, zardzewiałymi nożami kuchennymi.

– Nie chcę go pamiętać w ten sposób – oświadczył Yorlan. – Wolę go zapamiętać takim, jakim był w swoich najświetniejszych chwilach. Gdy pijany jak bela wdawał się w burdy z przypadkowymi ludźmi. Gdy



całkowicie nagi wychodził na balkon burdelu i szczał przechodniom na głowy. Gdy mordował, gwałcił i grabił całe wioski...

– To trzeba mu oddać, był z niego wspaniały grabieżca – przyznał kwatermistrz, wzdychając z rozmarzeniem.

– Tak, miał naprawdę niezrównaną technikę, nikt nie potrafił tak skutecznie jak on pozbawić niewinnych ludzi majątku.

– I oddawał się swojemu rzemiosłu z prawdziwą pasją, tak rzadką w dzisiejszych czasach. Nie ma już na świecie takich łupieżców.

– To prawda, widzi się tych wszystkich rutyniarzy, którzy grabią wioski i miasta bez żadnego zaangażowania w swoją pracę, jakby zupełnie nie wierzyli w to, co robią, bez żadnego poczucia misji. A Głęb naprawdę kochał to, co robił, i wkładał w to serce.

Przerwałem tę sentymentalną scenę i bezceremonialnie kazałem im się wynieść na korytarz. Wymamrotali coś o braku poszanowania dla żałobników i wyszli, udając, że pociągają nosami i ronią łzy nad godnym pożałowania losem sierżanta. Wreszcie jednak miałem spokój i mogłem zająć się czymś pożytecznym. Czekala mnie dłuższa rekonwalescencja, podczas której nadmierna ruchliwość była niewskazana, więc nie pozostawało mi nic innego, jak być pożytecznym w pozycji leżącej. W ciągu kilkunastu dni, które minęły od kopniaka, jakim obdarzył mnie świętej pamięci sierżant, oznaczało to głównie zapoznawanie się z materiałami na temat pogańskich wierzeń regionu Caellarh, które dostałem od Zielonego. Nie dowiedziałem się z nich niczego nowego, powtórzyły one jedynie i potwierdziły to, co już wiedziałem z *Zapomnianych bestii*.

Oprócz Zielonego i Liczydła odwiedzał mnie też regularnie Cefel, głównie po to, żeby wymyślać coraz to nowe wyzwiska pod adresem Ifryta. Nika po raz kolejny zakazała nam szukania zemsty na donosicielu, uważając to za najbardziej pragmatyczne podejście. Sierżant kompletnie stracił głowę, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o obdarciu dentysty żywcem ze skóry. Stał się tak rozkojarzony, że nie mogłem mu przydzielić żadnego

poważniejszego zadania. Jedyna zaleta była taka, że żołnierze bardzo się pilnowali, żeby nie dać mu żadnego powodu do wybuchu, gdy znajdował się w tym morderczym nastroju, i dyscyplina w kompanii niespodziewanie się poprawiła.

Skoro więc ja pozostawałem niedysponowany, Cefel permanentnie wkurwiony, a Zielony zakopany w książkach o starych wierzeniach, to najtrudniejsza robota przypadła w udziale Chi. Mam oczywiście na myśli Doro Menechaima i jego grunta, na których tak zależało Veen. Dzień po aferze u Ifryta wprowadziłem sierżant w temat i wysłałem ją pewnego pięknego wieczoru wraz z obstawą do domu kupca, żeby wyjaśniła mu, dlaczego jest w jego interesie spłacić dług wobec rodu van Dorren w trybie natychmiastowym i w takiej, a nie innej formie.

Chi, która wcześniej wielokrotnie drwiła ze mnie, gdy decydowałem się na wybór najprostszego rozwiązania, sama nie popisała się subtelnością w tym konkretnym przypadku. Po zmierzchu wyważyła drzwi do rezydencji kupca, spuściła łomot jego służbie i wartownikom, rozbiła trochę bezcennej porcelany, a na koniec złamała nos samemu Menechaimowi. Po tym przedstawieniu spokojnie wyjaśniła mu, że jego dotychczasowa polityka fiskalna była nieodpowiedzialna i nieuprzejma wobec jego godnych szacunku partnerów w interesach, którzy domagają się teraz zadośćuczynienia, a konkretnie upatrzonej z góry połaci ziemi. Poinformowała go, że jutro zgłosi się do niego reprezentant owych partnerów i przedstawi mu gotową do podpisu umowę, na mocy której Menechaim zrzeknie się praw do wyznaczonych terenów. Kupiec, bezbronny i półnagi na podłodze swojej sypialni, otoczony przez groźnie wyglądających (no, pomijając Chi) zbirów, zgodził się skwapliwie i obiecał, że bez dyskusji podpisze, co tylko mu każą.

Gdy jednak następnego dnia reprezentant rodziny van Dorren zjawił się pod domem dłużnika, został poszczuty psami. Kupiec nie był oczywiście tak głupi, żeby zwrócić się do Straży Miejskiej lub erejskich wojsk o pomoc.

Jego koneksje w pałacu gubernatora również nie pomogłyby w tym przypadku. Veen i jej krewni mieli znacznie większe wpływy niż Menechaim, który nie mógłby z nimi wygrać w otwartej wojnie. Tym niemniej nie zamierzał się poddać zbyt łatwo. Najał gromadę własnych zbirów, którzy mieli dzień i noc strzec jego rezydencji, i przestał w ogóle wychodzić z posiadłości.

Chi oczywiście i tak znalazła sposób, by na niego wpłynąć. Dwa dni po tym jak kupiec zmienił swój dom w fortecę, ktoś zdemolował karczmę należącą do jego bratanka. Dzień później z kolei spłonął magazyn, w którym dłużnik van Dorren składował swoje towary. A wkrótce potem dom brata kupca został obrzucony kamieniami tak skrupulatnie, że nie zostało w nim ani jedno całe okno. Po tym wszystkim sierżant przeszła do ostatniego etapu swojej operacji. Szalony Yorlan obdarzył ją zapasem swoich „aromatów” i gdy dwa dni później Doro Menechaim obudził się z błogiego snu, znalazł przy łóżku trupa swojego ulubionego psa.

To wystarczyło, by uświadomić kupcowi powagę sytuacji. Tego samego dnia sam zgłosił się do siedziby rodu van Dorren, by dobrowolnie podpisać umowę o przekazaniu gruntów i oddać Veen upatrzone przez nią ziemie.

\*\*\*

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, gdy wreszcie stanąłem na nogi, było odwiedzenie Arai. Veen van Dorren nie skontaktowała się ze mną, mimo że wykonaliśmy wzorowo robotę w sprawie Menechaima. A ponieważ zostałem jej fachowcem od brudnej roboty, zapukanie do drzwi rodowej rezydencji i prośenie o audiencję raczej nie byłoby właściwym zachowaniem. Złapałem więc Ferrego, żeby poszedł ze mną jako obstawa, i powolnym krokiem rekonwalescenta udałem się do burdelu przy Kołowej.

Ulice nadal były niespokojne, a nastroje wśród ludzi nerwowe. Wcześniejsze zamieszki nie wystarczyły, by wyładować niezadowolenie, które gromadziło się pod powierzchnią miejskiej codzienności. Mijając ratusz, zobaczyliśmy kilkudziesięcioosobową grupę manifestującą dość

otwarcie swoje odczucia co do erejskiej administracji. Grupa ta nie tyle protestowała w imię sprecyzowanej ideologii, co dążyła do wyrażenia ogólnej frustracji. Jeden z demonstrantów trzymał w rękach transparent, na którym koślawymi literami napisał w dialekcie Caellarh: „No ja pierdołę!”. Nieco dalej kilkunastu ludzi skandowało w kółko: „DO! KURWY! NĘDZY! DO! KURWY! NĘDZY!”. Kilkunastu znudzonych strażników obserwowało protest z bezpiecznej odległości i udawało, że mają sytuację pod kontrolą.

Burdel przy Kołowej, jak zwykle w godzinach przedpołudniowych, był niemal zupełnie pusty. Jeden z wykidajłów przysypiał na warcie, a jakaś znudzona kurtyzana obgryzała paznokcie, siedząc na schodach prowadzących do biura Arai. Ferre rozsiadł się wygodnie na kanapie w głównej sali, a ja skierowałem się na górę.

– Veen ma dla ciebie nowe zadanie – dobiegł mnie głos Arai, gdy ledwo przekroczyłem próg jej biura. – Sama wprowadzi cię w szczegóły. Jutro wieczorem Marianne zjawi się, by pokazać ci drogę.

– Ufff, a już się martwiłem, że zamierza mnie nagrodzić za wykonanie poprzedniej roboty.

Usiadłem na krześle naprzeciw niej, starając się nie okazywać bólu, jaki ciągle sprawiało mi poruszanie się.

– Czasami trzeba trochę poczekać, by zobaczyć owoce swojej pracy.

– Czy według tej zasady prowadzisz swój biznes?

– Nie. Moi klienci zawsze płacą z góry. Ale ty nie jesteś dziwką, a Veen nie jest pijanym urzędnikiem.

– Dobrze wiedzieć. Przypomnij mi tylko, jaką właściwie mam korzyść z tej współpracy?

– Potrzebujesz pieniędzy i informacji. Van Dorrenowie mają jedno i drugie. W wielkich ilościach.

– Nie mogę się doczekać, gdy wreszcie zobaczę te owoce mojej pracy. Bo to kiedyś nastąpi, prawda?

– Smuci mnie twoja nieufność. Czy kiedykolwiek dałam ci powód, by wątpić w moją szczerłość?

– Jak dotąd nie. Przypuszczam, że gdy to nastąpi, nawet nie zobaczę noża, który uderzy w moje plecy.

– Cieszę się, że się rozumiemy. Ale stać mnie na gest dobrej woli. Podobno ostatnio miałeś trochę problemów. Jak mogę pomóc?

– Kapitan Nocieres. Co o nim wiesz?

Arai po raz pierwszy w historii naszej znajomości wyglądała na zbitą z tropu.

– Nic. To znaczy znam nazwisko, wiem, że jest oficerem erejskiej kawalerii. Ale poza tym nie mam na niego nic. Żadnych perwersji, żadnych konszachtów z nieodpowiednimi ludźmi, żadnych haków.

Sprawiała wrażenie, jakbym naprawdę ją zaskoczył. Oczywiście nie musiało tak faktycznie być, z zasady nie wierzyłem całkowicie w ani jedno jej słowo. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście nie miała nic na Nocieresa, czy też z jakiegoś powodu coś ukrywała, było to bardzo niepokojące. Po raz setny zastanowiłem się, w co właściwie gra Arai.

– Nad czym tak głęboko myślisz? – spytała podejrzliwie.

– Nie spodziewam się szczerzej odpowiedzi na to pytanie, ale i tak spróbuję. Co ktoś taki jak ty robi w Dhuirceath?

– Ktoś taki jak ja?

– Wiesz, o czym mówię. To miasto jest równie urokliwe jak hałda rzecznej mułu wymieszanego z rybim gównem. Ty jesteś jego dokładnym przeciwieństwem.

– To chyba komplement? – Arai odchyliła się do tyłu na krześle. – Is, sam wiesz najlepiej, że samorodków złota nie znajduje się na uczęszczanych traktach ani zielonych pastwiskach. Znajduje się je zagrzebane w rzecznej muli, pośród rybiego gówna.

– Bardzo pouczająca uwaga, mogę ją zapisać?

Żachnęła się lekko.

– To zaścianek Kontynentu, a tutejszy lud jest tępy jak para zardzewiałych grabi. Ma w sobie jednak coś, czego nie znajdziesz nigdzie indziej na świecie. Widzisz, Is, kiedy Erea podbiła Caellarh, nastął nowy porządek. Kasta wojowników, która rządziła regionem, została wymordowana. Zastąpiła ich biurokratyczna, cywilna administracja. Mianowano gubernatora i obsadzono gros urzędniczych stanowisk, ale nie nadano żadnych tytułów szlacheckich. W całej prowincji nie ma jednego szlachcica. De Verde jest oczywiście hrabią, ale jego włości leżą w Erei, nie posiada skrawka ziemi tutaj. Z kolei ród van Dorren, choć wszyscy myślą o nich jak o arystokracji, nie posiada żadnego tytułu. Z popiołów plemiennej, barbarzyńskiej społeczności wyrosła nowa elita, składająca się z kupców i właścicieli manufaktur. Społeczeństwo feudalne nigdy nie wykształciło się w Caellarh. Przy całym swoim zacofaniu technologicznym region przeskoczył jeden etap rozwoju społecznego i znalazł się epoce merytokracji znacznie wcześniej niż Vorain, kulturalna stolica świata. Jeśli rewolucja, która obali władzę arystokracji, ma się gdzieś zacząć, to tylko tutaj.

– Miejscowi nie są zainteresowani rewoltą przeciw arystokracji. Interesuje ich tylko nacjonalistyczny bunt przeciwko Erei. Oni nie chcą zmienić świata, chcą się od niego odciąć.

– To prawda. Rebelia, która wybuchnie w Caellarh, a wybuchnie na pewno, będzie miała na celu uzyskanie niepodległości. Tylko że cele się zmieniają. Kiedy już fala wściekłej tłuszczy zacznie przetaczać się przez kraj, wystarczy jeden impuls, by ponieść ich dalej, poza granice regionu.

– Bo przecież nie ma nic prostszego od kierowania rozszalałą tłuszczą? Już widzę, jak przerywają plądrowanie, by usiąść w kółeczku i wysłuchać twojego wykładu na temat idealnej struktury społecznej.

– Nie mogę ci pomóc w sprawie Nocieresa, ale mam coś innego dla ciebie – powiedziała, swobodnie zmieniając temat. – Znam kogoś, kto złoży ci ciekawą propozycję.

– Czy to będzie tak jak z Veen van Dorren, że będę dostawał coraz to nowe zlecenia, ale żadnej zapłaty?

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak wielką przysługę ci wyświadczam.

– To by się zgadzało.

– Nieważne, później mi podziękujesz. Jest ktoś, kogo chciałabym, żebyś poznał. To bardzo interesujący człowiek, który właśnie przybył do miasta. Wasze spotkanie byłoby bardzo korzystne dla obu stron.

– A którą z tych stron jesteś ty?

– Czy naprawdę sądzisz, że wszystko, co robię, ma jakieś drugie dno?

– Zdecydowanie tak.

– Cieszę się, że tak ciepło o mnie myślisz. – Arai mrugnęła do mnie. – Zapewniam jednak, że nie mam żadnego bezpośredniego interesu w waszym spotkaniu.

– Czego więc ten człowiek będzie ode mnie chciał? Mam spalić jakiś sierociniec? Zorganizować rzeź niewiniątek?

– To już sprawa między wami. Wiem tylko, że jego przybycie oznacza wielkie zmiany dla miasta. To człowiek z wizją. A ty możesz być właściwą osobą, by pomóc mu w jej realizacji.

– Skąd właściwie go znasz?

– Nie znam. Ale ma bardzo mocną rekomendację ze stolicy. Reprezentuje on pewną... instytucję, którą zdecydowanie warto mieć po swojej stronie.

– Doskonale. Czy są jeszcze jakieś ogólnikowe, tajemnicze i nic niemówiące sugestie, które chciałabyś mi przekazać?

Arai roześmiała się perliście.

– Nie przekazałam ci żadnych szczegółów, bo ich nie znam. To ktoś, kto rozumie wartość informacji i dlatego niechętnie ich udziela. Pod tym względem jest do mnie bardzo podobny. Nie wątpię, że potrafisz to docenić.

Uniosłem brwi.

– Wchodzimy w nową epokę, Is. Narzędzia władzy przybierają nową postać, a stare waluty tracą swoją wartość. W Vorain to już się zaczęło.

Wielu ludzi w stolicy zrozumiało, że zasady gry się zmieniają, i odpowiednio przygotowało się do nowego rozdania. Stary świat, zbudowany wokół królów, książąt i błękitnej krwi, powoli umiera. Hrabiowie i baronowie ciągle wierzą, że ten, kto ma ziemię i wojsko, trzyma władzę. Ale nastają nowe czasy i arystokraci niedługo zejną na dalszy plan. Pytanie tylko, kto ich zastąpi.

Przyglądałem się jej bez słowa. Za każdym razem, gdy zaczynałem sądzić, że ją przejrzałem, całkiem zbijała mnie z tropu. Zapewne świadomie. Czy chciała, żebym połączył jej nazwisko z Berengerem i tarystami? Czy książki, które znalazłem w szafie, zostały tam specjalnie podłożone? To przecież tak oczywista kryjówka.

– Człowiek, który tutaj przybędzie – podjęła Arai – jest jednym z tych, którzy wyczuli, skąd wieje wiatr. Teraz ich spojrzenie padło na Caellarh i tak jak ja widzą, że ten region jest jak dojrzały owoc na uginającej się gałęzi. Trzeba tylko potrząsnąć drzewem. Ale do tego będą potrzebować kogoś, kto jest już na miejscu. Kogoś takiego jak ty i ja. Spotkaj się z nim, Is.

– Ma chociaż jakieś nazwisko?

– Obawiam się, że znowu cię zawiodę. Wiem tylko, że mówią na niego Pan Pomocna Dłoń.

– To wcale nie brzmi złowroźnie.

– Nie marudź. Pójdiesz do sklepu LaVaille'a i poprosisz właściciela o pomocną dłoń.

– Nieco dosłowne jak na tajne hasło.

– Lepiej się nie ociągaj z tą sprawą, on nigdy nie zostaje zbyt długo w jednym miejscu.

Skinąłem głową i wstałem, krzywiąc się lekko, gdy igiełki bólu przeszyły mój tors w kilkunastu miejscach.

– Aha, jeszcze jedno – odezwała się Arai, gdy byłem już w połowie drogi do drzwi. – W kontaktach z Panem Pomocna Dłoń najlepiej z góry przyjąć założenie, że nie ma niczego, o czym by nie wiedział.



– To kim on właściwie jest? Nekromantą? Szpiegiem? Skrytobójcą?  
– O nie, to ktoś znacznie bardziej niebezpieczny. – Arai rzuciła mi śmiertelnie poważne spojrzenie. – Pan Pomocna Dłoń jest bankierem.

## ROZDZIAŁ IV

– Kurwa.

Szarpnąłem nogą i mój but z głośnym młaśnięciem wyskoczył z brei, w której ugrzązłem do połowy łydki. Ferre, który w przeciwieństwie do mnie był obdarzony wystarczającą zwinnością, by nie stracić równowagi, idąc po wąskiej desce przerzuconej nad ogromną kałużą, przyglądał mi się spokojnie, stojąc na suchym podłożu.

– Powinienem teraz suszyć buty przy kominku w rezydencji Maldolinich – marudziłem, ostrożnie pokonując ostatni odcinek drogi nad kałużą. – Lepiej: powinienem siedzieć w nowych, suchych butach i patrzeć, jak te przegniłe, rozpadające się bądziwia palą się w wesoło trzaskającym ogniu. Ale nie, musimy się spotkać z tym zasranym bankierem.

– Nie przypominam sobie, żeby ktoś taki operował w Dhuirceath. – Ferre zastanowił się. – To taki lichwiarz dla bogatych?

– Przypuszczam, że on sam nie zgodziłby się z tą definicją – mruknąłem, słysząc chlupotanie przy każdym kroku. – Lichwiarze są z reguły potępiani przez religię i pogardzani przez arystokrację. Bankierzy piją z kapłanami i szlachcicami przy jednym stole.

– Ja jestem arystokratą, a nie pogardzam wydrwigroszami.

– Gardzisz Ifrytem.

– Nie mam nic przeciwko niemu jako lichwiarzowi. To z Ifrytem dentystą mam problem.

Przed nami pojawiła się kolejna wielka kałuża, rozciągająca się na całą szerokość drogi. Ferre podszedł do miejsca, w którym była najwęższa, i

nieprawdopodobnie długim skokiem przedostał się na drugi brzeg. Ja natomiast uznałem, że nie mam już nic do stracenia i przeszedłem przez sam środek kałuży, z rezygnacją witając nową falę mętnej, ciemnej wody zalewającej moje stopy.

Maszerowaliśmy więc w wolnym tempie w kierunku sklepu z antykami należącego do Genera LaVaille'a. Był on z pochodzenia Erejczykiem, który przeprowadził się tu kilka lat temu i bardzo szybko dorobił się fortuny. Wśród mieszkańców Dhurceath krążyły plotki, że swój sukces zawdzięczał sprzedaży kradzionych dóbr. My w Siódmym Regimentie wiedzieliśmy, że faktycznie tak było, i mogliśmy bez trudu pograżyć LaVaille'a, ale nie mieliśmy w tym żadnego interesu. Nie było nawet sensu go szantażować, bo w całym mieście nie znalazłaby się nawet jedna osoba, która darzyłaby go choć krztyną zaufania, więc miał zerową wartość jako informator.

Sklep przypominał dużą, kiepsko oświetloną rupieciarnię. Żeby dojść do znajdującej się na końcu sklepu lady, za którą siedział znudzony właściciel, trzeba było się przecisnąć przez gąszcz przypadkowo poustawianych mebli. Biorąc pod uwagę fakt, że klientelę sklepów z antykami stanowili głównie grubi, bogaci kupcy i ich równie grube żony, wydawałoby się, że zapewnienie odpowiedniej przestrzeni dla pękatych brzuchów gości powinno się znaleźć na szczycie listy priorytetów.

Właściciel, blady, ciemnowłosy chudzielec, dostrzegł nas z daleka i natychmiast rozpoznał mundury Siódmego Regimentu. Poderwał się z krzesła, na którym siedział, i wyprostował, stając za ladą. Mogłem niemal zobaczyć myśli przemykające przez jego głowę, gdy gorączkowo zastanawiał się, czego od niego chcemy, bo było oczywiste, że nie odwiedziliśmy go, by kupić coś z jego rupieciarni.

– Potrzebuję pomocnej dłoni – powiedziałem bez wstępu, podchodząc do lady.

LaVaille zbladł jeszcze bardziej i skinął głową.

– Tędy – powiedział i poprowadził nas na zaplecze. – Drzwi na końcu korytarza.

Wskazał ręką, w którym kierunku mamy iść, i wrócił na swoje miejsce za ladą. Rzuciłem okiem na pozbawioną wyrazu twarz Ferrego i wkroczyliśmy do wąskiego, ciemnego korytarza. Na końcu przejścia dostrzegłem zarys drzwi i ludzką sylwetkę skrywającą się w cieniu.

– Porucznik Norgaard – stwierdził ktoś. – Zapraszam.

Podeszliśmy bliżej i zobaczyliśmy przed sobą trzydziestoletniego, szczupłego mężczyznę. Binokle i szare, pozbawione ozdób ubranie nadawało mu wygląd niegroźnego urzędnika, ale nie dałem się na to nabrać. W jego ruchach i spojrzeniu kryła się ostrość i sprawność, która sugerowała, że był diabelnie niebezpieczny. Nie miałem też wątpliwości, że gdzieś w fałdach jego wyświechtanej, niepozornej szaty skrywa się łatwo dostępne ostrze, które może się w mgnieniu oka znaleźć w jego ręku.

– Niech zgadnę – powiedziałem. – Mamy oddać broń i poddać się przeszukaniu?

– To nie będzie konieczne – odpowiedział tamten. – Nie postrzegamy pana porucznika jako zagrożenia.

Muszę przyznać, że poczułem się tym trochę urażony.

– Proszę wejść do środka, poruczniku. Pańskiego kompana muszę jednak prosić o dotrzymanie mi towarzystwa.

Ferre spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem głową. Odźwierny nacisnął kławkę i gestem zaprosił mnie do środka.

Znalazłem się w rozległym pomieszczeniu, które wcześniej służyło zapewne za magazyn sklepu LaVaille'a. Teraz było ono jednak opuszczone, usunięto nie tylko zapasy, ale nawet półki, na których je składowano. Przedemną rozciągało się kilkadziesiąt metrów wolnej przestrzeni, ale w oddali, tuż pod ścianą mogłem dostrzec samotne biurko, za którym siedział człowiek w kapeluszu. Moje kroki rozbrzmiewały echem po pustej sali, gdy

zbliżałem się powoli, przemierzając idealnie czystą podłogę, na której moje zabłocone buty zostawiały wyraźne ślady.

– Niezmiernie dziękuję za tak rychłe przybycie – powitał mnie mężczyzna, nie wstając, gdy zbliżyłem się na kilka kroków. – Proszę usiąść, poruczniku Norgaard. Miło widzieć pana z powrotem w formie po tej ostatniej, niefortunnej przygodzie. – Wskazał na mały, chybotliwy taboret, który stał tuż przed biurkiem. On sam siedział na wysokim, bogato zdobionym krześle, które przywodziło na myśl królewski tron. Subtelne.

Pan Pomocna Dłoń miał około czterdziestu lat, imponujące wąsy i krótkie, ciemne włosy, zdradzające pierwsze oznaki siwizny. Na głowie nosił elegancki kapelusz, zgodnie z modą przyjętą w stolicy, ale praktycznie niespotykaną w Dhurceath, a na nos wcisnął binokle. Ubrany był w ciemne barwy, nienagannie, ale bez zbytnej ostentacji. Cały czas uśmiechał się dobrotliwie i nieco protekcyjnie, jak sympatyczny wujek do swojego ulubionego siostrzeńca.

– Pan zna moje nazwisko, ale ja nie znam pańskiego – odezwałem się, siadając z wahaniem na niestabilnym taborecie. – Jak mam się do pana zwracać?

– Proszę się tym nie kłopotać. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Moje nazwisko do niczego się panu nie przyda. To ja będę się zwracać do pana, a nie pan do mnie.

– Wobec tego słucham uważnie.

– Zaczniemy od tego, że wytłumaczę panu, jak funkcjonuje branża, w której działam i której to działalności będzie się mógł pan przysłużyć. Istnieją na świecie dwa sposoby bogacenia się. Archaiczny model przewiduje, że osoba, która nie jest w stanie wykonać pewnej pracy, na przykład zbudować mostu, płaci osobie, która tę pracę wykonać potrafi. Model nowoczesny zakłada z kolei, że osoba, która nie ma pieniędzy, płaci osobie, która pieniądze ma.

– Domyślam się, że jest pan człowiekiem nowoczesnym?

– Jestem człowiekiem elastycznym – odparł Pan Pomocna Dłoń, rozpierając się na krześle. – Dostosowuję się zarówno do zmieniających się czasów, jak i do miejsca, w którym przebywam.

– I jak się panu podoba to miejsce?

– To żyzny grunt, a ja będę pierwszym rolnikiem, który go obsieje. Zanim jednak rolnik zacznie swoją pracę, potrzebuje pługa, który spulchni ziemię.

– Ma pan doprawdy imponującą wiedzę z dziedziny rolnictwa. – Uśmiechnąłem się krzywo. – Domyślam się, że zaszczytna rola pługa w tej metaforze ma przypaść w udziale mojej skromnej osobie?

– To się jeszcze okaże.

– Zapewniam, że mam duże doświadczenie w pełnieniu roli narzędzia w cudzych machinacjach. Nie bardzo jednak rozumiem, do czego mógłbym się przydać bankowi. Mam pomóc w budowie nowej siedziby?

– Nie przybyłem tu po to, żeby cokolwiek konstruować. – Pan Pomocna Dłoń nachylił się ku mnie i podniósł lekko głos, ale jego twarz nie zmieniła wyrazu. – Budynki to tylko balast, niepotrzebne ograniczenie. Nieważne, jak wspaniała jest siedziba banku, i tak można ją spalić lub obrabować. Można ją też omijać szerokim łukiem, gdy się zalega z opłatami. Ja nie jestem przywiązany do żadnego miejsca, a bank, który reprezentuję, nie posiada żadnej lokalizacji. Klient nie przychodzi do Banku Centralnego, lecz Bank Centralny przychodzi do klienta. I nie odchodzi, dopóki nie dostanie tego, czego chce.

– A czego Bank Centralny chce ode mnie?

– Nawet pomocna dłoń musi czasem założyć kastet.

– Kolejna metafora stawiająca mnie w bardzo korzystnym świetle, jak miło.

– Poruczniku Norgaard. Jestem człowiekiem, który podejmuje decyzje, kierując się tylko i wyłącznie racjonalnymi przesłankami. Emocje ani

względy... moralne nie mają dla mnie znaczenia. Czy mogę oczekiwać tego samego od pana?

– Zakładam, że zapoznał się pan z moim życiorysem – odpowiedziałem.

– To powinno wystarczyć za odpowiedź.

– Rozumiemy się wobec tego. Przejdźmy do rzeczy. Działa w tym mieście pewien człowiek, który prowadzi interes stanowiący dla mnie konkurencję. Bardzo nieudolną, ale tym niemniej uciążliwą. Stanowi nieprzyjemny i obraźliwy dla zmysłów dysonans, który powinien zostać wyeliminowany. Jestem pewien, że jego imię jest panu znane. Mówią na niego Ifryt.

Jestem niemal pewien, że zachowałem idealnie niewzruszoną minę. Mógłbym przysiąc, że nie można było w tym momencie wyczytać z mojej twarzy, że kiedykolwiek wcześniej usłyszałem imię tego skurwysyna.

– Przypuszczam, że potrzebuje pan trochę dodatkowej motywacji. – Pan Pomocna Dłoń wyciągnął z szuflady biurka opasłą sakiewkę i podał mi ją. – Oto kilkanaście tysięcy dobrych powodów, by dla mnie pracować. Zaliczka za pierwsze zadanie. Ale wiem, poruczniku Norgaard, że jest pan jednym z nielicznych ludzi, którzy rozumieją, że informacja jest walutą cenniejszą niż jakikolwiek pieniądz. Dlatego właśnie wybrałem pana. I mogę również płacić w tej drugiej, cenniejszej walucie. Pozwolę sobie przytoczyć jeden przykład. Próbuje pan ustalić, kto zajmuje się wytwarzaniem nielegalnej wody święconej, prawda? Udało się już panu dotrzeć do sprzedawców i pośredników. Może nawet uda się dopaść producentów i ich ochroniarzy. Ale człowiek, który jest pomysłodawcą tego wszystkiego, ten, który wszystko zorganizował i otrzymuje największą część zysków, pozostaje poza zasięgiem. Nigdy pan do niego nie dotrze, stosując swoje metody. Ja mógłbym go porucznikowi podać na tacy. Mógłbym otworzyć przed panem drzwi, które dotąd były zamknięte. Ale najpierw musi pan zasłużyć na moje zaufanie. – Pan Pomocna Dłoń uniósł rękę i wykonał gest jednoznacznie wskazujący drzwi. Audiencja była zakończona.

\*\*\*

Ukryłem sakiewkę starannie pod ubraniem i wyciągnąłem ją dopiero, gdy znalazłem się z powrotem w samotności mojej klasztornej celi. Bankier nie przesadził, mówiąc o kilkunastu tysiącach powodów. Gdy wysypałem zawartość na łóżko, doliczyłem się piętnastu tysięcy erejskich koron, głównie w ciężkich, złotych monetach o wysokich nominatach. Ekwiwalent mojego trzyletniego żołdu. A jednak to nie pieniądze przekonały mnie, by pracować dla Pana Pomocna Dłoń. Ten człowiek miał wokół siebie niesamowitą i niepowtarzalną aurę, która znamionowała autorytet. Widziałem w życiu wiele osobistości – wysokich rangą kapłanów, nekromantów, dowódców wojskowych, arystokratów i bogaczy. Nikt jednak nie emanował władzą tak silnie jak Pan Pomocna Dłoń. Arai miała rację. Dla Dhurceath nadszedł czas wielkich zmian i ja czułem, skąd wieje wiatr.

Niesubordynacja. Za to właśnie otrzymałem piętnaście tysięcy koron. Za wystąpienie przeciwko interesowi regimentu. Za złamanie jasno sformułowanego rozkazu. Drobne kradzieże, szemrane interesy na boku, pomniejsze roboty na zlecenie miejscowych – to wszystko było tolerowane i dopóki nie stało w sprzeczności z celami jednostki, Nika przymykała oko. W sprawie Ifryta wypowiedziała się jednoznacznie: był dla nas nietykalny. Mimo to ja zamierzałem go zamordować.

Siódmy Regiment stanowił mój dom od wielu lat, a jego żołnierze byli jedynymi ludźmi, do których bez obaw mogłem się odwrócić plecami. Podążanie za rozkazami Niki i Gerarda jawiło mi się zawsze jako najlepszy sposób zapewnienia, że dożyję następnego dnia. Zarazem jednak nie miałem złudzeń, że ta służba nie ma przyszłości. Nie istniał żaden prawdopodobny scenariusz, w którym moje życie jako oficera najemnej jednostki kończyło się bezpieczną, dostatnią starością. Czekala mnie nędzna, mało chwalebna śmierć, jeśli nie w Caellarh, to w innym zapomnianym regionie świata, podczas kolejnej gorzkiej kampanii mającej na celu dodanie kolejnego diamentu do królewskiej korony. Słowa Arai o

nadchodzących zmianach tkwiły mi w pamięci, bo choć nigdy wcześniej nikt tego nie wypowiedział, wielu z nas to przeczuwało. Ginęliśmy dziesiątkami za marne pieniądze, w służbie hrabiów i książąt, nie mając żadnej nadziei, nieważne, jak wielkie nasze zasługi, że kiedykolwiek czeka nas lepszy los. Aż do teraz. Owszem, zdawałem sobie sprawę, że miałem jedynie zamienić jednego pana na drugiego. Ale to była moja okazja, by znaleźć się na szczycie fali, która miała zmieścić ustalony porządek. Nie spodziewałem się po tym wszystkim poprawy świata, a jedynie mojej pozycji w nim. W końcu czego dobrego można oczekiwać od epoki, której zwiastowaniem jest morderstwo lichwiarza?

Jeśli mieliśmy postąpić wbrew jasnym rozkazom Niki, to musieliśmy przeprowadzić bezbłędną akcję. Nie mogliśmy zostawić żadnych śladów, które by do nas doprowadziły, i nikt nie mógł nas zidentyfikować. Mówiąc „my”, mam na myśli siebie i dwóch ludzi, których poprosiłem o pomoc i co do których mogłem mieć całkowitą pewność, że nigdy nie wydadzą mnie, jeśli Nika weźmie ich na spytki – Ferrego i Liczydło. Przekonanie Liczydła przyszło łatwo – wystarczyło wręczyć mu siedem tysięcy pięćset koron i powiedzieć, że chodzi o Ifryta. Ferremu również zaoferowałem taką samą kwotę, ale zgodnie z moimi oczekiwaniami nie przyjął jej. Mimo to mogłem być pewien jego udziału. Oddał wszystko – tytuł szlachecki, dziedziczne włości, a nawet duszę, by unieśmiertelnić swoje nazwisko, a tymczasem utknął na krańcu świata w pozbawionej chwały służbie. Każdego dnia coraz coraz bardziej oddalał się od zwycięskich pojedynków i brawurowych rajdów Wojny Kontynentalnej. Całymi dniami krążył po placu treningowym jak lew w klatce. Godność nie pozwalała mu okazać frustracji, ale jego głodny wzrok stale wypatrywał okazji do walki. Niepotrzebne były pieniądze, żeby upadły baron bez dodatkowych pytań zaangażował się w choćby najbardziej ryzykowną i desperacką akcję. Rozważałem wtajemniczenie jeszcze kogoś, ale ci, na których zazwyczaj polegałem – Chi, Zielony, Cefel – byli zawsze posłuszni najwyższej szarzy,



pytani przez kapitana lub pułkownika natychmiast wypowiedaliby się ze wszystkiego, co kazałem im zrobić. Natomiast Hiena i Parch, którzy na pewno nie wygadaliby się przed Niką, nie byli dość solidni, by zaangażować ich w przedsięwzięcie, które musiało być przeprowadzone cicho, precyzyjnie i bezbłędnie.

Stało więc na tym, że mieliśmy wykonać zadanie tylko we trójkę. Przed wyjściem pozdejmowaliśmy wszystkie odznaki regimentu i zakryliśmy rękawicami tatuaże na prawych rękach. Nie braliśmy jednak dodatkowego uzbrojenia i nie zakładaliśmy nic cięższego niż nasze standardowe pancerze. Ja i Liczydło, jako tylko trochę lepsi niż przeciętni szermierze, wychodziliśmy z założenia, że jeśli wpakujemy się w kłopoty, to będziemy liczyć na demoniczną szybkość Ferrego bądź po prostu wykonamy taktyczny odwrót i rzucimy się do ucieczki.

Nika kazała utrzymać Ifryta przy życiu, ale to nie znaczy, że nie miała go pod stałą obserwacją. Dzięki temu znaliśmy dobrze jego zwyczaje i wiedzieliśmy, gdzie zastawić na niego pułapkę. Był arogancki i uważał, że dzięki swojej mistrzowskiej taktyce szczucia konkurencyjnych frakcji przeciw sobie on sam pozostaje nietykalny. Dlatego też nie miał w sobie za grosz paranoi, która często towarzyszy jemu podobnym, i utrzymywał stałe nawyki. Każdej nocy po zamknięciu swojej praktyki wracał do położonego w bogatej części miasta domu tą samą trasą, chroniony przez czterech osiłków. Lichwiarz wierzył, że czterech ochroniarzy wystarczy, by odstraszyć złodziejasków i mściwych dłużników, a jego spryt chroni go przed większymi graczami. Nie przewidział jednak, że na scenie może się pojawić ktoś taki, jak Pan Pomocna Dłoń.

Przeanalizowaliśmy dokładnie drogę Ifryta do domu i wybraliśmy najlepszy moment na zasadzkę, w miejscu, które uznaliśmy za najrzadziej uczęszczane przez przypadkowych przechodniów, niedaleko opuszczonego budynku, gdzie zamierzaliśmy następnie odbyć z Ifrytem krótką pogawędkę. Sam plan zasadzki był równie skomplikowany jak konstrukcja

imadła. Z jednej strony Ferre, ściągający uwagę ochroniarzy, z drugiej ja i Liczydło, odcinający Ifrytowi drogę ucieczki.

Noc zapadła już dawno, gdy zajęliśmy pozycje. W okolicy panowała niemal zupełna cisza, pomijając dwa walczące koty w sąsiednim zaułku i pijaka rzygającego za rogiem. Liczydło i ja skryliśmy się w cieniu tuż przy wejściu do uliczki, a nasz błękitnokrwisty przyjaciel ustawił się kilkadziesiąt metrów dalej, gotowy zablokować przejście. Przez dłuższy czas nic się nie działo i mogłem w spokoju kontemplować odgłosy kociej walki oraz próbować odgadnąć zamierzone znaczenie szyldu po drugiej stronie ulicy, na którym koślawym erejskim napisano: „Witaj na prawo cioci sukna”. Ferre czekał spokojnie, stojąc na samym środku ulicy, i obserwował zbliżający się kordon osiłków otaczający Ifryta. Skrzyżował ręce na piersi w nonszalanckiej pozie, nawet nie wyjmując miecza z pochwy. Dobrze znaleźliśmy typ człowieka, który zatrudniał się u lichwiarza jako ochroniarz. Byli to osobnicy, którzy specjalizowali się w torowaniu drogi przez zatłoczone knajpy, wyrzucaniu pijaków za drzwi, blokowaniu przejścia niepożądanym gościom i obijaniu mord splukanym dłużnikom. Nawet jeśli nosili miecze, to nie potrafili się nimi posługiwać, polegając wyłącznie na sile fizycznej.

Kiedy zbliżyli się odpowiednio, Ferre płynnym ruchem wy dobył ostrze i bez ostrzeżenia ruszył do ataku. Zanim zdążyli zareagować, krew już tryskała z tętnicy szyjnej jednego z osiłków. Trzej pozostali ruszyli na odsiecz, a Ifryt rzucił się do ucieczki, wpadając prosto na Liczydła który powalił go celnym ciosem. Pomogłem kwatermistrzowi unieruchomić lichwiarza, po czym obaj czekaliśmy spokojnie na wynik starcia kawałek dalej, nie zamierzając pchać się między obstawę Ifryta a zabójczo szybką klingę Ferrego.

Baron najwyraźniej bawił się doskonale, tańcząc wokół ochroniarzy. Ich nieskoordynowany atak i powolne, zamaszyste ciosy wyprowadzane ciężką, nieporęczną bronią miały równe szanse na trafienie szybkiego szermierza, co

koń na kopnięcie natarczywego gza. Wkrótce wszyscy czterej najemnicy Ifryta leżeli martwi na ziemi, a Ferre wycierał miecz w ubranie jednego z nich.

Skrepowaliśmy i zakneblowaliśmy dentystę, a potem ponieśliśmy go jak wyjątkowo nieporęczny tobołek do wybranego wcześniej budynku. O tej porze i w tej okolicy nie musieliśmy kryć się przed ludzkim wzrokiem. Raz tylko na tej krótkiej trasie napotkaliśmy jakiegoś zabłąkanego przechodnia, który zresztą szybko umknął, gdy zdał sobie sprawę, że niesiony przez nas kształt bardzo przypomina ludzkie ciało.

Usadowiliśmy związanego Ifryta na krześle w opuszczonym budynku i Liczydło zabrał się do roboty. Wiedzieliśmy, że przekonany o swojej nietykalności lichwiarz nie uwierzy, że nie blefujemy, dopóki czynami nie wyprowadzimy go z błędu. Dopiero gdy nóż Liczydła pozbawił go nieznacznej ilości krwi i znacznej ilości skóry, przeszliśmy do komunikacji werbalnej.

Ifryt gadał. Mówił wszystko, co wiedział, i mówił szybko; do tego stopnia, że jego wypowiedź raz po raz przechodziła w bełkotliwy, niezrozumiały słowotok. Niestety nie okazał się taką kopalnią informacji, na jaką liczyliśmy, głównie dlatego że już wcześniej sprzedał nam większość cennych danych, jakie miał do zaoferowania.

Jedynym tematem, na który był w stanie powiedzieć coś nowego, był Nocieres i produkcja wody święconej. Jak ujawnił, od kilku miesięcy erejski kapitan i kilku niższych rangą oficerów i żołnierzy z jego pułku było zaangażowanych w ten proceder, w czym Ifryt miał znaczny udział, uprzedzając o niebezpieczeństwach i pomagając znaleźć nowych kupców. Erejscy kawalerzyści odpowiadali jednak tylko za ochronę i logistykę operacji. Zapewniali transporty sprzętu i surowych składników potrzebnych do produkcji oraz koordynowali rozprowadzanie gotowego towaru. Produkcją zajmowali się już miejscowi alchemicy. Lichwiarz nie wiedział, kto był mózgiem całej operacji, ale nie miał wątpliwości, że nie byli to ani

erejscy renegaci, ani alchemicy. Ktoś inny kierował tą działalnością i czerpał większość zysków, ale był na tyle sprytny, by nigdy nie wchodzić w bezpośredni kontakt z wodą święconą ani ludźmi zaangażowanymi w produkcję i obrót. O ile Ifryt wiedział, nie było do niego żadnego dojścia.

Kiedy wyciągnęliśmy już z niego wszystko, co miał do powiedzenia, poderżnąłem mu gardło. Pozostało nam tylko przygotować przedstawienie. Gdy jednak wywlekaliśmy ciało Ifryta z budynku, nagle usłyszeliśmy tupot kroków i szcęk zbroi.

– Straż idzie! – syknął Liczydło. – Musimy stąd spieszyć.

Było już na to za późno. Z dwóch przeciwległych stron nadbiegali strażnicy z dobytą bronią. Naliczyłem łącznie sześciu. Niedobrze, nawet ze wsparciem Ferrego mogliśmy mieć z nimi problem.

– Stać! – zawołał jeden ze strażników. – Złóżcie broń i ustawcie się pod ścianą.

Oddanie się w ręce Straży nie wchodziło w grę. Nie mogliśmy dać się aresztować podczas łamania rozkazów dowództwa. Sięgnęliśmy po miecze. Funkcjonariusze zaczęli nas otaczać i szykować się do starcia, gdy jeden z nich przyjrzał się bliżej trupowi.

– To ten kutas Ifryt! – zawołał. – Ładnie go urządzili.

Postawa strażników nagle zmieniła się diametralnie.

– Czas najwyższy, żeby ktoś się dobrał do tego skurwiela – rzucił inny.

– Dobra robota – powiedział do nas ten, który wcześniej krzyczał, żebyśmy rzucili broń. – Przepraszamy za najście, kontynuujcie.

Odwrócili się i odeszli tak nagle, jak się pojawili.

Gdy następnego dnia rano mieszkańcy okolicznych domów zaczęli wychodzić na ulicę, ukazał się ich oczom makabryczny widok. Martwe, zakrwawione ciało Ifryta zwisało z latarni, powieszony do góry nogami. Na budynku obok widniał wielki, wypisany krwią napis: „Zdrajca Caellarh, ciemiężca prostego człowieka”. Nikt nie miał wątpliwości, że to buntownicy wreszcie dorwali tego erejskiego donosiciela.

\*\*\*

Nie odbył się rzecz jasna żaden pogrzeb. Ciało Ifryta zabrała Straż, a potem Erejczycy przez chwilę udawali, że prowadzą śledztwo, ale przy braku poszlak i jakiegokolwiek motywacji machnęli po prostu ręką. Trup został spalony. W regimencie również nikt nie uronił łzy. Cefel przez pewien czas nie mógł się zdecydować, czy się cieszyć, że sprzedawczyk nie żyje, czy wściekać się, że to nie on go zabił. Potem jednak wrócił do swojej zwykłej równowagi. Nika przyjęła fakt śmierci Ifryta do wiadomości i skreśliła jedno nazwisko ze swojej listy informatorów.

Po południu zacząłem się przygotowywać do kolejnego spotkania z Veen. Nadal nie rozumiałem, dlaczego Arai zależało na wciągnięciu mnie na listę płac (chciałbym wreszcie zobaczyć te pieniądze) rodziny van Dorren. Oczywiście, rodzina miała bogactwo i wpływy, które niewątpliwie mogły pobudzić wyobraźnię. Dlaczego jednak moja praca dla Veen miałaby ułatwić Arai przyssanie się do rodowego skarbcza? Im więcej o tym myślałem, tym bardziej zagubiony się czułem. Jedynym pożytkiem z tych rozmyślań było to, że postanowiłem zrobić coś, co powinienem był zrobić dawno temu. Kazałem kilku swoim ludziom obserwować Arai i jej burdel. Spodziewałem się, że jeśli właścicielka chce coś utrzymać w tajemnicy, to prawdopodobnie jej się to uda i szansa na to, że moi ludzie dowiedzą się czegoś przełomowego, jest stosunkowo mała. Miałem jednak do dyspozycji grupę znudzonych żołnierzy, więc równie dobrze mogłem zagonić ich do roboty. Nawet jeśli Arai nie popełni błędu, to może ktoś z jej współpracowników to zrobi?

\*\*\*

Veen van Dorren przekrzywiła głowę, wpatrując się w stary, zardzewiały miecz spoczywający na kamiennym podeście.

– Słynny Powiew Wichru – oświadczyła, nakazując mi gestem, bym podszedł bliżej. – Za czasów swojej świetności podobno najostrzejszy miecz świata. Można nim było przeciąć spadający liść. Kowal, który go wykuł,

zaszył się w najgłębszej puszczy Caellarh, by go stworzyć. Pracował nieprzerwanie przez dwanaście dni i dwanaście nocy, aż wreszcie padł martwy z wyczerpania. Gdy jego bracia wreszcie odszukali jego kryjówkę w lesie, znaleźli martwe ciało, a obok niego najwspanialszy miecz, jaki kiedykolwiek powstał w tym regionie.

– Piękna historia. Zapewne trudna do zweryfikowania.

– To zależy, kogo zapytasz: Erejczyka czy Caellarczyka.

Moje oczy dopiero teraz zaczęły się przyzwyczajać do panującego dookoła półmroku. Znajdowałem się w rozległej sali ogromnego, krytego strzechą domu pod miastem. Pod ścianami znajdowały się ustawione w szeregu kamienne bloki, na których spoczywały rozmaite przedmioty, głównie broń i trofea. Każde oświetlała pojedyncza pochodnia.

– Witaj w Domu Sławy, Is. W skarbcu bezcennego dziedzictwa kulturowego Caellarh.

– Kiepsko strzeżony ten skarbiec.

– Nie mów, że jesteś zaskoczony. Tak, legendarne artefakty z przeszłości regionu spoczywają w zbutwiałej chacie na uboczu, z dala od uczęszczanych dróg i bez śladu ochrony. A mimo to są całkowicie bezpieczne, bo nikomu nie chciałoby się ich ukraść. I dlatego możemy tu swobodnie rozmawiać, bez obawy, że ktokolwiek nas podsłucha. Z wyjątkiem paru pretensjonalnych bogaczy, którzy od czasu do czasu lubią sobie zrobić przerwę od zarabiania pieniędzy, by pobawić się w patriotyzm, nikt tu nie zagląda przez całe miesiące.

– Sądziłem, że tożsamość narodowa Caellarh...

– Och tak, ma się doskonale. A Powiew Wichru i inne pamiątki z przeszłości grają istotną rolę w jej podtrzymaniu. Co nie znaczy, że ktokolwiek czuje potrzebę, by je oglądać. Nie mówiąc już o tym, by podejmować wysiłek albo ponosić koszty na rzecz ich zabezpieczenia. Wystarczy świadomość, że spoczywają na honorowych miejscach w Domu Sławy.

– Przypuszczam, że erejscy badacze byliby zachwyceni, mogąc zbadać te eksponaty.

– Wątpię, żeby mieszkańcy Caellarh dzielali ich entuzjazm. Widzisz, Is, Caellarh nie posiada historiografii w erejskim rozumieniu, a termin „fakt historyczny” ma dość liberalną definicję. Nie ma tu zachowanych kronik, dokumentów, pamiętników i innych źródeł pisanych. Nie ma żadnych dat ani kalendarzów. Jedynym źródłem informacji o przeszłości jest tradycja ustna, którą w Akademii Królewskiej uważa się podobno za synonim słowa „brednia”. Krótko mówiąc, złe rzeczy się dzieją, gdy erejskich profesorów dopuszcza się do lokalnych skarbów.

– Na przykład?

– Według podania Powiew Wichru powstał na setki lat przed erejskim podbojem. Tymczasem badaczowi z Akademii, który zawitał tu przypadkiem kilka lat temu, wystarczył jeden rzut oka na miecz, by stwierdzić, że żadną miarą nie mógł on powstać w Caellarh przed inkorporacją. Plemiona, które tu żyły, za swoich głównych przeciwników uważały zwierzęta z lasu i w związku z tym doskonały oręż przystosowany do polowania, nie do walki ze zbrojnymi. Technika wytwarzania mieczy zawsze zostawała w tyle w porównaniu do bardziej cywilizowanych regionów. Broń, którą widzisz przed sobą, ma jelec prosty krzyżowy. Ten typ uzbrojenia pojawił się w regionie dopiero kilka dekad po wcieleniu do królestwa, gdy rozprzestrzeniła się tu erejska technologia metalurgiczna. Wcześniej miejscowi kowale tworzyli miecze z jelcem w formie szerokiej sztaby.

– A to? – Wskazałem leżący na sąsiednim postumencie przedmiot, wyglądający na ogromny róg.

– Oto jest kiel Vildhe Boeara, Wiecznego Wilka. Ta legendarna bestia, według podań długowieczna i ogromnych rozmiarów, przez dekady pustoszyła północne bory Caellarh, mordując każdego człowieka, który znalazł się w jego pobliżu. Dopiero Taeshash, pierwszy wśród wojowników,

zdołał obłaskawić potwora swoją pieśnią i odtąd dosiadał go, prowadząc swoich współplemieńców do walki z najeźdźcami Erei. Jak się zapewne domyślasz, żadna z kronik wojennych królestwa nie wspomina o kampanii, podczas której armia musiała się zmierzyć z potężnym dzikiem dosiadanym przez człowieka.

– Jestem też prawie pewien, że ten kieł, który ma podejrzenie niepodobny do dziczego kształt, wygląda dokładnie tak, jak przedstawione na rycinach rogi mamutów, bynajmniej nie drapieżnych stworzeń, które podobno zamieszkiwały te tereny tysiące lat temu, zanim jeszcze istniała Erea. Zaraz... Czy dobrze widzę, że tam dalej stoi niedźwiedź z nogą konia przyszytą do grzbietu? Muszę koniecznie usłyszeć tę legendę...

– Jeśli tak cię ciekawi lokalny folklor, to przyjdź tu z przewodnikiem – rzuciła Veen, tracąc nagle cierpliwość. – Mam dla ciebie robotę.

– Czy podobnie jak w poprzednim przypadku mam ją wykonać bez zająknięcia się nawet na temat zapłaty?

– Jeśli chcesz, to mogę ci rzucić sakiewkę pełną złota za obicie mordy Menechaima i opłacić cię jak każdego innego najemnego zbira. Albo, jeśli wykazesz długoterminową przydatność, mogę ci dać coś naprawdę wartościowego, czego nie dostaniesz nigdzie indziej – zrobiła pauzę dla efektu i dokończyła: – *O powstaniu monstra.*

– Masz moją niepodzielną uwagę – oświadczyłem, poważniejąc momentalnie.

– To mi się bardziej podoba. A teraz słuchaj – oświadczyła, chodząc długimi krokami wokół podestu z kłębem. – Moja rodzina posiada manufakturę, która zajmuje się produkcją ubrań z delikatnych tkanin sprowadzanych zza Gór Granicznych. Niestety od trzech tygodni manufaktura pozostaje zamknięta, bo ostatnie trzy karawany z materiałami do produkcji nie dotarły do celu.

Otworzyłem usta, żeby wtrącić swoje, ale Veen zatrzymała się nagle i uniosła palec, każąc mi zamilknąć.



– Wiem, co chcesz powiedzieć – ucięła i ponownie zaczęła chodzić od ściany do ściany. – Tak, kupieckie karawany nie zawsze docierają do celu. Tak, istnieje pewne ryzyko związane z dalekimi podróżami, rozbójnicy, dzikie zwierzęta i tak dalej. Traciliśmy już wcześniej ładunki i jest to wliczone w koszt prowadzenia interesu. Ale trzy transporty z rzędu to już prawidłowość. W dodatku wszystkie zaginęły w podobnym miejscu, na ostatnim odcinku drogi, tuż pod bramami Dhurceath.

– Rozumiem, dlaczego nie mogłaś zlecić sprawy Menechaima Wilhelmowi. Ale z tego, co słyszałem, twoja rodzina ma na usługach małą, prywatną armię. Ochrona karawan kupieckich brzmi jak zadanie wprost dla nich stworzone.

– Myślisz, że nie próbowałam rozwiązać tego problemu w ten sposób? Zleciłam Wilhelmowi zbadanie odcinka drogi, na którym według naszych szacunków zaginęły karawany, i przeprowadzenie śledztwa. Wiesz, co znalazł? Absolutnie nic. Po trzech karawanach nie było ani śladu. Żadnych spalonych wozów, żadnych trupów, żadnych podróżników opowiadających historie o grasujących w okolicy rozbójnikach. Jaki nasuwa to wniosek?

Miałem już swoje podejrzenia, ale wolałem je zachować dla siebie.

– To nie była żadna przypadkowa banda rozbójników – odpowiedziała sama sobie Veen. – Rozbójnicy nie sprzątają po sobie. Zostawiają trupy, wozy i mniej wartościowe materiały, a zabierają tylko to, co zdołają unieść. W tym przypadku nie został nawet ślad. Ktoś albo przekupił wszystkich członków karawany albo wymordował ich tak czysto i skutecznie, że nie zostawił żadnych tropów. A potem zabrał cały transport wraz z wozami i trupami ochrony do jakiejś kryjówki. Co gorsza, materiały nie wypłynęły później na lokalnym rynku. Gdyby ktoś z okolicy obrabował karawanę wiozącą tkaniny, to żeby na tym zarobić, musiałby je potem sprzedać albo jakiemuś hurtowemu odbiorcy, albo drobnym handlarzom w detalu. W obu przypadkach trafilibyśmy na nasze materiały w lokalnym obrocie. Tak się jednak nie stało. Jest to więc albo ktoś z zewnątrz, kto prowadzi dużą

operację, w ramach której okrada karawany, a potem sprzedaje zdobyte materiały w innych miastach, albo ktoś okrada nas nie po to, żeby na tym zarobić, lecz po to, by pozbawić nas materiału. Ktoś, komu zależy na uderzeniu w ród van Dorren.

Veen skończyła mówić i zatrzymała się przede mną. Nie odezwałem się ani słowem, ale byłem pod wrażeniem jej analizy i toku myślenia.

– Dlatego nie mogę powierzyć tej sprawy Wilhelmowi – powiedziała jeszcze. – Gdyby to była grupa rozbójników, których wystarczy wyłapać i powiesić na drzewach rosnących przy trakcie, byłby do tego właściwym człowiekiem. Ale mamy tu do czynienia z operacją na dużą skalę, na której szczycie stoi najprawdopodobniej albo ktoś z moich konkurentów, albo jakiś pozbawiony skrupułów kupiec z zagranicy. Tak czy inaczej, żeby dojść do źródła problemu i go ukrócić, trzeba będzie przesłuchać wielu ludzi, stosując... bezpośrednie metody perswazji. I pewnie niektórzy z nich na koniec okażą się niewinni. W każdym razie nie sądzę, żeby Wilhelma było na to stać. Natomiast ty nie cofniesz się przed niczym, żeby osiągnąć cel. Prawda?

– Prawda – przytaknąłem.

Dogłębnie zastanowiłem się nad następnym ruchem. Znałem już odpowiedzi na jej pytania, ale nie mogłem rozwiązać tej zagadki od ręki, to byłoby podejrzane. Musiałem zamącić nieco wodę.

– Macie ostatnio pewien... problem wizerunkowy – odezwałem się.

– To znaczy?

– Dużo się mówi o rodzie van Dorren w karczmach, na straganach i w świątyniach. Tam, gdzie bywa prosty lud, a gdzie nie bywają przedstawiciele waszego klanu. Mówi się dużo, ale nigdy dobrze. „Zdrajcy” to najłagodniejsze z określeń, jakie padają.

– Sądzisz, że ktoś z tych krzykaczy mógł...

– Nic nie sądzę. Zbadam wszystkie możliwości i dotrę do sedna. Mówię tylko, że grono podejrzanych jest bardzo szerokie. – Udałem, że się waham,

a potem zamąciłem jeszcze bardziej. – Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam... Cały ten szum stanowiłby świetną przykrywkę dla drugiej strony konfliktu.

Trafiłem w czuły punkt. Veen wyraźnie drgnęła, gdy zrozumiała, co mam na myśli.

– Dlaczego Erejczycy mieliby...

– Jesteś ich sojusznikiem lub jak chcą niektórzy: kolaborantem. – Skrzywiła się na to słowo, ale ja kontynuowałem niezrażony. – To jednak nie znaczy, że ci ufają lub że życzą ci dobrze. Przeciwnie, pilnują, żebyś nie urosła za bardzo w siłę i nie wymknęła się spod ich kontroli. Wygląda na to, że płyniesz środkiem rzeki i na obu brzegach czekają na ciebie z widłami.

Veen zamilkła na dłuższą chwilę.

– Wiem, co mówią o mnie ludzie – przemówiła wreszcie. – Uważają mnie za zdrajczynię. Mówią, że sprzedałam mój naród. Że współpracuję z Erejczykami, bo wolę powiększać fortunę mojego klanu, zamiast walczyć o niepodległość. Prawda jest taka, że nie jestem ani lojalistką, ani nacjonalistką. Odrzucam ten wybór. Jedyne, o co chcę walczyć, to rozwój i dobrobyt. Wszyscy ci lokalni patrioci są tak zaślepieni swoimi ideałami, że nie dostrzegają, w jak koszmarnych warunkach żyje większość ludności. Swoimi dumnymi hasłami próbują przykryć fakt, że Caellarh to biedne, żałosne zadupie, w którym z głodu i chorób ginie więcej ludzi niż z powodu erejskiej okupacji. Jesteśmy słabi i zacofani, ale nie to jest najgorsze. Widzisz, jesteśmy w tym stanie z własnej woli. Postęp jest na wyciągnięcie ręki, więcej: jest nam narzucany siłą! A my się przed nim bronimy rękami i nogami! Erejczycy stoją na wyższym poziomie pod każdym względem i próbują nam wpoić swoje metody i standardy. My jednak uparcie trzymamy się tradycji, bo jest nasza, a nie obca. Stosujemy ten idiotyczny, starożytny system miar i wag, mimo że utrudnia nam on wymianę handlową, bo cały świat, nie tylko Erea, stosuje system metryczny. Upieramy się przy

mierzeniu czasu za pomocą świec, a nie godzin, mimo oczywistych zalet tego drugiego.

– Kiedy przybyliśmy do Caellarh i po raz pierwszy wytłumaczono mi lokalną miarę czasu – wtrąciłem – moje pierwsze pytanie brzmiało: jeśli podstawową jednostką jest jedna świeca, to ile świec składa się na jeden dzień?

Veen roześmiała się gorzko.

– Nikt nie znał odpowiedzi? – domyśliła się.

Przytaknąłem.

– Przez te wszystkie stulecia nikomu nie przyszło do głowy zintegrowanie jednostek czasu. Potrzebowaliśmy tygodnia, żeby zrozumieć, jak duży to problem. Zaraz po przybyciu mieliśmy odbyć pod miastem wspólne ćwiczenia ze Strażą Miejską – „Manewry Przyjaźni”, jak je nazwał jakiś dureń ze świty gubernatora. Zakończyło się to oczywiście porażką, z bardzo wielu powodów, z których głównym był fakt, że obie jednostki od razu zapalały do siebie szczerą nienawiścią. Wiedzieliśmy to jeszcze, zanim ćwiczenia się zaczęły. Podczas planowania nasza kapitan zapytała jednego z oficerów, ile czasu potrzebują na rozwinięcie swojej formacji na błoniach pod miastem. Oficer odpowiedział: siedem świec. Kiedy Nika, jeszcze niewprawiona w lokalnych jednostkach, zapytała, czy to połowa czy ćwierć dnia, strażnik spojrzał tylko na nią tępym wzrokiem. To była dla niego zupełna abstrakcja.

Veen pokiwała energicznie głową, a oczy jej się rozjaśniły.

– Dokładnie! – wykrzyknęła niemal, ciesząc się, że dzielam jej perspektywę. – Miałam dokładnie odwrotne doświadczenie, gdy podróżowałam na dwór królewski. Podczas zwiedzania stolicy Erei pokazano mi ogromny zegar w centrum miasta. Przewodnik wyjaśnił, że najdłuższy dzień w środku lata trwa czternaście godzin, a najkrótszy podczas zimy – osiem i pół godziny. Potem zapytał mnie, czy to duża różnica w porównaniu do Caellarh. Nie miałam pojęcia. Nikt nigdy tego nie

zmierzył. Wszyscy oczywiście wiedzą, że latem dni są dłuższe, a zimą krótsze. Po co więc się wysilać i sprawdzać, ile świec wynosi ta różnica?

– Osiem godzin zimą, trzynaście i pół godzin latem – mruknąłem. – Tyle trwają dni w Caellarh.

– Teraz to już wiem. Zapewne z tego samego źródła co ty. Erejczycy to zmierzili i sprawdziłam w zapiskach Królewskiej Akademii Nauk, gdy byłam w stolicy. Właśnie dlatego królewscy podbili Caellarh. Bo znają ten kraj lepiej niż jego mieszkańcy. To nie tylko kwestia przewagi liczebnej, zasobów materialnych i lepszej technologii. Oni mają w sobie jakąś wiecznie niezaspokojoną ciekawość, która zmusza ich do ciągłego pytania, kwestionowania i usprawniania istniejących rozwiązań. My natomiast nie badamy własnej ojczyzny, wyłącznie ją czcimy. Od wieków zasiewamy ziemię w zupełnie przypadkowym porządku i w przypadkowych miejscach, a potem skarżymy się na głód i nieurodzaj. Tymczasem sąsiednia prowincja, która ma taką samą glebę i klimat, jest spichlerzem królestwa. Dlaczego? Bo korzystają z wiedzy Królewskiego Towarzystwa Rozwoju Agrokultury, które potrafi przeanalizować przydatność gruntu do zasiewu, określić najlepsze miejsca do uprawy i stale rozwija metodologię orczyźniania, nawadniania i doboru gatunków roślinności do właściwości terenu. Tymczasem w Caellarh żaden chłop nie pozwoli, żeby król mu dyktował, co, gdzie i jak ma siać. Bo to jego ziemia i wie lepiej. Czy wiesz, że sześćdziesiąt lat temu płodozmian stał się powszechnym standardem uprawy we wszystkich regionach królestwa oprócz Caellarh? U nas nie wprowadzono jeszcze nawet trójpolówki! Zasiew nadal odbywa się zgodnie z zasadą: „Dotąd rosło tu dobrze, więc posieję jeszcze raz”. Jesteśmy o dwie rewolucje rolnicze do tyłu za resztą świata! – Veen przerwała by złapać oddech, wyraźnie sfrustrowana.

Dotąd byłem nieco zaskoczony jej wzburzeniem, ale nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Przecież ona wygłaszała tę przemowę już setki razy! Musiała spędzić dziesiątki godzin, próbując przekonać swoich krajanów, a nawet swoich krewnych, że Caellarh desperacko potrzebowało

modernizacji, którą mogła zaoferować Erea. Ale na każdy racjonalny argument Veen oni mieli swoją odpowiedź: zdrada. Uczenie się od okupanta to zdrada. Handlowanie z okupantem to zdrada. Przyjmowanie nowoczesnych narzędzi od okupanta to zdrada. Veen van Dorren, mimo całego swego bogactwa i potęgi, nie miała szans w tym sporze. Nieoczekiwanie znalazła jednak słuchacza, który całkowicie rozumiał jej perspektywę: mnie.

– Gdybym chciał uwolnić się od dominującego nade mną wroga – przerwałem milczenie – to najpierw przejąłbym jego wiedzę, metody i technologię, a potem użył tego wszystkiego, by pokonać go własną bronią.

Nie było to mądre z mojej strony, by jako oficer sił okupacyjnych wygłaszać takie stwierdzenia. Veen jednak zgodziła się z entuzjazmem.

– Nie dążę do rewolucji – powiedziała. – Chcę tylko pokoju i dobrobytu dla mnie, mojej rodziny i ludności Caellarh. W takiej właśnie kolejności, za co nie zamierzam przeproszać. Ale gdybym należała do któregoś ze stronnictw rewolucyjnych, podeszłabym do tego właśnie w taki sposób. Potakuj, ucz się i czekaj na właściwy moment. Oni są jednak tak przekonani o własnej wyższości, że nie potrafią dostrzec oczywistych korzyści, które mogliby uzyskać, gdyby na chwilę zaprzestali skrajnie antagonistycznej postawy. Ten kraj jest biedny i słaby, częściowo z powodu uwarunkowań naturalnych, ale w dużej części jesteśmy sprawcami własnych nieszczęść. Podczas rewolucji górniczej zmarnowaliśmy kilkadziesiąt lat ciężkiej pracy, bezskutecznie próbując wydobywać surowce naturalne. Tymczasem grupa geologów przysłana z Erei potrzebowała tylko kilku miesięcy, żeby stwierdzić, że cały ten region jest jałowy jak łono siedemdziesięciolatki. Oczywiście nikt w Caellarh nie uwierzył geologom i mimo wszystko pobudowali kopalnie. Dopiero po kilku dekadach bezowocnych poszukiwań przyznali się do porażki.

– Trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że królewscy geolodzy reprezentują interesy króla. Gdyby coś znaleźli, nikomu by nie powiedzieli,

tylko przekazali raport do gubernatora, który pod fałszywym pretekstem skupiłby albo skonfiskował ziemię.

Veen zachnęła się.

– Oczywiście. Nie mówię, że powinniśmy ufać Erejczykom. Powinniśmy uczyć się ich metod, by potem ich sprawdzać. Powinniśmy mieć swoich własnych geologów, którzy zweryfikowaliby twierdzenia królewskich. My jednak oczywiście musieliśmy od razu zacząć kopać, bo to przecież niemożliwe, żeby nasza matka ziemia nie obdarowała hojnie naszego wyjątkowego narodu. Nawet mój dziad i pradziad, znani ze swojego pragmatyzmu i bliskich związków z Ereą, dali się wciągnąć w ten idiotyzm.

– Skoro ziemia jest uboga, to siłą rzeczy...

– I co z tego? Gleba to nie wszystko, na gorszym gruncie imperia budowano. Caellarh mieści się na północy Kontynentu, dalej leżą tylko połacie gęstych, niezamieszkanych lasów i ocean. Na północnym wschodzie leżą Góry Graniczne. Za nimi żyje bogata, rozwinięta cywilizacja, ale transport lądowy przez góry jest niemożliwy, dlatego wszelka wymiana handlowa odbywa się przez morze. Statki kupieckie opływają Caellarh i lądują w Erei. Gdyby kupcy podróżowali przez nasze ziemie albo chociaż zatrzymywali się w naszych portach po drodze, by uzupełnić zapasy, region natychmiast by rozkwitł. Tymczasem szlaki handlowe omijają nas szerokim łukiem, mimo że podróż wokół północnego wybrzeża Kontynentu jest długa i wyczerpująca.

– Trudno oczekiwać, żeby się zatrzymali w Caellarh, skoro na północnym wybrzeżu nie ma portów. Nie ma też dróg, którymi mogłyby podróżować towary.

– Patrzysz na to ze złej strony. Co z tego, że od krajów północnego wschodu oddziela nas ściana gór, a tereny na północ od Dhurceath są pokryte nieprzeniknioną puszcza? Góry można ominąć drogą morską, puszcze skarczować, a z pozyskanych w ten sposób drzew zbudować statki i porty, w których będą cumować. Postawić karczmy, w których podróżujący

kupcy będą się mogli zatrzymać, i rynki, na których będą mogli wymienić towary, bez potrzeby udawania się do któregoś z wielkich miast handlowych na zachodnim wybrzeżu. Gdybyśmy wyrąbali choćby jedną drogę przez puszcę i zbudowali choć jeden port na północy, moglibyśmy stać się ekonomiczną potęgą na miarę portowych miast Wolnego Morza.

– W tym celu trzeba by jednak podjąć ryzyko i wysiłek?

– Właśnie. Oczywiście, że w Caellarh nie ma portów. Skąd by się miały wziąć? Ich powstanie wymagałoby długofalowego planowania i ciężkiej pracy, a to nie są nasze mocne strony. Nawet moi przodkowie, choć osiągnęli więcej niż ktokolwiek inny w tym regionie, nigdy tego nie spróbowali. Kluczem do ich sukcesu było płynięcie pod prąd – podczas gdy cała populacja regionu opierała się Erei rękami i nogami, moja rodzina zdominowała wymianę handlową z królestwem i zaczęła imitować Erejczyków. Ta strategia przyniosła ogromny sukces, ale zarazem zaślepiała ich na inne, większe i unikalne dla Caellarh możliwości. Uparcie szukali w tej ubogiej ziemi surowców naturalnych albo próbowali w niej uprawiać sprowadzone z południa królestwa rośliny. Zupełnie nie zrozumieli podstawowej lekcji, która wynika z dobrobytu miast na wybrzeżu Wolnego Morza... Pochodzisz z Drugiego Brzegu, więc na pewno dobrze się w tym orientujesz, prawda?

Nawet nie mrugnąłem. Byłem pewien, że wzmianka o moim pochodzeniu była obliczona na to, by pokazać, jak dużo Veen o mnie wie.

– Tam, skąd pochodzę, nie używamy określenia „Drugi Brzeg” – powiedziałem powoli. – Dla nas to wybrzeże Kontynentu jest „tym drugim brzegiem”.

– Ach, racja – przyznała, trochę zbita z tropu.

– Rozumiem jednak, co masz na myśli. Wymiana handlowa Erei z krajami Drugiego Brzegu opiera się na produktach wytwarzanych w głębi obu lądów. To tam mieszczą się kopalnie, tartaki, manufaktury i tereny uprawne. Tymczasem bogactwo zrodzone z wymiany nie osiada w głębi



lądu, lecz w portach na obu brzegach i oczywiście w Mieście na Skale. Miasta portowe nie mają żadnych zasobów surowcowych pod ziemią, żadnych ośrodków produkcyjnych, pomijając statki, a Miasto na Skale jest... cóż, miastem na skale. Jak można narzekać na brak złóż minerałów, mając świadomość, że najbogatsze miasto na świecie jest niczym więcej, jak tylko wielkim rynkiem na strategicznie położonej kupie kamieni?

– Dokładnie do tego zmierzam. Miasto na Skale osiągnęło swoją pozycję dzięki położeniu pośrodku Wolnego Morza, dzięki temu, że jest jedynym dostępnym, neutralnym przystankiem na drodze statków kursujących między dwoma brzegami, których gospodarki nie mogą funkcjonować bez stałej wymiany handlowej.

– Zapominasz o potężnej flocie wojennej na usługach Miasta. Handel na Wolnym Morzu kwitnie, bo jej okręty neutralizują zarówno piratów, jak i marynarki wojenne wszystkich państw, którym do głowy mogłoby przyjść narzucenie ceł bądź zablokowanie handlu. Czy wiesz, że nazwa Wolnego Morza...

– Pochodzi od wolnego rynku? Wiem – przerwała z lekką irytacją. – Wolnego rynku, chronionego przez interesy i okręty Miasta na Skale. W każdym razie, handel z ludami zza Gór Granicznych jest dla Erei niemal równie ważny jak ten z Drugim Brzegiem. Gdyby na północnym wybrzeżu Caellarh znajdował się choć jeden port, byłby on niemal tak ważny jak Miasto na Skale.

– Dlaczego więc go nie zbudujesz? Masz przecież środki.

Veen, zwykle oszczędna w ruchach, nagle zamachnęła się gwałtownie i uderzyła pięścią w postument, na którym spoczywał prastary kieł mamuta.

– Właśnie, kurwa, nie mam! Moja rodzina je ma, a ja mogę dysponować majątkiem w pewnym zakresie, ale nie mogłabym dokonać tak ogromnej inwestycji bez zgody innych. Oni jednak są przeciwni ryzykownym przedsięwzięciom i dużym wydatkom. Nigdy nie poprą propozycji, która – gdyby zakończyła się porażką – pozbawiłaby nas pozycji pierwszego rodu

Caellarh. Myślisz, że do czego jesteś mi potrzebny? Tak, ród van Dorren ma środki zdolne naprawić ten zaszary kraj, który nigdy nie zmieni się sam z siebie. Jest jak zamulony staw, do którego nie wpada żaden strumień. Jesteśmy oderwani od szerszego świata, nie prowadzą tu żadne drogi, nikt nigdy nie przejeżdża przez Caellarh, bo jesteśmy dosłownie po drodze donikąd. Jedyna ludność napływowa to tacy jak ty, siepacze, którzy chowają się za murami i wychodzą tylko po to, by poderżnąć gardła paru buntownikom. Więc skąd mają się tu brać nowe idee, impulsy do rozwoju? Jak ja mogę cokolwiek zmienić, pozbawiona swobody działania? Gdybym miała... Kiedy będę miała odpowiednie zasoby i nieograniczoną kontrolę, będę w stanie narysować na nowo szlaki handlowe i umieścić Caellarh na mapie świata. Nagle szeroka rzeka popłynie do naszego stawu, zaczniemy się rozrastać i w wodzie zacznie się jakiś ruch, a muł... – Veen przerwała nagle i przyjrzała się dłoni, którą uderzyła w ścianę. Na jej wierzchu zebrała się krew ciekąca z rozerwanej skóry na knykciach. Spokojnym ruchem kobieta wyciągnęła z kieszeni chustkę i owinęła nią dłoń, a potem dokończyła: – A muł zostanie na dnie.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Wyszedłem na zewnątrz, gdzie czekał jak zawsze czujny Wilhelm, i zostawiłem Veen sam na sam z fałszywymi relikami jej ojczyzny. Nie wiedziałem, co sądzić o tym, co mi powiedziała, i nie miałem bladego pojęcia, w jaki sposób mógłbym się przyczynić do realizacji jej ambitnego planu ponownego wytyczenia szlaków handlowych Kontynentu. Znałem za to odpowiedź na inne pytanie. Nie miałem żadnych wątpliwości, gdzie powinienem szukać informacji na temat zaginionych karawan.

\*\*\*

Jakim cudem człowiek tak leniwy, lekkomyślny i skorumpowany jak Liczydło dorobił się funkcji kwatermistrza? Wcale nie jest to tak nieprawdopodobne, jak by się mogło wydawać. Po pierwsze, Liczydło kradł dużo, ale nigdy nie tykał własności regimentu. Po drugie, miał on naprawdę

niezrównane zdolności organizacyjne, choć z powodu braku motywacji korzystał z nich rzadko i niechętnie. Gdy mu się chciało, potrafił być prawdziwym czarodziejem logistycznym i w wielu trudnych sytuacjach jego wkład był nieoceniony. Ileż to razy podczas długich, zimowych kampanii nasz regiment najadał się do syta, podczas gdy inne jednostki w armii traciły ludzi dziesiątkami z powodu śmierci głodowej? To właśnie naszemu kwatermistrzowi zawdzięczaliśmy zachowanie pełnego stanu osobowego w takich krytycznych chwilach. A to, że często zdobywał dla nas zapasy kosztem innych jednostek? Tym gorzej dla nich.

Prawdziwy geniusz Liczydła przejawiał się jednak nie w zdobywaniu towarów, ale w sprawianiu, że znikają bez śladu. Doprowadzenie transportu wojskowego ekwipunku z punktu A do punktu B stanowi spore wyzwanie. Przejęcie cudzego transportu w połowie drogi, uprowadzenie go bez pozostawienia za sobą tropu, ukrycie go w bezpiecznym miejscu, a potem spieniężenie na czarnym rynku w sposób, który nie pozwoli na wyśledzenie pochodzenia towarów – to już była magia logistyczna na najwyższym poziomie wtajemniczenia. Lub – jak nazwałby to Liczydło – przeciętny czwartek.

Gdy więc Veen van Dorren opowiedziała mi historię swoich znikających karawan, od razu rozpoznałem w tym metodę Liczydła. Sam kwatermistrz, jak każdy artysta, chciał podpisać się pod swoim dziełem, więc zapytany przeze mnie przyznał się od razu. Pomimo moich nacisków odmówił jednak wyjaśnienia, w jaki właściwie sposób zdołał sprawić, że cała karawana, wraz z wozami, woźnicami, ochroną i zwierzętami pociągowymi, po prostu znikła z traktu, nie zostawiając żadnych tropów i żadnych świadków. Pewne rzeczy, powiedział Liczydło, muszą pozostać okryte tajemnicą zawodową.

Zawartość pierwszego z uprowadzonych transportów została już sprzedana jakiejś manufakturze w Vorain, ale dwa pozostałe ciągle pozostawały w bezpiecznej kryjówce niedaleko Dhurceath. Liczydło, któremu nawet nie zależało specjalnie na materiałach, a karawany porywał

dla sportu, bez oporów zgodził się zwrócić wszystko prawowitym właścicielom. Ustaliliśmy więc, że przetransportuje on cały ładunek ze swojego tajnego magazynu do nowej lokalizacji, gdzie przekazemy go triumfalnie Veen van Dorren.

Ja sam miałem odczekać kilka dni, żeby nie wzbudzić jej podejrzeń zbyt szybkim rozwiązaniem tej pozornie skomplikowanej sprawy, a potem skontaktować się z Wilhelmem i przekazać mu, że udało mi się zidentyfikować sprawców i uratować część skradzionego ładunku. Jedyne, co nam pozostało, to znalezienie kozła ofiarnego. Zupełnie przypadkiem mniej więcej w tym samym czasie dowiedziałem się, że kapitan Nocieres jakimś cudem uszedł z życiem owej pamiętnej nocy i wrócił cały do swojej jednostki. Pojawiła się możliwość rozwiązania dwóch problemów za jednym zamachem...

\*\*\*

– Przykro mi, ale twoja sprawa będzie musiała poczekać – oświadczył Szalony Yorlan. – Jestem w tej chwili bardzo zajęty.

Niski człowieczek trzymający odcięte ludzkie ucho na wyciągniętej dłoni nadał się ze złości.

– Już trzeci raz mnie wystawiasz w tej sprawie – prychnął.

– Przepraszam, ale mam pilniejsze rzeczy na głowie – odpowiedział alchemik z anielską cierpliwością. – Zajmiemy się tym innym razem.

– Wiesz, jak głupio wyglądam, biegając po mieście z uchem w ręku?

– Nie rozumiem, co w tym dziwnego.

Yorlan, wyglądając na autentycznie zdziwionego, wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie, ruszając w kierunku klasztoru. Człowieczek z uchem w ręku chciał pójść za nim, ale wartownicy pilnujący wejścia na dziedziniec klasztorny zagrodzili mu drogę. Liczydło i ja pobiegliśmy dogonić alchemika.

– O co chodzi z tym uchem? – dopytywał się kwatermistrz.

– Chciałbyś wiedzieć, co? – zapytał Yorlan przebiegle.

– No, opowiadaj. Po co mu kazałeś chodzić z tym uchem w ręku?

– Szczerze mówiąc... – zawahał się – ...to nie pamiętam.

Pokręciłem głową ze zdumieniem, a Liczydło wybuchnął śmiechem, po czym skierowaliśmy się w stronę klasztoru, spiesząc do głównej kaplicy, gdzie miało się odbyć zebranie korpusu oficerskiego Siódmego Regimentu. Od samego rana wśród żołnierzy dało się wyczuć nerwowe wyczekiwanie, a wokół nas stale rozbrzmiewały niespokojne szepty, gdy przecinaliśmy dziedziniec. Według krążących po regimencie plotek zebranie oznaczało, że Gruby Alf wreszcie postanowił ostro zareagować na stopniowe narastanie buntowniczych nastrojów w mieście. Z jakiego innego powodu, mówiono przyciszonymi głosami, nasz dowódca, pułkownik Gerard Saguenay, miałby się wreszcie wyłonić ze swojego biura na szczycie południowej wieży? W ostatnich tygodniach mieliśmy doprawdy bardzo niewiele okazji, by zobaczyć pułkownika, gdyż we wszystkich codziennych, rutynowych kwestiach związanych z zarządzaniem jednostką zastępowała go Nika, a sam Gerard fatygował się z wieży tylko na potrzeby wizyt w sztabie hrabiego de Verde w Cytadeli. Nie był to jednak dla nas najlepszy okres i regiment bardzo potrzebował dodającego otuchy widoku swojego legendarnego dowódcy.

Stagnacja i wieczne napięcie w Dhurceath wyraźnie nie służyły Gerardowi. Ten wypalony, odizolowany od swoich żołnierzy człowiek zupełnie nie przypominał pełnego niespożytej, wściekłej energii pułkownika, który nie tak dawno wjechał do miasta, prowadząc kolumnę dumnie maszerującego wojska. Zdawał się więc w coraz większym stopniu na Nikę, która – gdy chciała – potrafiła sprawować rządy twardą ręką, ale nie miała po prostu na to czasu, bo większość energii musiała poświęcać na zarządzanie rozległą siatką wywiadowczą i polowanie na buntowników. Dyscyplina w regimencie stawała się więc coraz bardziej luźna.

– Oddałbym miesięczny żołd, żeby tylko wziąć udział w tej naradzie – powiedział Zielony, który przyplątał się do nas, gdy szliśmy przez

dziedziniec.

– Ludzie przesadzają, na pewno nie będzie żadnych sensacyjnych informacji – rzuciłem szybko, bo po minie Liczydła widziałem, że już kalkuluje wartość żołdu sierżanta.

– Nie chodzi o treść odprawy. Ja po prostu... nigdy nie widziałem pułkownika.

– Jak to możliwe?

– Słyszysz przecież z nami od ponad dwóch lat.

– Jasne, widziałem go z daleka, podczas szkolenia i przemarszów albo gdy wychodził z obstawą na jakieś sztabowe zebranie w Cytadeli. Ale nigdy go nie spotkałem osobiście, twarzą w twarz. Dołączyłem do regimentu zainspirowany historiami o jego legendarnych wyczynach, które krążyły po całym królestwie. Jako student w Vorain ciągle słyszałem albo czytałem o blefie pod Allenbergiem, o zdobyciu portu w Naxios i marszu przez góry Bargael. Ale teraz, jako żołnierz regimentu, nie czuję wcale, że jestem bliżej pułkownika, niż gdy siedziałem w bibliotece uniwersyteckiej w Vorain.

– Blef pod Allenbergiem? – zdziwił się Liczydło. – Pierwsze słyszę.

– Ostatni rok kampanii manijskiej – przypominałem. – W okresie wielkiej suszy, kiedy cała nasza konnica była na granicy śmierci głodowej. Nic dziwnego, że nie pamiętasz, byłeś wtedy dziesiątki kilometrów od regimentu, pustosząc wioski z podjazdami furazerów i zabierając ostatnie okruchy zrozpaczonym rolnikom.

– To by się zgadzało – przytaknął. – Więc co się właściwie stało pod Allenbergiem?

– Pułkownik podszedł pod miasto, prowadząc mały, kilkusetosobowy oddział wyczerpanych walką i wygłodzonych żołnierzy – podchwycił natychmiast Zielony. – Nie mieli ani sprzętu oblężniczego, ani nawet prowiantu, żeby przetrwać dłużej niż kilka dni. Tymczasem Allenberg miał potężne fortyfikacje, za którymi skrywał się trzytysięczny garnizon.

– obrońcy wypalili wszystkie tereny wokół miasta – dodałem. – Nie tylko nie mieliśmy szans na zdobycie fortecy, ale gdybyśmy odstąpili od murów, musielibyśmy maszerować wiele dni, żeby dotrzeć na ziemię zdolne nas wyżywić. A nasze siły i zapasy były już na wyczerpaniu. Wielu ludzi nie mogło już ustać na nogach, a wszyscy byliśmy trupio bladzi i wychudzeni. Wyglądaliśmy jak armia duchów.

– Historia głosi, że Gerard wybrał kilku w miarę dobrze prezentujących się żołnierzy i na koniach przykrytych specjalnie za długimi czaprakami, żeby nie było widać wystających żeber, podjechali pod bramę miasta, domagając się poddania.

– Podeszliśmy pod miasto w środku nocy, więc obrońcy nie mogli zaobserwować z murów, jak duża w rzeczywistości była nasza armia. Musieliśmy działać szybko, żeby skłonić ich do poddania się, zanim nastanie świt. Gerard kazał rozpaść ogniska, znacznie więcej niż mieliśmy ludzi, żeby wprowadzić garnizon w błąd.

– Podobno gdy rozmawiał z dowódcą garnizonu pod murami, powiedział, że przywieźliście ze sobą ogromne zapasy prowiantu, dostarczone przez zdrajców z sąsiedniego Vaalburga, którego rządca miał zadawniony uraz do Allenbergu. Na dowód pułkownik wyciągnął okazały bochen chleba i ugryzł kawałek, po czym wyrzucił go z obrzydzeniem w krzaki, twierdząc, że toleruje jedynie chleb orkiszowy, a kwatermistrz zapakował mu przez omyłkę jakieś „kukurydziane paskudztwo”.

Parsknąłem śmiechem.

– Nie wiem, czy to prawda. Ale ta anegdota krążyła po naszym obozie już w momencie powrotu Gerarda z negocjacji. I była do tego stopnia przekonująca, że zgłodniały Winon opuścił swój posterunek, żeby szukać chleba w chaszczach pod murami. Wtedy to już jednak nie miało znaczenia, garnizon otworzył przed nami bramy.

– To, co mnie zawsze zastanawiało – mruknął Zielony – to dlaczego po wkroczeniu do miasta, gdy obrońcy zorientowali się, jak mały jest wasz

oddział, nie zwrócili się przeciwko wam? Daliby sobie przecież z wami radę przy takiej przewadze liczebnej.

– Ale wtedy musieliby się przyznać, że wystrychnęliśmy ich na dudka. Musieliby sobie wprost powiedzieć, że zachowali się głupio i tchórzliwie. Wybicie naszego skromnego oddziałku nie zmyłoby z nich hańby. Ciągnęli więc dalej maskaradę, udając przed nami i samymi sobą, że honorowo poddali się silniejszemu przeciwnikowi. Jeszcze długo później można było usłyszeć żołnierzy garnizonu przysięgających, że skapitulowali przed wielotysięczną armią.

Zamilkliśmy na dłuższą chwilę.

– Dlatego właśnie muszę stanąć z Gerardem twarzą w twarz – powiedział nagle Zielony. – Porzuciłem wszystko, żeby walczyć za dowódcę, który wziął Allenberg bez dobywania miecza. Muszę się upewnić, że to ten sam człowiek.

Wymieniliśmy z Liczydłem powątpiewające spojrzenia.

– To ten zasrany kraj – stwierdził wreszcie kwatermistrz. – Ten parszywy klimat, z wieczną wilgocią, błotem i marazmem unoszącym się w powietrzu. Wszystkich nas pozbawia energii.

Skinąłem głową. Yorlan zachował milczenie.

Nasza trójka na naradę dotarła jako ostatnia, gdy wszyscy inni już byli na miejscu. Kapliczne ławki zostały ustawione w półkole, a u jego szczytu siedzieli Gerard i Nika. Oprócz nich byli obecni wszyscy dowódcy kompanii, dwaj lekarze regimentu w stopniu porucznika i Liczydło wraz z Yorlanem, którzy formalnie również zaliczali się do grona oficerów.

– No, nareszcie jesteście – warknął na nas Gerard, gdy w pośpiechu zajmowaliśmy miejsca. – Czy szanowni zgromadzeni znajdą dzisiaj dla mnie trochę czasu?

Domyślając się, że pytanie jest retoryczne, nikt z nas się nie odezwał. Pułkownik, szczupły brunet z cienkim, zawadiackim wąsikiem i paskudną szramą na twarzy, rozejrzał się po sali.



– Jeśli sądzicie, że zwołałem naradę, bo mam dla was wieści z Cytadeli, to gratuluję domyślności. – Jego głos zakłócił ciszę, jaka zapanowała. – Hrabia de Verde poinformował mnie dzisiaj, że Pierwszy Nekromanta przybywa do miasta.

W kaplicy rozbrzmiały zdziwione pomruki, a brwi uniosły się w górę.

– No proszę, kiedy już myślałam, że nie możemy bardziej zepsuć swojego wizerunku w oczach miejscowych, Erejczycy wyskakują z zaklinaczem trupów – odezwała się drwiąco Nika. – To prawdziwy dar z niebios dla propagandy buntowników.

– Jakim cudem Gruby Alf się na to zgodził? – spytał M'Dongo, porucznik kompanii D.

– A co on ma do gadania? – prychnął Wei-Lei z kompanii A. – Gdyby ktokolwiek w stolicy liczył się ze zdaniem Grubego Alfa, to pasłby się on teraz na dworze królewskim, zamiast gnić z nami w tej dziurze.

– Hrabia de Verde – powiedział Gerard z naciskiem – całkowicie aprobuje przyjazd Pierwszego Nekromanty i uważa go za istotny element swojej nowej strategii.

Po pomieszczeniu znowu przebiegł szmer. Pułkownik kontynuował, nie zwracając uwagi na nasze reakcje:

– Zdaniem hrabiego nadszedł czas na zmianę naszego podejścia do problemu, jakim jest region Caellarh. Po ostatnich wydarzeniach de Verde zdecydował, że dotychczasowa polityka, w której marchewka przeważała nad kijem, jest całkowicie nieskuteczna. Prowincja dostała swoją marchewkę w postaci łagodnej okupacji i perspektyw na uzyskanie w przyszłości ograniczonej autonomii. Mieszkańcy nie okazali jednak żadnej wdzięczności i nadal upierają się, by utrudniać nam życie na wszelkie możliwe sposoby. Rozkazy z Cytadeli są jasne: nadszedł czas kija.

– Przejdziemy więc jednym ruchem od obietnic samorządności do żywych trupów patrolujących ulice? – spytała Nika.

– Dokładnie tak. – W głosie Gerarda zabrzmiała ostrzegawcza nuta. Przerwano mu już wystarczająco wiele razy. – Dokręcamy śrubę. De Verde nie lubi półśrodków, więc od tej pory w mieście zapanują rządy terroru. Kiedy Pierwszy Nekromanta tu dotrze, ustanowiony zostanie zakaz opuszczania domów po zmroku, a trupy wyjdą na ulice. Straż Miejska zostanie rozbrojona i zlikwidowana, a jej oficerowie wcieleni do erejskiej armii i wysłani do przydziałów na drugim końcu królestwa. Cywilny gubernator zostanie odwołany do stolicy i cała władza będzie odtąd skupiona w Cytadeli, z de Verdem jako wojskowym namiestnikiem prowincji i królewskim pełnomocnictwem dającym mu absolutną władzę nad regionem. Herezja duranistyczna zostanie oficjalnie zakazana i zwalczać się ją będzie ogniem i mieczem. Wprowadzi się również zakaz używania dialektu Caellarh w miejscach publicznych i erejski będzie jedynym obowiązującym językiem. Nazwa „Dhuirceath” wyjdzie z użycia, a miasto zostanie przemianowane na Nowy Ereburg.

Zapadła cisza. Nikt już nie szemrał ani nie unosił brwi. Wszyscy myśleliśmy o implikacjach nowej polityki. Nikt z nas nie czuł żadnego przywiązania do lokalnego dialektu czy nazwy miasta, ale wiedzieliśmy, że tutejsza ludność podejdzie do tej sprawy zupełnie inaczej. Tak radykalne zmiany nie mogą zostać wprowadzone bez pewnego oporu. Najwyraźniej mieliśmy gasić ogień przez polewanie go oliwą.

– Spodziewamy się oczywiście oporu ze strony miejscowej ludności i eskalacji cywilnego niezadowolenia. – Gerard jak zwykle czytał w naszych myślach. – To wkalkulowane w ryzyko. De Verde zamierza złamać ducha oporu w prowincji. Jeśli będzie musiał w tym celu najpierw zdławić powszechne powstanie, to tak zrobi. A gdy hrabia już z nim skończy, to miasto nigdy nie będzie takie jak dawniej.

\*\*\*

Przez następne dni można było niemal wyczuć napięcie unoszące się nad miastem. Oczywiście szczegóły nadchodzących zmian pozostawały znane

tylko wybranym oficerom wojsk okupacyjnych, skrywane za murami Cytadeli i klasztoru przy Rzeczej. Żadne mury nie mogły jednak całkowicie powstrzymać wypływu informacji. Wkrótce pogłoski o nadejściu Pierwszego Nekromanty, rozbrojeniu Straży Miejskiej i rządach terroru zaczęły krążyć po mieście. Nie wywołały one jednak żadnej reakcji, gdyż równocześnie opowiadano dziesiątki innych, całkowicie zmyślonych, ale równie prawdopodobnych plotek. I jak to często bywa, prawdziwe informacje zaginęły w morzu bzdur. Wszyscy w Dhurceath domyślali się, że coś się zbliża, ale sprzecznych pogłosek, spekulacji i hipotez było tak dużo, że nikt nie wiedział niczego na pewno.

Pewnego poranka podczas tego okresu pełnego nerwowego oczekiwania szedłem z Hieną i Parchem ulicą Gminną, gdy podeszła do nas siwa, pomarszczona kobiecina. Byliśmy akurat w wyborach humorach, bo dzień wcześniej zdecydowałem się wreszcie pokonać swoje skąpstwo i z otrzymanych od Pana Pomocna Dłoń pieniędzy zafundowałem naszej trójce absolutnie niewiarygodną noc w Platynowej Łożnicy, najdroższym burdelu w mieście. Zamiast więc odpędzić staruszkę, postanowiłem podzielić się moim szczęściem i dać jej jałmużnę. Gdy jednak sięgnąłem do sakiewki, wyprowadziła mnie z błędu.

– Dzisiejszego ranka oddział twojego banku można znaleźć na ulicy Szerokiej – powiedziała i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Świetnie, więcej tajemnic i konspiratorskich sztuczek Pana Pomocna Dłoń. Trochę męczyła mnie ta przesadna tajemniczość, ale i tak skierowałem się ku ulicy Szerokiej, każąc Hienie i Parchowi podążać za mną w odległości dwudziestu kroków. Nie wiedziałem, kogo wypatrywać, ale domyślałem się, że to oni znajdą mnie, a nie odwrotnie.

Tak też właśnie było. Przebyłem ledwie kawałek, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś zrównał się ze mną i szedł tuż obok. Rzut oka wystarczył mi, by stwierdzić, że to ten sam człowiek, którego widziałem wcześniej na zapleczu sklepu LaVaille'a. Teraz również ubrany był jak przeciętny

urzędnik, ale wszystko w jego ruchach i zachowaniu wskazywało, że niewiele czasu w życiu spędził, siedząc za biurkiem.

– Wiesz już zapewne, że wkrótce przybędzie do miasta ktoś wyjątkowy – powiedział bez wstępów, nie patrząc na mnie. – Pan Pomocna Dłoń nie życzy sobie, byś sprawił nam jakąkolwiek niespodziankę. Będziesz go obserwował i chronił przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Chyba że to my będziemy tym niebezpieczeństwem.

– W jaki sposób mam...

– Będziesz kierować jego ochroną. Poczyniono już odpowiednie kroki, by zapewnić ci to stanowisko.

Przyspieszył kroku i oddalił się ode mnie. Przez dłuższą chwilę szedłem tępo przed siebie, próbując przetrwać to, co mi przekazano. Najwyraźniej właśnie zostałem dowódcą osobistej straży Pierwszego Nekromanty.

\*\*\*

Gwar głosów i stukot kopyt dochodzący z zewnątrz zasygnalizował nam, że nasi goście wreszcie dotarli na miejsce. Liczydło i ja wyszliśmy z opuszczonej, rozpadającej się stodoły, w której składowaliśmy zrabowane materiały należące do rodu van Dorren. Rudera znajdowała się kilkanaście kilometrów od Dhurceath, w rzadko uczęszczanej okolicy, i wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się zawalić. Innymi słowy, idealnie nadawała się do naszych celów.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, dookoła roило się już od ludzi, wozów i koni. Oprócz dziesięciu moich, strategicznie rozmieszczonych żołnierzy, którzy robili za ochronę, dostrzegłem też kilkunastu uzbrojonych jeźdźców w liberjach rodziny van Dorren. Prawie dwadzieścia pustych, gotowych do transportu wozów zaprzężonych w konie pociągowe stało w półkolu przed stodołą, a grupa tragarzy zebrała się obok i rozglądała niepewnie, oczekując rozkazów. Dwoje jeźdźców podjechało do nas i zeskoczyło z koni. Zobaczyłem przed sobą Veen van Dorren, w męskim, nienagannie czystym stroju, wysokich butach do jazdy konnej i lekkim pancerzu częściowo

skrytym pod płaszczem, oraz Wilhelma, jak zwykle noszącego swoją zielono-czarną liberię.

– Towar jest w środku? – spytał obcesowo.

Skinąłem głową.

– Zapraszamy.

Weszliśmy we czwórkę do stodoły.

– Udało nam się uratować ładunek dwóch z trzech zaginionych karawan – wyjaśnił Liczydło. – Towar z tej najwcześniej obrabowanej zdążyli już wysłać poza prowincję i spieniężyć na jakimś odległym rynku.

– Naprawdę imponujące osiągnięcie – przyznała Veen. – To musiała być skomplikowana i rozległa konspiracja, a wy rozmontowaliście ją w kilka dni. Opowiadajcie.

– Tak, chętnie dowiemy się więcej – powiedział Wilhelm z przekąsem. – Też jestem bardzo ciekaw, co takiego wymyśliliście.

– Pozwolę sobie zignorować ten pasywno-agresywny komentarz – mruknął kwatermistrz – i przejdę do rzeczy. Nie muszę chyba tłumaczyć, że za wszystkie trzy zniknięcia odpowiadali ci sami sprawcy. Prowadzili oni szeroko zakrojoną operację, która polegała na przechwytywaniu transportów i upłynnianiu na rynkach daleko poza Caellarh.

– Żeby rozpracować tę intrygę, musieliśmy oczywiście przeprowadzić drobiazgowy śledztwo – podjąłem, czując na sobie badawcze spojrzenie Wilhelma. – Nasi informatorzy wskazali nam kilku podejrzanych, którzy chwalili się na mieście nienaturalnie wysokimi zarobkami z eskortowania karawan. Przesłuchaliśmy ich i okazało się, że dwie z tych osób faktycznie były zamieszane w zniknięcie waszych transportów. Reszta to była kwestia dojścia po nitce do kłębka.

– Zdziwiająco proste – powiedział Wilhelm, przeciągając słowa. – A gdzie teraz są ci... podejrzani?

– To dopiero głupie pytanie – prychnął Liczydło.

– A to dlaczego?

– Może nie wyraziłem się jasno – wtrąciłem. – Te osoby zostały przez nas *przesłuchane*. To znaczy, że odtąd o ich istnieniu można mówić wyłącznie w czasie przeszłym.

– To faktycznie bardzo wygodne – przyznał Wilhelm. – Jak udało wam się zdobyć ten ładunek?

– Szybko – odpalił kwatermistrz.

Tamten zachnął się.

– Bardzo śmieszne. Czy był mocno broniony?

– W ogóle. Najwyraźniej uważali, że ukryli swoją zdobycz tak dobrze, że nie ma sensu stawiać przy niej wartowników.

– Co się stało z końmi i ludźmi broniącymi oryginalnej karawany?

– Zadajesz bardzo dużo pytań – warknął Liczydło.

– Chcę po prostu poznać wszystkie fakty – odparł Wilhelm.

– O, teraz chcesz znać fakty? A jak trzeba było rozwiązać zagadkę znikających karawan, to nie byłś taki dociekliwy.

– Idź do diabła.

– Dość – ucięła Veen. – Nie mam zamiaru marnować czasu na wasze przekomarzanie. Wilhelm, wyjdź na zewnątrz i sprawdź, czy wszystkie konie mają po cztery nogi.

Wilhelm rzucił Liczydłu mordercze spojrzenie i wyszedł ze stodoły. Veen zwróciła się do nas.

– Kto tym kierował? Dorwaliście go?

– Niestety nie jest to takie proste – wyjaśniłem. – To osoba z pewnymi... koneksjami.

– Magnat? Bogaty kupiec? Polityk? Zagraniczny spekulant?

– Bynajmniej. To ktoś stąd i choć nie posiada wielkich wpływów, to nie będzie łatwo się do niego dobrać. Jest oficerem w armii.

Veen nieźle panowała nad swoją twarzą, ale i tak dała po sobie poznać, jak bardzo to ją zaskoczyło.

– Żołnierz to zorganizował?!

– Tak, bardzo przemyślny żołnierz. Trzeba mu oddać, ma niezwykle zdolności organizacyjne.

– Kto to?

– Służy w erejskiej kawalerii, w stopniu kapitana. Nazywa się Nocieres.

– Co na niego macie?

– Niewiele. Zeznania wynajętych przez niego ludzi. Erejczykom będzie łatwo podważyć ich wiarygodność, a na pewno to zrobią, chcąc chronić reputację swojej armii. W tej chwili jest on poza naszym zasięgiem.

– Chyba że załatwimy to nieoficjalnymi kanałami – zaproponował Liczydło przyciszonym głosem.

– To znaczy?

– To niebezpieczne miasto dla erejskich oficerów. Każde wyjście z koszar może źle się skończyć. Czy to naprawdę nie do pomyslenia, żeby jakiś godny pogardy buntownik zaczął się na Nocieresa z nożem w dłoni w mrocznej uliczce?

Veen spoglądała badawczo to na mnie, to na Liczydłę. Na jej twarzy nie było żadnych emocji, dokonywała właśnie chłodnej, racjonalnej kalkulacji. Oceniała potencjalne ryzyko, bilansowała zyski i straty.

– Czy Nocieres nadal prowadzi swoją działalność? – spytała po chwili.

– Obecnie nie – odpowiedziałem. – Stracił z naszego powodu trochę ludzi i towarów, parę jego najlepszych kryjówek zostało spalonych przez nasze śledztwo. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy wylizuje rany i podejmie na nowo swój proceder. Zapewne będzie przy tym bardziej ostrożny niż wcześniej i wyciągnie naukę. Będzie jeszcze trudniejszy do powstrzymania.

Veen szybko podjęła decyzję.

– Zlikwidujcie go. Zapłacę. Pod warunkiem że załatwicie to cicho i bez skandalu.

\*\*\*

Czasami rzeczy po prostu układają się po waszej myśli. A czasami trzeba im trochę dopomóc. Nakierować bieg zdarzeń w odpowiedni sposób,

zmanipulować kilka osób. I wtedy osiąga się wymarzony efekt końcowy. Na przykład wasz śmiertelny wróg, którego potrzebujecie zabić z czystej konieczności tylko po to, żeby wyeliminować zagrożenie, staje się nagle również wrogiem potężnej, absurdalnie bogatej magnatki. I ona oferuje wam hojną nagrodę za zrobienie czegoś, co i tak musieliście zrobić.

Życie potrafi być naprawdę wspaniałe. Bo oto szczęśliwe zbiegi okoliczności idą dalej. Wyobraźcie sobie, że wszystko układa po waszej myśli do tego stopnia, że człowiek, którego planujecie zabić, ma zdumiewająco konsekwentną obsesję na punkcie pewnej przeciętnie urodziwej prostytutki, którą odwiedza regularnie i często w towarzystwie bardzo słabej obstawy. To cudowne uczucie, gdy wszystko układa się tak idealnie, prawda? Na pewno byliście w podobnej sytuacji. I może też mieliście to szczęście, że kurtyzana, do której wasz wróg zapalał uczuciem, akurat pracowała w burdelu, którego właścicielka często z wami współpracuje.

Gdy świat stwarza wam tak doskonałą okazję, nie można z niej nie skorzystać. Nie pozostaje wtedy nic innego, jak tylko starannie zaplanować precyzyjne i bezbłędne morderstwo, które pozwoli wam odsunąć od siebie nawet cień podejrzenia. Przede wszystkim trzeba wtedy ustalić z właścicielką burdelu, żeby uprzedziła was, gdy cel po raz kolejny przyjdzie odwiedzić wysoko opłacaną miłość swojego życia. Pomijając niezdrową obsesję na punkcie dziwki, cel nie jest głupi, więc przyjdzie z kolegami. To jednak nie stanowi problemu, wystarczy bowiem, że koledzy zatracą się w przyjemnościach, a potem zostaną poinformowani przez personel burdelu, że osoba, którą mieli ochraniać, spotkała kilku znajomych oficerów i opuściła budynek w ich towarzystwie.

W ten sposób cel znajduje się nagle zupełnie sam we wrogim środowisku. Rzecz jasna, nie wypada, żeby jego koniec nastąpił w burdelu, to w końcu ściągnęłoby niepożądaną uwagę na cennych partnerów w interesach. Zamiast tego znacznie lepszym rozwiązaniem jest poinformowanie ofiary,



że koledzy czekają niedaleko, na rogu ulicy, i wystarczy przejść kilkanaście kroków, by do nich dotrzeć. Uspokojony bliskością rodaków cel wychodzi w zimną, ciemną noc we wrogim mieście... i odtąd nikt go już nigdy nie widzi.

Tak w każdym razie powinno się to potoczyć. Niestety, nawet jeśli wydaje się, że sytuacja układa się dla was idealnie i seria szczęśliwych zbiegów okoliczności prowadzi was prosto do udanego końca przedsięwzięcia, zawsze może was coś zaskoczyć. Na przykład wasz starannie zaplanowany zamach na życie erejskiego oficera bierze w łeb, bo dwaj, podobno wysoce kompetentni, ludzie, którym powierzyliście zasztytowanie samotnego kapitana, partolą robotę. Zamiast wykorzystać przewagę liczebną i przewagę zaskoczenia, zadźgać ofiarę i ukryć ciało, oni zadają tylko kilka ciężkich, ale nie śmiertelnych ran, a potem pozwalają uciec.

Co gorsza, kiedy szczęście się od was odwraca, to odwraca się całkowicie. Więc zamiast martwego wroga i sakiewki wypłaconej przez wdzięczną arystokratkę macie masę kłopotów. I nagle znajdujecie się w ponurej, cmentarnej krypcie, oświetlonej bladym światłem dopalającej się pochodni, a tajemniczy człowiek w efekciarskim kapeluszu i z imponującym wąsem oskarża was o próbę zabicia jednego z jego agentów.

Zresztą, co ja wam będę tłumaczył. Sami wiecie najlepiej. Na pewno byliście w identycznej sytuacji wiele razy.

\*\*\*

– To doprawdy wysoce niefortunny obrót wydarzeń. – Pan Pomocna Dłoń pokręcił ze smutkiem głową. – Tak, to naprawdę przykre. Sam nie wiem, co bardziej mnie martwi: to, że postanowił pan pozbawić życia kapitana Nocieresa, czy to, że zupełnie spartaczył pan robotę. Pozostaje mi ufać, że podczas pracy dla mnie uda się panu uniknąć podobnej kompromitacji.

Znajdowaliśmy się na terenie miejskiego cmentarza, w krypcie należącej do jakiegoś starego, dawno wymarłego arystokratycznego rodu. Wkrótce po

tym, gdy Hiena i Parch zdołali spartolić dziecinnie łatwe zadanie, pozwalając Nocieresowi ująć z życiem, zostałem nawiedzony przez udającego urzędnika odźwiernego Pana Pomocna Dłoń, który nakazał mi stawić się w trybie pilnym na spotkanie z jego pracodawcą. To, że spotkanie miało się odbyć na cmentarzu, nie nastawiło mnie zbyt entuzjastycznie do tej rozmowy, ale uznałem, że to po prostu przejaw najwyraźniej typowego dla Pana Pomocna Dłoń zamiłowania do teatralnych gestów.

W ten sposób znalazłem się w zimnej, zakurzonej i kiepsko oświetlonej krypcie. Stałem na środku sali, czując się trochę jak żołnierz na odprawie, a trochę jak dziecko besztane przez rodzica. Pan Pomocna Dłoń stał kilka kroków dalej i porządkował jakieś papiery rozłożone na sarkofagu, który posłużył mu za tymczasowe biurko. Oczywiście wchodząc do krypty, nie zdjął swojego kapelusza.

– Nie mógł pan tego wiedzieć, poruczniku, ale tak się składa, że kapitan Nocieres jest na mojej służbie – powiedział Pan Pomocna Dłoń, podnosząc wzrok znad papierów. – Jest dla mnie bardzo cenny i byłbym niepokieszony, gdyby pański zamach zakończył się powodzeniem. – Urwał i spojrzał na mnie przenikliwie.

Wytrzymałem spojrzenie, ale nie odezwałem się ani słowem. W myślach szacowałem, jakie jest prawdopodobieństwo, że udający urzędnika ochroniarz wyłoni się za chwilę z cienia za moimi plecami, by poderżnąć mi gardło. Uznałem, że jest ono spore.

– Jest jednak pewne szczęście w tym nieszczęściu – podjął Pan Pomocna Dłoń. – Myślę, że możemy obrócić ten niefortunny zbieg okoliczności na naszą korzyść. By jednak mógł to pan zrozumieć, muszę naszkicować ogólny obraz sytuacji. Widzi pan, poruczniku, to, czy moja misja w Caellarh zakończy się powodzeniem, zależy niemal wyłącznie od rodziny van Dorren. Ich wpływ na region jest tak wielki, że praktycznie niemożliwe jest prowadzenie interesów w tej prowincji bez wchodzenia w jakąś relację z nimi. Jeśli więc uda mi się doprowadzić do tego, że ogromny majątek rodu

van Dorren znajdzie się w strefie wpływów Banku Centralnego, to otworzy mi to drogę do zbudowania relacji ze wszystkimi innymi istotnymi graczami na tym terenie. Nie jest jednak łatwo podporządkować sobie ród o takim bogactwie i zasięgu wpływów. Ale każda rodzina ma jakiś słaby punkt.

– Czarną owcę – powiedziałem, by pokazać, że nadążam.

– Tak, dokładnie. Loze van Dorren. Błyskotliwy, ale lekkomyślny człowiek. Bardzo łatwy cel. Kiedy został wykluczony z rodzinnych interesów, nagle znalazł się na rozdrożu, kompletnie zagubiony i potrzebujący wsparcia. Wtedy zjawiłem się ja, by podać mu pomocną dłoń.

Ha, ha, bardzo śmieszne.

– Przy okazji naszego poprzedniego spotkania powiedziałem, że mógłbym panu z łatwością pokazać, kto stoi na szczycie organizacji rozprawiającej wodę święconą. Tak się składa, że ja wprowadziłem to wszystko w ruch. Gdy Loze van Dorren szukał swojej drogi, ja mu ją pokazałem. Była to droga do łatwego i szybkiego bogactwa, poprzez sprzedaż nielegalnej substancji. Pomogłem zorganizować sprawną i dochodową operację, a potem przekazałem wodze Lozemu, zostawiając jednak w strukturze organizacji swojego człowieka, który miał monitorować jego działania. Był nim kapitan Nocieres. Mój dalekosiężny plan zakładał uzależnienie Lozego ode mnie i kapitana, a następnie utorowanie mu drogi do najwyższej pozycji w rodzinie van Dorren przez usunięcie obecnej głowy rodu i innych członków rodziny w kolejce do sukcesji.

– Co poszło nie tak? – spytałem, wiedząc, że zawsze coś idzie nie tak.

– To, czego mogłem się spodziewać – odpowiedział z westchnieniem. – Loze van Dorren nie dawał się kontrolować swojej rodzinie, więc nie powinno być zaskoczeniem, że wyrwał się również spod kontroli mojej i Nocieresa. W ostatnich miesiącach stał się całkowicie samodzielny. Jego działalność odnosiła sukcesy, przynosząc mu duże zyski bez żadnych wpadek. Zapomniał jednak, komu zawdzięcza swoje powodzenie, i zamiast tego nabrał przekonania, że to wszystko jest zasługą jego własnego

geniuszu. Wydawało się więc, że moje plany wobec rodu van Dorren spaliły na panewce.

Coś zaskoczyło w mojej głowie i nagle zrozumiałem, do czego zmierza ta rozmowa.

– Moja służba u Veen – wypaliłem. – Chce się pan do nich dobrać od tej strony.

– Bardzo dobrze, poruczniku. – Pan Pomocna Dłoń udał, że bije mi brawo. – Loze nas zawiódł, ale dzięki panu mamy całkiem zadowalający plan B.

– Widzę jednak pewien problem – zauważyłem. – Miałem już okazję poznać Veen. Ona nie da się kontrolować. Żadne zastraszenie ani manipulacja na nią nie zadziała.

– Och, oczywiście, nie oczekuję, że to będzie takie proste. – Pan Pomocna Dłoń uśmiechnął się dobrotliwie. – Będziemy musieli zastosować subtelne i skomplikowane środki. To jednak nie czas, żeby wdawać się w takie szczegóły. Najważniejsze w tej chwili jest to, że Veen van Dorren postrzega pana jako człowieka kompetentnego, a nawet do pewnego stopnia godnego zaufania. Musimy umocnić w niej to przekonanie.

– Nocieres...

– Właśnie tak. Oczywiście, kapitan musi pozostać przy życiu, jest dla mnie wartościowym narzędziem. Ale Veen van Dorren nie musi o tym wiedzieć. Wystarczy, że kapitan Nocieres zniknie bez śladu, a Veen uwierzy, że zrealizował pan zadanie i go zabił. Potem sprawy potoczą się już same.

– To znaczy?

– Większość problemów Veen zostałaby rozwiązanych, gdyby pewna osoba zeszła z tego świata. Wkrótce panna van Dorren zda sobie sprawę, że ma do dyspozycji kogoś, kto mógłby przyspieszyć zejście wspomnianej osoby. A gdy już raz wkroczy na tę drogę, to nie będzie mogła zawrócić. My zaś będziemy czekać u kresu.

– Kim jest ta „pewna osoba”?

– Czy to nie oczywiste? – roześmiał się Pan Pomocna Dłoń. – Krew nie woda, poruczniku. Gwarantuję panu, że każdej nocy, gdy położy się do łóżka, Veen van Dorren śni o śmierci swego brata.

\*\*\*

Dopiero kilka minut później zdałem sobie sprawę ze wszystkich implikacji tej rozmowy. Rozpoznałem ten przełomowy moment, wyczekany i wypracowany przeze mnie. Dotąd byłem tylko chłopcem na posyłki i nie ludziłem się, że kiedykolwiek będę swoim panem. Ale w tej krótkiej chwili to ja, pionek, miałem zdecydować o dalszym przebiegu gry. Wcześniej mogłem tylko posłusznie wykonywać rozkazy i cierpliwie czekać, aż któryś z graczy pozwoli mi zajrzeć w swoje karty. Teraz nareszcie wiedziałem, czego chciała Veen i do czego dążył Pan Pomocna Dłoń. I mogłem zdecydować, które z nich zrealizuje swoje zamiary. Miałem przed sobą wybór: pomóc bankierowi w przejęciu majątku rodu van Dorren lub wyjawić wszystko Veen. Przez chwilę rozkoszowałem się świadomością, że dla odmiany to ja mogę rozstrzygać o losach tych, którzy wcześniej pociągali za moje sznurki. Oczywiście, gdy tylko jedno z nich upadnie, drugie będzie miało nade mną całkowitą władzę. Ale przedtem, na krótką chwilę, wszystko zależało ode mnie.

Tak naprawdę wcale nie musiałem się zastanawiać nad moją decyzją. Od razu wiedziałem, po czyjej stronie stanę. Jeśli dobrze zrozumiałem Arai, Pan Pomocna Dłoń zamierzał sprowadzić na świat potop i upewnić się, że tylko on będzie miał do dyspozycji statek. A ja musiałem się znaleźć na pokładzie.

Kapitan Nocieres zaginął bez śladu. Spowodowało to w szeregach erejskich żołnierzy jedynie umiarkowane wzburzenie. Nie byłby pierwszym oficerem podstępnie zabitym przez buntowników, a ostatnia eskalacja wydarzeń dodatkowo znieczuliła wojska okupacyjne na wszelkie zdarzenia tego typu. Tym niemniej zaginięcie kogoś w randze kapitana nie mogło przejść bez echa i wszczęto śledztwo, które jednak szybko utknęło w

martwym punkcie. Straż Miejska oczywiście nawet nie próbowała udawać, że coś robi w tym zakresie, a Erejczycy nigdy nie byli szczególnie biegli w sztuce wywiadu i Siódmy Regiment, a konkretnie Nika ze swoją siatką informatorów, służył za ich oczy i uszy.

No właśnie, Nika. Co miałem jej powiedzieć? Jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczył się rekrut w Siódmym Regimentcie, była zasada: żadnych tajemnic. Jeśli coś spierdoliłeś, nie zamiatałeś problemu pod dywan, tylko biegłeś do przełożonego wyznać grzechy. Jeśli robiłeś coś na boku, zdawałeś potem sprawozdanie. Nika czy Gerard nigdy nie robili problemów, gdy ja albo Liczydło kombinowaliśmy coś we własnym zakresie, pod warunkiem że nie działaliśmy na szkodę jednostki i ujawnialiśmy wszystko, co choćby w minimalnym stopniu dotyczyło regimentu. Przez te wszystkie lata moja lojalność wobec nich była niezachwiana, bo poza towarzyszami broni nie miałem w życiu kompletnie nic. Zawsze też byłem całkowicie szczery z Niką i jeśli sknociłem powierzone mi zadanie bądź po pijaku przespałem się z wąsatą dziwką, niczego nie ukrywałem. Aż do momentu, gdy postanowiłem przemilczeć istnienie Pana Pomocna Dłoń.

Nika wiedziała oczywiście, że Liczydło i ja mieliśmy problem z Nocieresem. Wiedziała też, że on i paru jego ludzi próbowało porwać mnie i Ferrego w noc zamieszek. Musiałem więc się przed nią przyznać, że zniknięcie kapitana było moją sprawką. Powiedziałem też o jego domniemanym zaangażowaniu w handel wodą święconą i o tym, jak wmanipulowaliśmy Veen w zlecenie nam morderstwa erejskiego oficera. Nie wspomniałem jednak ani słowem o Banku Centralnym, jego tajemniczym przedstawicielu ani o fakcie, że Nocieres nadal żyje i ukrywa się gdzieś pod ochroną swojego potężnego mocodawcy. Innymi słowy, zdradziłem swoją jednostkę. Tę decyzję podjąłem jednak już dawno temu; to, co działo się teraz, było tylko naturalną konsekwencją wcześniejszych wyborów. Wstępując na tę drogę, wiedziałem, że im dalej zajdę, tym większa będzie rozbieżność między interesem regimentu a planami Pana Pomocna Dłoń. A

ja nie zamierzałem zmieniać kierunku. Bank Centralny niósł zmianę, podczas gdy regiment służył staremu światu.

Tego samego dnia, gdy dokonałem mojej fałszywej spowiedzi u Niki, kolejny element układanki znalazł swoje miejsce. Pytanie o to, co Arai chce ugrać na mojej służbie dla Veen van Dorren, już o dłuższego czasu przyprawiało mnie o ból głowy. Wcześniej zleciłem kilku żołnierzom obserwację burdelu na Kołowej, choć nie miałem specjalnych nadziei, że przyniesie to jakikolwiek skutek. Nieco się więc zdziwiłem, gdy do mojej celi zajrzała Chi, niosąc wieści o niespodziewanym odkryciu, jakiego dokonali. Siedziałem akurat u siebie wraz z Szalonym Yorlanem, Hieną i Parchem, grając w karty. Stawka była pozornie wysoka, bo przegrany miał zostać zmuszony do wypicia jednej z tajemniczych mikstur alchemika. W rzeczywistości jednak gra nie była ani trochę sprawiedliwa, bo ten miał już zawczasu przygotowane antidotum, a ja w razie porażki zamierzałem się wymigać i powołać na swoją rangę. W sumie więc tylko Hiena i Parch ponosili jakiegokolwiek ryzyko, ale byli zbyt głupi, żeby się zorientować, że wszystko jest z góry ukartowane.

– Chłopaki z Kołowej przesyłają pozdrowienia – powiedziała Chi, patrząc podejrzliwie na fiolkę stojącą na środku pokoju. – Przekazali mi dość interesujące wieści.

Rozdanie szło mi kiepsko, więc ucieszyłem się z tego pretekstu do przzerwania gry.

– Bardzo interesująca osoba złożyła dzisiaj wizytę w burdelu – kontynuowała Chi. – Ktoś, kogo nikt by się tam nie spodziewał...

– Daj sobie spokój z tym budowaniem napięcia i mów wprost – uciąłem.

– Veen van Dorren – wypaliła Chi. – Wemknęła się tylnym wejściem, bardzo się starając, żeby pozostać niezauważoną, ale i tak nasi ją wypatrzyli. Poszła prosto na górę, do Arai, jakby znała drogę na pamięć.

To autentycznie mnie zdumiało. Spodziewałem się, że jest jakieś połączenie między Veen a Arai, ale nie oczekiwałem, że będzie ono tak

bezpośrednie, a Veen tak nieostrożna. Pozostali również gapili się na Chi ze zdumionymi minami. Skorzystałem z okazji i zerknąłem w karty Yorlana. Mocne rozdanie. Wyglądało na to, że miałem przesrane.

– Długo u niej była? – spytałem, próbując z kolei zobaczyć, co trzyma Hiena.

– Podejrzenie długo – odpowiedziała Chi. – Co lepsze, jeden z naszych zdołał się wemknąć na górę i rozejrzeć co nieco. Biuro Arai było puste. Za to z jej sypialni dochodziły donośne odgłosy...

Jak się okazuje, czasami najprostsze wyjaśnienie jest prawdziwe. Nie wszystko musi być nieprawdopodobnie skomplikowaną intrygą. Czasami wszystko sprowadza się do nieziemsko pięknej kobiety uwodzącej bogatą dziedziczkę, żeby potem podstawić najemnego zbira, który usunie jej brata i w ten sposób otworzy drogę do najwyższej pozycji w rodzinie, co z kolei da wspomnianej nieziemsko pięknej kobiecie pośredni dostęp do rodzinnego skarbcza... No dobra, to nadal dość skomplikowane. W każdym razie wszystko sprowadzało się do tego, że Arai zamierzała wydymać zarówno mnie, jak i Veen van Dorren, ale tylko jedno z nas miało przyjemność zostać wydymane w sensie dosłownym.

Szybki rzut oka na obleśny uśmiech na twarzy Hieni powiedział mi, że on również wyciągnął właściwe wnioski z relacji Chi. Niestety, swoje karty trzymał blisko i nie mogłem zobaczyć, co ma.

– Zastanawia mnie tylko jedno – powiedziałem, zarazem dyskretnie sięgając ręką w kierunku puli wolnych kart, leżących między mną a Hieną. – Czy nie mieliśmy obserwować burdelu z zewnątrz? Co nasz człowiek robił w budynku?

– A jak myślisz? – prychnęła Chi. Moja ręka już prawie mogła dotknąć kart w puli. – Kazałeś kilku facetom nieustannie obserwować burdel, myślałeś, że żaden z nich nie skusi się, żeby zrobić wypad na szybkie ruchanko?

Hiena pacnął moją rękę, gdy już, już miałem zwinąć kilka kart.



– Słuszna uwaga – przyznałem rację Chi. – Choć raz wyszło nam to na dobre.

– Nie gadaj, tylko graj – powiedział Parch. – Widzimy, że kombinujesz, jak możesz, bo masz gówniane karty.

Posłałem mu wyzywające spojrzenie, ale w duchu pogodziłem się z porażką. Na szczęście Chi uratowała mnie przed sromotną klęską.

– Będziesz musiał później dokończyć partię, Is – powiedziała. – Gerard chce cię zobaczyć.

– Może w takim razie mnie zastąpisz? – zaproponowałem, wstając.

– Czemu nie, te łajzy nie powinny mi sprawić większego problemu.

Złożyłem swoje karty i podałem jej.

– Powodzenia – rzuciłem na odchodnym, szczerząc się od ucha do ucha.

– Przyda ci się.

\*\*\*

Wspiąłem się długimi, krętymi schodami prowadzącymi na szczyt południowej wieży i znalazłem się w biurze Gerarda. Pułkownik wybrał to miejsce na swoją kwaterę od pierwszego dnia naszego pobytu w klasztorze, ale przez cały ten czas miałem okazję tu być ledwie kilka razy. Żadna z tych wizyt nie miała na celu pochwalenia mnie za wykonywanie dobrej roboty, więc południowa wieża nie kojarzyła mi się najlepiej. Kwatera Gerarda miała dokładnie taki czysto utylitarny i ascetyczny charakter, jakiego można się spodziewać po człowieku, dla którego wojna jest całym życiem. Było to owalne, przestronne pomieszczenie, którego środek zajmował wielki stół zavalony mapami, raportami wywiadu i kwatermistrzostwa oraz podręcznikami taktyki. Wielki sztandar z godłem Siódmego Regimentu wisiał na ścianie, a różnorakie elementy wojskowego ekwipunku leżały rozrzucone na podłodze. Wzdłuż ściany stało również kilka krzeseł, ale Gerard preferował postawę stojącą i wszystkie spotkania z nim odbywały się w ten sposób, że petent stawał na środku pokoju, a Gerard chodził wokół niego energicznym krokiem.

– Wejść – zawołał, gdy zapukałem do drzwi.

Wkroczyłem do środka i zobaczyłem pułkownika stojącego twarzą do okna, z rękoma splecionymi za plecami. Nie meldowałem się ani nie oddawałem honorów. Nie bawiliśmy się w takie rzeczy w regimencie. Gerard nawet w dawnych czasach, gdy kładł duży nacisk na dyscyplinę, nie przywiązywał żadnej wagi do takich gestów, a wręcz uważał je za szkodliwe, bo zdradzały wrogowi naszą strukturę dowodzenia.

– Pamiętasz Wisenthal, Is? – spytał, nie odwracając się.

Przytaknąłem. Nie żeby pułkownik oczekiwał odpowiedzi. Tym niemniej chaotyczna masakra, która przeszła do historii jako bitwa o brody Wisenthal, utkwiała mocno w mojej pamięci. Było to około pięciu lat temu, podczas kampanii przeciwko Lidze Niepodległych, sojuszowi kupieckich miast-państw z doliny Taar. Erejska armia, której część stanowiliśmy, spychała wojska Ligi coraz dalej w głąb doliny i nasz wróg znajdował się już o krok od kapitulacji, gdy został zmuszony do odwrotu przez wąski bród na rzece Wisenthal. Bronili się zaciekle, plecami do rzeki, podczas gdy wąska kolumna żołnierzy przeprowiała się powoli na drugi brzeg. Gerard dzięki dobremu rozpoznaniu terenu znalazł jeszcze jeden bród, kilka kilometrów w dół rzeki, i zdołał przekonać erejskie dowództwo, by pozwolili mu poprowadzić Siódmy Regiment na tyły wroga. Królewski sztab postawił tylko jeden warunek – w ramach wsparcia musi nam towarzyszyć oddział ożywieńców, przywołanych przez towarzyszącego armii nekromantę. Było to posunięcie w stylu Erejczyków – zarówno do Siódmego Regimentu, jak i do sług nekromanty podchodzili czysto utylitarnie i pogodzenie się z utratą grupy najemników przyszłoby im równie łatwo jak z utratą gromady animowanych ciał.

Nasz oddział w towarzystwie około setki na wpół rozłożonych trupów miał przeprowić się przez bród i forsownym marszem wyjść na tyły wojsk Ligi, które ciągle miały tylko słaby przyczółek po drugiej stronie rzeki. W momencie gdy przekraczaliśmy rzekę, budynek sztabu, z którego

nekromanta zdalnie kontrolował trupy, został podpalony podczas wypadu kawalerii wroga. Czarownik, uciekający w panice przed pożarem, nie zerwał połączenia ze swoimi sługami i te zamiast precyzyjnych poleceń zaczęły odbierać wyłącznie jego gwałtowne, prymitywne emocje. Ta pokraczna karykatura empatii, która łączy nieumarłych ze swoimi władcami, w tym przypadku uaktywniła ich najprostsze instynkty. Ich pan błagał o pomoc, więc udzieliły mu jej tak, jak tylko potrafiły – atakując wszystko w pobliżu, co mogło stanowić zagrożenie.

Byliśmy jak muchy w smole, brodząc w środku nocy po kolana w bystrej wodzie, z pochodniami w rękach rzucającymi wątle światło na groteskowe plecy naszej martwej forpoczty, gdy rozpętało się piekło. Torujące nam drogę umarlaki, dotąd posłuszne i gotowe wziąć na siebie pierwsze uderzenie przeciwnika, nagle zwróciły się przeciwko nam, atakując wściekle i chaotycznie. Pierwsze szeregi naszych padły, zanim żołnierze zrozumieli, co właściwie się dzieje, a ciemność pogłębiła się, gdy pochodnie zaczęły z sykiem wpadać do wody, upuszczane przez nas, w panice sięgających po miecze. Nasze ruchy ograniczone przez sięgającą co najmniej do kolan wodę, widoczność zredukowana przez panujące ciemności, broniliśmy się rozpaczliwie, niepewni, czy uzbrojona sylwetka naprzeciw należy do wroga czy do przyjaciela. Trudno stwierdzić, ilu naszych zginęło z rąk spanikowanych towarzyszy. Wiem natomiast na pewno, że gdy razilem sztychem jednego z przeciwników, wydał z siebie przeciągły, niewątpliwie ludzki wrzask, zanim zwałił się w wodę, której nurt natychmiast poniósł go w dół rzeki.

Podobno wygraliśmy tę walkę i okupiliśmy ją stratą połowy oddziału. Nie jestem pewien ani jednego, ani drugiego, bo z mojej perspektywy starcie zakończyło się, gdy w całkowitym mroku i przy akompaniamencie agonalnych wrzasków wycofaliśmy się w kompletnym chaosie z powrotem na nasz brzeg, zabierając ze sobą tych rannych, którzy mieli szczęście paść

na płytszej części brodu i nie zostali porwani przez prąd. Strat doliczyliśmy się tylko w przybliżeniu.

Oczywiście nie przeczytacie o tej potyczce w żadnej kronice. Zamiast tego każdy historyk opowiadający o brodach Wisenthal uraczy was zapewne porywającą opowieścią o genialnej fincie, dzięki której hrabia de Verde sprowokował wroga do kontrataku i wprowadził wprost w kleszcze pułapki. Wkrótce potem wykrwawione wojska Ligi skapitulowały, stając się kolejnym trofeum w kolekcji Grubego Alfa. My jednak nigdy nie zapomnieliśmy tej lekcji i wyciągnęliśmy z niej wnioski.

– Hrabia de Verde podziela moją nieufność wobec nekromancji – kontynuował tymczasem Gerard. – On też miał swoje brody Wisenthal i wie, że nie można nigdy zaufać truposzom ani ludziom, którzy je kontrolują. A reputacja Pierwszego Nekromanty jest taka, że tym bardziej trzeba go mieć na oku.

– Co się o nim mówi? – spytałem.

– Że jest chaotyczny, nieprzewidywalny i arogancki. Podejmuje decyzje bez zastanowienia i bez konsultacji. – Pułkownik odwrócił się wreszcie od okna i podszedł do stołu. – Podobno jest najmłodszym Pierwszym Nekromantą w historii i uderzyło mu to do głowy. Jego własny geniusz i łatwe, szybkie sukcesy odebrały mu wszelką zdolność do samokrytycyzmu.

Nie pokazałem nic po sobie, ale w duchu uśmiechnąłem się złośliwie. Dokładnie takich słów używali starsi oficerowie, wypowiadając się na temat Gerarda pod koniec Wojny Kontynentalnej.

– Cytadela jest zadowolona z przybycia nekromanty – podjął Gerard. – Wpisuje się to w plany hrabiego i ułatwi zastraszenie populacji. Zarazem jednak zaufanie do czarownika jest w sztabie zerowe i dobrze zdają sobie sprawę, że nie mogą liczyć na to, że Pierwszy Nekromanta zachowa się tak, jak tego oczekują. Dobrze byłoby mieć na niego oko, ale spodziewamy się, że będzie bardzo podejrzliwy wobec wszystkich Erejczyków w swoim otoczeniu. Dlatego też ze sztabu de Verdego wyłonił się pomysł, żeby to

Siódmemu Regimentowi, a tobie konkretnie, powierzyć ochronę naszego gościa. Dlaczego akurat na ciebie padło, nie wiem. Może zrobiłeś jakieś świństwo komuś z Cytadeli i teraz w odwecie usadzili cię z ochroną nekromanty. Mam to gdzieś.

Przypomniałem sobie wcześniejszą rozmowę z reprezentantem Pana Pomocna Dłoń. Czy jego mocodawca naprawdę miał aż taki zasięg, żeby wpływać na decyzje podejmowane w bezpośrednim otoczeniu Grubego Alfa?

– Domyślałem się, że muszę poczynić jakieś przygotowania – skwitowałem.

– Niekoniecznie – odparł Gerard, wzruszając ramionami. – Poinformuj tylko swoich ludzi i wybierz, kogo weźmiesz ze sobą. Podobno gubernator zamierza ulokować nekromantę w swoim pałacu, ale przypuszczam, że ten się na to nie zgodzi i zaznaczy swoją niezależność przez wybór innej lokalizacji. Dopóki tego nie zrobi, nie wiemy, jaki teren trzeba będzie zabezpieczyć i przygotowania nie mają większego sensu.

– Mam więc ochraniać nekromantę i mieć oczy szeroko otwarte?

– Przede wszystkim tak. Chcemy wiedzieć o wszystkim, co robi, gdzie się udaje, z kim rozmawia i co planuje. Podobno jest gadatliwy i lubi się popisywać, daj mu do tego okazję. Przyjeżdża tu sam, bez żadnego ucznia czarnoksiężnika czy innego popychadła, nie będzie więc miał z kim gadać. Wykorzystaj to, nakłoń go do zwierzeń.

– A jeśli będzie krzyżował plany Cytadeli?

– Jesteśmy w stanie tolerować wiele wykroczeń – powiedział Gerard beznamiętnie. – Ale jeśli zaczniesz sprawiać zbyt wiele problemów, wydam ci odpowiedni rozkaz. I zlikwidujesz Pierwszego Nekromantę.

## ROZDZIAŁ V

– Nie mam tego, czego szukasz – stwierdziła obojętnie Veen van Dorren i kopniakiem otworzyła wieko skrzyni. – To prawda, że *O powstaniu monstra* znajdowało się przez lata w posiadaniu naszej rodziny. Jednak kilka miesięcy temu ktoś włamał się do naszej biblioteki i ukradł to dzieło. Nigdy nie udało nam się odnaleźć sprawcy. Mam jednak coś, co umknęło złodziejowi. To szkice wykonane przez autora starodruku. Nie kopie, lecz oryginały. Bezcenne. Akademy z Vorain oddaliby dusze, by móc na nie spojrzeć.

Przyjąłem teczkę, ale nie sprawdziłem jej zawartości. Veen oszukała mnie, ale nie zamierzałem od razu wytaczać oskarżeń. Obserwowałem ją wyczekująco, oddając inicjatywę. Nie sprawiała wrażenia zmieszanej. Sięgnęła do skrzyni i wyciągnęła z niej gruby wełniany kozuch, który rozłożyła na sąsiedniej beczce, zanim na niej usiadła.

– Ten magazyn ma pięćset metrów kwadratowych powierzchni – oświadczyła. – Lub według lokalnej miary podanej przez poprzedniego właściciela „sto kop beczek i więcej pomieści”. Znajduje się w nim kilka tysięcy takich skrzyń jak ta. – Kolejnym kopnięciem zatrzasnęła wieko i położyła na nim nogi. – Każda zawiera dziesięć paskudnych kozuchów.

– Jeśli zamierzasz zapłacić mi kilkunastoma tysiącami owczych skór...

– Nie bądź śmieszny. Chciałabym jedynie, żebyś zrozumiał skalę otaczającego nas idiotyzmu.

– To akurat nigdy nie stanowiło dla mnie problemu.

– Magazyn oraz jego zawartość zostały zakupione przez mojego brata Amine. Wymyślił, że kozuchy będą idealnym ubiorem dla biedoty na zimę. Już miał przed oczami wizję ubogiej masy ustawiającej się w kolejce po wełniane okrycia, napychając mu kieszenie i sławiąc jego imię za uratowanie przed mrozem.

– Zimą pada tutaj więcej deszczu niż śniegu – zauważyłem.

– Wydawałoby się oczywiste, prawda? Szczególnie dla kogoś, kto jak Amine spędził tu całe życie. Te cholerne kozuchy chłoną tylko wilgoć, równie dobrze można by wyjść na dwór w namoczonej gąbce. Okazało się,

że biedacy lepiej wiedzą, jak chronić się przed chłodem niż wychowany w bogactwie paniczyk, i nikt nie kupił ani jednej sztuki tego badziewia. To wszystko leży w magazynie już od kilku lat, a lizusy mojego brata powtarzają mu w kółko, że podjął dobrą decyzję i to tylko chwilowo kiepska koniunktura, a tymczasem wartość środka trwałego rośnie z czasem... Kurwa mać! Koniunktura! Jeśli morza otaczające Caellarh kiedyś wyschną i deszcz przestanie padać, to owszem, może wtedy uda się sprzedać jakieś kożuchy, nie wcześniej.

– Nie można sprzedać tych zapasów na innych rynkach? – spytałem, dziwiąc się samemu sobie, że dałem się wciągnąć w tę dyskusję.

– Och, oczywiście. Wystarczyłoby tylko pokryć koszty transportu na przestrzeni setek kilometrów, które wyniosłyby kilkakrotnie więcej niż przychody ze sprzedaży. Hodowla owiec jest znacznie mniej kosztowna i ryzykowna niż prowadzenie karawan przez pół Kontynentu.

– Czy teraz możemy wreszcie porozmawiać o tym, że wykonałem dla ciebie kawał ciężkiej i ryzykownej roboty w zamian za przedmiot, którego nie posiadasz już od kilku lat?

– Daj spokój, Is. Przecież wcale nie chodziło o ten manuskrypt.

– Mieliśmy umowę.

– Podjąłeś ogromne ryzyko, zabijając na moje polecenie erejskiego oficera. Zrobiłeś to bez większych negocjacji, nie domagając się dowodu, że w ogóle posiadam to dzieło ani gwarancji, że ci je przekażę, jeśli wykonasz zadanie.

– Czy ten wywód ma za zadanie wykazać mi, że jestem kiepskim negocjatorem i dałem się wykiwać? To było już oczywiste na początku naszej rozmowy.

– Przeciwnie. Zrobiłeś interes życia, pracując dla mnie. Do tego przecież dążyłeś cały czas, prawda? Twój dowódca chciał dostać *O powstaniu monstra*. Nie poświęcałeś się jednak po to, żeby spełnić ich życzenia ani nawet dla jednorazowego, szybkiego zysku.

– Szybki zysk brzmi całkiem nieźle. Snując dalekosiężne plany, można czasem zostać z, dajmy na to, magazynem pełnym bezużytecznych kozuchów.

– Udajesz prostaka, ale wiem, że potrafisz spojrzeć dalej. Wiem, że widzisz Gerarda Saguenay, żywą legendę, więdnącego powoli w tej żalostnej służbie. Rozumiesz już, że nie zdobędziesz na wojnie fortuny, tytułu szlacheckiego ani rangi generała. Zawsze będziesz wykonywał rozkazy kogoś lepszego od siebie, z arystokratycznym tytułem przed nazwiskiem.

– Tak jak ty zawsze będziesz zależna od swojego brata.

– Owszem. Granice naszych możliwości zostały wytyczone w dniu naszych urodzin. By je przesunąć, układ sił w tej części świata musiałby się zmienić całkowicie.

– Porty na północnym wybrzeżu.

– Właśnie.

– Więc mam zostać drugim Wilhelmem? Pilnować drzwi, gdy ty będziesz zmieniać świat?

– Nie mógłbyś być nim. On jest lojalny – parsknęła Veen. – Nie muszę mu płacić. Nie muszę się martwić, czy nie wbije mi nagle noża w plecy. Ale jest też wiele zadań, których się on nie podejmie. Ciebie natomiast mogę kupić. I jeśli odpowiednio zapłacę, zrobisz wszystko.

– Co mi zaoferujesz? Kolejny zagubiony manuskrypt?

– *O powstaniu monstra* nie było zapłatą dla ciebie, lecz dla twojego regimentu. Odtąd będziemy rozmawiać inaczej. Jak partnerzy. Nie o zadaniach i zapłatach, lecz o wspólnych przedsięwzięciach i udziałach.

– Ale nadal będę wykonywał rozkazy. Szedł tam, gdzie mnie poślą. Robił, co każą – stwierdziłem kwaśno.

– Nie spodziewałaś się chyba niczego innego? Oferuję ci przesunięcie granic, nie ich zniesienie.

– Dlaczego jednak miałbym zaufać twoim obietnicom?

Veen zeskokczyła z beczki i podeszła do mnie.



– A gdybyś miał na mnie haka? Gdybyś wiedział o mnie coś tak kompromitującego, że ujawniając ten fakt, mógłbyś natychmiast zniszczyć mnie i wszystko, na co pracowałam? – przerwała na moment, a potem dokończyła. – Z twoją pomocą lub bez niej zabiję mojego brata.

Udałem zaskoczonego i uniosłem ręce, niby w obronnym geście.

– Takie posunięcie... Trzeba pomyśleć, że... no i ryzyko...

Veen prychnęła i zaczęła chodzić gorączkowo w tę i z powrotem, gwałtownie gestykułując.

– Amine ma wierzbową witkę zamiast kręgosłupa, ale stoi za nim siła tradycji. Nigdy nie zdołałem przeforsować jakiejkolwiek inicjatywy, z którą on się nie zgadza. Próbowалам wystarczająco wiele razy. Z ekonomem folwarku, który całkowicie zgadzał się z moją decyzją co do zaprzestania nieopłacalnej hodowli, ale natychmiast zmienił zdanie, gdy przeciwny rozkaz przyszedł od mojego brata. Z zarządcą manufaktury, który bez powiadomienia mnie zamknął moją działalność, bo powodowany kaprysem Amine oddał budynek do użytku któremuś ze swoich znajomych. Z księgowym, który na rodzinnej naradzie przedstawił fałszywy kosztorys, by udowodnić, że proponowane przeze mnie przedsięwzięcie jest nierentowne. Zgadnij, komu zależało na wycofaniu się z tej inwestycji? Wszyscy oni wiedzieli, że mam rację, a jednak potakiwali mojemu bratu, starając się nie spojrzeć mi przy tym w oczy.

– Tradycja...

– I moja babka. Zawsze faworyzowała Amine'a. Pierworodnego syna, który zawsze opowiadał się za kontynuacją starych interesów i podążania w jedynym słusznym kierunku. Który nigdy nie ośmielił się zasugerować, że czcigodna Raquel podejmuje decyzje tak, jakby sytuacja gospodarcza nie zmieniła się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Który nigdy nie cisnął pucharem o ścianę, krzycząc, że ród upadnie, jeśli nie zaadaptuje się do nowych czasów i nie zacznie myśleć w kategoriach innowacji i rozwoju, tak jak robią to Erejczycy. Myślę, że do pewnego stopnia nienawidzi mnie

bardziej niż Lozego. On przynajmniej jest klasycznym przykładem syna marnotrawnego, to coś, co babce łatwo zrozumieć. Powielony wzorzec, który powtarza się w rodzinie od pokoleń, nie wymaga od niej zmiany sposobu myślenia.

– Czyli będziesz musiała usunąć również Raquel?

– To nie będzie konieczne. Potrafię sobie z nią poradzić. Gdy zabraknie Amine'a, to ja będę stanowić przyszłość rodu. Nie będzie miała innego wyboru, jak tylko postawić wszystko na mnie. Gdyby Loze nagle wrócił odmieniony, zapewne zaczęłaby knuć, żeby to jemu przekazać władzę, ale jego rehabilitacja postępowałaby powoli. A ja tymczasem umocniłabym swoją pozycję tak, by nie mógł mi już zagrozić.

– Nadal nie usłyszałem powodu, dla którego w przyszłości nasza współpraca wyglądałaby inaczej niż teraz.

– Dotąd układałam się z oficerem reprezentującym interesy swoich przełożonych. Gdy stąd wyjdiesz, będziesz najpierw moim partnerem, a dopiero w drugiej kolejności członkiem Siódmego Regimentu. Pod warunkiem że jeśli przyjdzie wybierać, będziesz gotowy poświęcić swoich towarzyszy na rzecz naszego wspólnego przedsięwzięcia.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała mnie gestem.

– Mając do dyspozycji wszystkie zasoby rodu, mogłabym zrealizować najbardziej ambitny plan. Zbudować nowe miasta. Narysować na nowo mapę handlową Kontynentu. Wytyczyć nowe drogi i szlaki morskie. Zaburzyć równowagę ekonomiczną nie tylko prowincji, ale całego świata. Stworzyć nowy porządek, w którym Caellarh będzie dla Erei liczącym się partnerem, kontrolującym handel z cywilizacją zza gór. Nasze porty byłyby osią, wokół której obracałyby się gospodarki Kontynentu.

– A w tym wszystkim ja, jako mniejszościowy udziałowiec, wykonujący posłusznie rozkazy w zamian za procent w inwestycji?

– Sądzisz, że zasługujesz na więcej? – spytała zimno Veen. – Że ktoś zaoferuje ci więcej?

- Nie – przyznałem szczerze.
  - Przeprowadzenie takiego projektu wymaga wyrzeczeń. Nie tylko osobistych. Poświęcenia innych: towarzyszy broni, przyjaciół... rodziny.
  - Zrobię, co trzeba – powiedziałem nagle, jakbym właśnie podjął decyzję, mimo że w rzeczywistości zapadła już dawno.
  - To nie będzie trudne. Amine ma wiele słabych punktów. Jednym z nich jest jego utrzymanka. Nazywa się Anita Lentulac, mieszka w domu na rogu Królewskiej i Książęcej. Mój brat odwiedza ją kilka razy w tygodniu, jeździ tam powozem, z trzyosobową obstawą.
- Skinąłem głową. Zapadło między nami ciężkie milczenie. Chciałem wyjść, ale czułem, że Veen ma jeszcze coś do dodania. Wreszcie przemówiła, omiatając wzrokiem zakurzony magazyn pełen bezwartościowych wełnianych kozuchów:
- Ta możliwość istniała od zawsze, ale przez setki lat nikt jej nie wykorzystał. Kolejni patriarchowie van Dorren spoglądali na północ i wzruszali ramionami, mówiąc: „zbyt ryzykowne”, „mało opłacalne”. Jedyna droga, którą ten kraj mógłby wyjść z biedy i erejskiej dominacji, pozostawała zamknięta. Jeśli nic nie zrobię, Amine zmarnuje tę szansę dla kolejnego pokolenia. Nie mogę na to pozwolić.

\*\*\*

Nawet nie zerknąłem do teczki ze szkicami, dopóki nie znalazłem się u Niki. Natychmiast po powrocie do klasztoru przy Rzecznej wyrwałem ją ze snu, zapaliłem stojący obok jej łóżka kaganek i zacząłem rozkładać papiery. Znałem kapitan od lat i wiedziałem, że dostałbym solidny opierdoł, gdybym wstrzymał się z przekazaniem jej nowych informacji tylko dlatego, że nie chciałem przerywać jej wypoczynku.

Nika miała obsesję na punkcie Kręgu, a fakt, że posiadaliśmy na jego temat wyłącznie szczątkowe informacje, tylko dolewał oliwy do jej ognia. Uważaliśmy jednak, że jeśli nie cały Krąg, to przynajmniej któryś z jego członków dąży do wskrzeszenia pogańskiej wiary, i to był jedyne trop, jakim

możliśmy podążyć. Istniała więc szansa, że gdzieś w otrzymanych od Veen papierach znajdzie się wskazówka, która pozwoli nam rzucić nieco światła na całą sprawę.

Szkice, które rozłożyłem na łóżku, nie należały do widoków, jakie chciałoby się oglądać w środku nocy, przy nikłym świetle kaganka. W większości przedstawiały wyobrażenia półbogów, czyli owych legendarnych mieszanek człowieka i bestii. Autor ze szczegółami odtworzył różne konfiguracje z różnymi gatunkami zwierząt. Szkice zawierały groteskowe, koszmarne kombinacje – ludzi z wilczymi pyskami, niedźwiedzimi łapami czy porożem wyrastającym z czaszki. Wszystkie jednak łączyło to, że przedstawiona istota posiadała głowę bestii i ciało człowieka, a często także ręce i stopy ulegały przekształceniu w łapy z długimi pazurami. Kreatury przyjmowały postawę dwunożną, ale gdy rysunki przedstawiały je z profilu, wyglądały na nieco zgarbione, z pyskami wysuniętymi do przodu w nienaturalnych pozach. Wszystkie też miały ciała pokryte futrem, choć nie tak gęstym, jak u normalnych zwierząt.

Oprócz tego teczka zawierała inne szkice dotyczące antycznej religii. Niektóre z nich przedstawiały *rahksh*, kapłanów przebranych za zwierzęta, w trakcie różnych czynności rytualnych. Naszą uwagę przyciągnęła seria czterech rysunków, które odwzorowywały to, co jak sądziliśmy, było rytuałem przemiany. Na pierwszym szkicu widać było grupę ludzi zgromadzonych w jakimś miejscu kultu, z wielkim posągiem wilczego boga, Vahrh, w centrum. U stóp posągu leżało ciało wilka w kałuży krwi, a nad nim stał nagi wojownik. Kolejny szkic pokazywał *rahksh* ubranego w wilczą skórę, stojącego za wojownikiem i podrzynającego mu gardło. Następny przedstawiał dwa trupy leżące jeden na drugim i jakby zlewające się ze sobą, podczas gdy *rahksh* stał nad nimi, wznosząc ręce w jakimś rytualnym geście. Najbardziej niepokojący ze wszystkich obraz pokazywał odciętą głowę wojownika, leżącą obok bezgłowego wilczego truchła w rozległej kałuży krwi. Stojący obok *rahksh* wskazywał ręką na coś poza polem widzenia.

Rysunek został wykonany z lotu ptaka, więc na ziemi można było dostrzec ogromne ślady ni to stóp, ni to łap, prowadzące w kierunku wskazywanym przez kapłana. Ślady niewątpliwie należały do istoty dwunożnej, ale były zbyt duże jak na człowieka.

Najbardziej użyteczny okazał się jednak inny szkic, przedstawiający to samo miejsce kultu boga-wilka, Vahrh, całkowicie puste i z dalszej perspektywy. Wyglądało na rozległą polanę w lesie, otoczoną kręgiem dużych głazów, z posągami wilczego boga w centrum. Co ważniejsze, z tyłu kartki znajdowała się notka, napisana archaicznym, ale zrozumiałym językiem: „Tvfarynn, święte miejsce kultu Vahrh, czczonego przez plemię Dhurceath”.

Nika i ja nie rozmawialiśmy prawie w ogóle na temat tego, co zobaczyliśmy. Nie miało to sensu. Widzieliśmy już niejedno w czasie naszej służby, ale te obrazy wywarły na nas mocne wrażenie. Nie musieliśmy też roztrząsać tego, co należało teraz zrobić. Nazwa miasta Dhurceath pochodziła od plemienia, które wcześniej zamieszkiwało te tereny i oddawało kult wilczemu bogu w Tvfarynn. To oznaczało, że miejsce kultu nie mogło się znajdować daleko. Musieliśmy do niego dotrzeć i je zbadać, im szybciej, tym lepiej.

Zebrałem szkice z powrotem do teczki i skierowałem się ku drzwiom. W połowie drogi zatrzymałem się i zapytałem jeszcze:

– Veen van Dorren chce się pozbyć swojego brata. Jest ci do czegoś potrzebny czy mogę działać?

Zaspana Nika wzruszyła tylko ramionami i wróciła do łóżka.

\*\*\*

Ostatni dzień w życiu Amine'a zaczął się jak wszystkie, dość późno. Koło południa głowa rodziny van Dorren opuściła swoje łóżko, by zjeść obfite śniadanie w towarzystwie żony. Następnie udał się na krótką konną przejażdżkę, by zażyć nieco świeżego powietrza. Po obiedzie wsiadł do swojego powozu i chroniony przez trzech ludzi wybrał się do miasta celem

odwiedzenia jednej z manufaktur należących do rodziny. Odbywał takie wycieczki regularnie, twierdząc, że pozwala mu to lepiej rozumieć rodzinne interesy. W rzeczywistości był to jedynie pretekst, by wydostać się z domu i odwiedzić kochankę.

Aktualnie tę funkcję sprawowała Anita Lentulac, średnio zamożna erezjska szlachcianka, która wcześniej była dwukrotnie zamężna i której obaj mężowie zeszli z tego świata w tragicznych okolicznościach. Pytania dotyczące jej roli w tych smutnych wydarzeniach skłoniły ją do opuszczenia ojczyzny i osiedlenia się w Dhuirceath. Obecnie udało się jej zdobyć bardzo pożądaną posadę kochanki Amine'a i utrzymywała się na tym stanowisku już od kilku miesięcy, co według plotek krążących po mieście czyniło ją prawdziwą rekordzistką.

Późnym popołudniem powóz w zielonoczarnych barwach rodu van Dorren zajechał przed dom na rogu Królewskiej i Książęcej. Amine wysiadł, otoczony przez trzech zbrojnych, którzy mieli go chronić nie tyle przed atakiem, co przypadkowym kontaktem z pospolitymi mieszkańcami. Dwaj z nich zostali na zewnątrz, pilnując wejścia, a trzeci wszedł do środka, by zająć stanowisko przy tylnych drzwiach. Ich pan natomiast, po serdecznym przywitaniu się z Anitą Lentulac, powędrował wprost do jej łóżnicy. Nie miał więc szansy usłyszeć charkotu, jaki wydarł się z ust pilnującego zaplecza ochroniarza, gdy Ferre poderżnął mu gardło. Nie mógł też usłyszeć nieprawdopodobnie cichych kroków mordercy zbliżającego się po miękkim dywanie. Kochanka tak skutecznie zaabsorbowała całą jego uwagę, że nie zauważył zabójcy nawet wtedy, gdy ten wszedł do sypialni.

Przesadnie głośne krzyki, jakie Anita Lentulac wydawała w fałszywej ekstazie, ucichły nagle, gdy przygniotło ją martwe ciało patriarchy rodu van Dorren. Przewróciła trupa na plecy i wrzasnęła głośno, gdy dotarło do niej, że Amine nie żyje. Jej krzyk został zduszony przez rękawicę Ferrego zaciskającą się wokół jej ust.

Strażnicy przed frontowymi drzwiami oczywiście słyszeli krzyki dochodzące z budynku, ale rzecz jasna źle zinterpretowali ich naturę. Dopiero długo po zapadnięciu zmroku jeden z nich zaniepokoił się przedłużającą nieobecnością mocodawcy, który nigdy nie zostawał na noc u kochanki. Ochroniarz w zielono-czarnej liberii wszedł do środka i ruszył ku tylnym drzwiom, by zapytać pilnującego ich towarzysza, czy dostał jakieś nowe polecenia od Amine'a. Gdy znalazł trupa kolegi leżącego na podłodze w kałuży krwi, natychmiast zrozumiał, co zaszło.

W sypialni zastał martwego Amine'a leżącego na łóżku, zaplątanego w białą pościel pokrytą czerwonymi plamami krwi. Anita Lentulac, zakneblowana i związana, leżała na podłodze, miotając się w bezsilnej panice. Gdy później została przepytana, nie potrafiła powiedzieć nic na temat skrytobójcy, który był zamaskowany i ubrany na czarno. Jedyny użyteczny szczegół, jaki zapamiętała, to słowa wypowiedziane przez mordercę, zanim oddalił się z miejsca zbrodni. Brzmiały one: „Oto kara, która spotyka zdrajców ojczyzny. Niech żyje wolność!”.

\*\*\*

Pierwszy Nekromanta przybył do pałacu gubernatora pod osłoną nocy. Rzecz jasna. Żaden szanujący się czarnoksiężnik nie wjechałby przecież do miasta w ciepły, słoneczny dzień. Nie, Pierwszy Nekromanta umiał zadbać o swoją renomę i zachował odpowiednią dozę tajemniczości. Siła jego reputacji była równie istotna jak jego moc magiczna.

Oczywiście nie zostaliśmy wcześniej uprzedzeni, kiedy dokładnie ma przybyć, więc polecono nam trwać w pełnej gotowości przez całą noc. Ja i grupa moich ponurych, niezadowolonych z nowego przydziału żołnierzy w pełnym rynsztunku czekaliśmy więc na wypolerowanych, eleganckich korytarzach pałacu, tworząc ostry kontrast z jaskrawymi, galowymi mundurami straży pałacowej. Na szczęście Pierwszy Nekromanta nie guzdrał się zbyt długo i chwilę po północy wszedłem do komnaty, w której komitet powitalny złożony z Grubego Alfa, Gerarda Saguenay oraz

gubernatora i paru jego ludzi właśnie wylewnie dziękował mistrzowi za przybycie.

Muszę przyznać, że miałem w głowie bardzo konkretne oczekiwania co do tego, jak powinien wyglądać człowiek sprawujący funkcję Pierwszego Nekromanty. Mimo że wielu ludzi, mówiąc o nim, podkreślało młody wiek, wyobrażałem go sobie jako siwego, wysokiego i kościstego starca o mrocznych oczach, długiej brodzie i twarzy zastygłej w wyrazie zimnego, bezlitosnego spokoju. Oczywiście powinien być ubrany całkowicie na czarno i najlepiej nosić ze sobą długą laskę z czarnego drewna. Zamiast tego moim oczom ukazał się jasnowłosy trzydziestolatek z jowialną, wzbudzającą sympatię twarzą. Miał przynajmniej na sobie długą, czarną szatę, ale przydługie rękawy podwinął sobie dla wygody powyżej łokci, co odebrało wszelkie dostojeństwo jego ubiorowi. Co gorsza, pomimo obszerności szata nie była w stanie ukryć sporego zaokrąglenia w okolicach pasa czarnoksiężnika, które dobitnie wskazywało, że jest on człowiekiem niepośledniego apetytu. Wiem, że nie powinienem myśleć w kategoriach stereotypów, ale jakoś nie byłem w stanie się pogodzić z faktem, że człowiek, który zawodowo zajmuje się ożywianiem gnijących ciał, może w czasie wolnym ze smakiem zajadać się delikatesami.

– Mistrzu, przedstawiam ci porucznika Norgaarda z Siódmego Regimentu – przemówił hrabia de Verde, gdy wszedłem do komnaty. Miło z jego strony, że zapamiętał moje nazwisko na potrzeby dzisiejszej prezentacji. – Będzie on odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo.

– Służba dla ciebie to zaszczyt, Mistrzu. – Skłoniłem się nisko.

– Doprawdy? – roześmiał się Pierwszy Nekromanta. – Aż tak dobrze wam płacą za użeranie się ze mną?

– Nie chciałbym zanudzać cię szczegółami naszego kontraktu, Mistrzu.

– Sam zdecyduję, co mnie nudzi, a co nie.

– Z pewnością jesteś głodny, Mistrzu – wtrącił pospiesznie gubernator. – Stół został już zastawiony. Jego Ekscelencja i ja z przyjemnością



dotrzymamy ci towarzystwa przy posiłku.

Rzucił nerwowe spojrzenie na de Verdego, który mierzył czarnoksiężnika wrogim wzrokiem.

– Nie potrzebuję ani posiłku, ani towarzystwa – stwierdził sucho nekromanta. – A już na pewno nie tego rodzaju, jaki oferuje pałac. Zresztą nie sądzę, żebyście cieszyli się na moje.

– Ależ jak najbardziej, gościć tak znamienitą personę to dla nas...

– Już ja wiem, gdzie królewska administracja przewiduje miejsce dla nekromantów. Obsypuje się nas honorami, a potem wysyła na odludzia, żebyśmy kierowali sługami orającymi pola, wydobywającymi metale, budującymi drogi albo... tłumiącymi powstania. Tania siła robocza królestwa, której kierownicy nie są mile widziani na dworach, bo przypominają wyperfumowanym arystokratom o własnej śmiertelności.

– My tylko...

– Udam się teraz na spoczynek.

– Oczywiście, Mistrzu. Przygotowaliśmy już dla ciebie najlepszą komnatę w pałacu.

– Zmarnowaliście wobec tego swój czas. Nie zamierzam mieszkać w pałacu. Widziałem za to po drodze bardzo interesującą lokalizację, w której chciałbym się zatrzymać.

– Ależ Mistrzu, zapewnienie ci odpowiedniej ochrony poza pałacem będzie wymagało znacznie większej liczby żołnierzy – zaprotestował gubernator, spoglądając na Gerarda i Grubego Alfa z nadzieją, że się z nim zgodzą.

Pułkownik i hrabia nie odezwali się jednak ani słowem, obserwując całą scenę z twarzami pozbawionymi wyrazu.

– Jeśli brakuje wam żołnierzy, mogę użyć do ochrony swoich... ludzi.

Dygnitarz zamarł z na wpół otwartymi ustami. Dopiero po chwili przemówił de Verde:

– Twoja eskorta podąży za tobą, gdziekolwiek się udasz, Mistrzu.

Nekromanta obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Rzuciłem pytające spojrzenie na Gerarda i hrabiego, a potem podążyłem za nim, wczuwając się w rolę ochroniarza. Gubernator również podreptał czym prędzej, by odprowadzić swojego gościa. Natomiast Gruby Alf i Gerard wzruszyli tylko ramionami i zostali na swoich miejscach. Odegrali swoje role w komitecie powitalnym, teraz Pierwszy Nekromanta był już moim problemem.

Wyszliśmy na dziedziniec pałacu, gdzie ciągle stał kary ogier w otoczeniu oddziału erejskich żołnierzy. Gdy gubernator wylewnie i po raz kolejny dziękował Mistrzowi za przybycie oraz błagał o przemyślenie decyzji o rezygnacji z komnaty w pałacu, moi ludzie zmienili Erejczyków w obstawie nekromanty i otoczyli karosza ciasnym kordonem. Wkrótce potem przemierzaliśmy ulice miasta, szukając upatrzonej przez nekromantę nieruchomości. Czarnoksiężnik w milczeniu jechał na swoim ogierze, ja zaś i moich kilkunastu żołnierzy szliśmy pieszo, otaczając go, rozglądając się czujnie na wszystkie strony. Nasze czarne kurtki mundurowe doskonale pasowały do roli ochroniarzy nekromanty.

Pierwszy Nekromanta może i nie odpowiadał ogólnie przyjętemu wyobrażeniu czarnoksiężnika, ale w kwestii wyboru swojej siedziby idealnie wpisał się w stereotypy stworzone przez legendy i podania ludowe. Po krótkim przejeździe przez miasto zatrzymaliśmy się przed mroczną, strzelistą ruiną z czarnego kamienia. Budowla stanowiła idealną siedzibę dla nekromanty – położona nieco na uboczu, górująca nad innymi budynkami i cholernie przerażająca. Wyglądała na zaniechaną i opustoszałą od lat, a w jej wnętrzu ziało martwym chłodem. Ta sceneria miała doskonale podziałać na wyobraźnię miejscowych.

Moja kompania szybko przeczesła budynek, potwierdzając, że najwyraźniej żadna ludzka noga nie postąpiła tu od kilku lat. Posterunki zostały rozstawione, a sierżanci wyłonili grupę pechowców, którzy zostali zagonieni do sprzątnięcia. Parter i pierwsze piętro miały zostać przeznaczone

na zakwaterowanie moich ludzi, górne piętra zaś objął w posiadanie Pierwszy Nekromanta.

Stał on właśnie przed wejściem do swojej nowej rezydencji i podziwiał widok, gdy podszedłem, by zdać mu raport. Szybko zrelacjonowałem nasze działania i plan, według którego zamierzałem zorganizować ochronę terenu. Na zakończenie ośmieliłem się dodać coś od siebie:

– Doskonały wybór, Mistrzu – powiedziałem, podziwiając architekturę tej głęboko niepokojącej budowli.

– No kurwa – przytaknął Pierwszy Nekromanta.

\*\*\*

Następnego ranka mieszkańcy obudzili się już w innym mieście. Nazwa Dhurceath została usunięta ze wszystkich tablic i zastąpiona przez Nowy Ereburg. Patrole żołnierzy z armii okupacyjnej maszerowały ulicami, wypatrując jakichkolwiek szyldów sklepowych, ogłoszeń bądź znaków w dialekcie Caellarh. Ich właścicielom przypominano dobitnie o nowej polityce, a tym, którzy się do niej nie zastosowali, przydarzały się różne nieszczęścia. Zaczynało się zwykle od wybijania szyb i demolowania inwentarza pod pozorem poszukiwania ukrywających się buntowników. W przypadku tych bardziej upartych przybytki w tajemniczych okolicznościach stawały w ogniu, a ich właściciele znikali bez śladu.

Kiedy pierwsze promienie słońca padły na zaspane miasto, Straż Miejska już nie istniała. Tuż przed świtem, w ramach szeroko zakrojonej i niezwykle sprawnie przeprowadzonej akcji, armia erejska otoczyła jednocześnie wszystkie posterunki, wyważyła drzwi i przejęła kontrolę nad budynkami. Szeregowi strażnicy zostali pozbawieni broni i mundurów, a potem, nierzadko w samej bieliźnie, wysłani do domów. Oficerowie straży zostali internowani, co w praktyce oznaczało, że zakuto ich w kajdany i zamknięto w lochach Cytadeli, gdzie mieli oczekiwać na dalsze rozstrzygnięcia. Większość z nich miała docelowo trafić do armii erejskiej i otrzymać przydział do jakiegoś odległego garnizonu, z którego już nigdy nie wrócą do

domu. Natomiast ci, którzy wcześniej nagrabili sobie u Erejczyków, mieli po prostu pozostać w Cytadeli jako więźniowie polityczni.

Straż nie stawiała wielkiego oporu. W większości przypadków zaskoczenie było tak duże, a działania królewskich tak sprawne, że nie zdążyli nawet zareagować, gdy ciężko uzbrojone oddziały wywazały drzwi posterunków. Tylko w kilku przypadkach strażnicy sięgnęli po broń i stanęli do walki, ale nie mieli szans ze znacznie lepiej wyposażonymi i wyszkolonymi Erejczykami. Akcja została zaplanowana bezbłędnie i doskonale skoordynowana, stanowiła prawdziwy majstersztyk w wykonaniu de Verdego i jego sztabu. Ostatecznie straty strażników w wyniku walk oraz tego, co Cytadela później zaklasyfikowała jako „nieszczęśliwe wypadki”, wyniosły prawie pięćdziesiąt osób. Po stronie erejskiej znalazło się tylko siedmiu zabitych.

Gdy nastał dzień, de Verde nakazał demonstrację siły. Wyprowadził z koszar wszystkie dostępne jednostki, włącznie z Siódmym Regimentem. Wojskowe patrole były dosłownie wszędzie. Nie sposób było przejść jakąkolwiek ulicą od początku do końca, żeby nie napotkać przynajmniej dwóch grup żołnierzy prowokująco rozpychających tłum. Nawet biedne dzielnice zostały gęsto obstawione i wszystkie zgromadzenia większe niż kilka osób natychmiast rozpędzano, żeby zdławić wszelkie rozruchy w zarodku. Nie zdarzyły się zresztą jakiegokolwiek próby stawiania oporu. Owszem, w karczmach, domach i burdelach wrzało od pomstujących głosów, buntowniczych nawoływań i wyrazów oburzenia. Na ulicach jednak wszyscy chodzili szybko i z wzrokiem wbitym w ziemię, żeby tylko nie dać jakiemuś Erejczykowi pretekstu do aresztowania.

Po zmroku natomiast ulice całkiem opustoszały. Heroldowie ogłosili wieczorem, że wychodzenie z domów w nocy jest zakazane, ale i bez tego wieść szybko się rozniosła, że po zmierzchu trupy wyjdą na ulice. Wszyscy zostali więc w domach. Drzwi zaryglowano, okiennice zatrzaśnięto, a ci, których było na to stać, ustawili przy drzwiach uzbrojonych strażników.

Mieszkańcy biednych dzielnic, ze swoimi cienkimi, drewnianymi ścianami i nieszczelnymi oknami, mogli doskonale usłyszeć chrzęst kości i szcęknięcie zardzewiałych zbroi, gdy ożywione trupy patrolowały wszystkie zakamarki Nowego Ereburga.

Miałem wątpliwą przyjemność towarzyszyć Pierwszemu Nekromancie, gdy ten powoływał swoją armię. Koło południa musieliśmy eskortować go na cmentarz miejski, który stanowił jedyne wystarczająco obfite źródło potrzebnych mu materiałów. To, że krewni i znajomi mieszkańców, zamiast zaznawać wiecznego odpoczynku w miejscu pochówku, zostaną wyrwani ze swoich grobów, by zastraszać populację miasta, stanowiło niewyobrażalną profanację i afront dla społeczności. Do tej pory strategia hrabiego de Verde zdawała się jednak działać i strach, jaki odczuwali mieszkańcy, zdecydowanie dominował nad oburzeniem. Nikt więc nawet nie próbował protestować, gdy udaliśmy się na cmentarz i nekromanta zaczął odprawiać swoje rytuały.

Moja wiedza na temat nekromancji była bardzo ograniczona. Sama sztuka nie wyglądała jednak na szczególnie skomplikowaną. Pierwszy Nekromanta nie potrzebował żadnych magicznych składników, nie musiał uprawiać swoich czarów o określonej porze dnia lub nocy, a rytuał nie trwał jakoś szczególnie długo. Po prostu wszedł na dłuższą chwilę do jednej z krypt i nakazał nam pod żadnym pozorem sobie nie przeszkadzać.

Wystawiłem symboliczne warty, żeby sprawiać wrażenie kontroli nad sytuacją, ale i tak wszyscy, zamiast obserwować otoczenie, wpatrywali się z napięciem w wejście do grobowca. Ciągle jednak nic się nie działo i żołnierze zaczęli tracić zainteresowanie. Wokół rozbrzmiały leniwe rozmowy, kilku ludzi usiadło dla wygody na niskim murku otaczającym kryptę, a ktoś nawet wyciągnął talię kart. Parch stanął naprzeciw jednego z nagrobków, rozpiął rozporek i zaczął sikać na relief przedstawiający zapewne spoczywającego pod nim zmarłego podczas polowania.

Wtedy właśnie nekromanta wyłonił się z krypty, stanął przed nami i teatralnym gestem uniósł w górę ręce. Ziemia wokół nas zatrzęsała się od potężnej mocy, a zaraz potem zewsząd zaczęły dochodzić niezliczone, szurające odgłosy, jakby tysiące szczurów zaczęły nagle skrobać pazurami po jakiejś twardej powierzchni. W kilkunastu punktach grunt zaczął się poruszać i dookoła potworzyły się kopce, z których zaczęły się wygrzebywać obsypane ziemią, wysuszone szkielety. Parch odskoczył gwałtownie, gdy koścista ręka przebiła ziemię tuż koło jego nogi, i wszyscy odruchowo zbiliśmy się w ciasny krąg, plecami do siebie.

Coraz więcej umarłych pojawiało się wokół nas. Najpierw były to tylko stare szkielety, z których zostały już tylko kości i mogły się łatwo wydostać, gdyż ich trumny dawno już zbutwiały. Potem, uporczywie rozbijając gnijące deski, pojawiły się świeższe trupy i wraz ze swoimi przodkami zaczęły szukać narzędzi, którymi mogłyby otworzyć kamienne sarkofagi, służące do chowania co bogatszych zmarłych, oraz drewniane trumny złożone do ziemi w ciągu ostatnich kilku lat. Jeden szczególnie spory i ciągle zachowujący resztki skóry umarłak został wykorzystany przez inne jako taran do rozbicia drzwi od szopy, w której grabarze przechowywali swój sprzęt. Pierwszy Nekromanta stał spokojnie z założonymi rękoma i pewnym siebie uśmiechem, obserwując te skoordynowane wysiłki, podczas gdy my walczyliśmy z odruchem sięgnięcia po miecze.

Gdy trzymane przez umarłych łomy uchylły wieka ostatnich grobowców, a łopaty i kilofy rozbiły drewniane trumny, wokół nas zebrał się pokaźny oddział. Dominowały w nim nagie, stare szkielety, ale można też było zaobserwować wszystkie wcześniejsze stadia rozkładu, aż po zupełnie świeże ciała, które niewątpliwie zostaną rozpoznane przez swoich bliskich, gdy zaczną patrolować ulice.

Pierwszy Nekromanta niczym dyrygent wykonał kilka ruchów uniesionymi rękami i armia trupów zaczęła się poruszać. Mieliśmy już wcześniej nie raz do czynienia z nieumarłymi sojusznikami i wiedzieliśmy,

czego się spodziewać, ale mimo to instynktowne reakcje pozostały trudne do opanowania. Kilku żołnierzy zaczęło wymiotować, gdy podmuch wiatru niefortunnie skierował w ich stronę odór gnijących ciał. Na początku nieumarli przypominali mrowisko, które ktoś szturchnął kijem, i poruszali się nieskoordynowanie w różnych kierunkach, co chwilę wpadając na siebie. Potem jednak obraz zaczął się klarować i wkrótce przypominali już regularną armię, stojąc w równo uformowanych szeregach i salutując Pierwszemu Nekromancie. Ten chyba już tylko po to, żeby się przed nami popisać, kazał swoim trupom zrobić zwrot w lewo, a potem przeprowadzić kilka prostych manewrów z podręcznika musztry. Umarlaki wykonały wszystkie zadania w idealnym porządku i z doskonałą koordynacją.

Pierwszy Nekromanta pokiwał głową z zadowoleniem. Jego armia była gotowa. Pozostało tylko poczekać na nastanie nocy. Wraz z zapadnięciem zmierzchu zgromadzone na cmentarzu martwiaki miały podzielić się na oddziały patrolowe i wymaszerować na ulice, siejąc terror i wymuszając posłuszeństwo.

W innych okolicznościach śmierć głowy rodu van Dorren wstrząsnęłaby miastem. Tego konkretnego dnia, który miał zapaść w pamięci mieszkańców jako jeden z najczarniejszych w historii regionu Caellarh, nikt jednak nie mówił o skrytobójczym morderstwie bogatego arystokraty. Zgon jednego z najbardziej wpływowych ludzi w okolicy przeszedł niemalże bez echa i został powszechnie zignorowany. Jego konsekwencje były odczuwalne tylko w jednym miejscu, w ogromnym podmiejskim pałacu pełniącym funkcję rezydencji rodu van Dorren. W wyniku tej tragicznej śmierci władzę nad jedną z najpotężniejszych rodzin magnackich przejęła bardzo energiczna i zdecydowana kobieta...

\*\*\*

– Nie bierz tego do siebie – powiedział kpiąco Pierwszy Nekromanta, pociągając tęgi łyk piwa. – To nie tak, że nie wierzę w twoje kompetencje jako ochroniarza. Po prostu lubię mieć dodatkowe zabezpieczenie.

– To nie jest śmieszne – prychnąłem, patrząc na zwałistą postać w pancerzu erejskiej kawalerii.

Czarnoksiężnik wyraźnie był odmiennego zdania. Brudny słoik, z którego popijał piwo (w całym budynku nie znaleźliśmy ani jednego kufła), postawił sobie na wydatnym brzuchu i uśmiechał się od ucha do ucha, diabelnie zadowolony z efektu, jaki na mnie wywarł. Ponownie przyjrzałem się opancerzonemu kolosowi z opuszczoną przyłbicą, którego pokryte zaschniętą krwią dystynkcje zdradzały jako sierżanta Ósmego Pułku Kawalerii.

– Po zapachu gnijącego ciała wnioskuję, że jesteś martwy – zwróciłem się do niego uprzejmie. – Czy jestem w błędzie?

Odpowiedziało mi tylko głębokie warknięcie dochodzące z wnętrza zbroi.

– Bardzo chciałem ci go pokazać z podniesioną przyłbicą, a najlepiej w ogóle bez zbroi – odezwał się znowu nekromanta, wyraźnie lubując się w tym, co dla większości ludzi skrajnie odpychające. – Niestety został tak poharatany, a ciało rozłożyło się już do tego stopnia, że bez zbroi rozpadłby się po prostu na kawałki. Właściwie prościej byłoby animować samą zbroję, ale to po prostu nie to samo bez gnijącego trupa w środku. Sam przyznaj, efekt jest piorunujący.

– Wiesz, ile wysiłku włożyliśmy w ucieczkę tego dupka? – spytałem. – A teraz cała ta robota poszła na marne.

– Z tego, co słyszałem, zatłukła go miejska biedota, podczas gdy ty spieprzałeś z pola walki z podwiniętą kiecą.

– To bardzo tendencyjne przedstawienie wydarzeń – mruknąłem, nie patrząc mu w oczy.

– Muszę przyznać, że liczyłem na bardziej entuzjastyczną reakcję. Ale to nic, przekonasz się jeszcze, że ta nowa wersja naszego drogiego Gianfranco jest znacznie bardziej rozrywkowa.



W odpowiedzi na te słowa nieumarły trup Głaba wykonał skomplikowany układ taneczny do taktu wystukiwanego przez nekromantę. Ze zdumieniem patrzyłem, jak ten ociężały kolos stawia kroki, które sprawiłyby trudność wytrawnemu tancerzowi. Kiedy skończył, skłonił się głęboko najpierw mnie, a potem swojemu panu. Ten nagroził go oklaskami i donośnym beknięciem.

– Dziękuję, Gianfranco, to będzie już wszystko. Możesz teraz odejść i postraszyć innych wartowników w budynku.

Głab odwrócił się napięciem i wymaszerował, stawiając dudniące kroki na kamiennej podłodze.

– Dlaczego... – zacząłem.

Nekromanta dopił swoje piwo, a potem cisnął słoikiem prosto w ścianę, rozbijając go na setki maleńkich kawałków.

– Przyślij tu potem kogoś, żeby to posprzątał.

– Tak, Mistrzu.

– E, daj sobie spokój z tym mistrzem. Jestem Regard. Mów mi Reg.

– Jak sobie życzysz, Reg.

– Więęęc... – powiedział przeciągle, rozglądając się po surowych, ciemnych ścianach pokoju. – Trochę stęchła atmosfera tu panuje, nie sądzisz? Nie zrozum mnie źle, jako nekromanta bardzo lubię chłód i zapach śmierci, ale czasami mam też ochotę na trochę ciepłego ciała, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Nie do końca... – Poruszałem się ostrożniej niż linoskoczek na sznurze.

– No co ty, taki otrzaskany weteran, a nie potrafi załapać aluzji? Potrzebuję jakiejś dupci, Is! Nie będę przecież spał sam w tym wielkim łożu. Jesteś stary najemnik, na pewno wiesz, gdzie w mieście jest najlepsze ruchanko. To jak, wyślesz paru chłopców w miasto, żeby sprowadzili mi jakieś niezłe cizie?

– Jasne, Reg.

– Jesteś swój chłop, Is. Wiedziałem, że trafiłem pod właściwy adres. Jestem po długiej podróży, więc muszę się oszczędzać, trzy niunie mi wystarczą. Przynajmniej jedna czarna albo chociaż żółta.

– Jak sobie życzysz.

– Świetnie. Aha, jeszcze jedno. Nie wiesz, gdzie w okolicy można by zorganizować śnieżek? Przywiozłem ze sobą spory zapas, w końcu nie ma to jak towar ze stolicy, ale sam rozumiesz, że mam spore zużycie, szczególnie jeśli cizie będą potrzebowały jakiegoś wspomagania. Przydałoby się więc nowe źródółko, im bardziej obfite, tym lepiej.

Doskonale, pomyślałem. Prochy, dziwki i nekromancja. Co mogłoby pójść źle?

– Wszystko się załatwi, Reg – powiedziałem, demonstrując nieprzeciętną asertywność.

\*\*\*

Pierwszy Nekromanta dostał wszystko, o co poprosił. Wysłałem kilku chłopaków w miasto i wkrótce wrócili z trzema dziewczkami i zapasem prochów wystarczająco dużym, by zapewnić odlot dla całej kompanii. Trochę mnie zaniepokoiło, że udało im się zdobyć towar z taką szybkością. Najwyraźniej dobrze wiedzieli, gdzie się zgłosić. Reg zamknął się w sypialni razem z dziewczkami i skupił na przyjemnościach. Mnie pozostało tylko sprawdzić rozstawienie wart i pogрузić się w czarnych myślach. Dopóki nekromanta pozostawał użyteczny dla hrabiego de Verde, musiałem utrzymać go przy życiu. Jeśli cokolwiek stanie się Regowi, Gruby Alf zażąda mojej głowy, a Gerard nie mrugnie okiem, gdy zamkną mnie w lochach Cytadeli. W dodatku czarnoksiężnik najwyraźniej zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, by maksymalnie utrudnić mi zadanie.

Przedsmak tego, co czekało mnie w najbliższych dniach, otrzymałem jeszcze tego samego wieczoru. Siedziałem właśnie na fotelu, który wyniosłem z sąsiedniego pokoju i ustawiłem na korytarzu pod drzwiami sypialni Rega, żeby być pod ręką, gdy tylko kolejne szaleństwo wpadnie mu

do głowy. Pomimo dochodzących z wewnątrz hałasów robiłem się coraz bardziej senny i z trudem utrzymywałem otwarte oczy. Nagle z sypialni dobiegł przenikliwy, kobiecy wrzask i drzwi otworzyły się z impetem. Na korytarz wypadła jedna z dziwek, całkowicie naga, i przemknęła tuż koło mnie, wrzeszcząc na całe gardło i machając rękami, jakby opędzała się od much. Podążyłem za nią spojrzeniem i zobaczyłem, że w spływające po jej karku długie blond włosy wczepiona jest martwa, gnijąca dłoń, która została odcięta tuż przy nadgarstku. Z sypialni dobiegł mnie rubaszny rechot zadowolonego z siebie Rega.

Wrzaski miotającej się po korytarzu dziewczyny ściągnęły na korytarz kilku innych ludzi. Tuż obok mnie pojawiła się nagle Chi, wyglądając, jakby przed chwilą zerwała się z łóżka. Z drugiego korytarza nadbiegł Hiena, szczerząc się jak pijak do garnca wódki. Kilku kolejnych żołnierzy dołączyło do nas i na polecenie sierżant dwóch z nich złapało ogłupiałą ze strachu dziwkę i ściągnęło obrzydliwą dłoń z jej włosów. Pierwszy Nekromanta wyszedł z sypialni, mając na sobie rozpiętą z przodu czarną szatę, pod którą był całkowicie nagi. Chi odwróciła się z niesmakiem na widok jego obnażonego krocza.

– Oto człowiek, który wie, jak żyć! – zawołał Hiena ze szczerym zachwytem w głosie.

Reg w podziękowaniu za ten komplement dygnął z gracją doświadczonej damy dworu, odsłaniając jeszcze więcej swojego otłuszczonego ciała.

– Wy dwie, chodźcie tutaj – powiedział i obrócił się na pięcie, ale stracił równowagę i musiał się przytrzymać framugi, żeby nie upaść.

Dziewczyny pojawiły się w drzwiach obok nekromanty. Obie miały błędny wzrok i sprawiały wrażenie, jakby nie do końca wiedziały, co się wokół nich dzieje.

– No, już, wynocha. – Reg wypchnął nagie dziwki na korytarz. – Chłopaki, teraz wasza kolej, żeby się z nimi zabawić. Is, do mnie! Czas, żebyśmy odbyli naradę wojenną.

Coraz lepiej, westchnąłem w duchu. Wszedłem za nim do sypialni, ale najpierw rzuciłem Chi wymowne spojrzenie. Zrozumiała. Nie będzie żadnych zabaw. Wszystkie trzy dziwki trafią natychmiast z powrotem do burdelu.

Zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem na krześle przy stole, na którym wysypano prawdziwą górę białego proszku. Było też już kilka wcześniej przygotowanych kresek, gotowych do wciągnięcia. Reg rozejrzał się półprzytomnie po pokoju, zastanawiając się, gdzie spocząć, a potem chwiejnym krokiem ruszył w stronę łóżka.

– O czym chcesz pogadać? – zapytałem.

Pierwszy Nekromanta dotarł do łóżka i położył się, a właściwie przewrócił na nie. Wydał z siebie przeciągły jęk, a potem z trudem obrócił się na plecy, by na mnie spojrzeć, co nie przyszło mu łatwo, bo jego błądzący po pokoju wzrok miał spory problem ze zlokalizowaniem mojej osoby.

– No, Is, nie bądź taki, niuchnij sobie – wybełkotał.

Spojrzałem na zaspę śniegu zalegającą przede mną. Pochyliłem się nad stołem i przejechałem nosem po blacie, wciągając głośno powietrze. Zamiast jednak wciągnąć proszek, zebrałem całą kreskę na palec, który zaraz wytarłem w ubranie.

– Ufff... Ale daje kopa – powiedziałem, otrząsając się.

Moja reakcja była tak nieautentyczna i sztuczna, że każdy trzeźwy człowiek od razu by mnie przejrzał. Na szczęście Reg był już na tyle naćpany, że nie mógł zogniskować na mnie wzroku.

– No, to kurwa rozumiem! – zawołał, bijąc mi brawo. – Od razu wiedziałem, że znajdziemy wspólny język. Z tymi sztywniakami z pałacu gubernatora nie miałbym tyle zabawy. Zresztą to same szpicle Grubego Alfa.

Nie skomentowałem. Nekromanta uniósł się na łokciach i wreszcie zdołał nawiązać ze mną kontakt wzrokowy.

– Czy wiesz, co mnie sprowadza na to pierdolone zadupie? – spytał.

– Zdrowy klimat?

Reg ryknął gardłowym śmiechem.

– Dobrze! Ha! Klimat! To śmieszne, bo pogoda tutaj jest chujowa!

To będzie długa rozmowa...

– Nie, Is, nie przyjechałem tutaj dla klimatu. – Nekromanta rozciągnął się na łóżku i wbił błędne spojrzenie w sufit. – Nie przyjechałem tu również, żeby dbać o porządek publiczny albo ścigać buntowników. Ani żeby wyręczać ludzi Grubego Alfa w patrolowaniu ulic. Moje trupki maszerują w tej chwili po ulicach tylko dla niepoznaki, żeby odciągnąć uwagę postronnych od prawdziwego powodu mojej obecności.

– Potrafisz kontrolować kilkaset nieumarłych ciał nawet teraz? – spytałem ze szczerym podziwem w głosie. – Jesteś tak najebany, że nie wiesz, gdzie góra, a gdzie dół, i ciągle możesz wydawać polecenia setkom truposzy? Nie wiedziałem, że nekromanci mogą...

– Bo nie mogą. Za to ja owszem.

– Jestem pod wrażeniem. Skoro nie jesteś tutaj, żeby straszyć dzieci i ćpać na potęgę, to czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

– Ależ z ciebie elokwentny skurwiel – odpowiedział Reg z czułością w głosie. – Dlaczego? Ano dlatego, że kurwa, Krąg.

– Krąg?

– Krąg.

Spodziewałem się, że powie coś więcej, ale zamiast tego zaczął nagle mruzczyć jakąś melodię.

– Więc co masz do Kręgu? – spytałem, gdy przestał nucić.

– Nic takiego. Po prostu uwidziało mi się udupić tych skurwysynów.

– Chwalebny cel. Czym jednak jest ten Krąg?

– Celne pytanie – wybełkotał Reg. – Ni chuja nie wiem. Ale słyszałem, że kombinują coś z pradawną, animistyczną magią. To niebezpieczna zabawa, Is. Wiesz, dlaczego pamięć o pogańskich czarach zanikła? Bo

wszyscy, którzy igrali z tym ogniem, spłonęli żywcem. Ha! To mi się metafora udała, co?

Wzdłuż przeciwległej ściany przemknął jakiś mały kształt, zapewne szczur. Ledwie zwróciłem na niego uwagę, ale Reg wyskoczył z łóżka i stanął nagi na środku pokoju, wpatrując się intensywnie w róg, w którym zniknął gryzoń. Nagle wystrzeliła stamtąd rozpedzona, futrzasta kulka, za nią pędziły trzy podobne sylwetki. Dopadły swoją ofiarę tuż pod nogami nekromanty i wbiły w nią zęby. Dopiero teraz zorientowałem się, że o ile pierwszy szczur był żywy, to trzy pozostałe znajdowały się już w zaawansowanym stadium rozkładu. Reg przez chwilę obserwował jatkę, a potem nagle uderzył się otwartą dłońią w twarz.

– Muszę się trochę pobudzić albo zaraz zasnę – stęknął. – Sen ma zbyt wiele wspólnych cech ze śmiercią, stracił dla mnie wszelki urok. – Podeszedł do stołu zaszypanego białym proszkiem i pochylił się nad blatem.

Przeniosłem wzrok na gryzonie. Te trzy, martwe już od dłuższego czasu, odgrywały jakąś groteskową parodię konduktu żałobnego, holując czwartego szczura. Ten nagle drgnął i stanął na własne nogi. Reg pociągnął głośno nosem i zaklął, a tymczasem czwórka gryzoni stanęła na tylnych łapach i zaczęła radośnie tańczyć.

– Dlatego że jest znacznie ciekawszy do alternatyw – oświadczył nekromanta.

– Kto? – Z trudem oderwałem wzrok od harujących szczurów.

– Nie kto. Krąg. Przeszłość Caellarh ma w sobie coś mrocznego i paskudnego. To znacznie ciekawsze niż pomaganie przy budowie mostów albo zaprzęganie trupów do pracy w kopalniach. Nekromanci zostali sprowadzeni do nadzorców darmowej siły roboczej...

Szczury uformowały szereg i stojąc idealnie wyprostowane, uniosły swoje łapki w czymś, co chyba miało być salutem. Reg przez cały ten czas nawet na nie nie spojrzał. Tak jak wcześniej jego ruchy były powolne i ospałe, tak teraz wydawał się kipieć nadmiarem energii. Zaczął chodzić w tę i z

powrotem dużymi krokami, a palce jego prawej dłoni na przemian zaciskały się i rozwierały. W pewnym momencie zatrzymał się na chwilę, by wykonać kilka nieskoordynowanych podskoków, po czym wybuchnął śmiechem i ponownie podjął swój marsz.

– Zresztą, czemu się tu dziwić. Nekromanci niczego nie rozumieją. To kuglarze trupów. Rzemieślnicy śmierci. Nie stoi za nami żadna wiedza tajemna, głębokie zrozumienie natury życia i eschatologii. Tylko praktyczne umiejętności manipulowania rozkładającymi się zwłokami.

Gwałtownie zatrzymał się pod ścianą i spróbował stanąć na rękach, ale stracił równowagę i się przewrócił. Szczury również się zachwiały i jeden z nich opadł na przednie łapy, zaraz jednak uformowały ponownie szereg i zaczęły maszerować wkoło, a ich pan podniósł się z podłogi.

– To musi być podobna moc, ale w innej formie! – wykrzyknął, podbiegając do mnie i łapiąc za ramiona. – Prymitywna, instynktowna, ale taka sama. Oni nie piszą traktatów i nie zakładają szkół, ale... – Odskoczył i znowu zaczął nerwowo przemierzać pokój, uderzając rytmicznie pięścią o ścianę. – Nie dziwię się, że wyrzucają nas z Vorain. Ciągnie za nami smród życia wiecznego. Czasami sam go czuję w fałdach mojego płaszcza.

Oparłem się plecami o drzwi, zastanawiając się, czy zauważyłby, gdybym wyszedł.

– Miałem dziesięć lat, gdy po raz pierwszy użyłem swojej mocy. To się nie miało prawa stać. Nie ma nekromantów z przypadku. Trzeba studiować tę dziedzinę przez lata, żeby cokolwiek osiągnąć. Ale ja miałem talent, mówili o mnie „wybraniec”. Stawiali przede mną coraz to nowe wyzwania, które ja pokonywałem bez żadnego wysiłku i wtedy oni pierdolili coś o spełnionych przepowiedniach i żywych legendach.

– Jak to się stało? – spytałem. – Kiedy pierwszy raz...

Reg zachwiał się i oparł o ścianę.

– O nie, dom już wtedy spłonął – powiedział, wpatrując się w pustą przestrzeń. – Mój ojciec leżał na podłodze z tasakiem zagłębionym w

czaszce. A ja, głupi dzieciak, nie wiedziałem, co robić. Klęczałem obok i szarpałem jego ubranie. Powiedziałem jedyne słowa, jakie przysły mi do głowy. Poprosiłem: „Tato, wstań”. I on się, kurwa, podniósł, Is. Stanął przede mną z tasakiem w głowie i pustymi oczami.

Zauważyłem, że szczury gdzieś zniknęły.

– Czy wiesz, co z takim szczeniakiem robi moc panowania nad życiem i śmiercią? Nie ma dla ciebie żadnych absolutów, zacierają się wszystkie granice. W co może wierzyć dzieciak, jakie wartości wyznawać, gdy martwe ciała reagują na każde jego skinienie? – Usiadł na łóżku i spojrzał mi prosto w oczy, niespodziewanie jasnym i trzeźwym wzrokiem. – Wy też ich tropicie, prawda? – spytał. – Nie wiecie zbyt wiele, ale na pewno macie jakieś wskazówki. Coś, od czego można by zacząć. Nie ufacie ludziom z zewnątrz, rozumiem. Niechętnie dzielicie się informacjami. Ale Is, nie poradzicie sobie z tym sami. Ci desperaci z Kręgu chcą obudzić siły, których nie rozumieją nawet mistrzowie z Vorain. Jeśli nie będziecie ze mną współpracować, to wasze mięso posłuży za posiłek dla stworzeń, które powinny istnieć już tylko w legendach.

Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby się otrząsnąć.

– To prawda, nie wiemy wiele – powiedziałem ostrożnie. – Mamy jednak pewien trop. Rysunek przedstawiający miejsce kultu. I jego przybliżoną lokalizację.

– To już coś. Dobry punkt wyjścia. Is, pokażesz mi jutro ten rysunek. A ja wymyślę, jak znaleźć to miejsce.

Skinąłem głowę.

– Teraz jednak czas na odpoczynek – powiedział. – Wypierdalaj z mojej sypialni, poruczniku.

Niezwłocznie wypełniłem rozkaz.

\*\*\*

Byłem tak zmęczony, że nawet nie próbowałem znaleźć łóżka. Złapałem jeszcze tylko Cefela, któremu kazałem wysłać posłańca na Rzeczną, żeby



sprowadził teczkę ze szkicami. Potem rzuciłem się na fotel i natychmiast zapadłem w sen. Jak dobry pies przespałem noc pod drzwiami sypialni pana. Nad ranem obudził mnie Zielony.

– Is, na dole czeka na ciebie Liczydło. Ma ze sobą materiały, o które prosileś.

To mnie nieco zdziwiło. Po cholere Liczydło fatygował się tutaj z papierami? Szkice były cenne, ale nie na tyle, żeby musieć je powierzać oficerowi.

– Nie mógł ich po prostu komuś przekazać? – spytałem. – Po co przyniósł je osobiście?

– Podobno niesie jeszcze inne wieści. Powiedział, że to pilne i masz natychmiast zwlec swoje leniwe dupsko na dół. Cytuję.

– Nie wątpię – mruknąłem i wstałem z fotela.

Przemierzając budynek, poczułem przyływ zadowolenia ze stanu naszej fortecy. Wszystkie poziomy zostały obstawione wartownikami, na dziedzińcu stała grupa strażników, a wszystkie słabe punkty, takie jak nisko położone okna, zabezpieczono. Już dzień wcześniej ludzie Liczydła dostarczyli nam wszystkie potrzebne zapasy i w razie zamieszek moglibyśmy bronić się przez kilka dni bez żadnych dostaw z zewnątrz.

Znalazłem Liczydłę przed wejściem do budynku, gdzie podziwiał właśnie ożywionego Głaba. Nieumarły sierżant stał w idealnym bezruchu, zupełnie jak posąg, a kwatermistrz Siódmego Regimentu dokonywał szczegółowych oględzin, obchodząc go dookoła i starając się oddychać przez usta, by uchronić się przed intensywnym zapachem.

– Prezent od Pierwszego Nekromanty – wyjaśniłem.

– Czy dobrze się domyślam, czyje resztki są w środku? – spytał Liczydło.

– Obawiam się, że tak.

– A więc prawdą jest to, co mówią – zadumał się. – W przyrodzie nic nie ginie.

– Podobno masz coś dla mnie?

Liczydło podał mi teczkę ze szkicami.

– Niosę też najświeższe ploteczki z miasta – dodał konspiracyjnym szeptem. – Z pikantnymi szczegółami.

– Szczerze w to wątpię.

– Jeszcze się przekonasz. – Liczydło rzucił szybkie spojrzenie na zakutego w zbroję trupa. – Czy możemy przy nim rozmawiać?

– Nie ma pojęcia, jak dobry słuch mają ożywieńcy.

Hełm Głaba powoli obrócił się w naszym kierunku.

– To chyba odpowiedź na twoje pytanie.

Minęliśmy jeszcze kilku innych, dla odmiany żywych, wartowników i znaleźliśmy zaciszne miejsce na tyłach budynku, gdzie mogliśmy spokojnie porozmawiać.

– Chodzi o rodzinę van Dorren – powiedział Liczydło. – Odbywa się teraz u nich niezły cyrk. Sytuacja nieco się skomplikowała.

– Co się stało?

– Na ulicach można usłyszeć różne plotki. O tym, że Loze van Dorren okazał się wilkołakiem i zjadł swoje rodzeństwo. Że Raquel zamknęła swoje wnuki w ciemnej piwnicy i odtąd sama będzie sprawować władzę. Że Amine'a dosięgła sprawiedliwość buntowników za konszachty z Ereą.

– Ale ty wiesz lepiej.

– Cóż, paru ludzi na służbie rodu wzbogaciło się dzięki mnie i dbam, żeby o tym nie zapomnieli.

– Co mówią?

– Jeden z nich, zastępca kierownika służby, był w jadalni, gdy spożywające wspólnie posiłek Veen i Raquel otrzymały informację o śmierci Amine'a. Twoja przyjaciółka okazała rozdzierający serce smutek w odpowiednim stopniu i uroniła kilka łez, a potem przejęła kontrolę nad sytuacją. Ogłosiła, że któryś z konkurentów rodu wypowiedział im właśnie wojnę, i nakazała zamknąć podwoje rezydencji oraz postawić na nogi

wszystkie straże. Stworzyła klimat kryzysu, a następnie powierzyła sama sobie trudną rolę przeprowadzenia rodziny przez te ciężkie chwile.

– Straże, poczucie zagrożenia, izolacja od świata zewnętrznego. Podręcznikowy zamach stanu.

– Owszem, ale przeprowadzony nie na scenie politycznej, lecz w gronie rodzinnym. I tego właśnie aspektu nie uwzględniła.

– Babcia się sprzeciwiła?

– Według relacji walnęła pięścią w stół i wrzasnęła: „Prędeż spalę ten dom do gołej ziemi, niż pozwolę ci w nim pozostać, ty mordercza żmijo!”. Veen zachowała spokój i kazała strażnikom odprowadzić ją na spoczynek.

– Po czyjej stronie opowiedzieli się wartownicy?

– Nie dostali możliwości podjęcia decyzji. Raquel chwyciła swoją grubą, drewnianą laskę i sprąta nią wnuczkę do nieprzytomności.

– Jak nieposłusznego uczniaka?

– Nie, Is. To nie było chłaiście wierzbową witką po palcach. Veen wielokrotnie oberwała solidną lagą w głowę, a ciosy zadano z zaciekłością prawdziwej, nieokiełznanej nienawiści. Cyrulik, który się nią zajmował, ma u mnie długi i opowiedział mi wszystko ze szczegółami. Sprowadzili go dopiero po kilku godzinach i nawet nie zdołał jej rozpoznać pod warstwą zakrzepłej krwi. Dopiero kiedy ją oczyścił, mógł ocenić uszkodzenia. Złamana kość nasady nosa i jarzmowa, wylupione oko. Zrobił, co mógł, ale i tak prawa strona jej twarzy zapadnie się jak namiot ze złamanym pałakiem. Jeśli się kiedyś obudzi, raczej nie pójdzie już nigdy na żaden bal. Chyba że maskowy.

Zaśmiałem się i natychmiast tego pożałowałem. Zdałem sobie ze zdziwieniem sprawę, że porażka Veen głęboko mnie zabolowała. Nie miało to żadnego sensu, przecież ostatecznie właśnie o upadek jej rodu nam chodziło, a jednak szczerze życzyłem jej zwycięstwa w konfrontacji z rodziną, nawet jeśli jej sukces miał być tylko chwilowy. Przez myśl przeszła

mi idiotyczna wizja, w której włamywałem się do rezydencji van Dorrenów, żeby wymierzyć sprawiedliwość.

– Historia ma ciąg dalszy – chrząknął Liczydło.

Widziałem już nieraz takie oblicza. Przy braku gałki ocznej tkanka dookoła zanika i oczodół się zapada, zniekształcając twarz. To...

– Okazuje się, że Veen bardzo nie doceniła swojej babci – mówił dalej kwatermistrz, przyglądając mi się dziwnie. – Najwyraźniej Raquel miała ją od dłuższego czasu pod obserwacją. I wiedziała o wielu rzeczach, które wnuczka wolałaby zachować w tajemnicy.

– Mówisz o...

– Burdel przy Kołowej spłonął dziś w nocy. Staruszka musiała się zorientować, że coś łączyło Veen z tym miejscem. Może nawet wiedziała więcej niż my.

– Co z Arai?

– Kim?

– Właścicielką burdelu.

– A tak, jasne. Właśnie w tej sprawie przychodzę. Uszła z życiem oczywiście, ale ludzie Raquel na nią polują. Ukrywa się teraz. Nawiązała ze mną kontakt i przekazała swoją lokalizację. Chce się z tobą spotkać.

– Tonący chwyta się brzytwy.

– Pewnie tak. Ale może mieć jeszcze sporo ciekawych rzeczy do powiedzenia, a jeśli jest zdesperowana, to powinna tanio sprzedać informacje. Możesz wiele z niej wyciągnąć.

– Dobra – zdecydowałem szybko. – Nekromanta będzie pewnie spał do popołudnia po tym, co odwalił wczorajszej nocy. Powinienem zdążyć do niej zajrzeć. – Oddałem Liczydło teczkę z papierami. – Daj to Cefelowi, niech przekaże nekromancie, gdy ten się obudzi. A ja ruszam od razu. To gdzie się zasyła Arai?

\*\*\*

Nowy Ereburg, dawne Dhurceath, to miasto bardzo przyjazne zbiegom. Jeśli miało się na pieńku z prawem, wierzycielami lub mężem swojej kochanki, nie brakowało tu miejsc, w których można się było bezpiecznie skryć na dłuższy czas. Nic więc dziwnego, że nasze polowania na buntowników tak często kończyły się niepowodzeniem. Opuszczone domy, niepracujące manufaktury, zapomniane magazyny i dyskretne zaplecza karczmi oferowały szeroki wybór miejsc na przeczekanie zagrożenia. Z tej palety kryjówek Arai wybrała opustoszałą, drewnianą ruderę w biednej dzielnicy.

Gdy tylko otworzyłem drzwi, stanąłem twarzą w twarz z kuszą trzymaną przez wysoką blondynkę, którą kojarzyłem z wcześniejszych wizyt w burdelu na Kołowej. Ona najwyraźniej też mnie rozpoznała, a przynajmniej godło regimentu na mundurze, bo po chwili wahania opuściła broń i wpuściła mnie do środka. Przeszedłem przez wąski przedsionek i znalazłem się w głównej izbie, tak bogato wyposażonej, jak by to sugerowała lokalizacja domostwa. Znajdowały się w niej niedbale zbity z nierównych desek stół, dwa chybotliwe krzesła i wygaszone palenisko, a na ulokowanym w rogu sienniku już z daleka mogłem dostrzec rządzące się karaluchy. Arai siedziała na jednym z krzeseł, zawinięta w szarą, zabłoconą oponkę.

– Wyglądasz na przybitą – stwierdziłem, sadowiąc się naprzeciwko.

– Tak ci się wydaje?

– Postawiłaś na Veen i przegrałaś.

– Na nikogo nie postawiłam. W przeciwieństwie do ciebie potrafię się przygotować na rozmaite scenariusze. Zostawiłam za sobą sporo śladów, na pewno trafiłeś na niektóre z nich... Sądziłam, że się zorientujesz, ale najwyraźniej cię przeceniłam.

– Najwyraźniej tak właśnie jest, bo niczego nie rozumiem. Owinęłaś sobie Veen wokół palca i...

– Nawet ja nie zdołałabym kontrolować Veen.

– Ale gdyby zdobyła władzę nad rodziną, miałabyś z tego pewne korzyści. Teraz to wszystko przypadło za sprawą moją i Pana Pomocna Dłoń.

Arai zachnęła się niecierpliwie.

– A kto doprowadził do waszego spotkania?

Zawahałem się. Rzeczywiście, to nie miało sensu.

– W takim razie dlaczego...

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Czy tobie się wydaje, że teraz wygłoszę przydługi monolog, w którym wyjaśnię wszystkie moje plany i rozwiążę zagadki, nad którymi głowisz się od początku naszej znajomości?

– Cóż, zasługuję chyba na jakieś wyjaśnienia.

– Tak? A jakież to są twoje zasługi? Jesteś pionkiem wyróżniającym się jak dotąd tylko unikalną gotowością do szybkiej zmiany barw.

– W takim razie po co się tu spotkaliśmy?

– Chciałam dać ci szansę dokonania właściwego wyboru. Veen i Pan Pomocna Dłoń założyliby ci tylko nowy kierat. Oni nie chcą zburzyć hierarchii, tylko znaleźć się na jej szczycie. Inna forma, ta sama struktura. Ale niedługo przestaną być nam potrzebni. Wystarczy, że raz naruszą fundamenty budynku, a my już dokończymy dzieła.

– Czy mam teraz wysłuchać wykładu z Berengera?

– Niczego ci nie będę wyklądać. Przeczytałeś i usłyszałeś już wystarczająco dużo, a co najważniejsze, na własnej skórze przekonałeś się, jak oni działają. Pomogłam ci zajrzeć za kurtynę i zobaczyć przyszłość, jaką daliby nam Veen i Pan Pomocna Dłoń. Wyciągnij teraz wnioski i powiedz mi, czego tak naprawdę chcesz. Dla siebie, dla Caellarh, dla Kontynentu.

Milczałem długo, kompletnie nie rozumiejąc, czego ode mnie oczekuje. Próbowałem odgadnąć, co chciała usłyszeć, ale w głowie miałem pustkę.

– Jak mam wybrać między wami, jeśli nie powiedziałaś mi... – zacząłem.

– Nie chodzi mi o wybieranie. – Zerwała się rozzłoszczona. – Ani o opowiedzenie się po którejś ze stron. Powiedz mi tylko, w jakim świecie chcesz żyć.

– Tocząca się rozgrywka... – zawahałem się. – Mam na myśli, że najsilniejsze karty...

– Wynoś się stąd, Is. No dalej, idź i odegraj swoją rolę w komedii Pana Pomocna Dłoń.

## ROZDZIAŁ VI

– Proszę, proszę, szef mojej ochrony raczył zaszczyścić mnie swoją obecnością – zadrwił Pierwszy Nekromanta. – To prawdziwe błogosławieństwo mieć tak oddanego sługę.

Nie skomentowałem. Najwyraźniej Reg obudził się znacznie wcześniej, niż się spodziewałem. Wyglądał też na zaskakująco wypoczętego, biorąc pod uwagę to, co działo się wczoraj w nocy. Jadł teraz śniadanie w jadalni swojej nowej rezydencji, a Cefel i ja staliśmy przed nim jak szeregowi na odprawie.

– Podczas gdy pan porucznik załatwiał jakieś tajemnicze sprawunki w mieście, ja dokonałem prawdziwego przełomu – kontynuował nekromanta. – Rzuciłem okiem na te szkice. Bardzo pomocne. Wiem już, gdzie je wykonano.

Reg dźgnął widelcem leżące na talerzu jajko z taką gwałtownością, jakby obawiał się, że zaraz ożyje i umknie mu ze stołu. Sądząc po rozszerzonych źrenicach i przyspieszonych, nerwowych ruchach, czarnoksiężnik raczej nie zawdzięczał swojej obecnej jasności umysłu naturalnemu wypoczynkowi.

– Skąd wiesz? – spytałem ostrożnie.

– Anioł ukazał mi się we śnie i wskazał drogę – zarechotał Reg. – Oj, nie krzywcie się tak. Ożywiłem martwego kruka i wysłałem na przelot po okolicy. Nie zajęło mi dużo czasu, żeby zlokalizować tak charakterystyczne miejsce.

Wymieniliśmy z Cefelem podejrzliwe spojrzenia, ale nie mieliśmy zamiaru kwestionować.

– Jak tylko się posilę, ruszamy w drogę – oświadczył nekromanta. – Nie mogę się doczekać, żeby na własne oczy zobaczyć to plugastwo.



– Jesteśmy już gotowi do wymarszu – zaraportował sierżant. – Zaraz dotrze tu też nasza kapitan. Wysłałem do niej posłańca, na pewno będzie chciała osobiście zweryfikować te informacje.

– Ach, legendarne Tvfarynn... – rozmarzył się Reg, przeżuując śniadanie. – Kolebka pradawnego zła, siedlisko ponurych, krwiożerczych kultów... Czy może być lepsze miejsce na spędzenie tak pięknego przedpołudnia?

Cefel zachnął się lekko. Chyba miał parę sugestii na podorędziu. Na szczęście zatrzymał je dla siebie.

Wkrótce potem zjawiała się Nika, napełniając cały budynek swoją niecierpliwą energią i opieprzając przypadkowych żołnierzy za najmniejsze uchybienia. Gdyby to od niej zależało, już dawno byłibyśmy w drodze, ale tutaj to Pierwszy Nekromanta nadawał tempo. A on potrzebował jeszcze czasu, żeby dokończyć śniadanie, popić je słoikiem pełnym piwa i wciągnąć długą kreskę na drogę. Dopiero wtedy opuścił swoje pokoje na najwyższym piętrze, wyszedł na dziedziniec, gdzie z trudem wgramolił się na swojego karego konia, i łaskawie zezwolił oddziałowi na wymarsz.

Wkrótce my z Niką i dwudziestoma żołnierzami również siedzieliśmy w siodłach i kłusowaliśmy ulicą, tworząc szpaler wokół nekromanty, który zakrył twarz kapturem swojej czarnej szaty. Mieszkańcy nadal przyzwyczajali się do dramatycznych zmian, jakie zaszły w ostatnich dniach, i na ulicach nie było wielkiego ruchu. Z domów wychodzili tylko ci, którzy mieli do załatwienia niecierpiące zwłoki sprawy. Przemierzając miasto, mijaliśmy więcej erejskich żołnierzy niż miejscowych cywilów.

Wyjechaliśmy z miasta przez Bramę Północną i ruszyliśmy traktem prowadzącym w głąb puszczy otaczającej Nowy Ereburg. Pierwszy Nekromanta pokazywał nam drogę, patrząc przez oczy swojego nieumarłego kruka, który leciał przed nami, i obserwując ścieżkę prowadzącą do miejsca, które miało być tajemniczym Tvfarynn, świętą polaną pogańskiego kultu. Martwe ptaszysko nie było jedynym

towarzyszącym nam sługą Rega. Gdy w pewnym momencie obejrzałem się do tyłu, zobaczyłem, że kilkanaście kroków za moimi żołnierzami maszeruje kilku nieumarłych. Po minach moich ludzi domyślałem się, że nie są zbyt zadowoleni z tej ariergardy.

Koło południa Reg poinformował nas, że jesteśmy prawie na miejscu. Ostatni odcinek drogi okazał się jednak trudniejszy i bardziej czasochłonny, bo do celu nie prowadził żaden szeroki, ubity trakt. Musieliśmy zejść z koni i opuścić wygodną drogę, zagłębiając się w gęsty, trudny do przebycia bór, a nasze tempo znacznie spadło. Należało się oczywiście tego spodziewać, w końcu znajdowaliśmy się daleko od jakichkolwiek zabudowań, w sercu dzikiego lasu. Tym większe było nasze zaskoczenie, gdy natknęliśmy się na pierwszą oznakę ludzkiej obecności – bełt z kuszy wbity w pień drzewa. Utkwił w korze głęboko i pod dziwnym kątem, zupełnie jakby strzelec mierzył w cel znajdujący się znacznie wyżej od niego. Nie mogliśmy ocenić, jak długo się tam znajdował. Grot jeszcze nie zardzewiał i drzewce też było w dobrym stanie, ale to i tak pozwalało zawęzić przedział czasowy do co najmniej kilku lat.

Szybko wyzbyliśmy się jednak wątpliwości. Leżąca w trawie pochodnia została wygaszona całkiem niedawno, co potwierdzały zwęglone źdźbła trawy wokoło. Strzęp rozdartej, poplamionej krwią tkaniny wiszący na pobliskiej gałęzi i porzucony obok miecz sugerowały paniczną ucieczkę, podczas której zapewne upuszczono tłącą się pochodnię. Wilgotny klimat Caellarh wykluczał pożary lasów, stąd ogień nie wyrządził okolicy większych szkód. Z każdym krokiem napotykaliliśmy nowe poszlaki: połamane gałęzie, odciski butów. Wiedzieliśmy już z całą pewnością, że inni ludzie przybyli tu niedawno i zapewne nie wszyscy wrócili do domu. Posuwaliśmy się naprzód z jeszcze większą ostrożnością i raz po raz słyszałem zgrzyt stali, gdy któryś z żołnierzy sprawdzał, czy miecz gładko wychodzi z pochwy. Tymczasem las zaczął się przerzedzać i między

blokującymi naszą drogę gałęziami mogliśmy już dostrzec przestronną polanę.

Najpierw usłyszeliśmy głos. Opętańczy, histeryczny słowotok, wypowiedzany w lokalnym języku, ale w starej odmianie, która nie byłaby już zrozumiała dla zwykłego przechodnia na ulicach Nowego Ereburga. Ja również byłem w stanie wychwycić jedynie pojedyncze słowa ze strumienia zlewających się ze sobą dźwięków.

– ...narodziło się... krzyk lasu... ucieleśnienie... zawroźwienie zwierząt i trzask pękających pni ogłaszają nadejście władcy... komunizm boga i bestii...

Przedarliśmy się przez chaszczę z dobytą bronią, gotowi na wszystko. Na polanie znajdował się jednak tylko jeden człowiek. Niska, zgarbiona postać odziana w wilczą skórę krążyła w tę i z powrotem nierównym, nerwowym krokiem, mamrocząc do siebie i nie zwracając na nas uwagi. Nika gestem nakazała Winonowi i Gąbce, by schwytali nieznajomego. Ruszyli w jego kierunku z dobytymi mieczami, zbliżając się powoli i ostrożnie. Człowiek w wilczej skórze zwrócił na nich uwagę dopiero, gdy znaleźli się kilka kroków od niego. Przerwał nagle swój monolog i wbił w nich wzrok, a potem zawył przeciągle.

Obaj zatrzymali się i zawahali, a Gąbka wydał z siebie ostrzegawcze warknięcie i obnażył zęby jak wilk. Zaczął nagle iść w stronę Winona, który cofnął się kilka kroków, patrząc z niepokojem na znacznie większego towarzysza. Tamten upuścił miecz i z wściekłym rykiem wykonał długi skok, lądując na koledze. Zaczęli się szamotać i tarzać po trawie. Gąbka na przemian warczał i kłapał zębami, sprawiając wrażenie, jakby próbował przegryźć szyję Winona.

Nieznajomy zwrócił tymczasem spojrzenie w naszą stronę. Staliśmy zbici w ciasną grupę, obserwując toczącą się przed nami walkę. Czułem, że powinien paść jakiś rozkaz, że ktoś powinien coś zrobić, ale nic się nie działo. Mogłem coś powiedzieć, ale właściwie Nika była wyższa szarżą, więc... Chciałem spojrzeć w jej kierunku, zobaczyć, co robi, ale nie

pamiętałem, gdzie właściwie jest i w którą stronę się obejrzeć. Zastanawiałem się usilnie, czy to możliwe, żeby lewitowała gdzieś nade mną w koronach drzew, i zapragnąłem to sprawdzić, ale nie wiedziałem, jak unieść głowę. Nagle usłyszałem jakiś dźwięk, ciągły i monotony, który nakazywał mi się zbliżyć. Wołał mnie w głąb puszczy i wiedziałem, że właśnie tam chciałem być, tam powinienem być. Nabrałem nagle pewności, że gdzieś w lesie istnieje miejsce specjalnie dla mnie, tylko dla mnie, a nogi już niosły mnie w tym kierunku...

Przyzywający mnie dźwięk urwał się jak ucięty nożem i poczułem, jakbym się wynurzył z gęstej, ciemnej wody. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby przypomnieć sobie, gdzie jestem. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem, że inni członkowie oddziału również wyglądają jak wyrwani ze snu i stoją w przypadkowych miejscach rozproszeni po całej polanie. Wyjątek stanowił Reg, który stał nad nieruchomym ciałem człowieka w wilczej skórze i szturchał go patykiem jak dziecko, które znalazło martwego szczura.

– *Rabksh* – wyjaśnił, uśmiechając się szeroko, gdy Nika i ja zbliżyliśmy się do niego, nadal nieco otumanieni. – Van Meichtel dostałby szału, gdybym opisał ten przypadek.

– Co? – spytałem kompletnie skonfundowany, obserwując, jak Gąbka pomaga wstać zakrwawionemu Winonowi i klepie go przyjacielsko po plecach.

– Czy to jeszcze żyje? – wtrąciła Nika.

Nekromanta dźgnął kijem leżącego, który wydał z siebie ciche skomlenie, odpowiadając na pytanie Niki. Reg tymczasem zinterpretował moje pytanie, które wyrażało dość ogólne zagubienie, jako odnoszące się do jego ostatniej wypowiedzi.

– Van Meichtel od lat próbuje przekonać gadające głowy z Akademii, że pogańscy kapłani z Caellarh posiadali moc bardzo podobną do siły, za pomocą której nekromanta oddziałuje na swoich sługusów. Oczywiście

ciężko było to udowodnić, bo wszystkich pogan skutecznie wymordowali wyznawcy jedynej słusznej wiary. Mój szanowny kolega wściekłby się strasznie, gdybym to właśnie ja napisał traktat zawierający opis udokumentowanego przypadku zastosowania takiej mocy przez *rahksh*.

– Czyli on próbował przejąć nad nami kontrolę, tak jak ty panujesz nad trupami? – spytałem głupio. – Czy ty też poczułeś... no wiesz...

Reg roześmiał się.

– To działa tylko na... prostsze umysły.

Zamachnął się i rzucił kij daleko w chaszczę. Po chwili wyłonił się z nich jeden z towarzyszących nam nieumarłych. Gdy zbliżył się do nas, zauważyłem, że w zębach trzyma patyk. Nekromanta zacmokał na niego.

– A więc tak wygląda to paskudztwo – stwierdziła Nika.

– Co masz na myśli? – spytałem, spoglądając to na *rahksh*, to na truposza z kijem w zębach, który odskakiwał za każdym razem, gdy Reg sięgał po patyk.

– Tvfarynn.

Rozejrzałem się po polanie. Tak, trafiliśmy we właściwe miejsce. Kilkanaście kroków od nas, w centrum kręgu, mogłem dostrzec posąg wilczego boga, Vahrh. Wokół niego leżały wota i ofiary ze zwierząt w różnych stadiach rozkładu. Gdy podszedłem nieco bliżej, ze zdziwieniem zauważyłem, że pomimo licznych ciał leżących wokół posągu, niektórych całkiem świeżych, żadne muchy nie krążyły w pobliżu. Ani jednego owada w kręgu.

*Rahksh* tymczasem otrząsnął się najwyraźniej z szoku i zaczął dochodzić do siebie. Jego wilcze skamlenie przeszło stopniowo w zupełnie ludzki, choć szaleńczy chichot.

– Możecie mnie oślepić – wybełkotał pogański kapłan. – Możecie mnie zabić. Moja rola już się dokonała. Dzieło wilczego boga znów przemierza te pradawne lasy. Wielkie polowanie na nowo się rozpoczęło. I drapieżnik wkrótce zwróci na was swoje płonące ślepia.

– Gdzie znajdziemy to cholerstwo? – zapytał ostro nekromanta.

– Przemieniony sam was znajdzie.

Nika ogłuszyła kapłana ciosem w tył głowy.

– Zabierzemy go do klasztoru i tam odpowiednio ugościmy – stwierdziła rzeczowo. – Powie, co wie. A teraz przyjrzyjmy się bliżej temu posagowi.

Żołnierze rozprzestrzenili po polanie, przeszukując teren i rozstawiając warty. Nie zbliżali się jednak do posagu, zostawiając to naszej trójce. Nika kazała związać i zakneblować nieprzytomnego *rahksh*, a potem przystąpiła do oględzin figury.

– To niewątpliwie Tvfarynn – stwierdził Reg.

– He? – odezwałem się błyskotliwie.

– Tvfarynn oznacza dosłownie „domenę wilka” – wyjaśnił. – Każdy zwierzęcy bóg ma takie miejsce kultu. To należy do Vahrh, wilczego boga, jak się zapewne domyślasz po jego posagu stojącym w centrum kręgu. Podobne miejsca, z rzeźbami innych bogów, z pewnością również znajdują się w okolicy.

– O cholera... Musicie to zobaczyć. – Nika, która obesła tymczasem posąg dookoła, przywoływała nas gorączkowo. – Jest dokładnie tak jak na szkicu.

Reg i ja podeszliśmy do niej szybkim krokiem i zamarliśmy, gdy zobaczyliśmy, na co wskazuje. Miała rację, scena przed naszymi oczami wyglądała dokładnie tak samo, jak na rysunku obrazującym ostatnią fazę rytuału przemiany. U stóp posagu, na zabarwionej krwią ziemi, leżało świeże wilcze truchło pozbawione głowy, a tuż obok niego znajdowała się odcięta głowa brodatego mężczyzny.

– Ślady... – wybąkałem, wskazując na ziemię.

Nika i Reg spojrzeli na miejsce, na które zwróciłem uwagę. Na piaszczystym podłożu widać było wyraźny odcisk wielkiej, zwierzęcej łapy. Przeszliśmy kilka kroków dalej i zobaczyliśmy kolejny ślad, a potem jeszcze

jeden. Wyglądało, jakby coś wielkiego i dwunożnego, odchodziło długimi krokami od posągu, u stóp którego leżały ludzkie i wilcze resztki.

– Dokładnie jak na szkicu – stwierdził Pierwszy Nekromanta. – Interesujące.

Szliśmy dalej, ale ze względu na trawę gęsto porastającą okolicę niełatwo było odnaleźć ślady. Jej źdźbła zdążyły się już podnieść po przejściu bestii. Sądząc po całkowicie już zastygłej krwi wokół wilczego ciała pod posągiem, minął co najmniej jeden dzień od przemiany. Doszliśmy do skraju lasu i tutaj przemarsz stwora zostawił znacznie wyraźniejszy trop. Co cieńsze gałęzie były połamane, stworzenie najwyraźniej z dużym impetem przebijało się przez las, nie zwracając większej uwagi na przeszkody.

– Gównu wiem o tropieniu – zauważyła trzeźwo Nika – ale sądząc po szerokości i wysokości korytarza, który to coś wybiło w poszyciu, mamy do czynienia z naprawdę wielkim bydlakiem.

Miała rację. Najwyższe złamane gałęzie znajdowały się na wysokości prawie dwóch i pół metra, a przedzierając się przez leśną gęstwinę stworzenie zostawiło przejście na tyle szerokie, że Ugh i Gąbka, idąc ramię w ramię, mogliby się spokojnie w nim zmieścić.

– Nie sądzę, żebyśmy dowiedzieli się czegoś więcej z oględzin tego miejsca – powiedziała kapitan. – Za to kapłan może nam opowiedzieć wiele ciekawych historii. Jeśli wyruszymy teraz, zdążymy wrócić do miasta przed zmrokiem.

Nikt nie zaprotestował. Jeśli nie było to konieczne, nie mieliśmy zamiaru zostać w tym lesie ani minuty dłużej.

\*\*\*

Zapadał już zmierzch, gdy znaleźliśmy się za murami Nowego Ereburga. Wraz z grupką żołnierzy doprowadziłem Pierwszego Nekromantę do jego siedziby, natomiast Nika zabrała ze sobą *rahksh* i udała się na Rzeczną, gdzie miał zostać przesłuchany. Pogański kapłan nie był jednak tak rozmowy,

jakbyśmy sobie tego życzyli, i zmarł na torturach, nie przekazując nam nawet jednej użytecznej informacji.

Przez całą drogę powrotną nikt z nas nie był w nastroju do rozmów i jechaliśmy w ponurej ciszy, rozglądając się uważnie dookoła. Po dotarciu do rezydencji nastrój ten się utrzymał. Nawet Reg pozostawał zaskakująco cichy i spokojny, a gdy tylko znalazł się na swoim piętrze, zamknął się u siebie i nakazał, by mu pod żadnym pozorem nie przeszkadzano. Trup Głaba stanął na warcie pod jego drzwiami i blokował przejście każdemu, kto spróbowałby zakłócić spokój nekromanty.

Czułem się kompletnie wyczerpany, więc dopilnowałem tylko rozstawienia wartowników i poszedłem prosto do łóżka. Spałem jak prawdziwy żołnierz, aż do południa, i pewnie pociągnąłbym jeszcze dłużej, gdyby nie Chi, która bezceremonialnie wyrwała mnie ze snu.

– Ktoś na ciebie czeka.

– Kto? – zdziwiłem się, mrugając ciężkimi powiekami.

– Chyba informator. Nie chciał podać imienia ani pokazać twarzy, powiedział, że będzie rozmawiał tylko z tobą. Twierdził, że ma bardzo istotne informacje.

– I co, wpuściliście go do środka na słowo honoru?

– Bardzo śmieszne. Uszanowaliśmy jego życzenia i pozwoliliśmy mu zachować anonimowość, ale zamknęliśmy go w piwniczce pod strażą do twojego przybycia.

– To mi się podoba. – Niechętnie podniosłem się z barłogu. – Prowadź.

Spałem w ubraniu, więc musiałem tylko wciągnąć szybko buty, a potem poszedłem za Chi. Poprowadziła mnie na parter i zatrzymała się przy schodach prowadzących do piwnicy, podczas gdy ja zszedłem na sam dół. W pomieszczeniu umieszczono w naściennych uchwytych dwie pochodnie i w rzucanym przez nie świetle dostrzegłem zakapturzoną postać siedzącą w rogu. Zastanawiając się, czy właśnie nie popełniam wielkiego głupstwa, zbliżyłem się powoli.



– W czym mogę pomóc? – spytałem z typową dla mnie uprzejmością.

Kaptur zwrócił się moim kierunku. A potem opadł na plecy przybysza i spojrzałem prosto w oczy kapitana Nocieresa.

– Zdrowo wyglądasz – rzuciłem, maskując zaskoczenie.

– Lepiej od ciebie – odparł. – Wiesz, kto mnie przysyła, prawda?

Skinąłem głową.

– Dobrze. – Wyciągnął z fałd szaty rulon papieru. – To mapa. Zaznaczone na niej jest położenie kolejnego miejsca kultu pogan. Dziś w nocy zbierze się tam Krąg.

Przyglądając mu się podejrzliwie, wziąłem od niego mapę.

– Przypuszczam, że nie jest to wiedza powszechna. Skąd o tym wiesz?

Nocieres westchnął ciężko, jak dorosły rozmawiający z wyjątkowo głupim dzieckiem.

– Musisz zrozumieć jedną rzecz, jeśli masz pracować z Panem Pomocną Dłonią – wyjaśnił cierpliwie. – On nie dowiaduje się o wydarzeniach po fakcie lub tuż przed ich zajściem. Nie ma siatki informatorów, którzy donoszą mu o cudzych poczynaniach. Nie, Pan Pomocna Dłoń wie o wszystkim z wyprzedzeniem, bo to on jest przyczyną tego, co ma się stać. Jeśli mówi ci, że ze szczytu góry zejdzie lawina, to dlatego że on sam pchnął pierwszy kamień.

Patrzyłem na Nocieresa z głupawym wyrazem twarzy, nadal nie rozumiejąc, do czego zmierza.

– To Pan Pomocna Dłoń stworzył Krąg – powiedział, jakby tłumaczył mi podstawy dodawania. – To on wszystko zapoczątkował, zapewnił im pieniądze, materiały i informacje potrzebne do działania. Oczywiście, buntownicy nie zdają sobie z tego sprawy, ale wszyscy od początku swojej działalności byli tylko figurami, które Bank Centralny przesuwiał na szachownicy.

– A teraz Pan Pomocna Dłoń zamierza doprowadzić do mata? – zapytałem, żeby pokazać, że nadażam za metaforą.

– Co ty, głupi jesteś czy jak? – Nocieres spojrzał na mnie z niedowierzaniem. – Tu nie chodzi o zwycięstwo jednego z uczestników konfliktu. On nie gra białymi albo czarnymi, lecz kontroluje obie strony szachownicy. A jeśli wszystkie figury pracują dla ciebie, to nie dążysz do zniszczenia jednej ze stron, lecz do kontynuacji gry. Dążysz do pata.

Wreszcie zrozumiałem.

– Nie udajemy się tam, żeby złapać członków Kręgu, prawda?

– Oczywiście, że nie. Jeśli wyruszyacie natychmiast, dotrzecie na miejsce, gdy już wszyscy buntownicy oddalą się ze świętej polany.

– Co w takim razie znajdziemy na miejscu?

– Ciało pewnego człowieka oraz liczne poszlaki wskazujące, że ten człowiek w chwili śmierci był zaangażowany w pogańską działalność Kręgu. Zabierzecie tego trupa z powrotem do miasta, gdzie ponad wszelką wątpliwość zostanie zidentyfikowany jako Loze van Dorren.

– Doskonale. Jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Identyczną mapę otrzymał przed chwilą Wilhelm Stahs. Wie również, czego spodziewać się na miejscu. W tej chwili prowadzi oddział zatrudnionych przez ród van Dorren najemników i zamierza jako pierwszy dotrzeć na miejsce, by usunąć wszystkie dowody mogące doprowadzić do kompromitacji rodu.

– Rozumiem. Wyjaśnij mi jeszcze tylko, po jaką cholerę dałeś cynk Wilhelmowi.

Były kapitan uśmiechnął się paskudnie.

– To niebezpieczny, a w dodatku powszechnie szanowany człowiek. Lepiej, żeby zginął daleko od miasta, podczas nieskutecznej próby zniszczenia kompromitujących jego pracodawców dowodów. Nie sądzisz?

Skinąłem głową.

– Poza tym – dodał Nocieres – jeśli Wilhelm przebywa w dzikiej głuszy, to znaczy, że nie ma go u boku Raquel van Dorren. Gdyby ktoś chciał wyeliminować tę starą jędzę, to byłaby idealna okazja, prawda?

– Wobec tego ruszam w drogę. Nie chcę zbytnio ułatwiać Wilhelmowi roboty.

– Tak, czas najwyższy. Bądź tak miły i odprowadź mnie do wyjścia. – Ponownie zakrył twarz kapturem. – Aha, jeszcze jedno. Podobno jakieś paskudne stworzenie grasuje w okolicznych lasach. Nie daj się zabić, Is.

\*\*\*

Gdyby Pierwszy Nekromanta był w pełni sił umysłowych, zmanipulowanie go stanowiłoby zapewne pewien problem. Całkowicie trzeźwy, zadałby pewnie parę pytań na temat mojego źródła informacji. Może nawet nabrałby pewnych podejrzeń, zastanawiając się, dlaczego to właśnie ja, ze wszystkich ludzi polujących na Krąg, dostałem cynk o ich zebraniu. Fakt, że miałem nie tylko informację o czasie i miejscu spotkania, ale również bardzo dokładną mapę z zaznaczoną lokalizacją, pogłębiłby tylko jego wątpliwości. Na pewno zdziwiłby się też bardzo, że sprowadziłem z ulicy Rzecznej Szalonego Yorlana z jego alchemicznym arsenałem, a jakoś zapomniałem poinformować Nikę, że właśnie trafiła nam się przełomowa szansa na pochwycenie członków Kręgu.

Na moje szczęście tego dnia Reg dobrowolnie pozbawił się zdolności logicznego myślenia i nie kwestionował któregośkolwiek z moich wątpliwych posunięć. Wystarczyło, że rzuciłem parę pozbawionych szczegółów zdań o informatorze, który zdradził mi miejsce kultu, a nekromanta już zbiegał po schodach, gotów pędzić na złamanie karku we wskazanym przeze mnie kierunku. Ze względów bezpieczeństwa preferuję raczej, żeby ożywić zmarłych na trzeźwo, ale w tej konkretnej sytuacji otumaniony czarnoksiężnik był mi bardzo na rękę. Poza tym z dwojga złego wolałem, żeby w trakcie ewentualnej walki Reg odlatywał na haju, niż akurat zaliczał zjazd. Dopilnowałem więc, żeby zabrał ze sobą zapas prochów wystarczający na całą podróż.

Wkrótce potem prawie trzydziestoosobowy oddział siedział już w siodłach i mknął ulicami miasta. Wszystko potoczyło się zgodnie z moim

planem. Gdyby po fakcie Nika lub Erejczycy chcieli przepytac Rega bądź kogoś moich ludzi, wszyscy zgodnie powiedzieliby, że wykonywałem tylko robotę ochroniarza. Decyzja o natychmiastowym wyjeździe, bez ściągania posiłków i zameldowania się u wyższych oficerów, wcale nie została podjęta przeze mnie na własną rękę. Ja tylko wykonałem swój obowiązek, przekazując Pierwszemu Nekromancie to, czego dowiedziałem się od informatora. Nie mogłem przecież sprzeciwić się, gdy Reg nakazał wymarsz. Skąd zaś w moim oddziale wziął się Szalony Yorlan? Zupełnie przypadkiem znalazł się w okolicy rezydencji, gdy wyruszaliśmy, i przyłączył się do ekspedycji. Zarówno Yorlan, jak wysłany po niego goniec mieli stanowczo zaprzeczyć, jakoby alchemik został przeze mnie ściągnięty z klasztoru, ze świadomym pominięciem konsultacji z dowództwem.

Gdy znaleźliśmy się poza murami miasta, odetchnąłem z ulgą. Udało mi się sprawnie i w tajemnicy wyprowadzić oddział z rezydencji, całkowicie zabezpieczając sobie tyłek przed ewentualnymi niewygodnymi pytaniami ze strony Cytadeli i regimentu. Zaraz jednak przygniotła mnie perspektywa tego, co dopiero na nas czekało. Musieliśmy szybko pokonać kawał drogi oddzielający nas od celu, dyskretnie i skutecznie rozprawić się z ludźmi Wilhelma, zebrać wszystkie dowody i co najważniejsze – przybyć na tyle późno, żeby minąć się z Kręgiem i ludźmi Nocieresa, którzy mieli podłożyć ciało Lozego i dowody, ale nie aż tak późno, żeby Wilhelm zdążył wszystko uprzątnąć.

Mieliśmy przed sobą daleką drogę do pokonania i nie spodziewałem się dotrzeć do celu przed północą. Oddział posuwał się szybko i generalnie wszyscy wydawali się być w dobrych humorach. Tylko Ferre, Yorlan, Hiena i Parch zostali przeze mnie uprzedzeni o tym, co nas czeka na miejscu. Mieli zagwarantować, że gdy wpadniemy na żołnierzy rodu van Dorren, nie dojdzie do żadnego polubownego rozwiązania sytuacji, lecz natychmiast wybuchnie walka, w której zginie Wilhelm i większość jego oddziału. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności miało ocaleć tylko paru ludzi, gotowych

poświadczyć, że zostali wysłani na miejsce, by usunąć dowody zaangażowania Lozego w działalność Kręgu.

Im bardziej zbliżaliśmy się do celu, tym większa stawała się nasza kawalkada. Gdy wyruszyliśmy z rezydencji, Reg uparł się, żeby zabrać ze sobą Głęba i swojego nieumarłego kruka, a jak tylko znaleźliśmy się poza miastem, już bez żadnych oporów zaczął formować wokół nas małą armię swoich sług. Uczęszczany trakt okazał się bardzo dobrym źródłem materiałów dla nekromanty, od dziesiątek lat miały tu miejsce napady na karawany, przemarsze wojsk i egzekucje rozbójników. Teraz te wszystkie ofiary przydrożnej przemocy wstawały ze swoich płytkich grobów i dołączały do naszego oddziału, podążając za swoim nowym panem. Gdy nadszedł zmierzch, ciągnęło za nami już kilkadziesiąt szkieletów.

Wraz z nastaniem ciemności musieliśmy zmienić sposób nawigacji. Martwy kruk Rega wzbił się w powietrze i poleciał naprzód jako zwiadowca, a Pierwszy Nekromanta, patrząc przez oczy swojego sługi, przejął rolę przewodnika. Wkrótce potem zaraportował, że jego ptak wypatrzył w leśnej gęstwinie polanę, na której mieściło się poszukiwane przez nas miejsce kultu, a sądząc po płonących ogniach, zbierali się tam właśnie jacyś ludzie.

Nagle zdałem sobie sprawę z ogromnej luki w naszym planie. Nawet jeśli zebranie Kręgu zdążyłoby się zakończyć przed naszym przybyciem, ludzie Nocieresa musieli jeszcze podłożyć inkryminujące van Dorrenów dowody. Gdyby w tym czasie kruk Rega unosił się nad polaną, wszystko by zobaczył i nasze oszustwo spaliłoby na panewce.

– Lepiej, żeby to ptaszysko nie krążyło zbyt blisko celu – powiedziałem szybko do nekromanty. – Z tego, co widzieliśmy w poprzednim świętym miejscu, padlinożercy unikają tych okolic i nie tykają tego, co zostało zabite ku czci zwierzęcych bogów. Kruk obserwujący zebranie natychmiast zaalarmowałby Krąg.

Pierwszy Nekromanta przyznał mi rację i odtąd nie pozwalał swojemu latającemu słudze zbliżyć się zbytnio do Kręgu. Niedługo potem nadszedł czas, żeby zboczyć z traktu i wkroczyć między drzewa. Ta święta polana znajdowała się znacznie dalej od utartych dróg niż poprzednia, czekał więc nas jeszcze długi, trudny marsz przez gęsty bór. To akurat było mi na rękę, bo o ile dobrze szacowałem, wciąż mieliśmy spory zapas czasu i istniało ryzyko, że dotrzemy na miejsce za wcześnie. Objąłem więc prowadzenie nad kolumną i pod pozorem ostrożności starałem się jak najbardziej spowolnić nasz pochód, mimo że nadmiernie pobudzony nekromanta chciał jak najszybciej dopaść członków Kręgu.

Na szczęście marsz przez gęsty las, w kompletnej ciemności, z końmi prowadzonymi za wodze, sprawiał duże trudności i posuwaliśmy się w ślimaczym tempie. Na początku drogi pozwoliłem na zapalenie kilku pochodni, ale gdy zbliżaliśmy się już do celu, kazałem je wygasić, tłumacząc, że może to zdradzić naszą pozycję, choć w rzeczywistości chodziło mi o spowolnienie marszu. Widoczność spadła do minimum i każdy krok stawialiśmy z największą ostrożnością, ledwo widząc gałęzie kaleczące nasze twarze i korzenie, o które potykały się nasze nogi. Wkrótce nadszedł również czas, by porzucić konie. Przywiązaliśmy je do drzew, a nekromanta oddelegował kilka trupów do ich ochrony. Ostatni, najkrótszy odcinek mieliśmy pokonać w zupełnej ciszy i przy najwyższej ostrożności.

Byliśmy już tuż na skraju polany i między gałęziami mogliśmy dostrzec prześwitujące światło pochodni, rozjaśniających miejsce kultu, gdy kazałem oddziałowi się zatrzymać. Wraz z Chi i Ferrem podkradliśmy się aż do miejsca, gdzie kończyła się linia drzew, by rzucić okiem na okolicę. Odetchnąłem z ulgą. Polana już opustoszała. Pochodnie nadal płonęły, a choć odległość była spora, wydawało mi się, że u stóp posągu widzę leżące ciała. Zarówno Krąg, jak ludzie Nocieresa zdążyli już chyba zrobić swoje. Brakowało jednak żołnierzy van Dorrenów.

– Cholera, znowu się spóźniliśmy – syknęła Chi, uderzając pięścią w pień drzewa. – Byliśmy tak blisko złapania tych gnojków!

Gdzie ten przekłety Wilhelm? Musiałem szybko coś wymyślić, żeby kupić trochę czasu.

– A jeśli są jeszcze w pobliżu? – zasugerowałem. – Może jeszcze zdołamy ich dogonić? Musimy szybko wrócić do nekromanty.

Cofnęliśmy się czym prędzej do reszty oddziału.

– Polana jest pusta, skurwysyny zdążyły uciec – zwróciłem się do czarnoksiężnika, udając rozzłoszczonego. – Ale nie mogli ujść daleko. Wyślij swojego kruka, niech się rozejrzy, może uda mu się ich wypatrzyć.

Reg zgodził się bez wahania i wysłał ptaka na przeszpiegi. Nie spodziewałem się, że cokolwiek znajdzie. Nawet jeśli ludzie z Kręgu bądź sługusy Nocieresa nie oddalili się jeszcze odpowiednio daleko, gęsty las powinien skutecznie ukryć ich przed wzrokiem martwego kruka. Mogliby się zdradzić tylko wtedy, gdyby rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami, a nie spodziewałem się po żadnej ze stron takiej głupoty. Tymczasem ja miałem dobry pretekst, żeby kazać swoim ludziom pozostać na miejscu i nie rozpraszać się po okolicy w poszukiwaniach. Wilhelm dostał swoją szansę, żeby nadrobić zaległości. Oby jej nie zmarnował.

Wszyscy zamarliśmy w nerwowym oczekiwaniu. Wokół panowała nienaturalna cisza, brakowało zwykłych odgłosów lasu i słyszeliśmy tylko swoje nerwowe oddechy oraz urywane, prowadzone szeptem rozmowy między żołnierzami. Raz za razem, gdy któryś złamał patyk, przestępując z nogi na nogę, albo nieostrożnie pozwolił, by miecz uderzył o fragment pancerza, wszyscy podrywaliśmy się gwałtownie i wpatrywaliśmy w otaczający nas mrok, nerwy napięte jak postronki. Nagle przed nami rozległ się szelest i Chi, którą wcześniej wysłałem z powrotem na skraj polany, żeby wraz z dwójką ludzi obserwowała teren, wróciła biegiem do oddziału.

– Nie uwierzycie, kto właśnie wlaźł na polanę – wyszeptała gorączkowo.  
– Kilkunastu siepaczy w barwach rodu van Dorren.

– Co kurwa? – wybełkotał Reg. – Czego oni tu szukają?

– Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że są częścią spisku – stwierdziłem i odwróciłem się do reszty oddziału. – Wszyscy za mną. Na polanie są sługusy van Dorrenów, nie wiemy, jakie są ich zamiary. Spróbujemy to załatwić pokojowo, ale jeśli od razu nie złożą broni albo zaczną wykonywać jakieś nerwowe ruchy, to najpierw bijemy, a potem będziemy pytać.

Wydobyłem miecz i ruszyłem przed siebie zdecydowanym krokiem. Gdy wyszedłem pomiędzy drzew, kilkunastu żołnierzy w zielono-czarnych liberjach stało obok posągu, zbijając się w nieskładną, nerwową gromadkę. Oderwał się od niej tylko Wilhelm, który przykucnął kawałek dalej, najwyraźniej badając zwłoki leżące u stóp posągu. Gdy spostrzegli mój oddział formujący się na polanie, zapanowała wśród nich panika. Rozległo się kilka alarmujących krzyków, a potem wszyscy sięgnęli po miecze i przyjęli defensywną postawę, nadal stojąc bardzo blisko siebie. Wilhelm powoli wyprostował się i obrócił w naszą stronę, gładkim ruchem dobywając długiego miecza.

Mieliśmy oczywiście znaczną przewagę liczebną, nawet jeśli nie uwzględniłoby się trupów, które powoli podążały za nami, wyłaniając się z lasu i wypełniając polanę za naszymi plecami. Żywa część oddziału utworzyła rozciągnięte półkole i częściowo otoczyła grupkę Wilhelma.

– Złóżcie broń! – zawołałem donośnie. – Poddajcie się natychmiast! Wszelki opór zostanie potraktowany jako bunt przeciw Koronie!

Oświetlenie nie było rzecz jasna najlepsze, ale wystarczające, by tamci mogli dostrzec odznaki Siódmego Regimentu na naszych kurtkach mundurowych. Mimo to nadal nie składali broni. Widok Pierwszego Nekromanty mógłby rozwiać ich wątpliwości, ale zadbałem, żeby pozostał na tyłach ze swoimi trupami.

– Spokojnie, jesteśmy po tej samej stronie – przemówił Wilhelm.

– To się dopiero okaże – odrzekłem. – Powtarzam ostatni raz: złóżcie broń.



Nastąpiła długa, nerwowa chwila, gdy rozważał sytuację. A potem zaczął powoli schylać się ku ziemi, jakby miał zamiar odłożyć miecz. Na szczęście Hiena spełnił swoje zadanie.

– Pogańskie kurwy! – wrzasnął i zrobił nagły krok naprzód.

Nie zamierzał bynajmniej rzucić się do ataku, ale ten gwałtowny ruch wystarczył, by sprowokować nerwową reakcję u kilku żołnierzy w liberiach, a jeden z nich zamachnął się mieczem na Hienę.

– Atakuj! – zawył któryś z ludzi Wilhelma. – Brońcie się!

– Zdrada! – wrzasnął w odpowiedzi Parch i rzucił się do ataku.

To wystarczyło, by na polanie rozgorzała walka. Również ruszyłem do natarcia i bez trudu położyłem pierwszego przeciwnika, który był tak skołowany panującym zamieszaniem, że nawet nie zdążył się zasłonić. Wtedy zobaczyłem Wilhelma idącego w moim kierunku i ani trochę mi się to nie spodobało. Na szczęście Ferre nagle pojawił się w polu widzenia i stanął na jego drodze, blokując dojsie do mnie.

Upadły baron rzadko kiedy miał okazję zmierzyć się z godnym siebie przeciwnikiem i Wilhelm był zapewne jednym z nielicznych ludzi, którzy byli w stanie dotrzymać mu tempa. Mógłby to więc być legendarny pojedynek dwóch prawdziwie wielkich szermierzy. Tak się jednak składa, że uczciwa walka nie należy do ulubionych sportów Siódmego Regimentu. Pojedykujący się zdążyli wymienić tylko kilka nieludzko szybkich ciosów, gdy Hiena, który wyrąbał sobie drogę do Wilhelma przez gromadę jego ludzi, pchnął go prosto w plecy. Ten zachwiał się, a Ferre wykorzystał powstałą lukę w jego obronie i dokończył dzieła. Najwierniejszy sługa rodu van Dorren padł u stóp barona, który spoglądał na niego z żalem przez dłuższą chwilę, a potem uniósł głowę i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku Hieny. Wiedziałem, co się zaraz stanie, ale w tym momencie nic nie mogło zatrzymać Ferrego. Nie miałem zamiaru stawać mu na drodze, gdy był w takim stanie.

Niespodziewanie jednak tuż przed nim pojawiła się filigranowa postać Chi, dźgająca go wskazującym palcem w napierśnik.

– Czego? – warknęła.

– Z drogi – syknął Ferre ze wzrokiem nadal utkwionym w Hienie. – Ten skurwysyn...

– Wykonał swoją robotę. Zabił przeciwnika, co oznacza, że w przeciwieństwie do ciebie potrafi odróżnić swoich od wrogów.

– Nie rozumiesz. Ten pojedynek...

– Wypierdalaj ze swoimi pojedynkami, panicyku. Jesteś tu po to, żeby chronić swoich towarzyszy, a nie zdobywać chwałę. Jeśli chcesz, żeby pisali o tobie ballady, to bierz dupę w troki i wracaj do swoich arystokratycznych ziomków pojedynkować się turniejową bronią i rzucać kwiaty damom na widowni.

Ferre skurczył się nieco i obrócił na pięcie, chowając miecz do pochwy, po czym on, ja i Hiena rozeszliśmy się w trzy różne strony, unikając wzroku Chi. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nierówna walka dogorywająca wokół nas zakończyła się już dobrą chwilę temu. Zacząłem z udawanym skupieniem studiować pole bitwy, mając nadzieję, że sprawiam wrażenie człowieka panującego nad sytuacją. Trzech żołnierzy w zielono-czarnych liberjach zostało ocalonych i skrępowanych, żeby później mogli złożyć zeznania, a resztę wyrzneliśmy. Po naszej stronie znalazło się tylko trzech zabitych i kilku lekko rannych.

– To musi być miejsce kultu boga-niedźwiedzia – stwierdził Reg, wskazując na posąg, który faktycznie przedstawiał przypominającą niedźwiedzia, złowrogą figurę. – Ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się ten kutas nazywał w lokalnym dialekcie. Oż, kurwa, patrz! – Wskazał na leżące pod posągiem ciała, które wcześniej badał Wilhelm.

Jak dotąd byliśmy głównie skupieni na przechwyceniu najemników van Dorrenów i w ogóle nie przyglądaliśmy się ofiarom złożonym na ołtarzu. Gdy podszedłem bliżej, zdałem sobie sprawę, że leży tam wielkie, martwe

ciało niedźwiedzia, a na nim trup nagiego człowieka z poderżniętym gardłem.

– Wygląda, jakby rytuał przemiany się nie powiódł – stwierdził Reg. – Chłoptaş miał widać pecha.

Nakazałem swoim ludziom przyprowadzić jednego z pojmanyh.

– Byliście tu, gdy to się stało? – spytałem go, znając odpowiedź.

– Nie.

– To po co tu przybyliście?

– Wilhelm kazał. Powiedział, że będziemy musieli posprzątać.

– Co konkretnie?

– Nie wdawał się w szczegóły. Stwierdził tylko, że to dla dobra rodziny.

Odwrociłem nogą ciało nagiego mężczyzny, by zobaczyć jego twarz. Przesłuchiwany wzdrygnął się odruchowo. Znowu zadałem pytanie, na które znałem odpowiedź.

– Poznajesz go?

Tamten przełknął ślinę. A potem powoli skinął głową.

– To Loze van Dorren.

– A więc to jego mieliście posprzątać – powiedziałem, ale patrzyłem na Pierwszego Nekromantę.

Nic nie odrzekł.

– Dobra, czas nam w drogę – stwierdziłem. – Weźmiemy ciała tych dwóch jako dowody, Cytadela będzie chciała to zweryfikować.

Wskazałem na zwłoki Wilhelma i Lozego. Chi wyznaczyła paru pechowców, którzy musieli zatargać trupy do koni i przerzucić je przez siodła. Nie minęło dużo czasu, gdy maszerowaliśmy lasem, kierując się z powrotem w stronę traktu. Wyglądało na to, że wszystko poszło zgodnie z planem. Zerkąłem co pewien czas na idącego w pobliżu Rega. Od opuszczenia polany nie odezwał się ani razu. Był zapewne po prostu otumaniony prochami, ale i tak się niepokoiłem. Jeśli będzie miał jakieś wątpliwości co do interpretacji dzisiejszych zdarzeń, to trudniej będzie

sprzedać naszą historyjkę w Cytadeli. Jeśli natomiast poprze nas całkowicie, los rodu van Dorren będzie przesądzony.

Moje rozmyślania przerwały hałasy dochodzące z tyłu kolumny. Nagle dobiegło stamtąd donośne, przeciągłe wycie, a potem rozpaczliwe wrzaski jakiegoś człowieka.

– Co tam się dzieje? – zawołałem, odwracając się w stronę idących za mną Chi i Ferrego.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, w innym miejscu, znacznie bliżej nas, rozległ się zwierzęcy ryk, a potem któryś z koni przeraźliwie zakwiczał w agonii.

– Coś nas atakuje! – wrzasnął ktoś z tyłu kolumny. – Kurwa, rozerwało konia na pół!

– Do broni, idioci! – odkrzyknęła Chi.

Sięgnąłem po miecz i rzuciłem się biegiem w kierunku, z którego wciąż dochodziły krzyki.

– Zapalić więcej pochodni! – rozkazałem. – Formować koło, plecami do siebie, konie na zewnątrz. Więcej światła!

W półmroku wpadłem na kogoś. Odwrócił się i zobaczyłem bladego jak kreda Hienę. Bez słowa wskazał na kształt leżący kilka kroków dalej. Był to jeden z naszych koni, dosłownie rozdarty w połowie. Krew i wnętrzności zwierzęcia rozlewały się na ziemi, tworząc ogromną kałużę.

– To było wielkie jak cholera... – wyjąkał Hiena. – Wyskoczyło z ciemności i dorwało konia, ledwie zobaczyłem, co się stało. A potem znikło.

Kawałek dalej znów rozległo się świdrujące wycie. A potem coś zaszeleściło w chaszczach przed nami i jakiś wielki, mroczny kształt mignął w rogu mojego pola widzenia. Któryś z żołnierzy skoczył w jego kierunku z dobytym mieczem. Wielka, owłosiona łapa wyłoniła się spomiędzy gałęzi i cisnęła nim z taką siłą, że przeleciał w powietrzu kilkanaście kroków i uderzył w drzewo, nadziewając się na wystającą gałąź. Po chwili bestia

znowu zaryczała, ale na szczęście dźwięk wskazywał, że oddaliła się nieco od nas.

– Kurwa, widziałeś to?! – krzyknął Hiena prosto do mojego ucha, niemal mnie ogłuszając.

– Właśnie w tym problem, że nie! – odkrzyknąłem. – Więcej światła, do cholery! Podpalcie jakieś krzaki, jeśli musicie.

Ludzie nadal nie doszli jeszcze w pełni do siebie, ale zaczęli się już organizować. Chi zaganiała ich, żeby zebrali się wszyscy w ochronnym pierścieniu. Kilka pochodni zostało rzuconych w krzaki i pomimo wilgoci poszycie zaczęło się zajmować ogniem, dając nam nieco więcej widoczności.

– Gdzie jest nekromanta? – zawołałem, rozglądając się gorączkowo.

– Właśnie, gdzie? – odpowiedział mi bełkotliwy głos, niewątpliwie należący do Rega. – Czy ktoś widział nekromantę?

Zakląłem w myślach i pobiegłem w stronę źródła dźwięku. Znalazłem Rega w centrum obronnego pierścienia, leżał na ziemi, opierając się o pień drzewa. Z tego, co widziałem, nie był ranny, tylko kompletnie naćpany.

– Co tu się, kurwa, odpierdala? – zadał bardzo celne pytanie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem spokojnie. – Ale wygląda na to, że jakieś wielkie, owłosione paskudztwo próbuje nas zabić.

– Aha. Obawiam się, że jestem zbyt najebany, by dostrzec powagę sytuacji.

– Potrzebujemy cię! – wrzasnąłem mu prosto w twarz, próbując go otrzeźwić. – Nie wiem, co to za kurewstwo, ale nie poradzimy sobie z nim samymi mieczami. Niech twoje trupy wezmą się do roboty.

– A ja bym wolał sobie tutaj poleżeć – wybełkotał. – Mogę?

– Tak, to doskonały pomysł! Co złego mogłoby się stać?

– Masz rację – stwierdził nagle zaskakująco wyraźnym głosem. – Mój kark kompletnie zeszywnieje, jeśli zasnę w takiej pozycji.

Spoza pierścienia dobiegł kolejny wrzask masakrowanego człowieka. Jakiś maruder nie zdążył dołączyć do formacji i teraz za to zapłacił.

– Zaraz wszyscy tutaj zginiemy! – Po raz ostatni spróbowałem wykrzesać coś z nekromanty. – Rusz te swoje martwiaki i niech nas osłaniają.

Reg nic nie odpowiedział, ale chyba do niego dotarło, bo w świetle pochodni i płonącej roślinności zobaczyłem szkielety zbierające się wokół nas i formujące ochronny kordon. W pewnym momencie kontur wielkiego, owłosionego stworzenia na dwóch nogach wpadł na moment do kręgu światła i jednym ciosem powalił kilka szkieletów, tworząc sporą wyrwę w naszej linii obrony, a potem zniknął z powrotem w ciemności.

– Nie idzie nam najlepiej, co? – odezwał się nagle jakiś głos tuż obok mnie. – Czyżby walka wręcz nie była jednak najlepszym sposobem na zabicie półboskiej bestii?

Odwróciłem się i spojrzałem prosto w uśmiechniętą twarz Szalonego Yorlana.

– No, dalej, zrób coś – warknąłem. – Masz jakiś błyskotliwy pomysł, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział, puszczając się jak paw. – Innych pomysłów nie miewam.

– Świetnie. Długo jeszcze zamierzasz się nadymać, zanim łaskawie uratujesz nasze tyłki?

Z ciemności znowu dobiegło donośne wycie, zwiastując zbliżanie się bestii.

– Jak to mówią, każdy problem można rozwiązać za pomocą odrobiny siarki – stwierdził wesoło alchemik, grzebiąc w swojej torbie.

– Nikt tak nie mówi, Yorlan.

– Sprowadźcie skurwiela na odległość pięciu metrów od tego drzewa – oświadczył, wskazując gruby dąb oddalony o jakieś dwadzieścia metrów od naszego kręgu.

– Jak niby mam go tam ściągnąć?

– To chyba oczywiste – prychnął. – Potrzebujemy przynęty. To rozszalałe zwierzę, nawet jeśli kiedyś było człowiekiem. Nie oprze się łatwej, samotnej

zdobyczy, która opuściła zwarty krąg światła.

– Co się stanie, kiedy potwór znajdzie się w pobliżu drzewa?

– Uruchomię pułapkę.

– A przynęta...

– Wiesz, co się stanie z przynętą.

– Czyli musiałoby to przypominać człowieka i...

– Nie, Is – przerwał Yorlan i jego głos stał się nagle chrapliwy – tu nie zadziała żadna podpucha. To coś ma diabelnie wyostrzone zmysły i nie da się nabrać na żadną wypchaną owcę. Nie wystarczy ustawić jakiegoś manekina albo podeprzeć trupa na kiju. Bestia musi wyczuć zapach ofiary szczającej po nogach, usłyszeć jej oddech, bicie serca i krew krążącą w żyłach. To musi być...

– ...ktoś z nas – dokończyłem.

– Będę gotowy za pięć minut. – Yorlan omiół resztę oddziału znaczącym spojrzeniem. – Ty też bądź.

Yorlan oddalił się na kilka kroków i przyklęknął, mieszając jakieś proszki na sporym, płaskim kamieniu. Odwróciłem się, by spojrzeć na moich ludzi. Ich twarze, oświetlone migotliwym blaskiem pochodni, były pełne niepokoju, oczy nerwowo biegały po ciemności panującej wśród drzew, a spocone ręce zaciskały się na mieczach i kuszach.

To muszę być ja, pomyślałem. Kurwa, to muszę być ja! To przeze mnie znaleźliśmy się w tym pieprzonym lesie, rozrywani na strzępy przez mitycznego potwora. Gdybym kierował się tylko dobrem regimentu, gdybym nie wdał się w grę Pana Pomocna Dłoń, nigdy by się to tak nie potoczyło. Gdyby moim priorytetem było zadbanie o bezpieczeństwo kompanii... Pod tym cholernym drzewem powinienem być ja.

– Morgan! – zawołałem. – Daj mi swoją pochodnię.

Podszedł i wręczył mi płonąca żagiew.

– Widzisz to drzewo? – spytałem.

Skinął głową.

– Zastawimy pułapkę na tego skurwysyna. Yorlan zaraz skończy przygotowania, ale będzie potrzebował twojej pomocy, by rozprościć to cholerstwo, które szykuje. Stań pod tamtym drzewem i czekaj na jego instrukcję.

Morgan zawahał się.

– Ale czemu bez pochodni? – spytał. – To poza kręgiem światła, będę wystawiony na atak.

– Czy widziałeś kiedyś, żeby Yorlan przygotował substancję, która nie jest łatwopalna? Dlatego bez pochodni. Ale spokojnie, pomyśleliśmy o wszystkim. Alchemik rozsypał jakieś odstraszające badziewie pod tym drzewem, nic ci tam nie grozi. No, jazda, wykończmy skurwysyna.

Żołnierz niepewnym krokiem ruszył w ciemność. Yorlan niepostrzeżenie pojawił się u mojego boku.

– Dobry wybór – mruknął.

– Co dalej? – spytałem, obserwując ledwo już widoczną sylwetkę Morgana.

– Czekamy.

– Nie musisz nic przygotować?

– Nie. Już dawno byłem gotowy. Ale chciałem ci dać chwilę czasu.

Cofnęliśmy się bliżej ciasno zbitego kręgu żołnierzy z pochodniami. Morgan niemal całkiem zniknął z pola widzenia, choć ciągle wydawało mi się, że dostrzegam kontur jego postaci na tle potężnego drzewa.

Ostatni raz rozmawiałem z nim kilka tygodni temu. Dołączył do kompanii dopiero niedawno, przeniósł się chyba z oddziału Ouangi, bo wdał się w spór z którymś z towarzyszy. Nie ufałem mu całkowicie, nie znałem go zbyt dobrze i nie był niezbędny dla przetrwania oddziału.

Dobry wybór.

– Po cholere Morgan tam stoi? – zapytał ktoś nagle.

– Kurwa, oszalał? Przecież zaraz zostanie rozszarpany!



– Cisza! – nakazałem. – Morgan zgłosił się na ochotnika, żeby wciągnąć bestię w pułapkę. Skoncentrujcie się, zaraz dorwiemy potwora.

To, co nastąpiło potem, było dla nas zupełnym zaskoczeniem. Nie usłyszeliśmy zbliżającej się bestii. Nie dostrzeżliśmy zarysu włochatej, pokracznej sylwetki przemykającej się między drzewami. Nie wiedzieliśmy, czy i skąd nadchodzi, i nie mieliśmy pojęcia, czy rzuci się na nas, czy też zgodnie z planem wejdzie prosto w pułapkę. Morgan też nie mógł tego wiedzieć. Nie zdążył nawet krzyknąć.

Eksplozja wstrząsnęła okolicą, ogłuszając nas i rzucając na ziemię. Jaskrawy błysk oślepił mnie na dłuższą chwilę i gdy odzyskałem wzrok, podnosząc się z trudem na nogi, płomienie szalały już w promieniu kilkudziesięciu metrów od miejsca, w którym Yorlan zastawił pułapkę. Ogień rozprzestrzeniał się błyskawicznie, przeskakując z drzewa na drzewo i zbliżając się niebezpiecznie do nas. Konie ogarnęło jeszcze większe przerażenie i rzuciły się do ucieczki, wyrывая wodze z rąk żołnierzy.

Straciłem wszelką kontrolę nad sytuacją. Próbowałem wydać jakieś rozkazy, ale moje bezładne wrzaski nie mogły zostać zrozumiane przez ogłuszonych żołnierzy. Zresztą i tak nie miałem do powiedzenia nic poza: „Spierdalać! Pali się!”. Wszystko widziałem jak przez mgłę, a rozbiegane ludzkie sylwetki zlewały się ze sobą i za nic nie dawały się rozróżnić. Nie było mowy o zorganizowanym odwrocie, przeliczeniu oddziału czy zajęciu się rannymi. Jedyne, co byłem w stanie zrobić, to złapać kilku ludzi, którzy zachowali resztki przytomności umysłu, i dopilnować, żeby zabrali nasz ładunek: trzech więźniów, dwa trupy mające posłużyć za dowody rzeczowe i jednego półprzytomnego nekromantę, który nie mógł poruszać się o własnych siłach.

\*\*\*

Gdy nad ranem znalazł nas konny patrol Erejczyków, przedstawialiśmy żałosny widok. Udało nam się wydostać z lasu i dotrzeć do traktu, gdzie zatrzymaliśmy się, kompletnie wyczerpani. Żaden pożar nie był w stanie

wytrzymać dłuższej konfrontacji z wilgotnym klimatem Caellarh i deszcz, który spadł w nocy, ugasił wszystkie płomienie, zostawiając ślady w postaci ogromnej, wypalanej połaci lasu i ciężkiej chmury dymu nadal unoszącej się w powietrzu.

Drugą konsekwencją ulewy była rzeka błota, w której się ocknęliśmy. Gdy wypadliśmy biegiem z puszczy i minęło bezpośrednie zagrożenie, zatrzymałem oddział, w którym zresztą nie zostało już wielu żołnierzy zdolnych do dalszej ucieczki. Rozstawiłem strażę i zarządziłem postój, czyli bezładne zalegnięcie na skraju linii drzew. Resztę nocy spędziłem w bezmyślnym, bezsennym letargu, podczas gdy nasze mundury przesiąkły wilgocią i oblepiły się błotem, upodabniając nas do bandy włóczęgów.

Kiedy wartownicy ostrzegli mnie o zbliżającym się patrolu, czym prędzej postawiłem siebie i oddział na nogi, próbując ustawić ludzi w coś chociaż trochę przypominającego szereg. Wielu jednak, z powodu ran lub wyczerpania, nie było w stanie się podnieść, a ci, którym się udało, wyglądali, jakby ostatnie trzy miesiące spędzili, jedząc korzonki, nocując w lasach i mordując kupców na gościńcach. Nic więc dziwnego, że erejscy kawalerzyści na nasz widok natychmiast obnażyli miecze i zaczęli nas otaczać, odcinając drogę ucieczki.

Czym prędzej podbiegłem do oficera, którego uznałem za dowódcę, i zacząłem tłumaczyć, kim jesteśmy, ale odznaka na moim mundurze była praktycznie niewidoczna, a błoto przyklejone do twarzy zniechęcało do słuchania moich wyjaśnień. Ani trochę nie poprawiłem swojej sytuacji, gdy chcąc udowodnić swoją tożsamość za pomocą tatuażu na prawej ręce, przykucnąłem i zanurzyłem rękę w kałuży, by ją opłukać. Woda w kałuży tylko jeszcze bardziej mnie pobrudziła, a widok mnie babrzącego się w błocie rozwiął chyba wszelkie wątpliwości co do mojej godności, o służbie królewskiej nie mówiąc. Tyle w kwestii mojej domniemanej zdolności do zachowania trzeźwego umysłu w trudnych sytuacjach.

W ostatniej chwili uratował nas Reg, który niespodziewanie wyłonił się spomiędzy drzew i nic nie robiąc sobie z ponurych kawalerzystów z dobytą bronią, wrzasnął na całe gardło:

– Ja pierdolę, co za noc!

Trudno powiedzieć, co pozwoliło go zidentyfikować: czarna szata czarnoksiężnika czy jego legendarny kretynizm, ale konni natychmiast wiedzieli, że mają przed sobą Pierwszego Nekromantę królestwa, i ich miecze znikły tak samo szybko, jak się pojawiły. Ja powoli wyciągnąłem ręce z kałuży i wyprostowałem się, zasłużenie czując się jak idiota, a Reg tymczasem chwiejnym krokiem przeszedł między końmi, mamrocząc coś do siebie i rozglądając dookoła szalonym wzrokiem. W pewnym momencie bez żadnego powodu zamachnął się nagle potężnie i klepnął w zad konia któregoś z Erejczyków. Rumak gwałtownie wyrwał do przodu, zrzucając jeźdźca i płosząc inne wierzchowce. Kawalerzysta podniósł się z trudem i nie wiadomo czemu przeprosił nekromantę, który jednak go nie dosłyszał, bo akurat mówił coś do stojącej obok sosny.

– Wziął dużą dawkę... substancji uspokajającej – wyjaśniłem. – Żeby się zregenerować po... substancji pobudzającej, którą wziął w nocy.

Erejczyk miał jeszcze dużo pytań. Na wszystkie odmówiłem odpowiedzi, zasłaniając się „sekretną misją Pierwszego Nekromanty”. Kawalerzysta za każdym razem, gdy to słyszał, spoglądał na Rega i kręcił głową.

Przykazałem Ferremu, żeby nie spuszczał nekromanty z oczu, i zacząłem doprowadzać ludzi do porządku. Opatrzyliśmy rannych, oczyściliśmy sprzęt i powoli zaczęliśmy znowu wyglądać jak oddział wojska. Udało nam się nawet odzyskać kilka koni. Reg też pozwolił wreszcie nad sobą zapanować, choć kilka razy zdarzyło mu się wskazać na pilnującego go żołnierza i krzyknąć: „To drzewo mnie obserwuje!”.

Gdy przeliczyłem oddział, okazało się, że ośmiu ludzi zostało zabitych przez bestię. Podczas drogi powrotnej co jakiś czas zerkałem niespokojnie na Yorlana, Ferrego i Hienę. Ci trzej wiedzieli, że starcie na polanie było

zaplanowaną prowokacją, nie mieli jednak powodów sądzić, że działałem za plecami dowództwa. A jeśli mimo wszystko się domyślali? Nika dołączyła przecież do nas podczas poprzedniej wyprawy, czy mieli uwierzyć, że tym razem zrezygnowała? Yorlan został przeze mnie ściągnięty z klasztoru, więc wiedzieli, że posłaniec ode mnie dotarł do kwater regimentu. Gdyby zrozumieli, że cała ta afera była moją prywatną intrygą, czy rzuciliby mi w twarz śmierć tych ośmiu? Czy przyjęliby moje wyjaśnienia? Co właściwie mógłbym im powiedzieć? Że lepiej, żeby zginęli w imię Banku Centralnego niż za króla? A jednak byłem przekonany, że mam rację. Służba królewska, do której zaprzęgli nas Gerard i Nika, nie przyniosła nam nic dobrego. To właśnie z tego powodu nasz dowódca powoli wypalał się w swojej wieży. Ja tymczasem odnalazłem nową ścieżkę, sposób na przełamanie krępujących nas struktur władzy.

Erejczycy pomogli nam dotrzeć z powrotem do miasta, a potem zabrali dwóch ocalałych jeńców oraz ciała Lozego i Wilhelma do sztabu Grubego Alfa. Ja zaś poprowadziłem niedobitki mojego oddziału do rezydencji, gdzie bezpiecznie ulokowaliśmy skacowanego nekromantę, a potem sami padliśmy wyczerpani na łóżka. Żołnierze kompanii, którzy nie brali udziału w wyprawie i zostali na miejscu, by strzec rezydencji, próbowali wypytywać powracających, co właściwie się stało. Nie otrzymali jasnej odpowiedzi. Wszystkim brakowało słów, które oddałyby horror minionej nocy.

Przespałem większą część dnia i pod wieczór obudził mnie Zielony, mówiąc, że zostałem wezwany do Cytadeli. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem na dziedzińcu kilku żołnierzy w erejskich mundurach. Aha, więc to takie wezwanie.

Zwlokłem się na dół, nadal w kolczudze i tym samym mundurze, który miałem na sobie podczas wczorajszej akcji. Wychodząc na zewnątrz, zdałem sobie sprawę, że muszę naprawdę koszmarnie wyglądać. Kurtka od munduru była poplamiona zakrzepłą krwią i nadpalona w kilku miejscach, a

moją twarz pokrywała warstwa brudu. Miałem jednak w tej chwili większe problemy.

Zielony, przyglądając się ponuro Erejczykom, zaproponował, że wysłę ze mną kilku ludzi, tak dla pewności. Ja jednak popadłem w fatalistyczny nastrój i postanowiłem poddać się biegowi wydarzeń. Kazałem mu więc dać sobie spokój i pozwoliłem, żeby żołnierze otoczyli mnie kordonem i poprowadzili do kwater królewskiej armii.

– Nie idziemy do Cytadeli – powiedział jeden z Erejczyków, gdy oddaliliśmy się już od rezydencji.

Obrócił się w moją stronę i zdjął hełm. Po krótkiej chwili, w czasie której mój ociężały umysł zmagał się z własną tępotą, rozpoznałem zausznika Pana Pomocna Dłoń, tego samego, który zazwyczaj zwodził ludzi, wdzierając niepozorną, szarą szatę urzędnika i binokle.

– On już na ciebie czeka – powiedział. – Plan został zrealizowany i wszystko zakończyło się sukcesem. Oddział Erejczyków właśnie zmierza do miejsca wczorajszych wydarzeń, ale to bez znaczenia. Jeńcy zostali przesłuchani w Cytadeli, a tożsamość Lozego van Dorrena i Wilhelma Stahsa potwierdzona ponad wszelką wątpliwość. Już to wystarczyło, by wykazać jasno, że rodzina van Dorren zaangażowana była w działalność na szkodę Korony i sympatyzowała z buntownikami. To przekonanie zostało tylko umocnione, gdy Raquel van Dorren popełniła samobójstwo i zostawiła list, w którym ujawniła ogromne poczucie winy, gnębiące ją, odkąd postanowiła zdradzić prawowitą władzę i oddała się przekłętą, pogańskiej religii.

– Popełniła samobójstwo? – spytałem sceptycznie.

– Tak. A nawet jeśli ktoś jej w tym pomógł, to nie zostawił żadnych śladów, które by na to wskazywały.

Zapadło milczenie. Nadal czułem się jak ogłuszony i bardzo powoli przyjmowałem do wiadomości te nowe informacje. Przemierzaliśmy

żwawym krokiem opustoszałe ulice Nowego Ereburga, zbliżając się coraz bardziej do centrum miasta.

– Dokąd idziemy? – spytałem.

– Do nowej, tymczasowej rezydencji Pana Pomocna Dłoń. Poprzedni właściciel niedawno został eksmitowany i bankier wybrał to miejsce na swoje nowe lokum. Bardzo mu odpowiada, przede wszystkim ze względu na korzystną lokalizację w centrum miasta i wytworny wystrój wnętrza.

Mruknąłem coś potakująco w odpowiedzi. Przyszło mi do głowy parę miejsc, które pasowałyby do tego opisu, ale gdy dotarliśmy do celu, zostałem całkowicie zaskoczony. Jak się okazało, moja eskorta zaprowadziła mnie prosto do pałacu gubernatora. Przed wejściem jak zawsze stali strażnicy w erejskich mundurach, którzy przepuścili nas bez żadnych pytań, ale wewnątrz budynek sprawiał wrażenie całkowicie opuszczonego. Przemierzaliśmy rozległe, bogato wystrojone i całkowicie puste korytarze, a nasze kroki niosły się głośnym echem. Wreszcie zostałem doprowadzony pod dawny gabinet gubernatora. Mój przewodnik wskazał mi drzwi i zrobił półobrót, jakby zamierzał się oddalić, ale zatrzymał się i zwrócił z powrotem w moją stronę.

– Jedna tylko sprawa jest dla nas niejasna – stwierdził. – Może będziesz w stanie rzucić na nią światło. W końcu często z nią współpracowałeś...

– Z kim?

– Z tą kobietą, która prowadziła burdel przy Kołowej. Na długi czas straciliśmy ją z oczu. Udało nam się jednak wytropić kilka jej byłych pracownic. Złapaliśmy je w różnych punktach miasta, ale wszystkie w chwili pojmania zajmowały się tym samym: w karczmach, przy studniach i na rynkach opowiadały swoim słuchaczom o wspaniałym życiu, jakie czeka ich w mieście Sarath.

– Nie rozumiem. To jakaś metafora?

– To na wschodnich rubieżach prowincji, w głębi terytorium buntowników. Nasi ludzie w tym regionie... przysyłają dość dziwne raporty.

Zupełnie jakby Sarath oderwało się od głównego nurtu powstania i zaczęło tworzyć jakieś absurdalne, utopijne społeczeństwo.

– Arai tam jest?

– Kto?

– Właścicielka burdelu.

– Ach tak. Jeden z naszych ją wypatrzył, choć nie wiemy, co właściwie tam robi. Tego właśnie nie rozumiem... Musiała uciec z miasta, ale dlaczego postanowiła przystać do rebeliantów?

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Myślę, że to raczej oni przeszli na jej stronę niż odwrotnie.

– Czyli domyślasz się, co ona planuje?

– Żartowałem tylko. Obawiam się, że dla mnie to również zagadka.

Wzruszył ramionami i zostawił mnie samego pod drzwiami. Zawahałem się jeszcze przez moment z ręką na klamce, myśląc o Arai. Chaos w prowincji i upadek erejskich struktur były jej potrzebne, żeby zacząć budować od podstaw. Zaczynałem rozumieć, choć o wiele za późno. Ta droga i tak nie była dla mnie. Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Pokój nadal ociekał zbędnym i ostentacyjnym luksusem, do którego przywykł poprzedni właściciel. Teraz jednak za ustawionym w centrum pomieszczenia biurkiem siedział nie kto inny, tylko Pan Pomocna Dłoń. Rozsiadł się wygodnie w imponującym, przypominającym tron krześle gubernatora. Wszystkie inne meble zostały usunięte, a zamiast nich ustawiono przed biurkiem tylko mały, chybotliwy taboret, który pamiętałem z zaplecza sklepu LaVaille'a.

– Ładnie się pan urządził – zauważyłem, podchodząc bliżej.

– Dziękuję. Mnie też się tu całkiem podoba. Choć raczej nie zostanę na długo.

– A to dlaczego?

– Ten, kto pozostaje długo w jednym miejscu, staje się łatwym celem. A niedługo w tej okolicy zrobi się szczególnie niebezpiecznie.

– Dla pana czy pańskich przeciwników?

– Dla wszystkich. Jeszcze pan o tym nie wie, poruczniku, bo sztab przekaże te informacje oddziałom liniowym dopiero jutro, ale na północy i wschodzie prowincji wybuchło powstanie. Wojska erejskie w tamtych rejonach zostały zupełnie zaskoczone przez rebeliantów, którzy byli niespodziewanie dobrze wyposażeni i zorganizowani. Armia buntowników rośnie obecnie w siłę z każdą chwilą i zmierza w kierunku Nowego Ereburga. Czeka nas wielki konflikt. A ja zamierzam go obserwować z odpowiedniej odległości.

– Domyślam się, że powstańcy nie sfinansowali się sami?

– Oczywiście, że nie. – Pan Pomocna Dłoń uśmiechnął się pobłaźliwie. – Ktoś przecież musiał zapłacić za uzbrojenie, prowiant, konie i pancerze. Ktoś musiał opłacić agitatorów na ulicach i kapłanów w świątyniach, którzy nawoływali do oporu przeciw okupantowi.

– Czyżby ten ktoś był aż takim filantropem? Czy raczej zapewnił to dofinansowanie w ramach wysoko oprocentowanej pożyczki?

– Myślę, że zna pan odpowiedź na to pytanie, poruczniku.

– A co wobec tego z drugą stroną konfliktu?

– Już wkrótce się pan o tym przekona.

– Gdy szliśmy nocą przez las, coś... – zawahałem się. – To znaczy... na pewno pan słyszał o tym stworzeniu...

– Jak brzmi pana pytanie, poruczniku?

– Czy nie powinniśmy jakoś zająć się tą sprawą? Usunąć to zagrożenie? Jeśli oni przebudzili coś naprawdę groźnego...

– Czy niczego się pan nie nauczył na przykładzie Pierwszego Nekromanty? Te wszystkie nadprzyrodzone moce mogą się wydawać przerażające i imponujące na pierwszy rzut oka, ale w zręcznych rękach to takie same narzędzia jak zupełnie przyziemny młotek. Po jednej stronie mamy teraz nekromancję, a po drugiej animalistyczne kultury. Wystarczy tylko nimi kompetentnie zarządzić.



Ktoś po drugiej stronie drzwi zastukał dwa razy.

– Wygląda na to, że mój drugi gość zaraz przybędzie. W nagrodę za lojalną służbę pozwolę panu zajrzeć za kulisy świata, poruczniku Norgaard. Widzi pan to lustro? Proszę przejść przez boczne drzwi, będzie pan miał okazję zostać świadkiem historycznej sceny.

Podążyłem za jego wskazówkami. Znalazłem się w małym pomieszczeniu, po drugiej stronie ogromnego zwierciadła. Tylko że z tej strony nie było to lustro, lecz okno pokazujące wnętrze gabinetu. Pan Pomocna Dłoń spojrzał prosto na mnie i pomachał, uśmiechając się sympatycznie.

Drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się z impetem i do pokoju wszedł Alfred de Verde, stawiając ciężkie, niosące się echem kroki, a za nim powiewał długi płaszcz z odznakami Ósmego Kawaleryjskiego. Odziany w ciężką, bogato zdobioną zbroję, z rodowym herbem na napierśniku, wojskowy gubernator prowincji przemaszerował przez salę i zatrzymał się tuż przy biurku, górując nad bankierem dziesiątkami kilogramów wagi i setkami lat szlacheckiego rodowodu.

– Witam Waszą Ekscelencję – powiedział bankier przymilnie. – Proszę się rozgościć. – Wskazał dłonią chybotliwy taboret, który stał naprzeciw biurka.

De Verde wysunął nogę i lekkim kopnięciem przewrócił mebel.

– Dziękuję, postoję.

– Jak Waszej Ekscelencji wygodniej – odpowiedział mu ociekający miodem głos. – W czym mogę pomóc?

– Będziemy wymagać zwiększenia naszego kredytu – stwierdził chłodno hrabia. – Niepokoje w prowincji narastają i utrzymanie kontroli nad regionem wymaga coraz większych nakładów. Według szacunków mojego sztabu potrzebujemy dodatkowych dwudziestu milionów koron, żeby dotrzeć do końca lata.

– To bardzo duża suma, Wasza Ekscelencjo. – Pan Pomocna Dłoń pokręcił głową ze smutkiem. – Biorąc pod uwagę ogromne zadłużenie, jakie już teraz erejska armia ma wobec Banku Centralnego, nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na udzielenie dalszego kredytowania.

– Wszystkie długi zaciągnięte przeze mnie jako namiestnika prowincji są gwarantowane przez Koronę.

– Tak, tak, oczywiście – zgodził się bankier. – Gdyby było inaczej, w ogóle byśmy nie rozmawiali. Tym niemniej mam spore obawy w związku z taką transakcją. Czy aby na pewno nie ma Wasza Ekscelencja alternatywnych możliwości?

– Vorain zamroziło mój budżet. Sytuacja w prowincji się pogarsza, moje potrzeby rosną, ale stolica tnie koszty. Ministerstwo Wojny dostało jasne instrukcje z dworu: ani jedna korona więcej nie trafi do Caellarh.

– Przykro mi z powodu trudnej sytuacji Waszej Ekscelencji. Zrobię, co w mojej mocy, żeby udzielić pomocy w tym trudnym czasie. Oczywiście by uzasadnić tak ryzykowną transakcję, będę musiał nalegać na znaczne koncesje ze strony Waszej Ekscelencji. Nie chciałbym jednakże zanudzać szczegółami w sytuacji zagrożenia ze strony buntowników, które niewątpliwie wymaga natychmiastowej reakcji. Moi skrybowie przygotowują szczegółowy kontrakt...

– Już ja wiem, że królewscy urzędnicy podpiszą wszystko, co podsuniesz im pod nos. Negocjujesz ze mną. Przedstaw swoje warunki tu i teraz, bez kruczków i wybiegów.

– Jak sobie Wasza Ekscelencja życzy. Oczywiście odsetki przy nowej pożyczce będą siłą rzeczy musiały być wyższe niż w przypadku naszej poprzedniej umowy. Zanim jednak ustalimy konkretną cyfrę, chciałbym odnieść się do nieuregulowanych zobowiązań Korony wobec Banku. Rozumiem oczywiście, że w obliczu planowanych wydatków na kampanię przeciw buntownikom spłacenie wcześniejszych długów nie będzie obecnie możliwe. Rozumiem to doskonale i co więcej, uważam za swój patriotyczny

obowiązek zawieszenie windykacji wszelkich odsetek na czas powstania. Jest jednak pewna przysługa, jaką królestwo mogłoby mi wyświadczyć w ramach zadośćuczynienia. Jak się domyślam, skoro zdrada rodu van Dorren została udowodniona ponad wszelką wątpliwość, majątek rodziny zostanie skonfiskowany przez Koronę?

– Owszem i na pewno znacznie się przyczyni do naszego wysiłku wojennego.

– Postulowałbym alternatywne wykorzystanie tych środków. Konkretnie, przyznanie mi ich w ramach retroaktywnej kompensacji za...

– Retroaktyw... – de Verde hrabia przeistoczył się nagle w de Verdego żołnierza. – Kurwa mać, co za bezczelność!

– Rozumiem frustrację Waszej Ekscelencji, ale konieczna jest pewna rekompensata za zamrożone odsetki...

– Ha! Te cholerne odsetki nie są warte nawet ćwierci fortuny van Dorrenów! Próbujesz oskubać króla, wmawiając mu jednocześnie, że robisz Erei przysługę.

– To naprawdę będzie przysługa dla królestwa. Żołnierze oczekują żołdu, tu i teraz, w formie twardej monety. Majątek rodu van Dorren, choć niewątpliwie przepastny, jest w ziemi, nieruchomościach, udziałach w rozmaitych przedsiębiorstwach i towarach składowanych w dziesiątkach magazynów oraz podróżujących w tej właśnie chwili w niezliczonych karawanach po całym Kontynencie. Upłynnienie tej fortuny mogłoby zająć lata, jeśli nie dekady, i kto wie, czy udałoby się uzyskać godziwą wartość? W końcu większość tego majątku to grunty i budynki w prowincji ogarniętej buntem. Kto przy zdrowych zmysłach zapłaci pełną cenę za tak ryzykowne aktywa?

De Verde, wyraźnie powstrzymując się przed chwyceniem bankiera pancerną rękawicą za gardło, odetchnął kilka razy głęboko, zanim odpowiedział.

– To nie są negocjacje handlowe. Nie targujemy się teraz przy straganie ani nie podpisujemy porozumienia między dwoma partnerami w interesach. Stoimy w obliczu strasznego zagrożenia, rozszalałe hordy maszerują już w stronę miasta i ogień ogarnia cały region. Dlatego rozmawiam teraz z tobą jak reprezentant króla z jego poddanym, jak dowódca z żołnierzem, jak hrabia z pospolitym człowiekiem. I rozkazuję ci...

– A ja rozmawiam z tobą jak człowiek posiadający pieniądze z człowiekiem pozbawionym pieniędzy. I nie będę słuchał żadnych rozkazów.

De Verde zamarł, jakby właśnie został spoliczkowany. W sali zapadła martwa cisza, którą po chwili przerwało skrzypienie zbroi, gdy hrabia rozluźnił napięte mięśnie i otworzył zaciśnięte w pięści dłonie. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos brzmiał płasko i nieobecnie.

– Każdy poddany ma obowiązek wobec swojego króla...

– Każdy dłużnik ma obowiązek wobec swojego wierzyciela, z którego Korona nie wywiązuje się ostatnio najlepiej. – Pan Pomocna Dłoń udał, że zagląda do grubej księgi rachunkowej leżącej na jego biurku. – Terminy spłat wcześniejszych pożyczek były wielokrotnie przekładane, nawet odsetki nierzadko otrzymywaliśmy z opóźnieniem. Mimo to, z miłości do króla i ojczyzny, jestem gotów zaryzykować więcej kapitału i udzielić Waszej Ekscelencji kolejnego kredytu.

– Jeśli spełnię określone warunki?

– Ekscelencjo – Pan Pomocna Dłoń przemówił polubownie – waszym celem jest zaprowadzenie porządku w prowincji i zlikwidowanie zagrożenia dla królestwa. W obecnej sytuacji waszym priorytetem jest jak najszybsze pozyskanie środków koniecznych do pokonania, czyż nie? To, czy pieniądze przyjdą z kredytu, podatków czy konfiskat, jest przecież problemem dla urzędników, nie dla generała. Dajcie mi prawa do majątku van Dorrenów, a ja zagwarantuję wam zamrożenie wszelkich odsetek do czasu zdławienia buntu oraz nieograniczoną linię kredytową. Otrzymacie wszystkie potrzebne środki, Ekscelencjo, by obronić królestwo i powiększyć swoją

chwałę. Gdy kurz już opadnie, cywilni administratorzy będą się martwić o stan skarbcza prowincji, podczas gdy Wasza Ekscelencja wjedzie do stolicy na czele zwycięskiej parady.

De Verde zgarbił się i przez chwilę wyglądał na straszliwie zmęczonego, jakby dopiero w tym momencie uświadomił sobie wagę dźwiganej przez siebie zbroi. Zaraz jednak wyprężył się znowu dumnie, jak gdyby wyгнаł wszelką słabość ze swojego umysłu.

– Wszystkie dobra rodziny van Dorren przejdą na własność Banku Centralnego – oświadczył. – Mój sztab wkrótce przedstawi swoje zapotrzebowanie. Wypróbujemy tę nieograniczoną linię kredytową.

Pan Pomocna Dłoń tylko skinął głową.

– Porozmawiamy ponownie, kiedy to się skończy – rzucił hrabia i skierował się do wyjścia.

Bankier poczekał z odpowiedzią, aż tamten znajdzie się przy drzwiach.

– Nie wątpię, że Wasza Ekscelencja zdławi powstanie. Ale to – położył rękę na księdze rachunkowej – nie skończy się nigdy.

Jeśli de Verde usłyszał te słowa, nie dał nic po sobie poznać. Drzwi zamknęły się za nim i w pokoju zapanowała kompletna cisza. Odczekałem jeszcze chwilę, po czym wyszedłem z ukrycia. Podniosłem przewrócony przez hrabiego taboret i usiadłem na nim.

– Hrabia de Verde zapewne zwycięży w nadchodzącym konflikcie – powiedział Pan Pomocna Dłoń zamyślonym tonem. – To wielki strateg i urodzony zwycięzca. Ale nie rozumie jednej, podstawowej prawdy. Świat bynajmniej nie dzieli się na zwycięzców i przegranych, lecz na dłużników i wierzycieli.

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że ma rację. Wiedziałem też, do której grupy ja się zaliczam.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Taniec marionetek

Copyright © Tomasz Niziński

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Robert Rajszcak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-158-1

epub ISBN 978-83-7995-159-8

mobi ISBN 978-83-7995-160-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Małgorzata Maksymowicz

Korekta: Barbara Kaszubowska

Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl

Ilustracja na okładce: Robert Rajszcak

Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)